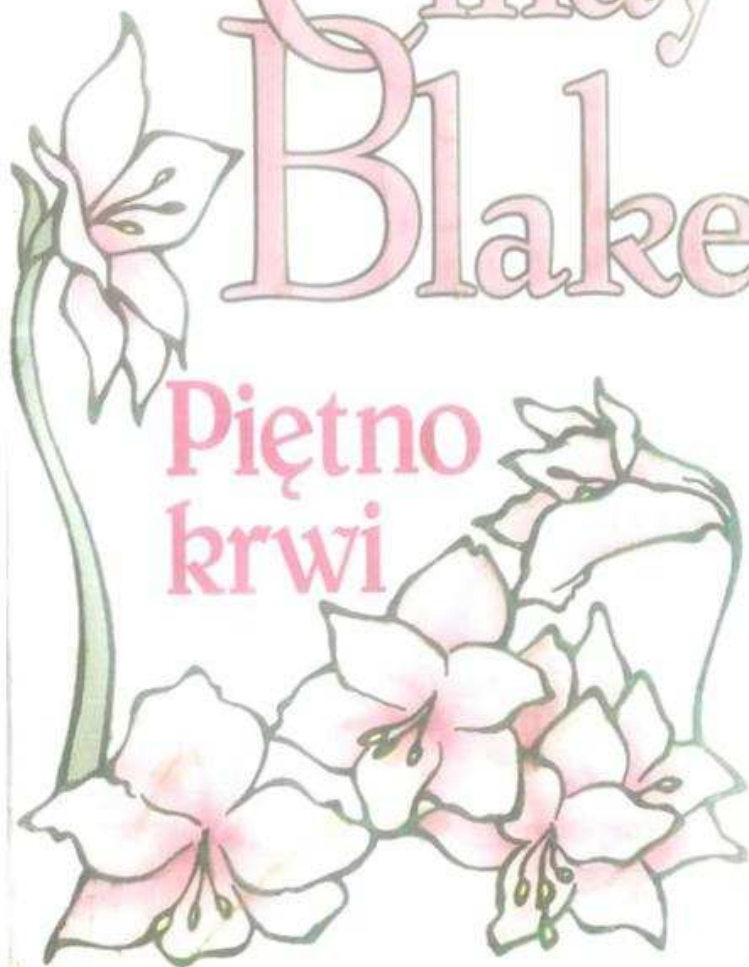


Cindy
Blake

Piętno
krwi



Cindy Blake

Piętno krwi

STACY - dziewczyna z niewielkiego miasta na Środkowym Zachodzie.

ELOISE - dziedziczka wielkiej fortuny, zakompleksiona i nieatrakcyjna.

Poznają się w college'u i, przez parę lat łączy je głęboka przyjaźń. Jak to w życiu bywa, po studiach ich drogi się rozchodzą.

Kiedy po kilkunastu latach Stacy dostaje zaproszenie na ślub Eloise, nie poznaje przyjaciółki, która z brzydkiego kaczątka przeistoczyła się w atrakcyjną, elegancką kobietę. Przyczyną tej metamorfozy jest miłość do przyszłego męża - Roberta.

Stacy obserwując szczęście przyjaciółki zaczyna mieć wątpliwości, czy Robert nie jest zwykłym łowcą posagów. W końcu dochodzi jednak do wniosku, że jej podejrzenia wypływają z nadmiernej opiekuńczości oraz własnych złych doświadczeń z mężczyznami.

A jednak w związku Roberta i Eloise zaczyna się dziać coś niepokojącego...

ISBN 83-7157-138-0

DC
DROG

Cindy
Blake
Piętno
krwi

Przełożyła Ewa Gorczyńska

Wydawnictwo Da Capo Warszawa 1996

Tytuł oryginału *BLOOD SUGAR*

Copyright © 1992 by Cindy Blake

Ilustracja na okładce Robert Pawlicki

Projekt okładki,
skład i łamanie
FELBERG

For the Polish translation Copyright © 1996 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I ISBN 83-7157-138-0

Printed in Germany by ELSNERDRUCK-BERLIN

Prolog

Karetka pogotowia zepsuła się w drodze. Ani kierowca, ani dwoje sanitariuszy nie wiedzieli, dlaczego. Może to prądnicą? Może pasek klinowy? Nie znali się na samochodach. Znali się na ludzkim organizmie, ale wewnątrz samochodu było dla nich tajemnicą.

- Może karetka dostała ataku serca? - zażartowała młoda sanitariuszka, stając obok unieruchomionego pojazdu. - Chyba powinniśmy odwieźć ją na pogotowie.

Żaden z mężczyzn się nie roześmiał.

- Lepiej szybko wezwijmy przez radio kogoś na zastępstwo - poradził kierowca ze znużoną miną. - Karetki nie powinny się psuć. Ciekawe, kogo obwinia za tę awarię.

Pierwsi przybyli na miejsce dwaj policjanci. Pędzili radiowozem, starając się nie wylać kawy z papierowych kubków. Przed wejściem do domu starannie zgasili papierosy.

- Trochę za wcześnie na oglądanie zwłok. Oczywiście jeśli to nie jest kawał i naprawdę są tam jakieś zwłoki - odezwał się Dick, wyższy z policjantów. Robił wszystko, by wyglądać jak Tom Selleck w roli Magnuma, ale jego oczy nie patrzyły tak przeszywająco, nie miał więc szans na wyjazd na Hawaje. Niższy policjant stęknął. Zdawał sobie sprawę, że nie jest podobny do żadnej z gwiazd telewizyjnych.

- Zawsze jest za wcześnie na oglądanie zwłok, Dick. A w ogóle, gdzie się podziała ta cholerna karetka?

Drzwi frontowe otworzyła młoda dziewczyna, wyglądająca na studentkę prawa na wakacjach. Miała krótko, praktycznie ostrzyżone włosy i wystraszone brązowe oczy.

- Są na górze. Po lewej. Jedno w sypialni, drugie w łazience. Ja nie muszę tam wchodzić, prawda? - zapytała błagalnie.

- To pani wezwała pogotowie?

- Tak. Ja ich znalazłam. Nie każcie mi tam iść. - Spoglądała na Dicka. Barry, niższy i tęższy policjant o płaskiej twarzy, uświadomił sobie - chyba tysięczny raz - że dziewczyny zawsze patrzą na Dicka, i tak już pozostanie.

- Może zaparzy nam pani czarnej kawy. Pójdziemy na górę trochę się rozejrzeć, a potem przy kawie odpowie nam pani na kilka pytań. Zgoda? - Dick położył jej dłoń na ramieniu.

- Tak. Dziękuję. Boże, tak się cieszę, że już tu jesteście. - Ulga wyraźnie malowała się na jej twarzy. Dziewczyna wyprostowała się. - Są na górze. - Wskazała na schody. - Po lewej.

- Jest pani pewna, że nie żyją? Gdzie, do cholery, podzieli się ci z pogotowia? - Barry nie chciał, żeby jego głos brzmiał tak niecierpliwie.

- Nie żyją - odparła dziewczyna. Odwróciła się i poszła do kuchni. Starła się skupić całą uwagę na przyrządzaniu kawy, na jakiejś zwyczajnej czynności, która pozwoliłaby jej zapomnieć o tym, co się stało na piętrze. Policjanci ruszyli w górę. Zatrzymali się równocześnie, słysząc wołanie dziewczyny.

- Niczego nie dotykałam! Wiem, że nie należy niczego ruszać.

- Bardzo mądrze! - zawołał w odpowiedzi Dick.

Najpierw weszli do sypialni. Barry jednym spojrzeniem ogarnął cały pokój: zwłoki na łóżku, uchylone na kilka centymetrów okno, przez które wpadało świeże powietrze i zapach morza. Sypialnię pomalowano na błękitno. Wszystko do siebie pasowało. Zasłony, jasnoniebieski dywan, niebieskie prześcieradła spryskane rdzawą krwią. Drzwi do dużej szafy w ścianie obito materiałem, który kiedyś widział na zdjęciu eleganckiego hotelowego pokoju. Broń też prezentowała się imponująco.

Dick pochylił się nad ciałem i poszedł do przylegającej do sypialni łazienki.

- Tutaj są drugie zwłoki - oznajmił.

- Cholera - mruknął Barry, stając obok niego. - Niezbyt przyjemny widok.

- W każdym razie, to nie był kawał. - Dick pogładził się po wąsach.

- Czas zadzwonić do szefa, żeby przysłał całą ekipę. To może być podwójne morderstwo albo podwójne samobójstwo. A może jedno morderstwo i jedno samobójstwo. Jak sądzisz?

- Nie będę zgadywał. Muszę się napić kawy.

- Aha. - Dick uśmiechnął się. - Ładna dziewczyna, co?

Barry nie zwrócił na niego uwagi.

- Gdzie jest to cholerne pogotowie?

- Trochę za późno na pomoc medyczną - odparł Dick, nie patrząc na ciało w wannie.



Listopad-grudzień 1989

To zaproszenie mnie zaintrygowało. Zastanawiałam się, skąd Eloise się dowiedziała, gdzie mieszkam. Odpowiedź była prosta. Eloise miała więcej pieniędzy niż Rockefeller; a pieniądze, odpowiednio pokierowane, potrafią szybciej odnaleźć człowieka niż dobrze wyszkolony pies policyjny narkotyki. Bardziej intrygujący i sensacyjny był fakt, że Eloise zapraszała mnie na ślub. Wychodziła za mąż. Dowodził tego leżący przede mną wyfłacznany kartonik od Tiffany'ego. Przyszły mąż nazywał się Robert Chappell. Bardzo odpowiednie nazwisko dla pana młodego.

Z biegiem czasu straciłam kontakt z Eloise. Stała się częścią wspomnień z okresu studiów, z lat siedemdziesiątych, o których wolałam zapomnieć. Był to dla mnie czas pełen zamętu, i odetchnęłam z ulgą, kiedy zegar wybił północ i obwieścił nadejście pierwszego stycznia osiemdziesiątego roku. Nie zapominałam całkowicie o starych znajomych, czasami o nich myślałam, ale zaczęłam nowe życie w Kalifornii i wolałam nie wspominać dawnych nowojorskich dni.

Jednak Eloise to inna sprawa. Powinna już wcześniej to zrozumieć. Była dla mnie kimś szczególnym i przynajmniej należało spróbować ją odnaleźć. Kilka razy miałam taki zamiar, ale rezygnowałam. A to z powodu jej pieniędzy. Może gdybym się z nią skontaktowała, pomyślałaby, że chcę wykorzystać

jej bogactwo i, tak jak w college'u, trochę się zabawić na jej koszt. Ucieszyłam się, że odnalazła mnie pierwsza, i oczywiście jej ślub bardzo mnie zaciekał.

Na myśl o Eloise w ślubnej sukni roześmiałam się - nigdy nie widziałam jej w żadnym eleganckim stroju i nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Jednak największą zagadkę, nad którą nie mogłam się nie zastanawiać i której nigdy bym nie rozwiązała, gdybym nie przyjęła zaproszenia, stanowił sam Robert Chappell. Czy rzeczywiście zakochał się w mojej współlokatorce z okresu studiów, czy był zwykłym łowcą posagów, któremu się powiodło? Kiedy w grę wchodziło tyle pieniędzy, trudno było nie zadawać sobie takiego pytania. Przynajmniej ja nie potrafiłam tego uniknąć. A to oznaczało, że oczywiście, z największą przyjemnością zjawię się na ślubie panny Eloise Camille Parker. Musiałam ją znowu zobaczyć. I chciałam sprawdzić, kim jest Robert Chappell.

Kiedy otrzymałam zaproszenie od dawnej przyjaciółki, byłam trzydziestosiedmioletnią rozwódką, kierowniczką księgarni należącej do sieci B. Daltona. Mieszkałam w niewielkiej osadzie Tiberon nad zatoką San Francisco. Moje życie biegło miło i bez niespodzianek, a jego rytm wyznaczała praca, przyjaciele i czasami jakiś kochanek. Chociaż od rozwodu minęło wiele lat, nadal nie potrafiłam zaangażować się uczuciowo. Podczas romantycznych kolacji wybuchałam śmiechem w najmniej odpowiednich momentach i nie umiałam się powstrzymać od cynicznych żartów, kiedy mężczyzna chciał poważnie rozmawiać o naszym związku. Dawniej awantury z mężem przypominały mi kiepską parodię filmu *Kocham Lucy*, a teraz romantyczne spotkania wydawały mi się scenami z serialu *Statek miłości*. Takie podejście drażniło męskie ego i nie pozwalało mi na mocniejsze więzi. I chyba właśnie o to mi chodziło.

Ciekawiło mnie, czy Eloise była już kiedyś zamężna. Czy to jej drugi ślub? A może trzeci? Co zrobiła ze swoim życiem i pieniędzmi? Od siedemdziesiątego czwartego roku napisała do mnie tylko dwukrotnie. W pierwszym liście zawiadamiała mnie o śmierci swojego ojca, w drugim przepraszała, że nie

może przyjechać na mój ślub. Nie chciałam jej mówić o swoim rozwodzie. Widziała początki mojego związku z Buddym i widziała, jak bardzo byłam zakochana. Współczuła mi, a tego sobie nie życzyłam. Przez wszystkie minione lata nie zadałam sobie nawet trudu, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Czasami o niej myślałam, zwłaszcza kiedy patrzyłam na lilie albo słyszałam jakiś fragment muzyki klasycznej, za którym obie przepadałyśmy. Wolałam jednak zbyt często nie wspominać Nowego Jorku.

Pod prośbą o odpowiedź widniał adres Eloise na Cape Cod. Tam, za dwa tygodnie, siódmego grudnia, miał się odbyć ślub.

Zarezerwowałam lot do Bostonu i listownie potwierdziłam przyjęcie zaproszenia. „Jasne, że przyjadę. Podciągnij skarpetki, Eloise”. Na dole kartki napisałam numer lotu i godzinę przybycia. Zastanawiałam się, czy do niej nie zadzwonić, ale wolałam, żeby pierwsza od piętnastu lat rozmowa odbyła się twarzą w twarz.

Wchodząc na pokład samolotu, wspominałam nasze ostatnie spotkanie. Machałam jej na do widzenia, nawet kiedy odwróciła się i weszła do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy. Za chwilę miała odlecieć do Paryża. Przypomniałam sobie jej szofera, Johna - przewidywał, że Eloise wpakuje się w jakieś kłopoty, i prosił, żebym się nią opiekowała.

Cóż, nie zaopiekowałam się nią. Nie była moją podopieczną, tylko po prostu przyjaciółką. Jednak nasz związek nie był prosty, w przeciwieństwie do przyjaźni, które nawiązałam w Kalifornii. Pieniądze Eloise i moja nadopiekuńczość stanowiły wyraźne przeszkody. Nawet teraz zamierzałam sprawdzić, czy przypadkiem Robert Chappell nie jest podstępny żigolakiem, a przecież to nie moja sprawa, kogo Eloise wybrała sobie na męża. A jeśli Robert rzeczywiście okaże się obrzydliwym oszustem? Co zrobię? Powiem pastrowi, że znam przyczyny, dla których to małżeństwo nie może zostać zawarte? Mało prawdopodobne.

Postanowiłam uważać, żeby moje cyniczne poglądy na temat romantycznych związków nie były zbyt widoczne i nie

popsuły radosnej uroczystości Eloise. Będę musiała zachować kąśliwe uwagi dla siebie. Wiedziałam, że wciąż z goryczą spoglądam na instytucję małżeństwa, ale postanowiłam robić wszystko, by to ukryć. Przewidywałam, że jeszcze coś może zagrozić naszej przyjaźni - moje nieposkromione dążenie do współzawodnictwa. Obie byłyśmy jedynaczkami, a w college'u stałyśmy się dla siebie niczym siostry. I wtedy pojawił się między nami cień siostrzanej rywalizacji, chciałam, żeby Eloise była szczęśliwa, ale nie bardziej niż ja.

Kiedy nadeszła stewardesa z drinkami, zamówiłam wódkę z sokiem pomidorowym, rozparłam się wygodniej w fotelu i starałam się odprężyć. Porozmawiałam chwilę z miłym starszym panem, siedzącym obok. Wymieniliśmy uwagi na temat Bostonu, Nowego Jorku i porównaliśmy Wschodnie Wybrzeże z Zachodnim. Tuż przed rozpoczęciem filmu zapytał mnie, czy nie podwieźć mnie z lotniska do miasta.

- Nie, dziękuję. Chyba będzie na mnie czekała limuzyna. - Nie mogłam się powstrzymać, by tego nie powiedzieć.

Brwi sąsiada wygięły się w łuk.

- Ma pani szczęście.

- To limuzyna mojej starej przyjaciółki z czasów studiów. Mam szczęście. - Uśmiechnęłam się.

Tak jak oczekiwałam, sprzed lotniska zabrała mnie limuzyna. Za kierownicą nie siedział John, ale jakiś siwowłosy mężczyzna. Na przypiętej do uniformu plakietce widniało imię Edwin. Z ulgą opadłam na tylne siedzenie i na dwie godziny - tyle jechaliśmy do Cape Cod - zatopiłam się we wspomnieniach. Powietrze było ostre, czyste i chłodne, a na ziemi leżał świeży śnieg. Natychmiast ogarnęła mnie nostalgia. Zapomniałam już, że na północnym wschodzie pory roku tak wyraźnie różnią się od siebie.

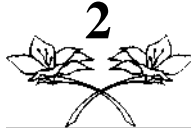
- Edwinie, czy możesz się zatrzymać? - zapytałam, kiedy dotarliśmy do znajomego podjazdu. - Wsiądę tutaj i dojdę do domu piechotą.

Przed spotkaniem z przyjaciółką chciałam mieć chwilę dla

siebie, kilka dodatkowych minut na wspomnienie lata, które tu spędziłam między trzecim a czwartym rokiem studiów, grając w tenisa, objadając się homarami i prowadząc gnuśne życie milionerki.

Biały Cadillac, w którego idealnie wypolerowanej karoserii odbijał się śnieg, ruszył naprzód, a ja wolno szłam w kierunku domu. Mijając kort tenisowy usłyszałam, że Edwin zatrząskuje drzwiami i otwiera bagażnik. Przypomniałam sobie, jak uczyłam Eloise grać w tenisa. Potem spostrzegłam, że ktoś do mnie biegnie.

Nigdy dotąd nie widziałam, żeby ktoś bardziej się zmienił niż ta kobieta, która właśnie otoczyła mnie ramionami. To niemożliwe, pomyślałam. Odstąpiłyśmy od siebie o krok. To nie może być Eloise.



Wrzesień 1970

Poznałyśmy się z Eloise na początku pierwszego semestru w college'u Barnard. Umieszczono nas w jednym pokoju. Jeszcze zanim w dniu inauguracji przybyłam do akademika, przeżyłam wstrząs. Przyleciałam z Chicago do Nowego Jorku i na lotnisku złapałam taksówkę, którą prowadził dziwaczny typ ze wschodniej Europy. Nie mógł mnie zrozumieć, kiedy tłumaczyłam, że chcę jechać do college'u Barnard na Zachodniej Sto Szesnastej. Kiedy wreszcie pojął, o co mi chodzi, byliśmy już na moście Triborough. Zaczęłam właśnie zachwycać się magicznym widokiem panoramy Nowego Jorku, kiedy usłyszałam, jak drzwi samochodu z prawej i z lewej zamykają się automatycznie. Zrozumiałam, że zostałam porwana i wkrótce zostanę białą niewolnicą. Moje życie wisiało na włosku.

Nagle strach mojej matki o los jej niewinnej córeczki - z małego miasta na Środkowym Zachodzie - w groźnej metropolii wydał mi się uzasadniony. Dlaczego jej nie posłuchałam? Wyjęłam papierosa, zapaliłam i starałam się przywołać obrazy najważniejszych chwil z mojego osiemnastoletniego życia. Nic nie przychodziło mi do głowy. Wtedy pomyślałam o ucieczce. Może gdybym zaczęła walić pięściami w szybę, ktoś by zauważył, że znalazłam się w niebezpieczeństwie, i

przyszedłby mi z pomocą. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś przyjaznej twarzy i w tej samej chwili zrozumiałam, dlaczego taksówkarz zamknął drzwi. Jechaliśmy przez sam środek Harlemu.

Wiedziałam, że uniwersytet Columbia i jego siostrzany college Barnard są w pobliżu Harlemu, ale nie znałam tej dzielnicy, nigdy przedtem nie widziałam takiej masy czarnoskórych ludzi tłoczących się na ulicach, nie słyszałam ryczących odbiorników radiowych wśród prowizorycznych straganów ustawionych na chodnikach. Byłam teraz zadowolona ze swojego więzienia, ale jednocześnie cieszyłam się, że chociaż przez krótki czas i z pewnej odległości jestem częścią energii przenikającej Harlem. Nie wyglądał przerażająco; był pełen życia, działania i wielkich możliwości. Rzecz jasna, nie dla takiej jak ja białej, nieopierzonej dziewczyny z prowincjonalnego Środkowego Za chodu.

Uniwersytet Columbia, znany z buntów studenckich sześćdziesiątego ósmego roku, był w roku siedemdziesiątym wciąż bardzo modny. Polityka mało mnie interesowała, ale chciałam zamieszkać w Nowym Jorku. Wtedy burmistrzem nie był jeszcze Ed Koch, ale gdyby można było kupić plakietki z napisem „Kocham Nowy Jork”, przykleiłabym sobie taką na ścianie swojego pokoju, w rodzinnym mieście Peoria, w stanie Illinois. To, że ktoś pochodzi z Peorii, samo w sobie brzmi jak dowcip, jednak mnie wcale nie śmieszyło. Oczywiście rozumiałam, że jacyś ludzie musieli się tam urodzić, ale dlaczego akurat ja byłam jedną z nich? Jako dojrzała nastolatka za wszelką cenę starałam się pozbyć piętna tego miasta i nabrać ogłady Wschodniego Wybrzeża tak szybko, jak to tylko możliwe. Wybór Barnard wydawał się logiczny dla dziewczyny, która zdobywała dobre oceny w szkole średniej i nie zamierzała skończyć w drużynie hokeja na trawie w jakimś college’u, położonym z dala od wielkich miast, jak Smith albo Vassar.

Wobec powyższego byłam zdziwiona i rozczarowana, kiedy wreszcie zapłaciłam za taksówkę, z wysiłkiem wniosłam

bagażę do wyznaczonego mi pokoju w akademiku na rogu Zachodniej Sto Szesnastej, gdzie po otwarciu drzwi zobaczyłam dziewczynę, która nawet w średniej szkole w Peorii uchodziłaby za klasowe dziwadło. Eloise byłaby tą dziewczyną, której nikt nie zaprosił na bal, taką, jaką grała Cissy Spacек w *Carrie* - niedojdą mieszkającą ze stukniętą matką, z której wszyscy się wyśmiewają i która w końcu się mści za pomocą paranormalnych sztuczek. Eloise doskonale nadawałaby się do tej roli, rzecz jasna z wyjątkiem sceny zemsty. Nikt by nie uwierzył, że posiada jakieś zdolności parapsychologiczne. Wyglądała nieszkodliwie, bezradnie i niezdarnie, kiedy tak stała w zbyt obszernych dżinsach i rozciągniętej koszulce. Już wtedy przyszło mi do głowy, że niscy ludzie zwykle nie wyglądają niezdarnie, ale mojej nowej współlokatorce jakoś się udało.

Przedstawiłyśmy się, skrępowane uścisnęłyśmy sobie dłonie i przez chwilę stałyśmy w milczeniu.

- Mogę zająć to łóżko? - zapytała Eloise, wskazując na łóżko po prawej. Przygryzała skórę łuszczącą się z popękanej dolnej wargi.

- Oczywiście. Ja wezmę to po lewej. Chyba zacznę się rozpakowywać.

- To mały pokój, prawda? - Skórka się oderwała, a Eloise wzięła ją w rękę, rozejrzała się za koszem na śmieci, znalazła go w kącie pokoju, potarła dłonie, wróciła na miejsce i znów zaczęła przygryzać wargę, przestępując z nogi na nogę. Ciemna grzywka spadała jej na oczy, a reszta włosów zwisała w prostych kosmykach. Nawet w tamtych hipisowskich czasach ludzie przywiązywali większą wagę do swojego wyglądu. Pomyślałam, że dziewczyna znalazła się tu dzięki stypendium. Zapewne pochodzi z ubogiej rodziny. Ale w takim razie dlaczego ten pokój wydawał się jej mały? Ciekawiło mnie to, ale nie chciałam pytać. Jeśli miałyśmy żyć zgodnie, musiałam od początku szanować jej prywatność.

- Stacy? - Usiadła na brzegu łóżka i patrząc, jak się rozpakowuję, żuła kosmyk włosów. - Wybierasz się na te - wszystkie

imprezy integracyjne?

- Mam taki zamiar. Można tam poznać nowych ludzi. Szkoda tylko, że jest tak gorąco. Pewnie ze trzydzieści pięć stopni, co? Nie wiem, czy dzisiaj wystarczy mi na to energii.

- Może poszłybyśmy razem na pizzę albo coś w tym rodzaju?

Stałam do niej plecami, więc zakląłam pod nosem. Zapowiada się, że współlokatorka stanie się dla mnie ciężarem. Nieśmiała i niezbyt atrakcyjna, będzie potrzebowała wiele pomocy, żeby jakoś przetrwać pierwsze tygodnie studiów. Już poczułam się za nią odpowiedzialna. Nie mogłam po prostu zostawić jej samej, zwłaszcza pierwszego wieczoru. To byłoby tak, jakbym pozostawiła na ulicy zabłąkanego psa.

- Jasne. Jeśli pójdziemy na Broadway... Czy to nie wspaniałe! Jesteśmy tak blisko Broadwayu. - Uśmiechnęłam się do niej, a ona odpowiedziała mi uśmiechem. - W każdym razie, jestem pewna, że na Broadwayu znajdziemy jakąś pizzerię.

I rzeczywiście, znalazłyśmy. Eloise przez cały czas wypytywała mnie o przeszłość, rodzinę, Peorię i marzenia o Nowym Jorku. Wyczerpująco odpowiadałam na jej pytania.

- Ponieważ przez co najmniej rok będziemy mieszkać razem, powinnam cię ostrzec. Jestem beznadziejną romantyczką. Te dwa słowa najpełniej mnie opisują. Śnię na jawie, pochłaniam książki jak inni ludzie czekoladę, słucham oper, oglądam stare filmy. Kocham się we Fredzie Astairze. W szkole średniej miałam wielu przyjaciół, ale chłopcy głównie zachwycali się Jimi Hendrixem, a dziewczyny sprawdzały, na jak krótkie spódniczki mogą sobie pozwolić w szkole. Moje upodobania wydawały się im dziwaczne. Wszyscy bardzo chcieli zostać prawdziwymi hipisami, a mnie to nie interesowało. Między innymi dlatego wybrałam college w Nowym Jorku. Zamierzam stać się cywilizowanym człowiekiem, kształcić się również poza uczelnią, czasami chodzić do opery i teatru, żyć wielkomięjskim życiem, a nie tą namiastką, która w Peorii uchodziła za kulturę.

Eloise rozpromieniła się i dyskretnie odpędziła dym z mojego papierosa od twarzy.

- Ja też jestem romantyczką - wyznała. - Nawet raz mi się śniło, że tańczę z Fredem Astaire'em. Na dachu. To jedyny w moim życiu sen, z którego nie chciałam się obudzić. Zwykle miewam okropne koszmary. W każdym razie, na Osiemdziesiątej Szóstej jest wspaniałe kino, Regency. Grają tam wszystkie te cudowne stare filmy. Spodoba ci się.

Dostałyśmy rachunek, a ja uparłam się, żeby go zapłacić, bo czułam, że dla Eloise może to być spory wydatek. Podczas wakacji pracowałam jako kelnerka i to, co odłożyłam, powinno mi starczyć na kilka miesięcy, w zależności od nowojorskich cen.

- Powinnam się postarać o jakąś pracę na weekendy, a wtedy może stać mnie będzie na realizację tych moich ambitnych planów. - Roześmiałam się. Piłyśmy wolno kawę, ciesząc się chłodem klimatyzowanego wnętrza.

- Chyba mogłabym ci pomóc - odparła Eloise. Owijała kosmyk włosów wokół palca wskazującego. Na jej dolnej wardze widniały dwa podbiegłe krwią pęknięcia.

- Jasne. - Zauważyłam, że mój głos zabrzmiał pobłaźliwie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby Eloise była w stanie utrzymać się w jakiegokolwiek pracy. Co najwyżej mogła liczyć na zasiłek z opieki społecznej. - Ale słuchaj, jeszcze mi nic o sobie nie powiedziałaś. Dlaczego wybrałaś właśnie Barnard? Nic o tobie nie wiem i równie dobrze możesz się okazać członkinią Stowarzyszenia Studentów na Rzecz Społeczeństwa Demokratycznego, romantyczną rewolucjonistką, a ja ci tu opowiadam o operze.

- Och, nie. - Znowu się uśmiechnęła i potrąciła łokciem szklankę wody, omal jej nie przewracając. - Wcale nie jestem radykałem. Zresztą wydaje mi się, że oni wszyscy tylko udają. Są wystarczająco bogaci, żeby studiować w college'u i bawić się w protestowanie. Biedacy dostają powołanie do wojska i nie mogą się wykręcić od wyjazdu do Wietnamu. Ci lewicowi studenci doskonale to wiedzą. Z poczucia winy sami udają

żołnierzyków, okupują budynki i organizują marsze. Chcą się sprawdzić, więc wdają się w bójki z policją. Ja też jestem przeciwko wojnie, ale na demonstracji czułabym się głupio. W końcu i tak chodzi o pieniądze. Międzynarodowe korporacje, przemysł zbrojeniowy. Chodzi wyłącznie o pieniądze. A poza tym... - Nieśmiało zerknęła na mnie spod grzywki. - Ja też kocham operę.

Wychodząc - uprzednio zostawiwszy duży napiwek, jak każdy, kto kiedyś sam był kelnerem - doszłam do wniosku, że błędnie oceniałam nową koleżankę. Może osoba, która rozdzielała pokoje w akademiku, przejrzała nasze ankiety i sprawdziła, jakie mamy zainteresowania i hobby. Eloise i ja doskonale do siebie pasowałyśmy.

Wróciłyśmy do akademika w obezwładniającym upale. Położyłam się na łóżku i patrzyłam, jak Eloise wyjmuje czarną torbę z szafy. Kiedy wyjęła z niej strzykawkę, gwałtownie usiadłam. W co ja się wpakowałam? Mieszkam z narkomanką. Gapiłam się na nią i czułam, że ogarnia mnie gniew i panika. Czy mogę pójść do władz uczelni, naskarżyć na nią i postarać się, żeby ją usunięto? Oczywiście, że mogę. Przecież nie sposób mieszkać z jakimś wiecznie oszołomionym ćpunem. Nic dziwnego, że tak okropnie wygląda. Pewnie dawała sobie w żyłę w ciemnościach kina Regency, a potem odlatywała, patrząc na Jimmy Stewarta.

Odwróciła się i zobaczyła moją przerażoną twarz. Roześmiała się.

- Wszystko w porządku, Stacy. Nie denerwuj się. Mam cukrzycę, to wszystko. Co wieczór muszę sobie robić taki zastrzyk. Przepraszam, powinnam cię uprzedzić.

Uśmiechnęłam się z ulgą.

- Rany, ale mnie przestraszyłaś. Właśnie się zastanawiałam, jak się ciebie szybko pozbyć.

- Och. - Jej śmiech gwałtownie się urwał. Ze strzykawką w rękę patrzyła na podłogę. - Zobaczysz, że nie będę dla ciebie takim ciężarem, jak się na początku obawiałaś.

Zdziwiona i zawstydzona odwróciłam wzrok. Czy dałam to

po sobie tak wyraźnie poznać? Jak to się stało, że użyła dokładnie tego samego słowa, jakie mi przyszło do głowy, kiedy o niej myślałam - ciężar. Chyba ma zdolności parapsychologiczne. Staralam się odsunąć od siebie te myśli, nie zwracać uwagi na upał i zasnąć. Tej pierwszej nocy w Nowym Jorku nie bardzo mi się to udało.

W trakcie pierwszego semestru Eloise i ja uczęszczałyśmy na zupełnie inne zajęcia, więc następnego ranka rozeszłyśmy się każda w swoją stronę. Cieszyłam się, że rozpoczynam naukę samodzielnie, że poznam innych studentów i zapiszę się do pracy w radiowęźle Columbia. Była to jedyna działalność poza nauką, na jaką się zdecydowałam. Miałam nadzieję, że w wolnym czasie zostanę prezenterem puszczającym muzykę poważną, i ucieszyłam się, kiedy się dowiedziałam, że radiowęzeł chce przyjmować studentów pierwszego roku. Wciąż panował tak wielki upał, jaki podczas babiego lata może się zdarzyć tylko w Nowym Jorku. Kiedy po południu wróciłam do akademika, byłam mokra od potu i miałam wrażenie, że pływam w rynsztoku. To znaczy do czasu, kiedy przekroczyłam próg naszego pokoju. Natychmiast otoczyło mnie chłodne powietrze i zapach lilii.

Eloise jeszcze nie było, ale w oknie w cudowny sposób pojawił się wielki klimatyzator, a w pokoju, w małych kryształowych wazonach ktoś rozstawił przynajmniej ze dwa tuziny lilii. Nie wierzyłam własnym oczom. Ona chyba ma wielbiiciela, i to bogatego. Ale kto wielbiłby Eloise? Kiedy wróciła, wciąż siedziałam oszołomiona. Przedtem, oczywiście, przetrząsnęłam cały pokój w poszukiwaniu bileciku, który wyjaśniłby, od kogo pochodzą te prezenty. Nic nie znalazłam.

- O, rany! - odezwała się Eloise, rzucając naręcze książek na łóżko. - Już dzisiaj mogę stwierdzić, że zajęcia z fizyki będą okropne. Profesor wytrzeszczał gały na jedną dziewczynę, Bunny jakąś tam, która miała na sobie całkiem przezroczystą bluzkę. Nic nie poradzę na taką konkurencję.

- Eloise, co to wszystko ma znaczyć? - Wskazałam na kwiaty i klimatyzator.

- Cóż, jest gorąco, prawda? Słyszałam, jak ostatniej nocy przewracałaś się w pościeli. Teraz będziemy lepiej spać.

- Przecież klimatyzatory są bardzo drogie.

- Wiem. - Spojrzała przez okno, a potem znowu na mnie. Ramiona jej opadły. Miała okropną postawę.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba trudno jest kupić i zainstalować taką maszynę w ciągu jednego dnia.

- To nie takie trudne, jeśli się ma odpowiednią ilość pieniędzy.

- A ty masz?

- To nic wielkiego, Stacy. - Włożyła kosmyk włosów do ust. Z tonu, jakim odpowiedziała na moje pytanie, wywnioskowałam, że ma pieniądze, i to dużo.

- A kwiaty?

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzają. Jestem trochę zwariowana na ich punkcie. To były ulubione kwiaty mojej matki.

- Twoja matka nie żyje?

- Tak. Utonęła, kiedy miałam trzy lata.

- Bardzo mi przykro.

Zbyt wiele nowin jak na jeden raz. Eloise jest bogata. Bogata dziewczyna chora na cukrzycę, pólserota o wyglądzie szmacianej lalki, zakochana w liliach.

- Proszę cię, nie użalaj się nade mną. Wszyscy zawsze się nade mną użalają. Bogate biedactwo, nie dosyć, że straciło matkę i ma cukrzycę, to jeszcze takie brzydkie. Nie zaczynaj. Myślałam, że możemy się zaprzyjaźnić.

- Bo możemy. Ale nie rozumiem, dlaczego...

- Przestań, dobrze. - Eloise rozżłościła się. W gniewie straciła gdzieś swoją niezdarność. Staneła prosto i gwałtownie odgarnęła włosy z czoła. - Nie chcę o tym rozmawiać. O pieniądzach, moim wyglądzie, rodzinie i cukrzycy. Nie chcę dyskutować na żaden z tych tematów. Dobrze?

Tępo skinęłam głową.

- Poza tym... - Usiadła i znów opuściła ramiona. - Masz jakąś spódnicę, którą mogłabyś włożyć dzisiaj wieczorem?

Znowu skinęłam głową. Nie próbowałam już pojąć, co się tutaj dzieje.

- Pomyślałam sobie, że mogłybyśmy się wybrać do opery - ciągnęła Eloise. - W Lincoln Center wystawiają dzisiaj *Traviatę*. A może masz jakieś inne plany?

- Nie mam. Daj mi chwilę na zebranie myśli, dobrze? Trudno mi w to wszystko uwierzyć. Opera?

- Opera. Słuchaj Stacy, czuję, że mi się poszczęściło, bo przypadła mi taka współlokatorka, jak ty. Nie będę musiała ukrywać, że mam pieniądze, ani niczego udawać. Będziemy się nimi razem cieszyć. - Mówiła coraz prędeziej, jakby chciała jak najszybciej mieć tę przemowę za sobą. - Mamy takie same upodobania, więc wykorzystajmy to. Gdybyś należała do radykałów, próbowałabyś mnie namówić, żebym oddała pieniądze na jakiś polityczny ruch czy coś w tym rodzaju. Kiedyś przecież byś się o nich dowiedziała. Wszyscy w końcu się dowiadują. A ja wcale nie chcę rozdać wszystkich swoich pieniędzy. Przynajmniej nie teraz. Jestem jeszcze za młoda na tak poważną decyzję.

- To brzmi rozsądnie. - Eloise twierdziła, że jej się poszczęściło? To ja miałam wrażenie, że jestem Dorotką, która dostała magiczne pantofelki w krainie Oz. Wyprawa do Lincoln Center - nie mówiąc już o błogosławionej klimatyzacji. Moja matka bardzo się myliła.

- Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że limuzyna nie powinna nas zabierać spod akademika. To byłoby zbyt kłopotliwe. Będziemy jeździły taksówkami.

- Nie będzie limuzyny? - Jęknęłam z udawanym przerażeniem. - Co za rozczarowanie!

Eloise roześmiała się. Ubrała się w za szeroką brązową spódnicę i bluzkę, które przytłaczały jej niską sylwetkę. Potem włożyła białe skarpetki i brązowe mokasyny. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak źle ubranego. Zerknęła na mnie.

- Wiem, że się okropnie ubieram, ale ciuchy niewiele mnie obchodzą.

- Eloise, czy ty jesteś jasnowidzem? - zapytałam. Od kiedy weszła do pokoju, nie ruszyłam się z miejsca.

- Ależ nie. - Wyjęła grzebień i zaczęła się czesać, ale natrafiła na splątany kosmyk i zrezygnowała. - Po prostu doskonale zdaję sobie sprawę, jaka jestem w oczach innych.

A jaka jesteś naprawdę? Zadawałam sobie to pytanie ubierając się na wieczór w operze. Jasno dała mi do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych pytań i nie chce rozmawiać ani o rodzinie, ani o pieniądzech, ani o swojej urodzie, ale przyszło mi do głowy, że swoim wyglądem próbuje oznajmić całemu światu: „Słuchajcie, tak się składa, że jestem bogata, ale i tak do niczego się nie nadaję”.

Twierdziła, że jest brzydka, ale wcale tak nie było - po prostu starała się tak wyglądać. Oczy, ukryte pod grzywką, miały ładny ciemnobrazowy kolor; usta były pełne i wyraźnie zarysowane, mimo spękanej dolnej wargi. Na lewym policzku miała nawet zalotny pieprzyk. Jej kości policzkowe zaznaczały się dosyć nisko, na poziomie między koniuszkiem nosa a wargami. Jednak zaniedbane włosy, okropny strój i zgarbiona sylwetka odbierały jej całą urodę i sprawiały, że Eloise robiła wrażenie niezgrabnej łamagi. Ja również tak ją z początku postrzegałam. Mimo woli ciekawiło mnie, dlaczego tak skrupulatnie ukrywa swoją przeszłość. Była inna niż wszyscy, i to przykuwało uwagę. Nagły wybuch gniewu pozwolił mi na chwilę zobaczyć inną Eloise. To była tajemnicza dziewczyna, a ja chciałam znaleźć klucz do jej skomplikowanej osobowości. Może właśnie o to chodziło. Jej osobowość była wyzwaniem. Eloise chciała zwrócić na siebie uwagę, pozornie starając się jej unikać.

Poprzedniego wieczoru, opowiadając o swoich kulturalnych zainteresowaniach, trochę blefowałam. Owszem, miałam ambicje, ale nigdy jeszcze nie byłam w operze. Słuchałam płyt, czytałam notki na ich okładkach, ale nie słyszałam żadnej opery na żywo. Oszołomiona wewnątrz Lincoln Centre, przyglądając się wystrojonej publiczności, czułam się tak,

jakby przeniesiono mnie do innego świata, świata pieniędzy i elegancji. Energia promieniująca z tego świata była mi równie obca, jak sceny z ulic Harlemu, które obserwowałam poprzedniego dnia. Zdziwiło mnie, jak te dwa światy mogą istnieć w jednym mieście. Jednak kiedy zabrzmiały pierwsze dźwięki uwertury i uniosła się kurtyna, zapomniałam o swoich obserwacjach socjologicznych i natychmiast przeniosłam się w krainę Verdiego, gdzie kobieta kaszląc przenosiła się na tamten świat - umierała dla miłości. Nie dziwiło mnie, że jednocześnie była w stanie śpiewać pełnym głosem, ani to, że ważyła o wiele kilogramów za dużo, jak na kogoś cierpiącego na galopujące suchoty. Dzięki muzyce wierzyłam we wszystko.

Rozdrażnił mnie antrakt. Chciałam wysłuchać wszystkiego bez żadnej przerwy. Wystrojeni miłośnicy opery, popijający szampana, wydawali mi się zupełnie nie na miejscu, nie pasowali do pełnych żaru scen, które przed chwilą oglądałam. Kiedy spektakl dobiegł końca, żałowałam, że nie mogę tam zostać i wysłuchać wszystkiego jeszcze raz. Złapałam bakcyła opery. Tak samo jak Eloise, tylko jej przytrafiło się to - jak mi powiedziała - w wieku dwunastu lat, kiedy ojciec zabrał ją na Rigoletto.

- Podziwiam Violetę - oznajmiła mi, kiedy wychodziłyśmy z gmachu wraz z tłumem. - Była gotowa wszystko poświęcić dla uczucia. W dzisiejszych czasach wszyscy mówią o wolnej miłości, ale coś takiego nie istnieje. Za miłość zawsze trzeba zapłacić, tak czy inaczej. Wolna miłość to nie jest miłość, prawdziwa miłość ma swoją cenę. Wydaje mi się, że tą ceną jest cierpienie.

- Myślisz, że za miłość trzeba umrzeć? - zapytałam. Teraz intrygowało mnie wszystko, co mówiła.

- Nie jestem pewna, ale wiem, że trzeba być na to gotowym.

- Ty naprawdę jesteś romantyczką.

- Może i tak. A ty nie?

- Zawsze się za taką uważałam. Ale mam straszliwe przeżycie, że okazałabym się zbyt samolubna, żeby się poświęcić

dla miłości. Do tego bym się chyba nie posunęła.

- Może śmierć nie jest taka zła. - Eloise odgarnęła włosy z czoła i przywołała taksówkę. - Może to jest tak, jakby się wsiadało do taksówki i odjeżdżało w jakieś nieznane miejsce.



6 grudnia 1989

Stace, dlaczego idziesz piechotą? Chodźmy szybko do domu. Pewnie jesteś zmęczona.

Nie byłam. Raczej wpadłam w osłupienie. Eloise miała na sobie jaskrawo różowy wełniany kostium i bluzkę z białego jedwabiu. Jej strój był świetnie skrojony, kosztowny i przepiękny. Dawne ciemne, proste kosmyki włosów zmieniły się w krótko przyciętą, kędzierzawą czuprynkę. Właśnie tak zawsze chciałam ją uczesać, żeby włosy nie opadały na oczy. Zauważyłam na jej twarzy tusz do rzęs, puder i róż. Nawet usta Eloise stały się gładkie. Wyglądała jak ze zdjęcia z magazynu dla kobiet, pokazującego modelkę „po przemianie” i zupełnie nie przypominała dawnej Eloise.

- Nie ruszaj się. - Chwyciłam ją za ramiona. - Eloise, co się z tobą stało? Nic z tego nie rozumiem. - Zauważyłam, że również urosła - byliśmy teraz tego samego wzrostu. Potem spuściłam wzrok i zobaczyłam, że ma na sobie różowe zamaszowe kozaczki na wysokich obcasach. - Zniszczysz buty na śniegu. Gdzie twoje skarpetki? Jak mam cię rozpoznać bez skarpetek?

- Och, Stace, nie zawstydzaj mnie, proszę. Nie przypominaj mi tego wszystkiego. Wejźmy do domu. Odpoczniesz sobie. Poznasz Roberta. I Bobbyego. Właśnie się przygotowuję do gry w tenisa. - Oczywiście zmieciono z kortu śnieg,

odmieniając go tak gruntownie, jak zmienił się wygląd Eloise. Wciąż nie potrafiłam tego pojąć. Eloise szła pewnym, energicznym krokiem, bez śladu dawnej niezdarności, tak charakterystycznej dla niej w minionych czasach. W rzeczy samej, były to minione czasy. I jak jej się udało po piętnastu latach wyglądać tak młodo? Ukłuła mnie zazdrość i natychmiast ogarnęło poczucie winy. Dlaczego odmawiałam jej prawa do szczęścia, które tak widocznie z niej emanowało? Jak mogłam odczuwać zazdrość po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła?

Kiedy weszłyśmy do domu, osłupiałam tak samo jak wtedy, gdy w naszym pokoju w akademiku zobaczyłam klimatyzator i lilie. Uderzył mnie elegancki, jasny i świeży wystrój wnętrza. Wszystko z naszej wspólnej przeszłości uległo zmianie. Podczas mojego ostatniego pobytu tutaj dom był przeciwieństwem letniej rezydencji. Stały w nim nieporęczne kanapy kryte ciężkim brokatem i masywne skórzane fotele, które bardziej pasowałyby do domu Sherlocka Holmesa i sprawiały, że panowała w nim przytłaczająca atmosfera. Antyczne kredensy i szafy zagracaly go bez ładu i składu. Grube aksamitne kotary tłumily światło i zasłaniały widok. Wchodząc do tego domu czułam się tak, jakby ktoś w środku upalnego lata kazał mi włożyć zimowy płaszcz, czapkę i szalik.

Teraz wewnątrz przesycalo światło. Ściany pomalowano na biało, wymieniono meble na lekkie i wygodne. Całość wyglądała jak rozrośnięty do olbrzymich rozmiarów sklep Ralpa Laurena. Doskonale nadawała się na kartkę pocztową albo, jeszcze lepiej, na błyszczącą okładkę czasopisma. Widoku doskonale dopełniali dwaj stojący w holu mężczyźni, ubrani w białe szorty i krykietowe swetry. W rękach niedbale trzymali rakiety tenisowe. Młodszy był zdumiewająco wysoki. Miał ponad dwa metry wzrostu, jasne włosy, niebieskie oczy i wysoko osadzone kości policzkowe, niczym Indianin. Drugi, starszy, miał około metra osiemdziesięciu, kręcone ciemne włosy i jasnobrązowe oczy; był tęższy i barczysty. Starszy uśmiechając się podszedł do mnie z rozłożonymi ramionami.

- Stacy - powitał mnie i zamknął w niedźwiedzim uścisku. Na plecach poczułam jego szczupłe, krótkie palce, tak kontrastujące z szerokimi barkami, o które rozgniatą moją twarz.

- Robercie - odparłam, odstępując o krok, tak jak wtedy, gdy witałam się z Eloise. Niedźwiedzie uściski robiły na mnie podobne wrażenie jak przyjacielska otwartość mieszkańców południowej Kalifornii podczas moich pierwszych dni w tamtych stronach. Taka bezpośredniość wydawała mi się cudowna i ciepła, a jednocześnie napawała mnie niejasną podejrzliwością.

- Chodź tutaj. - Robert skinął na młodszego towarzysza, a gdy ten zbliżył się z nieśmiałą miną, powiedział: - To jest mój syn, Bobby. Poznaj Stacy, o której tak wiele słyszeliśmy.

Kiedy uścisnęliśmy sobie z Bobbym ręce, Robert znów na mnie spojrzął i wtedy dostrzegłam coś dziwnego w jego prawym oku. Na tęczówce widniała plamka, jakby zabarwiająca ją niepewna ręka malarza zadrżała i pozostawiła milimetrowy punkt w jaśniejszym brązowym odcieniu niż reszta. Ta skaza dodawała Robertowi uroku.

- Bardzo się cieszymy, że udało ci się przyjechać z tak daleka. Chcę zobaczyć, jak sprawisz Eloise lanie na korcie. - Klepnął Eloise po pupie, a ona się do niego uśmiechnęła. Potem nisko jej się skłonił. Ona ujęła w dłoń jego głowę i przeczesła palcami włosy. Robert miał ogorzałą, męską twarz. Każda kobieta, widząc go w tle fotografii z wakacji przyjaciółki, zapytałaby, kto to taki.

Wyprostował się i energicznie zamachnął się rakieta.

- Bobby i ja ciągle z nią przegrywamy, i już nam się to nudziło. Właśnie dlatego idziemy trochę poćwiczyć.

- Nie wygrywam z wami tak często - zaprotestowała Eloise z takim samym nieśmiałym wyrazem twarzy, jaki miał przed chwilą Bobby, stojący teraz w cieniu ojca. - On naprawdę dobrze gra, Stacy. Po prostu parę razy miałam szczęście.

Przypominałam sobie, jak dawałam jej lekcje i jej komiczną niezdolność do przerwania piłki przez siatkę. Od kiedy to Eloise jest w stanie pokonać w tenisa kogokolwiek, nie mówiąc już o atletycznie zbudowanym mężczyźnie? Zastanawiałam się, czy nie pomyliłam domu i osoby. Może to

nie jest Eloise, tylko jakaś obca kobieta, która się pod nią podszywa?

- Pozwalasz mi czasem wygrywać, kocie, i nie myśl sobie, że o tym nie wiem. - Robert spojrział na przyszłą żonę z czułością i znowu poczułam ukłucie zazdrości. Dawno już żaden mężczyzna tak na mnie nie patrzył. - Pewnie dziewczyny mają sobie wiele do opowiedzenia. Chodź, Bobby. Zostawmy je w spokoju.

- Chyba wszystko w tym domu zmieniłaś, prawda? - zapytałam, kiedy zamknęły się za nimi drzwi i usłyszałam chrzęst butów na pokrytym śniegiem podjeździe.

- Prawie. Deborah! - zawołała w stronę kuchni. - Możesz zaparzyć nam kawy? Chyba że wolisz drinka, Stacy?

- Wystarczy mi kawa. - Ruszyłam za nią do salonu, już przygotowana na widok nowych mebli, abstrakcyjnych nowoczesnych obrazów i na wykwintną, radosną atmosferę wnętrza. Wszystko do siebie pasowało, uderzało pięknem i elegancją. Tak jak Eloise. Nawet Deborah, która wniosła tacę z kawą i ciasteczkami, wyglądała zbyt elegancko jak na pokojówkę.

- Dziękuję, Deborah.

Dziewczyna wyszła, a Eloise zwróciła się do mnie. Podniosła rękę, chwyciła kosmyk włosów i zaczęła go skręcać, ale zaraz się opanowała. Ten gest mi przypomniał, jak bardzo jest krucha i wrażliwa.

- No i jak ci się podoba? - zapytała.

- Niech no się zastanowię. - Rozparłam się wygodniej w wiklinowym fotelu i spojrzałam przez okno o małych szybkach na plażę i ocean. - Przemeblowanie domu wyszło ci wspaniale. - Kątem oka widziałam po prawej siedzącą na kanapie Eloise. Wpatrywała się w filiżankę z kawą. Była rozczarowana i wiedziałam, dlaczego. Chciała, żebym się wypowiedziała na temat Roberta, a nie domu. - Powiedz mi, dlaczego nigdy do mnie nie zadzwoniłaś. Przyjaźniłyśmy się, ale po tych dwóch listach nie dostałam od ciebie żadnej wiadomości, aż do tej pory. Dlaczego?

- Nie znajduję odpowiedzi.

Byłam zadowolona, że nie odwzajemniła mi się tym samym i nie zapytała, dlaczego ja się z nią nie skontaktowałam.

- Chyba wielu rzeczy się wstydziłam - wyjaśniła Eloise. - Nigdy nie pracowałam, nie skorzystałam z wiedzy nabytej na studiach, niewiele robiłam, tylko włóczyłam się bez celu i wydawałam pieniądze po rodzicach. Nie chciałam się do tego przed tobą przyznać. Czułam się głupio.

- Wobec mnie nie powinnaś czuć się głupio.

- Naprawdę? - Wstała, podeszła do okna i odwróciła się do mnie plecami. Zauważyłam wilgotne ślady, jakie śnieg zostawił na jej butach. - W college'u często czułam się przy tobie głupio. Przecież nie miałam żadnych innych przyjaciółek ani chłopaka, nic nie robiłam ze swoim wyglądem. Chyba chciałam skontaktować się z tobą dopiero wtedy, kiedy będę ci się miała czym pochwalić.

- Na przykład Robertem?

Odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. Zasłaniała mi ocean, ale jej twarz stanowiła równie fascynujący widok.

- Właśnie. Ale nie chodzi o samego Roberta, tylko o Roberta i o mnie. O to, co dla mnie zrobił. O naszą miłość. Wiem, że to brzmi ckliwie i staromodnie, ale dzięki niej moje życie nabrało sensu i jestem z niej dumna.

- Dlaczego tak bardzo chcesz pokazać to akurat mnie? Nie widziałyśmy się od piętnastu lat. Już myślałam, że o mnie zapomniałaś.

- A czy ty o mnie zapomniłaś? - zapytała tonem pełnym rozczarowania.

- Nie. Jak bym mogła? Myślałam o tobie za każdym razem, kiedy widziałam jakąś cholerną lilię. - Wskazałam na wielki wazon w rogu pokoju, a Eloise wybuchnęła śmiechem.

- Chciałam, żebyś przyjechała, bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką, zawsze byłaś. W dodatku jesteś jedyną przyjaciółką, której nie obchodzą moje pieniądze. Och, wiem, że bardzo lubiłaś z nich korzystać, lubiłaś je ze mną wydawać na teatr, operę, restauracje i tak dalej. - Odwróciłam wzrok. - Nigdy mi to nie przeszkadzało. Jednak nie miałaś w oczach tego błysku chciwości, wyrazu oczekiwania. Robert nazywa

to spojrzeniem psa służącego na dwóch łapkach. Nie tylko odrzuceni kochankowie miewają takie spojrzenie. Kobiety również. Przekonałam się o tym. Wiele znajomych, które chciały uchodzić za moje przyjaciółki, starało mi się jakoś dać do zrozumienia, że oczekują ode mnie finansowego wsparcia. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby poprosiły mnie wprost. Ale chciały być takie dyskretne, że to się stawało wręcz śmieszne. W ich oczach widać było ten charakterystyczny wyraz. Nie muszę chyba dodawać, że Robert nigdy tak na mnie nie patrzy.

- Cieszę się - odparłam, i mówiłam prawdę. Mogłam zażdrościć Eloise wspaniałego związku i bajecznej metamorfozy, ale nie zniósłabym myśli, że oszukuje ją i wykorzystuje jakiś żigolak. - Czy Robert jest również nieprzytomnie bogaty, czy po prostu nie dba o pieniądze? - Widziałam go tylko przez krótką chwilę i sądząc po wyglądzie mogłam go równie dobrze uznać za prezesa zarządu, astronautę, jak i obdarzonego wyjątkowym urokiem kierowcę ciężarówki lub dziedzica wielkiej fortuny.

- Roberta nie obchodzą pieniądze. Chociaż właściwie obchodzą, lubi je, ale nie są najważniejsze. W naszym związku nie mają wielkiego znaczenia. W zasadzie jest bardzo podobny do ciebie.

- Mam nadzieję, że nie jest równie biedny.

- Już nie. - Eloise potrząsnęła głową i obie się roześmiałyśmy. - Może teraz trochę odpoczniesz? Umieściłam cię w twoim dawnym pokoju. Wieczorem Robert zaprasza nas do restauracji, a o planach na jutro opowiem ci potem. Jesteś moim świadkiem, a Bobby drużbą Roberta. Ślub będzie cichy, więc niczym się nie przejmuj.

Walizka czekała na mnie w pokoju. Z przyjemnością spostrzegłam, że Eloise nic w nim nie zmieniła. I miała rację, ponieważ w całym domu, umeblowanym kiedyś przez ogarniętego maniackalną miłością do antyków ojca, tylko to jedno pomieszczenie było ładne. Wyciągnęłam się na łożu z baldachimem, zmęczona nowymi wrażeniami i zmianą strefy czasowej.

Przypomniałam sobie Roberta, tak doskonale ubranego i swobodnego. Czy był tak szczery i bezpośredni, jak się wydawał? Niewątpliwie wyglądał na kochającego, troskliwego narzeczonego, i z pewnością udało mu się w cudowny sposób odmienić Eloise. Byłam bowiem pewna, że przemiana mojej przyjaciółki w eleganckiego różowego motyla dokonała się za jego sprawą. Tylko mężczyzna, tylko miłość mają taki wpływ na kobietę. Jeśli tak bardzo pomógł jej w życiu, a widać było jasno, że to zrobił, dlaczego ogarniały mnie wątpliwości? Nie oceniałam go sprawiedliwie. Powróciła moja dawna skłonność do szukania dziury w całym. Doszłam do wniosku, że taka skłonność nie przystoi przyjaciółce, i natychmiast zasnęłam.



1970-1973

Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, przynajmniej przez pierwsze trzy lata nauki w college'u. Razem wychodziłyśmy, śmiałyśmy się, dyskutowałyśmy o książkach i operach, otwarcie chlipywałyśmy na starych filmach, a raz obejrzałyśmy pod rząd cztery seanse Cudownego życia. W erze hipisów mogłyśmy uchodzić za anomalie. Obie miałyśmy sympatie liberalne, ale nie byłyśmy gotowe na zaangażowanie się w działalność polityczną na uczelni. Dostosowałyśmy się do rówieśników jedynie pod względem stroju. Prawdę mówiąc, Eloise nie zrobiła nawet tego, ponieważ ubierała się beznaście. Obca jej była wszelka próżność.

Podczas strajku studenckiego w siedemdziesiątym pierwszym roku obserwowałyśmy, jak grupa studentów zabarykadowała się w sali wykładowej, skandując „Drugi, czwarty, szósty, ósmy, pamiętamy sześćdziesiąty ósmy”. Widziałyśmy, jak jakaś biedna dziewczyna usiłowała przedostać się na drugą stronę barykady, a pewien rozwścieczony radykał ugryzł ją w ramię.

- O, rany! - zawołała Eloise. Zraniona dziewczyna wycofała się. - To wiele mówi.

Przeczytałyśmy listę stu sześćdziesięciu siedmiu nie podlegających negocjacji żądań, którą sporządzili protestujący. Była tak idiotyczna, że uśmiełyśmy się do łez. Napisano ją bez ładu i składu - nawoływania do zakończenia wojny w

Wietnamie sąsiadowały z żądaniem zniesienia wszelkich wymagań dotyczących toku studiów. Poważne sprawy polityczne mieszały się z walką o darmową dolewkę kawy w studentkim barku.

- Jeśli tyle jest żądań nie podlegających negocjacom, to ile jest takich, o których są jeszcze skłonni dyskutować? - zapytałam, kiedy pewnego wiosennego dnia siedziałyśmy na schodach na dziedzińcu uniwersyteckim i spoglądałyśmy na Bibliotekę Butlera.

- W końcu i tak zawsze chodzi o pieniądze. Kiedy oni wreszcie to zrozumieją? - zadumała się Eloise. - Politycy się nie liczą. Są ludzie, którzy na wojnie wietnamskiej zarabiają wielkie pieniądze. Nic ich nie obchodzi, czy rządzą tam komuniści, chcą tylko nadal produkować broń i na niej zarabiać. To oni mają władzę. Ta wojna być może ma się ku końcowi, ale międzynarodowe korporacje znajdą inne wojny albo wyprodukują tyle broni, że następny konflikt stanie się nieuchronny. Wszystko to brzmi jak kiepski żart.

- Może powinnaś przekazać swoje pieniądze jakiejś fundacji pokojowej.

- Może. - Odchyliła się w tył i zagryzła dolną wargę. Dziedziniec przed nami roił się od studentów, śpieszących na wykłady lub wracających z nich.

- Ho Ho Ho Szi Min! - wykrzykiwał długowłosy chłopak.

Eloise przyglądała mu się, dopóki nie zniknął, odchodząc w kierunku Amsterdam Avenue.

- Z drugiej strony, może jednak nie powinnam tego robić. Co by było, gdyby moje pieniądze trafiły do rąk jakiegoś sfrustrowanego krzykacza, takiego jak ten? Chodź, poszukamy czegoś, czego pieniądze nie mogą zepsuć.

Poszłyśmy na Broadway, zatrzymałyśmy taksówkę i pojechałyśmy do Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Unikałyśmy marszów, demonstracji i narkotyków.

- Wystarczy, że mam kłopot z poziomem insuliny - powie działa Eloise, kiedy wieczorem wróciłyśmy do akademika i otoczyła nas woń palonych skrętów. - Zazdroszczę tym, którzy

mogą eksperymentować z narkotykami. To jedyna rzecz, na którą nie mogę sobie pozwolić.

Ja również unikałam narkotyków. Nie dlatego, żebym wiedziała, że palenie trawki zawsze prowadzi do nałogu i do heroiny, ale jeśli w moim przypadku okazałoby się to prawdą? Wiedziałam, że mam charakter nałogowca. Paliłam papierosy, mimo wszystkich ostrzeżeń o zagrożeniu dla zdrowia, i bardzo je lubiłam. Codziennie wypijałam nie mniej niż dziesięć filiżanek kawy. Mogło się okazać, że polubiłabym trawkę, LSD, meskalinę i każdy inny dostępny narkotyk. Nie zamierałam tego sprawdzać.

W każdym razie Eloise i ja odstawaliśmy od ogótu. Słuchałyśmy muzyki klasycznej, a nie Grateful Dead, tak często, jak tylko możliwe, odwiedzałyśmy East Side i z boku przyglądałyśmy się wydarzeniom lat siedemdziesiątych.

Nie tylko nie brałyśmy udziału w marszach na Waszyngton, unikałyśmy poszerzających horyzonty myślowe eksperymentów z LSD, wyśmiewałyśmy się z życia w komunach, ale również pozwoliłyśmy, żeby ominęła nas rewolucja seksualna. Nie sypiałyśmy z kim popadnie. Umawiałam się z kilkoma poznanymi na zajęciach chłopcami, ale widziałam w nich właśnie tylko chłopców. W głowie mieli tylko trawkę i muzykę Erica Claptona. Chociaż mówiono, że nasze pokolenie jest pełne rewolucyjnej energii, oni byli wyjątkowo ospali i pochłonięci wyłącznie sobą.

Na drugim roku na krótko beznadziejnie się zadurzyłam w Danielu Sternie. Prowadził z nami zajęcia ze współczesnej cywilizacji, która była przedmiotem obowiązkowym. Sam był studentem na kursie podyplomowym, kończył pisać pracę doktorską i jednocześnie uczył, z wielkim zapałem, inteligentnie i z poczuciem humoru. Wyglądem bardzo przypominał Stalina - niski z grzywą ciemnych zaczesanych do tyłu włosów i z ciemnymi oczyma o groźnym spojrzeniu. Wyglądał na człowieka znającego życie, mówił twardo i konkretnie, zupełnie inaczej niż inni nauczyciele akademicy. W swoich fantazjach widziałam go jako szpiega KGB, terrorystę lub członka mafii. Kojarzył mi się z sekretnymi operacjami i

niebezpieczeństwem. Na zwykłego nauczyciela był zbyt tajemniczy. On jedyny spośród znanych mi wykładowców nie pozwalał studentom na ukończenie kursu, który prowadził, bez spełnienia wszystkich stawianych przez niego wymagań.

- Niektórzy z was będą mi opowiadali jakieś bzdury, jak to nie są w stanie napisać pracy semestralnej - oznajmił na pierwszych zajęciach. - Więc od razu was uprzedzam, że jeśli ktoś nie napisze pracy, obleję go. Trudno i darmo.

Spodziewałam się protestów, ale studenci w milczeniu zaakceptowali to ultimatum. Któregoś dnia, pałac kolejnego Pall Malla bez filtra, powiedział:

- Pamiętajcie, zawsze kiedy grupa ludzi unosi ręce, oznacza to kłopoty. Nieważne, czy jest to żołnierski salut, faszystowskie pozdrowienie Heil Hitler, znak pokoju pokazywany przez grupę hipisów, czy są to wymachujący ramionami kibice hokejowi. Wtedy zawsze budzi się grupowa mentalność, a ludzie zmieniają się w zdolny do linczu tłum. Jednostka wyrzeka się indywidualności dla poczucia siły wynikającej z przynależności do grupy. Kłopoty.

Siedziałam na końcu sali, obserwowałam każdy jego ruch, robiłam dokładne notatki i starałam się wymyślić jakieś frapujące pytanie, które zadałabym mu po zajęciach. Jednak on zawsze szybko wychodził, kiedy tylko zakończył wykład. Eloise nie mogła się nadziwić, że tak pilnie pracuję nad tym przedmiotem.

Pod koniec semestru wyświetlił nam Triumf woli, faszystowski film propagandowy.

- Chociaż znacie całe zło, jakie wyrządził faszyzm, będziecie zaskoczeni siłą oddziaływania tego filmu - uprzedził. - Niektórych z was poruszy wymowa obrazu lub muzyka. Czasami propaganda oddziałuje równie skutecznie, jak broń.

Kiedy zapaliły się światła, chcieliśmy wyjść z sali, ale nas zatrzymał.

- Zanim pójdziecie, zadam wam pracę domową - oznajmił. - Napiszcie mi na jutro opowiadanie. Wszystko jedno, jakie.

Rozśmieszcie mnie, zasmućcie, sami się przy tym zabawcie. Nie wliczę tego do ogólnej oceny, ale oczekuję, że wszyscy wykonają to polecenie.

Tego dnia opuściłam pozostałe zajęcia i poszłam do kawiarni Wiedeńskiej na Amsterdam Avenue. Była to obdrapana suterena, w której obsługiwały stare kelnerki o trzęsących się rękach, z wiecznie rozmazaną szminką na ustach. Bardzo lubiłam tam chodzić, ponieważ pozwalały mi przesiadywać tam godzinami nad szklanką ich specjalności - mrożonej kawy z kostkami lodu i kawowymi lodami pływającymi na wierzchu. Uczyłam się tam, wypalając przy tym paczki papierosów. Bardzo chciałam rozbawić Daniela Sterne'a. Kilka razy rozpoczynałam opowiadanie, ale każdą wersję darłam na strzępy. W końcu postanowiłam opisać losy bandyty napadającego na banki, który rabuje wielkie sumy pieniędzy, ale wciąż jest sfrustrowany i niepewny, czy naprawdę istnieje, ponieważ żaden z jego wyczynów nie trafia na łamy gazet ani do telewizji. W pewnej chwili podniosłam wzrok znad kartki i zobaczyłam Sterne'a. Siedział przy stoliku po prawej, w towarzystwie znanego profesora literatury angielskiej. Skończyli pić kawę i ruszyli do wyjścia.

- Mam nadzieję, że to dla mnie - powiedział, zaglądając mi z uśmiechem przez ramię. Byłam pewna, że wiedział, jak bardzo podoba mi się jego uśmiech.

Następnego dnia, kiedy oddawaliśmy prace, powiedział:

- Dziękuję wam. Jak wiecie, te opowiadania są tylko dla mnie. Nie będę ich oceniał ani wam zwracał. To będzie moja pamiątka po tej grupie.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Nie tylko nie usłyszę jego opinii, ale w dodatku zostałam po prostu jedną z wielu studentek w kolejnej grupie, którą uczył. Jednak tydzień później Sterne wpadł do kawiarni, gdzie akurat siedziałam między wykładami. Odsunął krzesło naprzeciw mnie, odwrócił je tyłem do przodu i usiadł, obejmując ramionami oparcie.

- Wiesz, to było wspaniałe opowiadanie.

Chyba nigdy w życiu tak się nie cieszyłam, nawet wtedy, gdy przyjęto mnie do Barnard.

- Podczas weekendu przeczytałem je przyjaciółom - oznajmił. - Zachwycili się.

- Dzięki - odparłam. Chciałam go poprosić, żeby uciekł ze mną na koniec świata, na Karaiby, na Alaskę, do Paryża, gdziekolwiek. Tylko my dwoje.

Przezesął palcami ciemne włosy, potrząsnął paczką Pall Malli, pochylił się i wyjął papierosa ustami. Dla mnie był to najbardziej uroczy gest, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Czy mogłabyś... - Urwał, zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

- Słucham?

- Czy mogłabyś dać mi łyk swojej kawy?

Byłam pewna, że nie o to chciał zapytać. Tak mi się przynajmniej wydawało. Chciał się ze mną umówić.

- Proszę bardzo.

- Dzięki. - Szybko pociągnął łyk i wstał. - Bardzo dobrze ci idzie na moim kursie, Stacy.

- Dziękuję. Ja... - Ale jego już nie było. Odszedł tak szybko, jak zawsze po zakończeniu wykładu.

Przez następne pół roku często odwiedzałam tę kawiarnię, ale nigdy więcej go tam nie widziałam. Zdawało mi się, że przez resztę semestru na zajęciach często odszukiwał mnie wzrokiem w ostatnim rzędzie i wygłaszał wykład specjalnie dla mnie. Wkrótce jednak doszłam do wniosku, że wtedy chciał się naprawdę tylko napić mojej kawy. Czasami mijaliśmy się na terenie uczelni. Uśmiechał się do mnie tym zniewalającym uśmiechem i mijał bez słowa. Z cywilizacji współczesnej dostałam piątkę, ale wołałabym, żeby się ze mną umówił.

Eloise pasjonowała się moim zauroczeniem; nawet chodziła ze mną do Wiedeńskiej, kiedy czyhałam tam na Sterne'a. Za każdym razem, gdy drzwi się otwierały, pytała szeptem, czy to on, tak że nawet mnie znudziła ta moja obsesja.

- Chciałabym, żeby któryś z moich wykładowców był w stanie wzbudzić we mnie takie uczucie. - Eloise wzdychała. - Tak bardzo chciałabym się zakochać, choćby bez wzajemności.

- To okropne - ostrzegałam ją. - Do nowego roku muszę z

tym skończyć. Nie potrafię wyrzec się papierosów, ale wyrzeknę się Daniela Sterne'a.

Eloise niezbyt często umawiała się na randki. Wracła z nich z przygnębiającą miną.

- Wszyscy chłopcy oczekują, że już na pierwszej randce pójdę z nimi do łóżka, a kiedy odmawiam, mówią, że jestem oziębła. Przecież widzę, że nawet im się nie podobam. Jestem dla nich kolejną dziewczyną do zaliczenia. Kiedy się zakocham, to prawdziwym uczuciem. Na to mogę czekać bardzo długo.

Żadnemu z umawiających się z nią chłopaków nie zdradziła, że jest bogata.

W siedemdziesiątym trzecim, kiedy byłyśmy na przedostatnim roku studiów, wojna w Wietnamie nie stanowiła już najważniejszego problemu. Stała się nim afera Watergate. A bieganie nago stało się najmodniejszą formą protestu i zastąpiło demonstracje.

- Jeśli nie możesz zmienić świata, to zrzuć ciuchy i biegaj po ulicy - żartowała Eloise, kiedy patrzyłyśmy na kolejnego golasa pędzącego Broadwayem. - To z pewnością poruszy prezesa IBM, doprowadzi do upadku apartheidu w Afryce Południowej i przyniesie dobrobyt w Harlemie.

Siedziałyśmy na naszym stałym miejscu, na schodach dziedzińca uniwersyteckiego. Trzymałam przed sobą dwa papierowe kubki z kawą, a na kolanach miałam paczkę papierosów. Eloise rozcierała kostkę, którą przed chwilą wykrcięła.

- Ale jednak wojna się zakończyła - odparłam. - I studenci mają w tym swój znaczny udział. Czasami czuję się winna, że trzymam się z boku. Jakbym nie brała udziału w historycznych wydarzeniach. Teraz możemy wyśmiewać się z tego biegania nago, ale te wszystkie demonstracje coś osiągnęły, a my tymczasem oglądałyśmy filmy z Carym Grantem.

- Stacy, proszę. I tak już czuję się winna. Wiem, że powinnam wierzyć w pokój, miłość i siłę kwiatów, ale nie potrafię. Mój cynizm w podejściu do polityki jest równie wielki jak romantyzm, z jakim myślę o miłości. Tak, wojna się skończyła. Żaden z tych chłopaków już się nie boi, że wylosują jego numer i wyślą go na śmierć gdzieś do wietnamskiej dżungli.

Więc co teraz robią? Biegają nago. Bezpośrednie zagrożenie już nie istnieje, można się trochę zabawić; wysilić się na jakiś symboliczny gest dla rozwiązania innych światowych problemów. To wszystko. Wkrótce ci buntownicy znajdą pracę i zaczną zarabiać. Kiedy tylko zobaczą na swoim koncie większe sumy, zaraz przyjdzie im do głowy, że miło by było mieć letni dom na wsi. Najlepiej z basenem, bo przecież, jak wszyscy wiemy, w lecie jest tak upalnie, że nie sposób myśleć. A dzieci oczywiście powinny chodzić do prywatnych szkół, żeby zdobyć solidne wykształcenie. Wkrótce buntownicy zamienią się w burżuazyjne świny, których kiedyś tak nienawidzili. Pieniądze są zdradliwe. Tata mi mówił, że w młodości był komunistą. Może właśnie dlatego nigdy nie traktowałam takich ludzi poważnie. Chętnie z nimi porozmawiam, kiedy skończą czterdziestkę. Wtedy uważnie wysłucham, co będą mieli mi do powiedzenia.

Ze strzępów informacji, które czasem wyrывały się Eloise, wynioskowałam, że jej tata ma willę na południu Francji, mieszkanie w Londynie, apartament w Paryżu, kamienicę na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej i rezydencję na Cape Cod.

Kiedy dochodziło do rozmów o przeszłości, Eloise tak zrećnię wykręcała się od odpowiedzi jak Richard Nixon. Znałyśmy się już trzy lata, a ona pod wieloma względami stanowiła dla mnie taką samą zagadkę, jak na początku studiów. Była tak domyślna, że czasami mnie to przerażało. Wyrывała słowa i całe zdania z moich myśli, zanim zdążyłam wypowiedzieć je głośno. Wykazywała się inteligencją i poczuciem humoru, również wobec siebie. Potrafiła też być ponura i rozdrażniona. Niekiedy popadała w depresję, a wtedy kuliła się w sobie i ramiona opadały jej jeszcze bardziej niż zwykle. W myślach nazywałam taki stan przyjaciółki „dołkiem”. Zwykle nie trwał długo. Przy niewielkim wysiłku z mojej strony dość łatwo się z niego wydobywała.

Przez te wszystkie lata nasze rozmowy toczyły się łatwym do przewidzenia torem. Ja na każdy temat otwierałam przed

nią serce i duszę, ona słuchała uważnie, od czasu do czasu przerywając mi jakąś cierpką uwagą. Mówiła o sobie tylko wtedy, kiedy mocno ją naciskałam. Wyrzucała z siebie słowa w krótkich dziwnych wybuchach.

- Nie męczycię, że ja tak ciągle gadam, Eloise? Nie chciałabyś czasami porozmawiać o tym, czego ty oczekujesz od życia?

- Raczej nie - odparła. Siedziałyśmy w studenckim barku, posilając się pączkami i kawą podczas przerw)' między zajęciami.

Chociaż lubiłam mówić o sobie, jej milczenie i niezdolność do podzielenia się własnymi problemami sprawiły, że poczułam się oszukana. Eloise szczerze wydawała na mnie pieniądze, ale nie chciała mi dać nic z siebie samej. Po raz pierwszy czułam się przy niej niezręcznie - jakby mi płaciła za towarzystwo i oczekiwała występów,

- W porządku. W takim razie nie musisz ze mną rozmawiać. Zachowaj wszystkie sekrety dla siebie. - Zapaliłam papierosa i wpatrzona w roześmianą grupę studentów przy sąsiednim stoliku, wydmuchiwałam kłęby dymu.

Eloise milczała.

- Jesteś na mnie zła? - odezwała się w końcu, kiedy zdusiłam niedopałek i natychmiast zapaliłam nowego papierosa.

- Może ty mi to powiesz. Przecież wiesz o mnie wszystko. Wiesz nawet, co myślę, a sama jesteś nieodgadniona jak Sfinks. Nie, raczej jak Orson Welles w Obywatelu Kane. Ciekawe, czy po twojej śmierci znajdą gdzieś jakieś sanki z różyczką, które będą kluczem do twojego wewnętrznego życia. O twojej przeszłości wiem tylko tyle, że matka ci umarła, kiedy miałś trzy lata. A co z ojcem? Czy on też nie żyje? Dlaczego wciąż unikasz tego tematu? Nie ufasz mi? To mi ubliża. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

- Nie złość się na mnie, proszę. Nienawidzę tego. - Eloise przygarbiła się. Skręcała kosmyk włosów i przesuwiała po talerzu nie dojedzony kawałek pączka z marmoladą. - Nie mam wiele do powiedzenia. Ojciec jest bardzo bogaty, matka była bogata. więc jak łatwo wywnioskować, ja też jestem bogata.

Kiedyś tata poświęcał mi wiele uwagi, zabierał mnie do restauracji, galerii, wszędzie. Ale kiedy skończyłam trzynaście lat, przestał ze mną spędzać tyle czasu. Przedtem także wiele podróżował, ale zawsze mnie odwiedzał. Był przy mnie, kiedy go potrzebowałam. To się nagle zmieniło. Przyjeżdżał na święta i moje urodziny, czasami pojawiał się w dniu swoich urodzin, i to wszystko. W dodatku posłał mnie do szkoły z internatem. Kiedyś nazywał mnie swoją najlepszą przyjaciółką. Potem z najlepszej przyjaciółki zmieniłam się w znajomą. Tak to chyba można określić. Bolało mnie to i nigdy nie rozumiałam, dlaczego tak postępuje. - Milczałam. - Wiem, co sobie myślisz, Stace. Nie, tata się w nikim nie zakochał. To samotnik. Od śmierci mojej mamy nie związał się z nikim na dłużej. Między innymi dlatego nie umiałam sobie tego wszystkiego wytłumaczyć.

- Twoja matka nie żyła, a ojciec był stale nieobecny. Kto w takim razie się tobą opiekował?

- Bardzo miła gospodyni. Pamiętaj, że uczyłam się w szkole z internatem, więc w domu spędzałam jedynie wakacje. Najgorsze, że ojciec zmienił swój stosunek do mnie w bardzo niedobrym momencie. Byłam nastolatką i w moim ciele zachodziły procesy, których nie rozumiałam. Nie mogłam o nie zapytać gospodyni, bo była za stara i nie śmiałam tego zrobić. Pierwszą miesiączkę dostałam w szkole, tuż po lekcji francuskiego. Pamiętam, że powiedziałam swojej współlokatorce, że leci ze mnie krew, a ona rzuciła mi pudełko tamponów. Zamknęłam się z nim w toalecie i studiowałam instrukcję użycia. Zupełnie nie miałam pojęcia, co robić. Dopiero po trzech godzinach w tym ciasnym pomieszczeniu udało mi się zrozumieć, gdzie i jak należy włożyć tampon. Zalewałam się łzami. Opuściłam dwie lekcje i musiałam wymyślić jakieś żałosne usprawiedliwienie. Mam wiele takich wstydliwych wspomnień. Pewnego dnia na gimnastyce jakaś dziewczyna spojrzała na mnie i powiedziała, że powinnam ogolić nogi. Mnie samej nigdy nie przyszło to do głowy. Chcę ci po prostu powiedzieć, że nie byłam szczęśliwą nastolatką.

- Ale twój ojciec powinien o to zadbać. Dlaczego ci nie pomógł? Dlaczego tak cię zaniedbywał?

- To nie było zaniedbanie. Po prostu o tym nie pomyślał. Co roku w dzień moich urodzin odwiedzał mnie w szkole i zabierał na uroczystą kolację. Spędziliśmy wiele miłych świąt Bożego Narodzenia. Tata był bardzo zajęty. Nadal jest. Po prostu martwiło mnie, że nie jestem już jego najlepszą przyjaciółką. Pisywałam do niego wiele listów, a on na niektóre odpowiadał. Nie całkiem o mnie zapomniał. Odsunął, to wszystko. Zresztą, który ojciec ma ochotę zajmować się nastoletnią córką.

Bardzo wielu. Tego jej jednak nie powiedziałam. Wzięłam ją za rękę.

- Tak mi przykro.

Wyrwała dłoń z uścisku.

- Właśnie z powodu takich komentarzy nie chcę o tym rozmawiać. - Eloise ogarnął gniew. Wyrzuciła się.

- Nie wolno ci współczuć?

- Nie. - Z wściekłością potrząsnęła głową. - No dobrze, przynajmniej, że to wszystko mnie martwi. Ale jeśli czasami nie jestem szczęśliwa, to bardzo dobrze. Muszę wyrównać rachunki.

- Jakie rachunki? Eloise... - Spojrzałam na nią zaskoczona. Rano obciąła sobie grzywkę, co w ogóle nie poprawiło jej wyglądu. Włosy nad czołem nadal były zbyt długie i nierówne. Miała na sobie ciemnozielone spodnie, o dwa numery za duże, i ciemnozieloną bawełnianą koszulkę, również o wiele za obszerną. Trudno też było nie zauważyć, że każda skarpetka pochodzi z innej pary. Jedna, wełniana, w kratę, sięgała do kostki, druga, z bawełny, aż do kolana.

- Cięży na mnie przekleństwo - wymamrotała Eloise.

- O, Chryste! - krzyknęłam, aż siedzący obok studenci odwrócili głowy i spojrzeli na nas z ciekawością. - Co ty opowiadasz! Wierzysz w czarną magię? To najdziwaczniejsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałaś.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz - odparła smutno. - Właśnie dlatego nie lubię o tym rozmawiać. Po prostu wiem, że w

życiu przydarzy mi się coś strasznego. Muszę zapłacić, żeby rachunki się wyrównały.

- Za co masz płacić? Czy to jakaś grecka tragedia? Ty chyba nie rozumiesz, że coś strasznego już ci się przydarzyło. Dostałaś swoją porcję nieszczęść. Umarła ci matka, ojciec cię zaniedbał. Nie wierzę, że „po prostu o tym nie pomyślał”. Masz cukrzycę. Spłaciłaś wszystkie należności. Nie będę udawała, że wiem, o co ci właściwie chodzi, ale te rachunki, o których mówisz, już dawno zostały wyrównane. Los nie jest aż tak okrutny. No, może dla rodziny Kennedych, ale przecież ty nie chcesz zostać przywódcą świata, prawda? Chcesz uczyć fizyki. Bogowie nie mogą cię za to karać.

- Może nie. Może masz rację. - Gwałtownie wstała z miejsca, wzięła książki i zacisnęła je w objęciach. - Jak myślisz, czy ktoś kiedyś się we mnie zakocha?

Od dawna czułam się jak starsza siostra Eloise, ale po tym pytaniu poczułam się jak jej matka.

- Jasne, że kiedyś ktoś się w tobie zakocha. Wyjdiesz za męża, urodzisz dzieci, nauczysz je fizyki kwantowej, i wszyscy będziecie żyli długo i szczęśliwie. Wiesz, chyba obejrzałaś zbyt dużo oper. Ten twój pomysł, że ciąży na tobie klątwa, jest bardzo tajemniczy i romantyczny, ale to kompletna bzdura. Masz rację. Nie rozumiem tego i nigdy nie zrozumie, ponieważ to najgłupsze, co kiedykolwiek słyszałam. Teraz musisz już iść na wykład, żeby ci wbili do głowy trochę rozsądku. Ja dzisiaj oddaję pracę o Leninie. Jest taka kiepska, że to ja chyba zostanę przeklęta na wieki - przez bogów komunizmu.

Roześmiała się.

- Zawsze udaje ci się mnie rozśmieszyć, kiedy popadam w ponury nastrój - powiedziała.

- No, przecież ktoś musi to robić!



6 grudnia 1989

Po przebudzeniu zobaczyłam na stojącym przy łóżku zegarze, że jest siódma wieczór. Kiedy odsypiałam znużenie wywołane lotem i zmianą strefy czasu, na dom opadła zimowa noc. Wzięłam kąpiel, ubrałam się i przygotowałam do czekającego mnie wieczoru. Oczekiwałam, że pojawią się kolejni goście - pod drzwiami podjedzie sznur limuzyn i wysiądą z nich bogaci mężczyźni i piękne kobiety, zaproszeni na ślubne uroczystości. Zeszłam do salonu i ze zdziwieniem zobaczyłam tam tylko Eloise, Roberta i Bobby'ego, popijających szampa. Robert natychmiast zerwał się na równe nogi, napełnił kieliszek i mi podał.

- Trochę wieczornej muzyki, Stacy - powiedział. - Szampan jest nie tylko musujący, ale również bardzo muzykalny. Posłuchaj. - Podsunął kieliszek do mojego ucha, jakby to była szumiąca muszla. Rzeczywiście, musujące bąbelki wydawały bardzo melodyjne dźwięki. Nigdy dotąd tego nie zauważyłam.

Robert spostrzegł mój uśmiech i również się uśmiechnął. Oboje popatrzyliśmy na Eloise. Zamieniła różowy strój na spódnicę z brązowego zamszu i jedwabną perłowobiałą bluzkę z długimi rękawami i stójką. Jej oczu nie ukrywała już grzywka i wreszcie, po tak wielu latach, mogłam je zobaczyć; były prześliczne, w kolorze roztopionej czekolady. Zawsze

wiedziałam, że Eloise mogłaby wyglądać ładnie, ale nie przypuszczałam, że aż tak pięknie. Zobaczyłam ciepłą, otwartą, seksowną kobietę. Każdy, kto widziałby ją pierwszy raz, stwierdziłby, że jest ładna: drobna, o okrągłej twarzy, starannie umalowana i dobrze ubrana. Mnie wydała się gwiazdą filmową, tak bardzo różniła się od dawnej Eloise.

- Czy dzisiejszy wieczór spędzimy we własnym gronie, czy jeszcze ktoś się zjawi? Może Johnny Carson albo Robert Redford?

- Przykro mi, Stace, ale przez cały weekend będzie nas tylko czworo - odparła Eloise.

- Nie wystarczy ci? - Robert miał na sobie białe lniane spodnie, błękitną koszulę od Brooks Brothers i granatową marynarkę, najprawdopodobniej kaszmirową. Kiedy nie stał obok syna, wydawał się wysoki. Emanował pewnością siebie. Wyglądał na jakieś czterdzieści kilka lat. Doszłam do wniosku, że nie jest kierowcą ciężarówki ani dziedzicem fortuny, może raczej kosmonautą, ze względu na postawną sylwetkę i szerokie ramiona. Nie wykluczyłam też admirała marynarki wojennej. Z pewnością w mundurze byłoby mu świetnie. Od razu spostrzegłam, że to urodzony przywódca.

Usiadłam na kanapie, obok Bobby'ego. Zastanawiałam się, dlaczego Robert nie wybrał na drużbę kogoś w swoim wieku. Po namyśle uznałam, że poproszenie syna o pełnienie tej funkcji to bardzo miły gest. Dobrze świadczył o Robertcie. Wyjęłam z torebki papierosa, a Bobby szybko wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek i podał mi ogień. Był ubrany niemal dokładnie jak ojciec, tylko miał jaśniejszą marynarkę. Taka uprzejmość ze strony chłopca, który chyba nie skończył jeszcze dwudziestu lat, bardzo mnie zaskoczyła. Uśmiechnęłam się do niego. W przeciwieństwie do Eloise, Bobby miał bardzo wysoko osadzone kości policzkowe i jasnoniebieskie oczy. Zastanawiałam się, czy w ogóle coś się kryje w ich spojrzeniu, a jeśli tak, to co. Zapowiadało się, że będę miała okazję się o tym przekonać. Następne dwa dni mieliśmy spędzić w swoim towarzystwie, jako świadkowie państwa młodych.

- Jak się spotkaliście? - zapytałam.

Robert siedział na oparciu fotela Eloise. Jedną ręką delikatnie gładził ją po karku, w drugiej trzymał kieliszek szampana.

- Nie spotkaliśmy się, tylko się zderzyliśmy - odparł. - Czy to nie cudowne?

- Robert wpadł na mój samochód na Piątej Alei, dokładnie pół roku temu. Uderzył w tył mojej limuzyny. Edwin wysiadł, a ja byłam tak wstrząśnięta, że też wyszłam zobaczyć, co się stało. Reszta, jak to mówią, jest już historią.

- Reszta jest przyszłością, kocie. - Pocałował ją w tył głowy. Jego głos brzmiał pewnie, ale nie onieśmielająco. Znów zauważyłam, jakie ma krótkie palce, kiedy położył je na ramieniu Eloise. Przypominały palce dziecka. - Na swoją obronę muszę powiedzieć, że Edwin bardzo źle prowadził. Światło zmieniło się na żółte, myślał, że zdąży przejechać. Ja też tak myślałam. Nagle zmienił zdanie i nacisnął na hamulec, ja nacisnęłam na swój, ale już było za późno. I to wszystko.

- Co robiłeś w Nowym Jorku? Mieszkasz tam? - zapytałam.

- To długa i nudna historia. Chcę zrobić dobre wrażenie na najlepszej przyjaciółce mojej przyszłej żony, a nie zanudzić ją na śmierć. Dzisiaj trochę zaszalejemy. Nie będzie to wieczór kawalerski, ale najlepsza zabawa, jaką można znaleźć na tej prowincji. - Opróżnił kieliszek i dolał sobie szampana. - Mam nadzieję, że lubisz muzykę country. Eloise i ja za nią przepadamy, a w lokalu niedaleko gra dzisiaj świetny zespół, Bourbon Renewal. Jedzenie dają tam podłe, ale muzyka będzie doskonała. - Podobało mi się, że kiedy do mnie mówi, patrzy mi prosto w oczy, jakby włączał mnie do życia swojego i Eloise.

Eloise przepada za muzyką country? Nie bardzo potrafiłam to sobie wyobrazić. Widocznie odmieniła nie tylko swój wygląd.

Kiedy wypiliśmy do końca butelkę szampana, Robert przejął inicjatywę. Przyniósł płaszcz i zaprowadził nas do czekającej limuzyny. Usiedli z Eloise naprzeciwko mnie i Bobby'ego, a Edwin uruchomił silnik. Wokół łagodnie opadały płatki śniegu.

- Najważniejsze, to zacząć wszystko odpowiednio, czyli

prawą nogą - oznajmił Robert. Schylił się i rozwiązał sznurowadło. Naciskając guzik otworzył okno limuzyny i wyrzucił but na zewnątrz. - Zrobione. Tak lepiej, prawda? - Roześmialiśmy się. Byłam oszołomiona. Robert wyjął z barku butelkę bourbona Wild Turkey. - Skoro jedziemy słuchać Bourbon Renewal, powinniśmy napić się wzmiankowanego trunku, zanim dotrzemy na miejsce. - Nalał cztery spore szklaneczki i rozdał je wszystkim. - Wzniesmy toast. Nie. Ja wzniosę toast. Zdrowie Eloise. Kocham cię. - Uśmiechnęła się do niego. Oczy jej błyszczały. - Prawie tak samo, jak kocham twoje pieniądze.

Uważnie spoglądałam w oczy przyjaciółki. Ich wyraz się nie zmienił. Jeśli już, to jeszcze bardziej rozblęty. Roześmiała się, a w ślad za nią reszta towarzystwa.

Robertowi się udało. Wiedział, jak podejść do faktu, że Eloise jest tak majątna. Nie udawał, że tego nie dostrzega. Żartował na ten temat. Zwyciężył. Z triumfalną miną pociągnął łyk bourbona.

Eloise też przechyliła szklaneczkę, wzburzyła mu włosy, a potem ucałowała Bobby'ego i mnie.

- Kocham was wszystkich. To najszcześniejsza chwila mojego życia.

Opuściła szybę w oknie, wyrzuciła szklaneczkę, a zaraz za nią prawy but.

Potem, oczywiście, Robert i ja zdjęliśmy po jednym bucie, cisnęliśmy je za okno i ceremonia została zakończona. Śmialiśmy się przez całą drogę do baru, który wybrał dla nas Robert. Zdziwiliśmy miejscowych, kiedy utykając brnęliśmy w śniegu, każde w jednym bucie. Wyglądaliśmy jak członkowie tajemniczego klubu, który wymaga od nowych członków przejścia przez jakąś niedorzeczną próbę.

Robert i Bobby tańczyli z nami na posypanej trocinami podłodze przy dźwiękach gitar. Po bourbonie piliśmy piwo, a występy zespołu nagradzaliśmy krzykami. Wszyscy bawiliśmy się jak studenci, chociaż właściwie ani ja, ani Eloise podczas lat spędzonych w college'u nigdy się w ten sposób nie zachowywałyśmy. Prawdę mówiąc, Bobby, jedyny student pośród nas, wykazywał największą powściągliwość. Czasami

miałam wrażenie, że czujnie przygląda się ojcu i Eloise, ale nie drażnił mnie, ponieważ świetnie tańczył, nie przesadzał z alkoholem i był cudownie uprzejmy. Zresztą dlaczego miałby nie być ciekaw przyszej macochy? Pewnie myślał o swojej matce. Ciekawe, kto to taki? Rozwiodła się z Robertem czy umarła? Uznałam, że pewnie się rozwiodła, i przestałam o niej myśleć.

- W college'u nie lubiliśmy muzyki pop - powiedziałam Robertowi, kiedy tańczyliśmy, oboje boso.

- Ależ Stacy, to nie jest pop, to country. Zupełnie inna sprawa.

- No, może. - Sama się dziwiłam, że tak dobrze się przy tej muzyce bawię. - Powiedz mi, Robertcie, czym się zajmujesz? A może to niezbyt zręczne pytanie?

- Sprawdzasz mnie, co? - Wziął mnie za rękę, obrócił wkoło i przyciągnął do siebie. - Oczywiście, że tak. To miłe, że Eloise ma taką opiekuńczą przyjaciółkę. Zawsze chciałem mieć kogoś, kto by się mną zaopiekował. - Na chwilę stanął w miejscu, ale zaraz znów złapał rytm. - Kiedyś pracowałem w przemyśle muzycznym. Teraz postanowiłem pisać książki dla dzieci. Czy zdałem egzamin? - Jego pytanie nie zabrzmiało ostro, ale raczej żartobliwie.

- Za to, co o tobie wiem, masz u mnie piątkę. Nie wiadomo tylko, czy czegoś nie zatajasz. Może się okazać, że jesteś ukrywającym się przestępcą.

- Hej, masz jakieś niezdrowe myśli. Czy to te lata, które spędziłeś w Nowym Jorku, tak na ciebie podziały? - Roześmiał się. - Nie mów mi tylko, że przed ślubem chcesz sprawdzić moje konto w banku. Nie jesteś czasem zbyt opiekuńcza? Nie wszyscy mężczyźni to potwory w ludzkiej skórze. - Znów okręcił mnie wkoło. Zaczęło mi wirować w głowie. Poczułam się głupio. Kiedy odzyskałam równowagę, moja ręka spoczywała na karku Roberta. Czułam gęste, miękkie włosy. Przesu-
nęłam dłoń na jego ramię.

- Dorastałem w Brookline, na przedmieściach Bostonu, w średnio zamożnej rodzinie. Uczyłem się najpierw w Brookline

High a potem na Uniwersytecie Browna. Miałem dobre stopnie, byłem niezłym sportowcem, nie kradłem samochodów ani nie handlowałem narkotykami. Czy chcesz coś jeszcze wiedzieć?

- Już dobrze. Przepraszam, jeśli wydałam ci się zbyt wścibska. Przyznaję, że mnie zaciekałeś. Myślałam, że jesteś jakoś związany z marynarką wojenną. To tylko dowodzi, jak mylące może być pierwsze wrażenie. Co robiłeś w przemyśle muzycznym?

- Nie odniosłem tam sukcesu. Niezbyt dobry ze mnie materiał na męża, co?

Zatrzymaliśmy się w pół kroku i staliśmy na środku parkietu, a wokół nas wirowały pary. Głęboki głos Roberta z łatwością przebijał się przez dźwięki muzyki. Głos o takiej barwie doskonale by się nadawał do reklam radiowych.

- Naprawdę nie chciałam wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- Nie, jasne że nie. Nie przejmuj się, Stacy. W każdym razie, człowiek, który w średnim wieku zmienia zawód, musi uważnie się sobie przyjrzeć i zdecydować, co jest dla niego ważne i czy ma coś do zaoferowania światu, a jeśli tak, to co. Postanowiłem zmienić swoją porażkę w coś pozytywnego. Chcę, żeby dzieci oswoiły się z tym, że czasem trzeba ponieść klęskę, bo inaczej w dorosłym życiu nie dadzą sobie rady. Chciałbym, żeby zdały sobie sprawę, że świat się dla nich nie skończy, jeśli od czasu do czasu coś im nie wyjdzie.

Spojrzałam mu w oczy i po raz pierwszy tego wieczora zobaczyłam w nich powagę.

- To wspaniały pomysł, Robercie. Bardzo pomożesz dzieciom. Pamiętam książki, jakie czytałam, kiedy byłam mała. Wszystkie opowiadały o cudownych dzieciakach, które potrafiły rozwikłać tajemnicze zbrodnie albo wygrać wyścigi konne. A normalne dzieci nie potrafią.

- Właśnie.

- Chcesz więc zaszcześcić dzieciom poczucie pewności siebie, mimo że nie wszystko robią doskonale. Bardzo mi się to podoba.

- To dla mnie wielki zaszczyt. - Powiedział to z mocnym południowym akcentem. - Twoje małe stopki doskonale tańczą, więc może ruszymy się z miejsca, co? - Znowu tańczyliśmy, a kiedy muzyka umilkła, wróciliśmy do stolika.

Siedząca obok Bobby'ego Eloise była promienna i odprężona, jakby zerwała krępujące ją od lat więzy. Tylko raz widziałam ją pijaną. Przypomniałam sobie, że wtedy alkohol również ją rozluźnił i pozwolił mi zobaczyć zupełnie nowe oblicze przyjaciółki. Ciekawe, czy tym razem tak na nią podziałał alkohol, czy Robert? Patrzyłam, jak tańczy z narzeczonym, tuląc się do niego namiętnie. Wkrótce przestałam się nad tym pytaniem zastanawiać. Byłam zbyt pijana, żeby logicznie myśleć.



Wrzesień 1973-czerwiec 1974

Czwarty rok studiów zaczął się bardzo szczęśliwie. Zakochałam się. Swoją miłość spotkałam w pewnym barze na West Endzie. Eloise ze mną nie było. Poszłam tam z przyjaciółmi z radiowęzła. Piliśmy piwo, gdy zobaczyłam go, siedzącego samotnie przy sąsiednim stole. Przestałam rozmawiać i wpatrzyłam się w niego. On również na mnie patrzył.

- Cześć - rzuciłam po drodze do toalety, gdzie zresztą zupełnie nie miałam potrzeby iść.

- Cześć - odparł. - Może się do mnie przyłączysz?

- Może.

Odczekałam trochę w obskurnej toalecie, potem wróciłam i usprawiedliwiłam się przed przyjaciółmi.

- Spotkałam starego znajomego. Na razie.

Okazało się, że jest studentem prawa i nazywa się Buddy. Bardzo mi się to imię spodobało. Zrozumiałam, że określenie „zakochać się po uszy” doskonale oddaje to, co się z człowiekiem w takiej chwili dzieje. Rzeczywiście, wpadłam po same uszy, jakbym zrobiła krok w przepaść, albo coś mnie w nią wepchnęło. Nie wiem, co to było, może to, jak Buddy się uśmiechał albo jak dłonią ocierał piwo z ust, albo siedział, opierając stopę o krawędź krzesła, a może wszystkie te trzy

rzeczy naraz. W każdym razie, miałam wrażenie, jakby jakaś dłoń pchała mnie ku niemu. Czułam ją na samym sercu. Wydawało mi się, że się rozpadnę na kawałki, jak uszkodzony samolot, jeśli Buddy w ciągu tygodnia nie wyzna mi miłości, a za miesiąc nie zaproponuje mi, żebyśmy razem zamieszkali.

W szkole średniej podobał mi się pewien futbolista i z przyjemnością straciłam z nim dziewictwo. Potem podkochiwałam się w wykładowcy. Ale to wszystko była dziecinada. Patrząc na Buddy'ego, byłam tego pewna. Nigdy przedtem naprawdę nie kochałam. Chciałam go zapytać, z jakiej planety tu przyleciał. Skąd się wziął? Był przystojny, zabawny, czasami nieśmiały, a czasami zadziorny. Zupełnie straciłam głowę.

Kiedy następnego ranka wpadłam do akademika, Eloise rozmawiała przez telefon.

- Stacy! - Odwiesiła słuchawkę. Wyglądała gorzej niż zazwyczaj. - Właśnie dzwoniłam na pogotowie. Chciałam się wybrać do szpitala św. Łukasza.

- Co się stało? Jesteś chora? - Bujałam w obłokach, świat wirował pode mną, a ja radośnie szybowałam w przestworzach.

- Czy ja jestem chora? Nie. Myślałam, że ktoś cię zamordował albo zgwałcił. Bardzo się o ciebie bałam. Gdzie się podziewałaś?

- Byłam z Buddym.

- Z Buddym?

- Tak. Buddy... On sprawia, że ziemia się porusza, a czas staje w miejscu. - Zaczęłam śpiewać i wirować po pokoju.

- O, rany. - Eloise usiadła na łóżku i patrzyła na moje płąsy. - Trafilo cię. Chyba naprawdę powinni cię zabrać do szpitala. Teraz rozumiem, dlaczego zapomniałaś, że umówiliśmy się na kolację.

- Przepraszam - wyśpiewałam. - Przepraszam. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Przeniosłam rezerwację na dzisiejszy wieczór. Idziemy do Lutece. Bardzo ci się tam podobało, pamiętasz?

- Przykro mi. - Wykonałam ostatni piruet i wylądowałam na łóżku. - Jestem na dzisiaj umówiona. Z Buddym.

Odwróciła się do mnie plecami.

- Aha. To dobrze. I tak powinnam się dzisiaj trochę poruchyć fizyki. Pójdę do biblioteki.

Moje myśli całkowicie zaprzętały problem, jak się ubrać na wieczór i kiedy umyć głowę. A czy mam się umalować? Buddy nie widział mnie z makijażem. Czy to dobry pomysł? A może nie? To były moje najważniejsze problemy, kwestia życia i śmierci. Eloise zebrała książki.

- Baw się dobrze z Buddym - wymamrotała, żując kosmyk włosów. - Później się zobaczymy. - Usłyszałam, że w korytarzu upuściła książki. - Cholera! - zakląła. Zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz słyszę z jej ust brzydkie słowo. Zawsze używała takich wyrażen jak „o rany” albo „kurczę”, jak grzeczna dziewczynka. Zastanawiałam się chwilę, dlaczego nagle powiedziała „cholera”, ale zaraz zaczęłam przetrząsać szafę w poszukiwaniu stroju, który zaparłby Buddy'emu dech w piersiach i powalił na kolana.

W październiku przeprowadziłam się do mieszkania Buddy'ego, które tanio wynajmował na rogu Zachodniej Sto Trzeciej i Riverside Drive. Powiedziałam mamie, że się zakochałam w studencie prawa, ale nie wyjawiałam, że zamieszkaliśmy razem. Rodzice nie pochwalali życia na kocią łapę; ich twarze zawsze tężały, kiedy pojawiał się ten temat. Mawiali wtedy: „Ty byś tego nigdy nie zrobiła, prawda?” Nie wyprowadzałam ich z błędu. Eloise wielkodusznie mnie kryła i kiedy odbierała rzadkie telefony od mojej mamy, zrećnie kłamała. Nie przyszło mi do głowy, że stawiam ją w trudnej sytuacji. Nie zastanawiałam się też nad tym, co dla niej znaczy moja nagła przeprowadzka. Po prostu przestałam się z nią widywać. Och, oczywiście co jakiś czas ją odwiedzałam, zwłaszcza kiedy Buddy zatapiał się w książkach prawniczych. Wtedy wygłaszałam jej kazania na temat uciech płynących z dorosłej miłości. Siedziała nad filiżanką kawy i cierpliwie słuchała, kiedy ja rozpytywałam się z zachwytem nad Buddym i jego wspaniałymi przyjaciółmi, chwaliłam się udanym życiem seksualnym i pouczałam ją, że tylko miłość się w życiu liczy. Przecież to o niej mówi wielka literatura i muzyka. Rozwodziłam się na

ten temat wręcz bezlitośnie.

- Czy Moby Dick też jest o miłości? - zapytała pewnego razu. - W zeszłym roku, podczas wakacji na Cape Cod, mówiłaś co innego.

- Cóż... - Przez chwilę się zastanawiałam. - Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam. Ale tak. Ta powieść też jest o miłości. To znaczy, można ją tak interpretować. Ahab kocha Moby'ego, i to uczucie w końcu go zabija. Tragiczna historia. Prawie tak samo jak Anna Karenina, która rzuca się pod pociąg. Tutaj również chodzi o rodzaj miłości, takiej połączonej z nienawiścią.

Do końca życia powinnam być jej wdzięczna, że mnie wtedy nie wyśmiała.

- Cieszę się z twojego szczęścia, Stacy. Wiesz, jaką jestem nieuleczalną romantyczką. Szkoda, że Buddy nie ma jakiegoś przyjaciela, którego mogłabym upolować.

- Też o tym myślałam, ale wszyscy jego znajomi są już zajęci, w większości przez studentki prawa z pierwszego roku. Boże, tak się cieszę, że Buddy nie zakochał się w Marcie. To dziewczyna jego przyjaciela, Petera. Jest obrzydliwie ładna i inteligentna. To podobno najlepsza studentka na swoim roku. Chodzą plotki, że ma zostać redaktorem naczelnym „Law Review”. Ale Buddy twierdzi, że ona ma bardzo twardego charakter, i jeszcze mówi... - Znów zaczęłam się rozwodzić nad Buddym, a Eloise cierpliwie słuchała.

Kilka razy spotykaliśmy się we trójkę, ale nie były to udane spotkania. Onieśmielona Eloise prawie się nie odzywała i nie potrafiła się przy Buddym rozluźnić. On z kolei traktował jej pieniądze jak jakąś wrodzoną wadę, to znaczy udawał, że nie istnieją. Robił wszystko, żeby o nich nawet nie wspomnieć. Tłumaczył mi, że się boi, żeby Eloise nie czuła się zmuszona zaprosić go do opery, teatru, na balet lub do restauracji.

- Nie chcę wyjść na pijawkę - wyjaśniał. - To twoja przyjaciółka, a nie moja. Jest bardzo miła, ale nie potrafiłbym

się z nią zaprzyjaźnić. Jedynym motywem mogłyby być pieniądze, ale do tego nigdy bym się nie posunął.

- Ja nie przyjaźnię się z nią dla pieniędzy. Na początku studiów umieszczono nas w jednym pokoju. Zbliżyłyśmy się do siebie, bo mamy takie same zainteresowania, nie z powodu pieniędzy. Eloise jest bystra i dowcipna. Polubiłbyś ją. Po prostu trzeba trochę czasu, żeby wyszła ze swojej skorupy.

- Może. - Spojrzał na mnie uważnie, ze zmarszczonymi brwiami. - Założę się, że tęsknisz za tym eleganckim życiem, jakie przy niej prowadziłaś. Mieszkanie ze mną to dla ciebie zmiana na gorsze.

- Mieszka mi się z tobą doskonale. - Uściśnęłam go i rozchmurzyłam się. - Po prostu doskonale.

Z początku Eloise do mnie dzwoniła, jak zwykle zapraszała na wspólne wyprawy, ale nie chciałam nigdzie chodzić bez Buddy'ego, ani też we trójkę. W towarzystwie Buddy'ego i Eloise byłam zbyt spięta, za bardzo chciałam, żeby się polubili. Oboje to wyczuwali, a zwłaszcza Eloise. Wiedziałam, że doskonale zdaje sobie sprawę, że jest mi przykro z jej powodu, że chciałabym, żeby sobie znalazła chłopaka; a przecież nie znosiła, kiedy ktoś się nad nią użalał. Było tak, jakbyśmy przez trzy pierwsze lata rozgrywały wspaniałą mecz tenisowy, sprawnie przebijając piłkę nad siatką, a potem ja nagle zniknęłam i zaczęłam grać w zupełnie inną grę.

Po kilku niezręcznych odmowach z mojej strony Eloise przestała mnie zapraszać i widywałyśmy się tylko w dzień, podczas przerw na kawę. Nawet te spotkania stały się coraz rzadsze, kiedy uświadomiłam sobie, jak to nietaktownie z mojej strony, że ciągle mówię o Buddym, a nie potrafiłam się zmusić do rozmów na żaden inny temat.

- Ja lubię rozmawiać o Buddym - powiedziała raz Eloise, kiedy bez zapału opowiadałam jej o swoich wykładach z amerykańskiej literatury dwudziestego wieku. - Wcale mi to nie przeszkadza. Może ci się zdaje, że to dla mnie niezręczny temat, że czuję się wyobcowana, ale tak nie jest. Nie musisz gryźć się w język za każdym razem, kiedy chcesz wymienić

jego imię. To właśnie wtedy czuję się bardzo niezręcznie.

- Wcale nie unikam rozmów o Buddym - odparłam, ale to nie była prawda. Wiedziałam, że Eloise czuje się wyobcowana. Wszystko się skomplikowało, a nasza przyjaźń stała się sztuczna i wymuszona. Spotykałyśmy się sporadycznie i z grzeczności.

Dzień rozdania dyplomów nie był takim świętem, jak to sobie kiedyś wyobrażałam. Przekonałam rodziców, że nie warto przyjeżdżać na uroczystość. Zasugerowałam mamie, że w Nowym Jorku mogłoby ją spotkać coś złego, ponieważ przez ostatnie miesiące znacznie wzrosła w tym mieście przestępczość. Nie chciałam, żeby mnie odwiedzali. Nie podobała mi się perspektywa przenoszenia moich rzeczy z powrotem do akademika i urządzania przed rodzicami przedstawienia, w którym oczywiście Eloise musiałaby wziąć udział. Uznałam też, że jest jeszcze za wcześnie, żeby im wyznać, gdzie naprawdę mieszkam. Wiedziałam, że wkrótce będę musiała oznajmić im tę nowinę, ale postanowiłam zrobić to łagodnie - pojechać do domu w czerwcu, zaprosić Buddy'ego na weekend i wtedy zawiadomić ich, że zamierzam się do niego wprowadzić i rozpocząć pracę w księgarni Doubleday na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i Piątej Alei. Zapowiadała się trudna rozmowa, więc z radością odsunęłam ją na później.

W ostatniej chwili zdecydowałam, że nie pójdę na końcową ceremonię i poproszę, żeby przysłano mi dyplom pocztą. Tego dnia bez celu włóczyłam się po zatłoczonym kampusie. Buddy był zajęty, a sama nie chciałam wracać do pustego mieszkania. Mając nadzieję, że Eloise jest u siebie, poszłam do akademika i zapukałam do drzwi przyjaciółki.

- Co słychać? Czujesz się już jak dorosła osoba? Niedługo ruszymy w szeroki okrutny świat.

Cicho szumiał klimatyzator, w wazonach stały lilie. Eloise przywitała mnie ubrana w jedwabną piżamę.

- Nie chciało mi się iść na rozdanie dyplomów - oznajmiła. - Ten kawałek papieru mogą mi przysłać pocztą.

- Ja też tak postanowiłam. Ale ciebie czeka w przyszłości jeszcze jeden dyplom. Cieszysz się na te studia podyplomowe?

- Przyjęto ją na studia doktoranckie, na wydział fizyki uniwersytetu Columbia. - Chyba z tego zrezygnuję.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Przecież chcesz uczyć fizyki, prawda? Co się dzieje?

Eloise wypita łyk kawy, spojrzała przez okno, podrapała się w łokieć, zagryzła wargę i zaczęła skręcać kosmyk włosów. Jej drobna, okrągła twarz przybrała najpierw smutny, a potem obojętny wyraz.

- Eloise! - Strzeliłam palcami. - Obudź się!

- Nie widzę siebie w roli nauczycielki.

- A w jakiej roli się widzisz?

- Sama nie wiem.

- Wspomniały początek. Przecież właśnie skończyłyśmy studia. Jakie masz plany?

- Żadnych.

- Pewnie stać cię na to.

- To był cios poniżej pasa.

- Nie miałam niczego złego na myśli. Naprawdę. Tylko nie rozumiem, co się stało. Czy coś się zmieniło?

- A czy to cię w ogóle obchodzi?

- Jasne, że tak.

- Czyżby? Ostatnio jakoś trudno mi to było zauważyć.

- To dopiero jest cios poniżej pasa.

Siedziałyśmy unikając swojego wzroku. W końcu Eloise wstała i podeszła do telefonu. Wykręcając numer, zwróciła się do mnie:

- Masz ochotę przejechać się limuzyną? Nigdy jeszcze tego nie robiłyśmy. Hipisowskie czasy się kończą. Chyba teraz już żaden uczelniany radykał nas za to nie pobije. Zaryzykujemy?

- Zaryzykujemy - przytaknęłam, dziwnie podniecona perspektywą tej przejażdżki.

Kiedy czekałyśmy na limuzynę, rozzłościłam się. Ubodło mnie twierdzenie Eloise, że nie obchodzą mnie jej sprawy. Obudziło się we mnie poczucie winy, a to z kolei wywołało mój gniew. Czy miałam odgrywać rolę jej niańki, zmarłej matki, ojca, który ją opuścił, i chłopaka w jednej osobie? Nie mogła tego ode mnie wymagać ani oczekiwać.

- Co miały znaczyć te słowa, że twoje sprawy nic mnie nie obchodzą? Jeśli jesteś na mnie wkurzona, to po prostu mi to powiedz - zażądałam spokojnym, opanowanym tonem, jakiego używał Buddy, kiedy głośno ćwiczył jakieś prawne rozprawy.

- Sama nie wiem. - Eloise wkładała spódnicę w indyjskie wzory i pasiastą bluzkę z krótkimi rękawami. Stała odwrócona do mnie plecami. - Nie mówmy o tym, dobrze? Chyba jestem dziś w nie najlepszym nastroju. Rozregulował mi się poziom cukru we krwi. Ostatnio nie odżywiałam się odpowiednio, a wczoraj wieczorem zapomniałam o kolacji. Pewnie dlatego teraz wpadłam w przygnębienie. Wiesz, że czasami mi się to zdarza. Zaraz coś szybko zjem, a potem pojedziemy do domu taty. Stoi pusty, bo tata jest gdzieś w Europie. Tak mi przynajmniej powiedziano. Jeszcze nigdy tego domu nie widziałas. Na pewno znajdziemy tam szampana i elegancko uczymy zakończenie studiów.

Pierwszy raz jechałam limuzyną, więc nie wiedziałam, że można się czuć tak potężnym, siedząc w jej wygodnym wnętrzu i obserwując przez przydymione szyby szaleńcze życie uliczne Nowego Jorku. Wtedy najmodniejszym narkotykiem stała się kokaina i przyszło mi na myśl, że to nie przypadek. Trawka i inne „rozszerzające świadomość” narkotyki wychodziły z użycia. Eloise nie myliła się: studenci dostawali pracę na Wall Street i masowo zaprzędawali się systemowi. Teraz kupowali narkotyk, który pasował do ich nowego stylu życia. Jedna z moich nie bojących się życia przyjaciółek opowiadała mi, że po kokainie człowiek ma poczucie siły, wydaje mu się, że wszystko potrafi.

Takie samo uczucie ogarnęło mnie w limuzynie - krótkie,

dojmujące uniesienie. Wstydziłam się, że tak łatwo je można u mnie wywołać.

Wysiadłyśmy przed wielką kamienicą z cegły na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, tuż za Piątą Aleją. Eloise już miała dać napiwek szoferowi, ale się zawahała.

- Jesteś nowy, prawda? - zapytała. - Jak się nazywasz?

- John. - Miał miłą twarz. Ubrany był w jasnoszary uniform i zgrabną czapkę. Oceniłam jego wiek na jakieś trzydzieści pięć lat. Zaskoczona czekałam, co będzie dalej.

- Chcesz wejść z nami na górę i uczcić nasz wielki dzień? Właśnie skończyłyśmy college. Obie. Chodź, napijesz się szampana.

Zamurowało mnie. Widziałam, jak Eloise odnosi się do kelnerów, taksówkarzy i gospodyni na Cape Cod. Zawsze zachowywała dystans. Była uprzejma, ale nie przyjacielska. Dlaczego teraz chciała, żeby ten obcy człowiek się do nas przyłączył?

- Z przyjemnością, proszę pani. To znaczy, panno Parker. Bardzo dziękuję. - Zdjął czapkę i lekko się skłonił, a Eloise roześmiała się. Zrobiła, co chciała, i nic już nie mogłam odkryć. Zastanawiałam się, co chce osiągnąć.

Eloise otworzyła drzwi, specjalnym kluczem wyłączyła system alarmowy i wprowadziła nas do salonu, który był echem domu na Cape Cod - przytłaczająco wspaniały, zastawiony antykami, bez życia.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła. - Dom w puszczy, gdzie giną jelenie i antylopy, a potem wypchane wiszą na ścianach. - Dopiero wtedy zauważyłam trzy wypchane łby z rogami, wiszące jak trofea na ścianie salonu. - Dzisiaj czwartek, więc pokojówka ma wychodne. Przyniosę szampana.

- Powiedz mi, John, czy często zdarzają ci się takie zaproszenia? - zapytałam patrząc, jak swobodnie usiadł na jednym z foteli.

- Niestety, nie tak często, jak bym chciał. - Uśmiechnął się do mnie łobuzerskim uśmiechem Jimmy'ego Cagneya. - Zwyczajnie czuję się jak niewidzialny. Ludzie patrzą na mnie od tyłu

i widzą tylko mój kark. Czasami się zastanawiam, czy nie mam tam kurczaki. To by było okropne. Ale nie mam, prawda? - Odwrócił się do mnie plecami.

- Nie masz - uspokoiłam go.

Wróciła Eloise, a John zerwał się z fotela i odebrał od niej butelkę oraz kieliszki.

- Pozwólcie, że spełnię honory domu.

- Ależ oczywiście, mój panie! - Eloise żartobliwie dygnęła, lekko unosząc indyjską spódnicę. Włączyła stereo, jedyny oprócz lamp dwudziestowieczny przedmiot w tym pokoju. Wzięłam od Johna kieliszek szampana, usadowiłam się w niezbyt wygodnym fotelu i słuchałam jednej z ulubionych oper Eloise - Rigoletta.

- Ach, to ta opera, w której garbus przez pomyłkę zabija swoją córkę, a potem znajduje jej szczątki w worku. - John sącząc szampana przyglądał się okładce płyty, - Ta historia zawsze mi się podobała.

- A co w niej ładnego? - zdziwiłam się. - Dziwny wybór.

John spojrział na mnie z uwagą.

- Podoba mi się, bo jest smutna - wyjaśnił.

Doszłam do wniosku, że w uniformie wcale nie wygląda głupio, ale całkiem elegancko. Eloise wpatrywała się w niego, ja patrzyłam raz na Johna, raz na nią. Stanowiliśmy dziwny trójkąt.

- Często bywasz smutny? - zapytała.

- Tylko kiedy mam chwilę wolnego czasu - odparł z uśmiechem. Miał ładny uśmiech i łagodne spojrzenie.

Zastanawiałam się, dlaczego wykonywał taką pracę i czy to go nie upokarzało.

- Jesteście najlepszymi przyjaciółkami? - zaciekawiał się.

- Tak - odpowiedziałyśmy jednocześnie. Nagle się ucieszyłam, że Eloise go zaprosiła. Był to jej dziwaczny kaprys, ale dzięki niemu mogłam powiedzieć to, czego dawniej nie miałam okazji wyrazić: że jest moją najlepszą przyjaciółką, a mój związek z Buddym utrudnił naszą przyjaźń, ale jej nie zniszczył.

- Założę się, że podczas studiów nieźle szalałyście.
- Niezupełnie - odparła Eloise.
- Byłyśmy inne niż nasi rówieśnicy - dodałam dla wyjaśnienia. - Zupełnie inne.

Eloise usiadła na kanapie obok Johna i zaczęłyśmy mu opowiadać o latach spędzonych w college'u. Niespodziewanie obecność szofera pomogła, nasze historyjki stały się zabawniejsze, nabrały kolorów dzięki temu, że słuchał ich z wyraźnym zainteresowaniem. Mówiłyśmy o tym, jak nie zgadzałyśmy się z filozofią hipisów. W opowieściach przedstawiałyśmy się jako osoby bystre i dowcipne, gdy tymczasem reszta naszego pokolenia nadużywała narkotyków, użalała się nad sobą i wykazywała całkowity brak poczucia humoru. Popijałyśmy szampana, po którym moja przyjaciółka stała się wylewna jak nigdy dotąd. Odprężona siedziała na kanapie, podwinąwszy pod siebie nogi. Niezdarna, onieśmielona Eloise pod wpływem alkoholu gdzieś wyparowała. Nigdy nie widziałam jej zawianej i nawet zaczęłam żałować, że przedtem częściej nie pijałyśmy czegoś mocniejszego. Doszłam do wniosku, że to wspaniałe zakończenie czteroletnich studiów. Dzięki niemu zatarto się ws pomnienie naszej porannej sprzeczki.

Non morir, non morir! - śpiewał Rigoletto swojej córce. Eloise zaczęła płakać, a zaraz po niej John. W innych okolicznościach zapłakałabym razem z nimi, ale chwilę wcześniej zerknęłam na zegarek i myślałam tylko o tym, że Buddy czeka na mnie w domu. Kiedy opera się skończyła, po policzkach Eloise i Johna nadal spływały łzy.

- Gdzie jest toaleta? - zapytał szofer.

Eloise odpowiedziała mu, pociągając nosem.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, kiedy wyszedł z pokoju.

- Dobrze. Świetnie. Wiesz, właśnie podjęłam doniosłą decyzję. Wreszcie się tego pozbędę. - Podeszła do mnie chwiejnym krokiem i przysiadła na poręczu fotela.

- Czego się pozbędziesz?

- Dziewictwa. Teraz. Z Johnem.

- O, Chryste. - Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Zawsze mi się wydawało, że w którymś momencie swojego życia

poszła z jakimś mężczyzną do łóżka. Wiele razy rozmawialiśmy o seksie. Ale może to zawsze ja mówiłam. Spojrzałam w jej pijane oczy.

- Nie sądzisz, że to świetny pomysł, Stace? Prosto z powieści D. H. Lawrence'a. Dziewica i jej szofer. A może raczej z tego filmu z Humphreym Bogartem i Audrey Hepburn, wiesz, tego o córce szofera. Jak ona się nazywała? - Zaczęła chichotać.

- Sabrina.

- Właśnie. Sabrina. Co za cudowne imię. Sabrina. Szkoda, że ja się tak nie nazywam. Chciałabym być Audrey Hepburn. A może to była Katherine Hepburn?

John wrócił do pokoju.

- John, wpadłam na świetny pomysł - oznajmiła Eloise.

Co mogłam zrobić? Chciałam zakryć jej usta dłonią, ale szorstko mnie odepchnęła.

Szofer zatrzymał się na środku pokoju i spoglądał na nas pytająco.

- John, twoja pracodawczyni trochę za dużo wypila i chyba powinieneś...

- I chyba powinieneś się z nią przespać - dokończyła za mnie. Wypowiedziała to zdanie niemal jak rozkaz. Twarz Johna nawet nie drgnęła. Patrzył na Eloise.

- Chciałabyś to zrobić? Teraz? - Najwyraźniej ta propozycja go nie zaszokowała.

- Tak, oczywiście. Stace, jeśli chcesz, możesz tu zaczekać, a my pójdziemy na górę. Przyniosę ci jeszcze szampana. - Do tej pory wypiliśmy dwie butelki.

- Nie, dziękuję, już mi wystarczy.

Spoglądali na siebie. John w uniformie stał wyprostowany na środku salonu, Eloise siedziała przygarbiona na poręczy mojego fotela. Tym razem ja byłam piątym kołem u wozu. Drczyło mnie poczucie odpowiedzialności za Eloise. Uznałam, że nie w ten sposób powinna stracić dziewictwo - pijana, w domu ojca, z szoferem, którego nie zna. Zawsze mówiła, że kiedy się zakocha, to bez pamięci. Z nielicznych randek wracała

bardzo rozczarowana. Ale co mogłam powiedzieć, żeby ją powstrzymać? Czy w ogóle powinnam ją powstrzymać? Dobrze się bawiła, miała dwadzieścia dwa lata, nie była moją córką ani młodszą siostrą, a i mnie trudno było nazwać stateczną matroną. Dlaczego nie miałyby pójść z Johnem do łóżka? I dlaczego ja się tak tym przejmowałam?

- Zostawię was, że tak powiem, samych sobie. - Wstałam i ruszyłam do drzwi. - Chyba powinnam powiedzieć „nie róbcie nic, czego ja bym na waszym miejscu nie zrobiła”, czy coś równie idiotycznego.

Eloise podeszła do Johna, objęła go i pomachała mi na pożegnanie.

- Cześć, Stace. Baw się dobrze.

- Wy też. Do widzenia, John.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się równie niezręcznie. Wyszłam na ulicę, zalaną wiosennym słońcem. Poszłam wolno Piątą Aleją, mijając Knickerbocker Club, restaurację Pierre, dom towarowy F.A.O. Schwartza i moje przyszłe miejsce pracy, księgarnię Doubleday, aż wreszcie dotarłam do katedry św. Patryka. Usiadłam na schodach i wspominałam, jak siadywałyśmy z Eloise na dziedzińcu Columbii, rozpamiętywałam nasze wspólne chwile. Wiedziałam, że college już zawsze będzie mi się kojarzył z Eloise, a Eloise z Buddym. Doszedłszy do tego wniosku, pobiegłam na Madison Avenue i złapałam autobus numer cztery, który zawiózł mnie do domu, do Buddy'ego.

- Kochanie, to wspaniałe. Na litość boską, co w tym złego, że Eloise trochę się zabawi. Jest już dorosła. Najwyższy czas. Może trochę się wyluzuje.

- A co będzie, jeśli on ją na przykład pobije? Wyglądał dość sympatycznie, ale przecież to może być jakiś wielokrotny morderca, przebrany za szofera. Przecież wiesz, ilu w tym mieście najróżniejszych wariatów.

W drodze do domu ogarnęły mnie liczne wątpliwości i poczucie winy, że tak zostawiłam przyjaciółkę. Kiedy tylko dotarłam na miejsce, usiłowałam dowiedzieć się, jaki jest numer telefonu jej ojca, ale okazał się zastrzeżony.

- Daj spokój, Stacy. Myśl rozsądnie. Mało prawdopodobne, żeby pobił ją szofer, prędzej zrobiłby to jakiś zubożały włoski książę, polujący na jej pieniądze. Szofer ma pracę. Zapewne nie chce jej stracić. Co się z tobą dzieje? Chyba też za dużo wypijaś. Przyznaj, wstawiłaś się i próbowałaś uwieść lokaja?

Roześmiałam się. Rzeczywiście, byłam pijana, zachowałam się wobec Eloise głupio i nadopiekuńczo. Zareagowałam niczym moja matka.

Tego wieczoru - był ciepły maj - Buddy miał ochotę na miłość. Okna jego sypialni wychodziły na rzekę Hudson. Idealna sceneria dla zakochanych, idealna dla nas obojga. W taki wieczór najmilej jest zostać w łóżku, kochać się, pić wino i przysięgać sobie dożgonną miłość. W taki wieczór stać mnie było tylko na jeden telefon do Eloise. Kiedy nikt nie odebrał, zrezygnowałam z dalszych prób. Odrzuciłam poczucie winy i uznałam, że równie dobrze jutro mogę sprawdzić, czy przyjaciółce nie stała się jakaś krzywda i czy wszystko u niej w porządku. Z pewnością nic złego jej się nie przydarzyło. Buddy znów zaczął mnie całować, a ja obiecałam sobie w duchu, że jutro spędzę z Eloise cały dzień. Żaden problem.

Następnego dnia o dziesiątej rano obudził mnie telefon.

- Dzwonie, żeby się pożegnać, Stace.

- Pożegnać? Gdzie się wybierasz? Na Cape Cod?

- Och, nie. O wiele dalej. Do Paryża. Właśnie zarezerwovałam bilet i wieczorem odlatuję.

- Eloise, zaczekaj chwilę. Zrobię sobie kawy i zaraz wrócę. Albo lepiej, szybko się ubiorę i za sekundę będę u ciebie, a ty poczęstujesz mnie kawą. Dzwonisz z akademika?

Kiedy tam dotarłam, Eloise właśnie się pakowała. Beładnie wrzucała swoje okropne ciuchy do wielkiej walizki. Usiadłam na łóżku, które teoretycznie wciąż było moje.

- Zanim zaczniemy rozmawiać o Paryżu, powiedz, co się wydarzyło z Johnem.

- Kochaliśmy się. Nie jestem już dziewczcą.

Wydawało mi się, że na jej twarzy dostrzegłam lekki grymas. Znow zaczęłam się o nią martwić.

- O, Boże! Pewnie było okropnie. Nie powinnam ci na to pozwolić. Za dużo wypijaś. Cholera. Powinnam zostać.

Przestała wrzucać ubrania do walizki i oparła ręce na biodrach.

- O czym ty mówisz? John był uroczy... i bardzo w tych sprawach biegły. Co prawda nie mam doświadczenia i trudno mi to ocenić, ale właśnie tak mi się wydawało. Obojgu nam się podobało. I to wszystko. Chciałam Johna i dostałam go. Przynajmniej nie obmacywał mnie jakiś niezdarne gówniarz. Fakt, byłam pijana, ale czy to twój interes? Nie mogę mieć własnego życia seksualnego?

- Oczywiście, że możesz. Myślałam tylko, że jesteś tym wszystkim trochę przygnębiona, że chciałaś to zrobić z kimś, kogo kochasz, albo przynajmniej trochę znasz.

- A kogo miałabym tu poznać? Tych szczeniaków z college'u? Przystojniaków z campusu, którzy być może łaskawie by się ze mną umówili, gdyby wiedzieli, że jestem bogata? Po dziesięciu minutach zaczęliby mnie namawiać, żebym zainwestowała w jakąś podejrzaną spółkę. Dzięki Bogu, John wykazał o wiele więcej klasy. Oczywiście, nie jest to Buddy, cudowny Buddy, ale przecież Buddy to ktoś zupełnie wyjątkowy i drugiego takiego nie znajdziesz, prawda? Nie chciałabyś, żebym zaczęła go podrywać, co? Kto wie, może nawet jego skusiłyby pieniądze, jeśli byłoby ich odpowiednio dużo.

Miałam ochotę ją udusić.

- Przestań, Eloise.

- Przestaną, jeśli nie będziesz mnie traktowała jak nierozgarnięte dziecko.

- Może sobie coś wyjaśnimy. Wczoraj zarzucałaś mi, że nic cię nie obchodzi, dzisiaj mi mówisz, że twoje sprawy to nie mój interes. Dlaczego nie przyznasz, że po prostu masz mi

za złe, że tyle czasu spędzałam z Buddym? Jesteś zazdrosna.

- Och, Stacy! - Eloise usiadła na podłodze. - Nie znoszę kłótni. Nie chcę się z tobą kłócić, nie zmuszaj mnie do tego. - Ukryła twarz w dłoniach. - Masz rację, jestem zazdrosna. Kiedy poznałaś Buddy'ego, zostawiłaś mnie, zniknęłaś. Wiem, że na nikogo nie mogę liczyć. To znaczy, w życiu w ogóle nie można na nikogo liczyć. Każdy ma swoje sprawy. Ale tak się przyzwyczaiłam do tego, że jesteśmy razem. A ty zniknęłaś. W moim życiu powstała wyrwa. Czułam, że czegoś mi brakuje. Chyba podobnie byś ty się czuła, gdyby nagle odebrano ci papierosy. Bez ciebie wszystko wydawało się bez sensu. Nie dzwoniłam do ciebie, bo nie chciałam przeszkadzać. Gdybym przyszła do was z wizytą, czułabym się jak intruz. Wiedziałam, że Buddy jest dla ciebie ważniejszy niż ja, i to mnie bolało. Rozumiesz? - Skinęłam głową. - Czasami do mnie wpadałaś, jak jakiś dostojnik z wizytą, i czasami niechcący ci się wyrывało, że był u was ktoś na kolacji, jacyś znajomi Buddy'ego, ludzie, których lubi i aprobuje. Ja widocznie do nich nie należę. Wszystko to przypominało mi postępowanie mojego ojca. Znowu ta sama historia.

- Przepraszam - wyszeptalam.

- Znow musiałam się nauczyć być sama. Przyszło mi to z trudnością. A kiedy wreszcie coś się w moim życiu wydarzyło - mam na myśli tę historię z Johnem - ty zaczynasz mi to wspominać. Uznałam, że nie masz prawa tak nagle wkraczać w moje sprawy i znow odgrywać moją opiekunkę. Przykro mi. To moja wina. Każdy żyje własnym życiem, i ty też nie jesteś odpowiedzialna za moje. Nikt nie jest za nie odpowiedzialny. Po prostu sama nie wiem, co mam z nim zrobić, i tyle.

Usiadłam obok niej na podłodze i otoczyłam ją ramieniem.

- Zawsze możesz po prostu być bogata.

- No, tak. - Uśmiechnęła się.

- I nosić skarpetki.

- I nosić skarpetki. - Uścisnęła mnie. - Bardzo mi ciebie

brakowało, Stace. Jesteś moją jedyną przyjaciółką. Wiem, że to dla ciebie ciężar, ale taka jest prawda.

- To nie żaden ciężar. Mnie też ciebie brakowało. Ale się zakochałam i nic nie mogłam na to poradzić. Przeniosłam się w inny świat. Czułam się winna, że cię opuściłam, a poczucie winy budzi we mnie złość. Zdaje się, że nasza przyjaźń jest bardzo skomplikowana. Nigdy przedtem tak szczerze nie rozmawialiśmy. Gdyby zdarzyła się odwrotna sytuacja, gdybyś to ty przeprowadziła się do jakiegoś chłopaka, ja też czułabym się nieszczęśliwa i opuszczona. Poza tym naprawdę się o ciebie bałam, kiedy zostawiłam cię samą z Johnem. Nigdy przedtem nie widziałam cię pijanej. Niezłe się załałaś. Jak się teraz czujesz?

- Koniecznie muszę zjeść coś słodkiego. - Wstała, wyjęła z biurka batonik Milky Way i pochłonęła go w dwóch kęsach. - Bardzo cię przepraszam za to, co powiedziałam o Buddym, że można go kupić. Wiem, że to nieprawda. Chciałam cię zranić.

- I udało ci się. Ale ja też wiem, że to nieprawda, więc nic nie szkodzi.

- To okropne, że tak powiedziałam. Nie znoszę się kłócić i wpadać w złość. Wtedy się nie kontroluję. Nienawidzę tego. Czuję się wtedy taka zła, mam ochotę coś zniszczyć.

- Przecież już się nie kłócimy. Prawdę mówiąc jedna awantura na cztery lata znajomości to zupełnie niezły wynik - odparłam. - Ale jeszcze mi nie powiedziałaś, dlaczego jedziesz do Paryża. Uciekasz z Johnem?

- Spójrz na to. - Podniosła z podłogi gazetę i podała mi. - Tata miał atak serca. Leży w szpitalu w Paryżu. Prawnicy zadzwonili do mnie kilka minut po tym, jak przeczytałam ten artykuł.

- Boże, tak mi przykro. Powinnaś od razu mi powiedzieć. Nie znajduję słów.

- Nie martw się tym. Tata jest niezniszczalny. Nie umrze. Może dzięki jego chorobie znowu będziemy razem. Wiesz, tak jak dawniej. Nie mogę się tego doczekać. Naprawdę. Może wszystko zaczniemy od nowa.

- A może poznasz jakiegoś wspaniałego Francuza? Wiesz, muszę przyznać, że John jest całkiem przystojny. - Żałowałam, że w porę nie ugryzłam się w język. Jej ojciec właśnie przeszedł atak serca, a ja tu opowiadałam historie rodem z czasopisma dla nastolatek. Jednak nigdy nie lubiłam tego znanego mi tylko z opowiadań ojca Eloise. Szczerze powiedziawszy, winiłam go za wszystkie jej kompleksy. Jeśli w ogóle ktokolwiek zasługiwał na atak serca, to właśnie on. Lojalność Eloise wobec niego irytowała mnie.

Przyjaciółka nie wytknęła mi braku wrażliwości.

- John to miły człowiek. Do kogoś takiego rzeczywiście mogłabym coś poczuć. Ale jest żonaty i ma dwoje dzieci, więc dobrze się składa, że wyjeżdżam do Paryża. Słuchaj, dzisiaj wieczorem odwozi mnie limuzyną na lotnisko. Chciałabyś mnie odprowadzić?

- Właściwie powinnam...

- Proszę.

- Oczywiście. Świetnie. - Nagle zdałam sobie sprawę, że będzie mi jej brakowało. - Szkoda, że wyjeżdżasz.

- Dzięki. - Zerwała kawałek skórki z dolnej wargi, a ja się nieznacznie skrzywiłam.

Pożegnaliśmy z Johnem zdenerwowaną Eloise na lotnisku Kennedy'ego.

- Wiesz, to taka miła dziewczyna - powiedziała, kiedy wróciliśmy do limuzyny. - Trochę zagubiona, ale miła. Dla większości tych bogatych damulek jestem uprzejmy tylko dlatego, że mi płacą. Pieniądze przemawiają, więc ich słucham, ale czasami przydałyby mi się zatyczki do uszu.

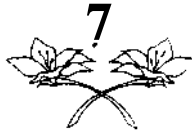
- Ona też cię lubi - odparłam.

- Naprawdę? - Przez chwilę miał tęską minę, potem włożył czapkę i otworzył przede mną drzwi. Godzinę jechaliśmy w milczeniu, aż zatrzymaliśmy się przed budynkiem, w którym mieszkał Buddy. John wyskoczył zza kierownicy, znów otworzył przede mną drzwi, ale zanim wysiadłam, zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. - Ona powinna uważać.

Tak bardzo potrzebuje miłości, że widać to z daleka. Mając tyle pieniędzy, ta dziewczyna na pewno wpakuje się w kłopoty. Pilnuj jej, dobrze?

- Spróbuję - odpowiedziałam.

Piętnaście lat później znalazłam w skrzynce na listy zaproszenie na ślub Eloise.



7 grudnia 1989

Następnego ranka Eloise obudziła mnie o jedenastej i przyniosła mi tacę ze śniadaniem, na której nie zabrakło tabletek Alka-Seltzer, za co byłam jej bardzo wdzięczna. Niejasno pamiętałam, że nad ranem ktoś położył mnie do łóżka. Zastanawiałam się, czy to był pan młody czy jego družba.

- Robert i Bobby grają w tenisa. Niewiarygodne, co? - Eloise wyglądała okropnie. Pod oczami miała worki. - Dzięki Bogu, że zamówiłam na dzisiaj fryzjerkę i kosmetyczkę. Gdybym w takim stanie pokazała się na ślubie, Robert by chyba zrezygnował. - Przysiadła na skraju łóżka, a ja z wysiłkiem usadowiłam się w pościeli. - On ma tyle energii. Nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka tak sprawnego fizycznie. Może pić cały dzień i noc, a potem normalnie funkcjonować i nic po nim nie widać. Jest zdumiewający.

- Mmmhmm. - Skinęłam głową. Szczęściara. Zażyłam Alka-Seltzer i z obrzydzeniem spoglądałam na jajecnicę na bekonie. - Czy wczoraj wieczorem coś jedliśmy?

- Nie. Chyba nie. Nie pamiętam. Nie byłam nawet pewna, czy wzięłam swoją dawkę insuliny, dopóki nie zobaczyłam dziś rano strzykawki na nocnym stoliku. Robię sobie zastrzyki siłą przyzwyczajenia, nawet pijana jak bela.

- Cóż, wczoraj odpowiednio pożegnaliśmy twoje panieńskie życie. - Udało mi się przywołać na twarz błady uśmiech.

- Tak mi przykro, że rozstaliście się z Buddym. Dowiedziałam się tego, kiedy szukałam twojego nowego adresu. To musiało być dla ciebie okropne.

- Owszem.

Otuliła się szczerzej szlafrokiem.

- Rozwód nie mieści mi się w głowie. To znaczy, nie wyobrażam sobie, żebym mogła się rozwieść z Robertem. Wolałabym umrzeć.

- Bardzo dobrze. To odpowiednie podejście, jeśli masz zamiar wyjść za mąż. Ale czasami takie rzeczy się zdarzają. - Spojrzałam na przyjaciółkę. - Jestem pewna, że ciebie to nie spotka. - Zapaliłam papierosa, wypłam jeszcze jedną szklanekę wody i zaczęłam się czuć trochę lepiej.

- Jeszcze nie pokazałam ci swojego pierścionka. Popatrz. - Wysunęła serdeczny palec lewej ręki i zobaczyłam szafir w kształcie serca, otoczony drobnymi brylancikami.

- Śliczny - skomentowałam. - Bardzo ładny. - Co innego można powiedzieć o pierścionku zaręczynowym?

- Nie uwierzysz, w jaki sposób mi go wręczył.

- Opowiedz mi. Spróbuję uwierzyć.

- Brałam właśnie kąpiel. To było trzy miesiące temu, czyli trzy miesiące po tym, jak się poznaliśmy. Robert przyniósł mi na górę kieliszek szampana, kiedy siedziałam w wannie. A pierścionek leżał na dnie kieliszka. Czy słyszałaś kiedy o bardziej romantycznym geście?

- Nie. Naprawdę. Mam ochotę cię udusić z zazdrości.

Eloise roześmiała się radośnie. Był to dla moich uszu bardzo miły dźwięk.

- Wiedziałam, że to docenisz. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która jest do tego zdolna. Ktoś inny wygłosiłby komentarz w rodzaju: „Całe szczęście, że go nie poślę”.
Taka myśl przemknęła mi przez głowę, ale to przemawiała zgorzkniała część mojej duszy. Udało mi się utrzymać język za zębami.

- Wracając do dawnych czasów, chciałam cię zapytać, co się stało z Johnem? Czy jeszcze się z nim kiedyś widziałas?

- Z Johnem?

- Daj spokój, Eloise. Przecież pamiętasz. Chodzi mi o tego szofera, z którym straciłaś dziewictwo.

- Ach, John! - Eloise rozpromieniła się. - Rany, zupełnie o nim zapomniałam. Był taki sympatyczny, prawda? Nie, nigdy więcej go nie widziałam. Jakiś czas byłam w Europie. Kilka lat mieszkałam w Paryżu, potem w Londynie i na południu Francji. Jak już ci wczoraj mówiłam, włóczyłam się bez celu, niewiele robiłam. Nauczyłam się tylko grać w tenisa. Przez jakiś czas miałam chłopaka, który był trenerem, i on mnie nauczył. Do niczego innego się nie nadawał, ciągle miewał jakieś romanse na boku. Nie obchodziło mnie to, bo go nie kochałam. Wykorzystywał mnie dla pieniędzy, a ja wykorzystywałam jego, bo chciałam mieć towarzystwo. To była strata czasu, ale wtedy niema! wyłącznie traciłam czas. Dopóki nie wróciłam do Nowego Jorku i nie poznałam Roberta, moje życie nie miało większego sensu. To taki szczęśliwy traf, że właśnie nasze samochody się zderzyły.

- Głupcy nazywają trafem przeznaczenie. - Przypomniałam sobie to zdanie z filmu z Fredem Astaire'em, *Wesoła rozwódka*. - Skoro mamy okazję porozmawiać na osobności, chcę ci zadać jedno pytanie. Nie wiem, jak to wyrazić. Czy zmieniłaś swój wygląd, no, wiesz, strój, włosy i tak dalej, po tym, jak spotkałaś Roberta, czy już wcześniej?

- A to ma jakieś znaczenie?

- Pewnie nie.

- Po tym, jak się poznaliśmy. Dlaczego pytasz? Czy wyglądam jak bogata jędza? Jedna z tych, które widywałyśmy w restauracjach, a ty mówiłaś, że nie chcesz, żebym kiedykolwiek tak wyglądała?

- Ależ nie. Oczywiście widać, że jesteś bogata, ale z pewnością nie przypominasz jędzy. Wyglądasz wspaniale. Jestem zazdrosna. Kiedy znudzą ci się te ciuchy, prześlij je do mnie, dobrze? - Nachyliłam się i chwyciłam ją za rękę. - Tak się cieszę z twojego szczęścia. Mówię poważnie. A wczoraj wieczorem świetnie się bawiłam. Robert jest niewiarygodny.

Tryska energią. I bardzo cię kocha. To fantastyczne. Zasłużyłaś sobie na to. A pisanie książek dla dzieci to wspaniały pomysł.

- Powiedział ci o tym? - Wyraźnie ją to zaskoczyło. - Wiem, że to świetny pomysł. Robert musi tylko zacząć pisać, co pewnie nie będzie takie trudne. Ostatnio zupełnie nie miał czasu. Stale zajmował się mną. On jest prawdziwym człowiekiem renesansu. Nie uwierzyłybyś, ile on wie, i to na najróżniejsze tematy. W dodatku jest zdumiewająco utalentowany.

Teraz zrozumiałam, jak musiała się czuć Eloise, kiedy ja bez przerwy rozprawałam o Buddym. Czy kobiety są skazane na rozmowy o mężczyznach, kiedy znajdują się same?

- O której godzinie nastąpi ta wielka uroczystość? To znaczy, kiedy będzie ślub?

- Jejku. Muszę się przygotować. Ślub będzie o pierwszej, w salonie. Ubierz się w to samo, co wczoraj wieczorem. Wyglądałaś wspaniale, a poza tym twój strój będzie pasował do mojej sukni. Nie przejmuj się, będziesz tylko stała obok mnie i trzymała kwiaty.

- Muszę też poszukać innej pary butów.

Eloise wybiegła, a ja postanowiłam, że zanim zacznę się przygotowywać do uroczystości, wybiorę się na krótki spacer. Włożyłam dzinsy, bluzkę i poszłam na plażę. Niebo zasnuwały chmury, a panujący chłód orzeźwiał i pomagał pozbyć się kaca. Szłam rozmyślając nad szczęściem przyjaciółki i zastanawiając się nad tym, czy ja też mogłabym znaleźć mężczyznę, przy którym byłabym szczęśliwa. W pewnej chwili podniosłam wzrok i zobaczyłam idącego w moją stronę Bobbyego.

- Świetnie się składa - powiedziałam, kiedy się spotkaliśmy. - Znowu skończyły mi się zapalki. Masz ogień? - Stał blisko mnie, tak żeby zasłonić płomień przed lekkim wiatrem, i przypalił mi papierosa. Miał duże dłonie i był o wiele wyższy od ojca. Na żrenicach nie zauważyłam żadnej nieregularnej plamki. Jedna cecha wyraźnie upodobniała ich do siebie - nos. Obaj mieli szerokie nosy, zupełnie nie przypominające klasycznego rzymskiego wzorca, ale mimo to zgrabne.

- Ile masz lat, Bobby?
- Dwadzieścia.
- Jesteś strasznie wysoki.
- Wiem.
- I dobrze tańczysz.
- Dziękuję. - Zrobił kilka kroków na piachu, naśladowując Michaela Jacksona. Potem zatrzymał się, włożył ręce do kieszeni sztruksowych spodni i spojrzał na morze. Nie wiedziałam, co się mówi dwudziestolatkowi w dniu ślubu jego ojca.
- Lubisz Eloise? - zapytałam po długiej chwili ciszy.
- Owszem, lubię Eloise. Co prawda, dopiero teraz ją spotkałem. To znaczy, przyjechałem tu w zeszłą sobotę, więc znamy się tylko tydzień. Jest miła. - Nie poruszył się, wciąż patrzył na wodę. Zgasiłam papierosa i stopą zakopałam niedopałek w piasku.
- Z takim wspaniałym ojcem miałeś pewnie cudowne dzieciństwo.
- Dlaczego tak sądzisz? - Fale szumiały gniewnie. Ten sam ton usłyszałam w jego głosie.
- Cóż, odniosłam wrażenie, że doskonale rozumie dzieci.
- Wydawało mi się, że słyszę, jak Bobby mamrocze pod nosem:
- Powiedz to mojemu specjaliście od czubków. - Nie byłam pewna, czy dobrze go zrozumiałam, bo sweter, który właśnie zdejmował, tłumił jego głos.
- Co powiedziałaś?
- Powiedziałem: „Weź to, bo trzęsiesz się z zimna”. - Wręczył mi sweter. Niewątpliwie w Bobbym Chappellu było coś nieprzeniknionego. Przypominał dobrze otynkowaną ścianę, gładką powierzchnię bez jednej szczeliny, bez jednego występu, którego można by się było uchwycić. Wydawało mi się, że jeśli ciskałabym w niego piłeczkami tenisowymi, wszystkie odbijając się padałyby w jedno miejsce, jak wyrzuczone przez maszynę treningową. Nawet jego gniew był wyraźnie kontrolowany.
- Dzięki, trochę dzisiaj chłodno. Spójrz, jest dla mnie trzy razy za duży. - Sweter wyglądał na mnie jak sukienka. Wiedziałam, że nasza rozmowa o ojcowskich zaletach Roberta nie

sprawiła chłopakowi przyjemności, ale o co miałam go zapytać? Co studiuje? Był ode mnie siedemnaście lat młodszy, ale to ja czułam się głupio. - Wybieram się na spacer. Chcę się pozbyć tego okropnego kaca. Przyłączysz się do mnie?

- Nie, dziękuję. Lepiej będzie, jak wezmę prysznic i się przebiorę. Miło się z tobą rozmawiało.

Robert nauczył swojego syna dobrych manier. A może zrobił to ktoś inny?

Uroczystość przebiegła bez żadnych niespodzianek. Eloise zrezygnowała z tradycyjnej ślubnej bieli i wystąpiła w jasnożółtej jedwabnej sukni. Robert ubrał się bardziej konwencjonalnie, w szary flanelowy garnitur i konserwatywny krawat. Bobby i ja mieliśmy na sobie to samo, co poprzedniego wieczora. Nie wiem, kto czesał i malował Eloise, ale zrobił to doskonale. Moja przyjaciółka wyglądała tak pięknie, jak powinna w takim dniu wyglądać każda panna młoda. Słowa przysięgi były proste, a pastor miły i przyjazny. Trzymałam bukiet żółtych i białych tulipanów. Nie wiem dlaczego, ale się cieszyłam, że to nie lilie.

Kiedy parę młodą ogłoszono mężem i żoną i nowożeńcy pocałowali się, Robert odprowadził pastora i wszyscy czworo zasiedliśmy w jadalni do weselnego lunchu, złożonego z sałatki z homara i kanapek z wędzonym łososiem. Byliśmy sami - Deborah, pokojówka, i lokaj nie kręcili się wokół nas. Podejrzewałam, że Eloise o to zadbała, i uznałam, że to bardzo trafna decyzja.

Dwa lata wcześniej miałam krótki romans z pewnym mężczyzną. Siedziałam właśnie w jego mieszkaniu i przeglądałam magazyny ilustrowane, podczas gdy on przebierał się do kolacji. Wpadł mi w ręce egzemplarz czasopisma „Forbes”, ten w którym zamieszczono listę najbogatszych ludzi w Stanach. Nazwisko Eloise widniało w połowie listy. Zawołałam swojego kochanka i pokazałam mu listę.

- Znam tę kobietę - pochwaliłam się. - Podczas studiów mieszkaliśmy w jednym pokoju w akademiku.

Ta wiadomość go zafascynowała i podczas kolacji wypytywał mnie o dawną przyjaciółkę. W miarę słuchania moich opowieści na jego twarzy pojawiła się mina rozczarowanego podglądacza.

- Wakacje na Cape Cod, klimatyzator, bilety do opery i przejażdżka limuzyną? Tylko tyle dostałaś od jednej z najbogatszych kobiet w Ameryce? Moim zdaniem straszny z niej dusigrosz.

- Co ty mówisz! Stale chadzałyśmy do drogich restauracji, a ona za wszystko płaciła. Wcale nie była dusigroszem. To bardzo szczodra dziewczyna.

- Widocznie mamy różne wyobrażenie o szczodrości. Gdybym to ja przyjaźnił się z kimś tak nadzianym, oczekiwałbym rejsu po Morzu Śródziemnym w czasie wiosennych wakacji i nart w Gstaad zimą. Cholera, przecież tu w grę wchodzi kupa forsy. Klimatyzator. Chryste! Dlaczego na drugim roku nie wyprowadziłyście się z tego akademika do jakiegoś klimatyzowanego apartamentu przy Piątej Alei? No, właśnie. Dlaczego ona w ogóle mieszkała w akademiku? Zdam mi się, że wspominałaś coś o wielkim domu jej ojca.

- Owszem. Raz zaprosiła mnie tam na szampana, w dniu rozdania dyplomów.

- Coś takiego. Szczodra aż do bólu. Szampan w dniu rozdania dyplomów. Schowajcie się w myślą dziurę, hojni sponsorzy. Współlokatorka Stacy to zupełnie inna kategoria.

Tego dnia wróciłam do siebie i spędziłam noc samotnie. Doszłam do wniosku, że Eloise rzeczywiście należała do innej kategorii. Nie była skąpa. Korzystała ze swoich pieniędzy, ale się nimi nie popisywała. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że nie musiała mieszkać w akademiku. Mogła się przeprowadzić do domu ojca. Nie zrobiła tego, bo na ile to tylko możliwe, chciała zachować anonimowość. Obrazów zdobiących dom na Cape Cod nie namalował Warhol ani Lichtenstein; takich obrazów jak te nie wybrałaby stereotypowa nowojorska bolączka. Eloise kupiła je, ponieważ naprawdę jej się podobały. Nie sprzedała domu na Cape Cod, żeby kupić inny w jakiejś modnej, ulubionej przez sławnych i

bogatych miejscowości. Nigdy nie wybrałaby się na luksusowy rejs z innymi milionerami. Po pierwsze, w co by się ubrała? Roześmiałam się w duchu, wyobrażając sobie Eloise w kraciastych wełnianych skarpetkach na jachcie Onassisa.

Być może przez te lata, kiedy się nie widywałyśmy, prowadziła światowe życie w eleganckich sferach, ale nie pozostało to na niej żadnego śladu. Co prawda, wyglądała teraz inaczej, ale zachowywała się tak samo. Nasz weselny lunch dowiódł mi tego.

- Wiesz, Stacy, mamy przy tym stole bardzo interesującą gromadkę. - Robert wyrwał mnie z zamyślenia. Nalał mi kieliszek szampana. - Wszyscy jesteśmy jedynakami, prawda? Żadne z nas nie ma rodzeństwa. Wydaje mi się, że to niezwykle. Ale przecież wszyscy jedynacy są niezwykle. W dzieciństwie musimy sami sobie wymyślać zabawy, więc wyrastamy na ludzi twórczych, obdarzonych wyobraźnią. Chciałbym kiedyś przeprowadzić badania nad sławnymi ludźmi i sprawdzić, ilu z nich było jedynakami.

- Ciekawe, czy Szekspir był jedynakiem? - zastanawiałam się głośno.

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Czy Jerzy Waszyngton miał brata, który namawiał go, żeby ściął drzewko wiśniowe? To mogłoby być dzieło historyczne. Oczywiście, zacząłbym od najbardziej znanego jedynaka wszechczasów.

- A kto to taki? - zapytała Eloise.

- Siedź prosto, kocie. - Położył jej rękę na głowie, a ona zaraz się poprawiła i wyprostowała ramiona. - Jezus Chrystus. - Robert skończył nalewać szampana i usiadł.

Bobby przyglądał się obrazowi nad kominkiem. Widać było, że nie ma ochoty włączyć się do rozmowy.

- Sądzę, że niepokalane poczęcie nie przydarzyło się Marii drugi raz. To byłoby zbyt niewiarygodne - stwierdziłam.

- Niepokalane poczęcie odnosi się tylko do Marii, nie do Jezusa - odrzekł Robert z uśmiechem.

- Co ty mówisz! Niepokalane poczęcie oznacza, że Jezus urodził się, chociaż Maria i Józef ze sobą nie spali.

Zdałam sobie sprawę, że to dziwny temat do rozmowy przy weselnym lunchu.

- Chcesz się założyć? - zapytał Robert z triumfalną miną. - Większość ludzi tak myśli. Ale jest inaczej.

- Daj spokój. Tak nam przecież powtarzają od dzieciństwa. Nie jestem katoliczką, jeśli w ogóle należę do jakiegoś Kościoła, to do episkopalnego, ale przecież te dwa kościoły nie mogą mieć różnych poglądów na tak fundamentalną sprawę.

- I nie mają. W Kościele katolickim i episkopalnym, tak samo jak w innych Kościołach chrześcijańskich, pojęcie niepokalanego poczęcia odnosi się do narodzin Marii.

- Nie wierzę ci.

- Świetnie. Będę się kłócił ze Stacy. Zaczyna mi się to podobać. - Ponownie napełnił mój kieliszek szampanem. - A ty mi wierzysz, Eloise? - Eloise skinęła głową. - Bobby?

- Tak, tato. Wierzę ci. - Bobby nadal nie odrywał wzroku od obrazu.

- W takim razie zostaje tylko Stacy. Cóż, zaraz ustalimy, kto ma rację. Kocie, gdzie schowałaś książkę telefoniczną?

- Zaraz ci ją przyniosę. I telefon bezprzewodowy.

- Dzięki.

- Do kogo zadzwonisz? - zaciekawiałam się. - Do Pana Boga?

Robert roześmiał się.

- Bóg i ja nie jesteśmy ze sobą tak spoufaleni. Ale przyszło mi na myśl niemal równie wiarygodne źródło. - Eloise wróciła z telefonem i książką. Robert szybko przerzucił kartki. - Proszę bardzo. Klasztor karmelitów bosych. Mnisi bez butów to coś akurat dla nas. Oto numer. Zadzwoń i zapytaj któregośkolwiek mnicha. Na pewno będzie znał odpowiedź.

Wyczułam, że już wygrał. Musiał być pewien swojej racji, bo inaczej nie kazałby mi dzwonić do klasztoru. Mimo to wykręciłam numer. Jakiś mnich poinformował mnie uprzejmym głosem, że Robert się nie mylił.

- Cóż, teraz chyba ci uwierzę, nawet jeśli mi powiesz, że święty Mikołaj jest transwestytą - stwierdziłam, odkładając słuchawkę.

- Zaraz poszukam numeru na bieżący północny. - Robert znów zaczął kartkować książkę telefoniczną.

Wszyscy się roześmialiśmy, a Eloise spojrzała na mnie rozpromieniona.

- Robert wie wszystko. Od pół roku stale się o tym przekonuję.

- Ale nie wiem jeszcze, czy potrafię cię pokonać w tenisa. Co ty na to, Stacy? Może zagramy? Świeże powietrze dobrze nam wszystkim zrobi.

- Teraz?

- Dlaczego nie?

- Nie chce mi się przebierać.

- W takim razie się nie przebieraj - zahuczał Robert. - Twoja sukienka nie jest ciasna. Ja zagram w garniturze. No, zgódź się. To będzie dobra zabawa. Założymy tylko tenisówki.

- Dobrze. - Nie miałam ochoty grać, ale nie potrafiłam mu odmówić.

- Możesz znowu pożyczyć mój sweter - odezwał się Bobby. - Na zewnątrz jest zimno.

- Znowu? - Robert uniósł brwi. - Co wyście dzisiaj wyprawiali?

Poczułam się jak nastolatka przyłapaną na paleniu papierosów. Dziwna reakcja, bo przecież nie zrobiłam nic złego.

- Rano przez kilka minut rozmawialiśmy z Bobbym na plaży, i wtedy pożyczył mi sweter.

- A o czym to dyskutowaliście na tej plaży?

- O tańcu - szybko odpowiedział Bobby. - Stacy pochwaliła mnie, że jestem dobrym tancerzem.

- Mam nadzieję, że nie tak dobrym jak ja. Wiesz, ojciec zawsze czuje się trochę niepewnie, kiedy syn zmienia się w mężczyznę. Chyba nigdy się z tym nie pogodzę. No, dalej, Stacy. Kończ jedzenie i idziemy na kort.

Musieliśmy stanąć przy niezwykłym widoku, kiedy tak odbijaliśmy piłkę w weselnych strojach. Robert grał zupełnie przyzwyczajenie, ale w tenisie jego kipiąca energia działała przeciwko

niemu. Z szerokim rozmachem wybijał piłkę daleko poza końcową linię kortu, a kiedy smeczował znad głowy, robił to tak mocno, że piłka z wielką siłą uderzała w siatkę. Zdjął marynarkę; wyglądał w szarych flanelowych spodniach staroświecko. Z dziecięcą werwą biegał po korcie i głośno wymyślał nieposłusznej piłce. Najwyraźniej świetnie się bawił. Jego zapal łatwo się udzielał, więc i ja znalazłam w tej zabawie przyjemność. Od czasu do czasu, żeby go zaskoczyć, serwo wałam od dołu, a kiedy tylko było to możliwe, z całą siłą posyłałam piłkę wprost na niego i zaśmiewałam się patrząc, jak przed nią uskakuje. Otulona futrem Eloise stała przy korcie i okrzykami zagrzewała nas oboje do walki. Bobby przyglądał się w milczeniu.

Kiedy w końcu wygrałam sześć do czterech, Robert w biegu przeskoczył siatkę i obdarzył mnie jednym ze swoich niedźwiedziich uścisków. Przyciśnięta do jego piersi czułam, jak szybko bije mu serce.

- Świetna robota, Stacy. Ale następnym razem cię pokonam. - Wypuścił mnie z objęć i skłonił się. Mało brakowało, a powtórzyłabym gest Eloise. Miałam ochotę przeczesać ręką jego włosy. Jednak tylko odwzajemniłam ukłon. Zobaczyłam, że mój oddech tworzy małe obłoczki w mroźnym grudniowym powietrzu. Robert podbiegł do Eloise i ucałował ją.

- Mam nadzieję, kocie, że cię nie rozczarowałam.

- Jak mógłbyś mnie rozczarować? - odparła, przyciągając go do siebie. - Tak się cieszę, że się polubiliście.

- Przecież to niemożliwe, żebyśmy się nie polubili. Prawda, Stacy?

- Prawda, Robercie. - Podeszłam do nich i stanęliśmy twarzą w twarz. Jego ciemne, falujące włosy wzburzyły się. Lekko dysząc ze zmęczenia, uśmiechnął się do mnie łobuzersko. - Po tym wysiłku potrzebuję papierosa. - Odwróciłam się i ruszyłam do Bobby'ego, który stał po drugiej stronie siatki. - Może się przejdziemy i na chwilę zostawimy nowożeńców samych?

- Nie chcemy nawet o tym słyszeć. Mam rację, kocie?

Wracamy do domu. Trochę odpoczniemy i napijemy się szampana. Jeszcze wystarczająco nie uczciliśmy tego święta. - Robert wyrzucił raketę w powietrze, złapał ją i obrócił, niby partnerkę w tańcu.

Eloise chwyciła mnie za ramię i poprowadziła do domu, a Bobby z ojcem podążyli za nami.

- Dziękuję, że zagrałaś, Stace.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Poza tym Robertowi niełatwo odmówić. Ma bardzo silny charakter. Teraz rozumiem, jak to się stało, że tak cię zauroczył.

- Mam tylko nadzieję, że ja również go zauroczyłam.

- Ależ oczywiście. Nie to miałam na myśli. Wyglądasz dzisiaj wspaniale i też jesteś niezwykła. Już to mówiłam, ale jeszcze raz powtórzę, że on bardzo cię kocha. To widać.

- Tak myślisz?

- Eloise! Na miłość boską, jego twarz się rozjaśnia, ilekroć na ciebie patrzy. Jest taki niewiarygodnie opiekuńczy. Przysięgę ślubną wypowiedział z bardzo poważną miną. W sprawach uczuciowych wygrałaś los na loterii. Wierz mi, bo ja podchodzę do tych spraw cynicznie. Nawet ci się przyznam, że szukałam w nim jakichś wad, ale dostrzegłam tylko jedną. Robert zwraca ci uwagę, żebyś siedziała prosto.

- To dla mojego własnego dobra. - Przez futro wyczulałam, że ramię Eloise zeszczywniało.

- Możliwe. A jak ci się podoba twój pasierb?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Robert podbiegł i otoczył nas ramionami.

- Dziewczyny, przeberzemy się w coś wygodniejszego, usiądziemy przy tym cudownym kominku, posłuchamy wspaniałej muzyki i napijemy się wyśmienitego wina. To będzie piękne zakończenie pięknego dnia.

Poszliśmy do swoich pokoi na, jak to nazwała Eloise, popołudniową sjęstę, a o szóstej znów zebraliśmy się w salonie. Wspaniałą muzyką okazała się *Traviata*. Usadowieni w wygodnych pozach bez słowa wysłuchaliśmy całego dzieła.

Bobby usiadł na podłodze, oparł się o kaloryfer i wyciągnął przed siebie długie nogi. Z zaskoczeniem spostrzegłam, że się nie nudził. Z uszczęśliwioną miną słuchał Placido Domingo. Zdziwiło mnie też, że Robert potrafi tak długo spokojnie trwać w jednym miejscu, chociaż nie tak dawno kipiąca energia pchała go do działania.

Deborah i nie znany mi lokaj podali nam kolację, do której piliśmy trzy różne gatunki win. Opowiadałam o życiu w Kalifornii, a potem wraz z Eloise wspominałyśmy Barnard, podobnie jak podczas tego dnia spędzonego z Johnem. W naszych opowieściach nie wymieniłyśmy jego imienia, ani też imienia Buddy'ego.

- Czasami tęsknię za duchem lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych - wtrącił Robert. - Cieszę się, że już się kończy czas tych nudnych japiszonów z Wall Street, którzy w eleganckich garniturach rozbijają się swoimi BMW. Jestem przekonany, że u podłoża ich chciwości leży „Monopol”.

Ciekawie, czy gdyby Robert znał mnie i Eloise w czasach studiów, uznałby nas za nudnych japiszonów? Prawdopodobnie tak.

- Monopol? Jaki monopol? - zapytałam.

- Gra „Monopol”. Od wczesnych lat dzieci się uczą, jak zostać kapitalistycznym przedsiębiorcą. Kupują, sprzedają, robią fortuny, bankrutują. Inwazja yuppies to wina Waddingtona.

- A ty, Bobby, grałeś w „Monopol”? - zacięła się Eloise.

Bobby zerknął na ojca, jakby oczekiwał zezwolenia na odpowiedź. Robert lekko skłonił głowę.

- Nie byłem w tym dobry - odparł spokojnie chłopak. - Poczęstujesz mnie papierosem, Stacy?

- Oczywiście. - Szybko zerknęłam na Roberta, ale nie zważałam na jego twarzy niezadowolenia. Dał znak lokajowi, żeby napełnił kieliszek Eloise. - Ja lubię grać w „Kto to zrobił?” Wiesz, panna White na tropie złoczyńcy. Czy to znaczy, że jestem sfrustrowanym detektywem?

- Lubisz zadawać pytania, co? Tak, powiedziałbym, że jesteś detektywem. - Robert uśmiechnął się.

Zastanawiałam się, czy powiedział Eloise o naszej wczorajszej rozmowie, o tym, jak go wypytywałam.

- Powiedźcie, gdzie będziecie mieszkać?

- W Nowym Jorku. W tym samym domu. Tam również wszystko wyremontowałam i przemeblowałam. Wiesz, dach był w okropnym stanie, a instalacja elektryczna wręcz przedpotopowa. Nie uwierzyłybyś, ile tam trzeba było zmienić. Sama hydraulika... - Urwała nagle, pociągnęła łyk wina i zwróciła się do męża. - Może zagramy w tę grę, którą tak lubisz? Wiesz, tę, w której wybierasz sobie jakąś postać z literatury, a inni odgadują, kim jesteś.

- Dobrze. Świetny pomysł, kocie. Zagramy w to. - Nachylił się i pocałował ją w kark.

Gra okazała się wyjątkowo zabawna. Bobby wybrał Hucka Finna, ja Jane Eyre, Eloise Cathy z Wichrowych wzgórz, a Robert Lolitę, co bardzo wszystkich rozśmieszyło.

- Przepraszam, ale chyba będzie lepiej, jeśli panna młoda uda się do sypialni - powiedziała Eloise, kiedy gra dobiegła końca. - Przykro mi, że psuję zabawę.

Robert natychmiast wstał i otoczył żonę ramieniem.

- Mam pani do powiedzenia tylko dwa słowa, pani Chappell. - Eloise spojrzała na niego pytająco. - Obowiązek małżeński. - Nowożeńcy zgodnie zachichotali. - Eloise i ja zamierzamy już zakończyć ten dzień. A ty, Bobby? Nie jesteś zmęczony? - zapytał troskliwie syna.

Bobby zgasił kolejnego papierosa, którym go poczęstowałam, i wstał.

- Idę na spacer, a potem kładę się spać.

- A ja od razu idę do łóżka - oznajmiłam, również wstając. Robert podszedł do mnie i oficjalnie uściśnął mi rękę.

- Dobranoc, Stacy.

- Dobranoc, Robercie. Miło było...

Zanim dokończyłam, ścisnął mocniej moją dłoń, obrócił

mnie wkoło, znów przyciągnął do siebie i nie rozchylając warg złożył mocny pocałunek na moich ustach.

- Oczywiście, że miło było mnie poznać - powiedział ze śmiechem, wypuścił mnie i wyrzucił ramiona do góry. - Wszyscy powinni mnie kochać. Nie pamiętasz, że jestem Lolitą?

Zostawił mnie oniemiałą, podbiegł do Eloise i wziął ją na rękę.

- Scarlett, najdroższa. Czas, żebym cię wniósł po schodach Tary. Dobranoc wszystkim.

Kiedy wychodził, słyszałam stłumiony śmiech Eloise, która wtuliła twarz w jego ramiona.

Staliśmy z Bobbym jak dwoje statystów na planie filmowym, niepewni, czy reżyser naprawdę zakończył już dzisiejsze zdjęcie.

- Chryste, Bobby..., Twój ojciec... - zaczęłam, ale nie potrafiłam skończyć. Przesunęłam językiem po wargach i sięgnęłam po papierosa.

- Taaak. - Bobby podał mi ogień.

- Chcesz jednego? - Podsunęłam mu paczkę.

- Nie, dziękuję. Chyba się przejdę.

W drodze do swojego pokoju usłyszałam męski głos, śpiewający przy dźwiękach gitary akustycznej. Mijając drzwi do sypialni Eloise i Roberta, przystanęłam na chwilę i z poczuciem winy nadśluchiwałam. To nie było radio, jak mi się z początku zdawało. Śpiewał Robert. Śpiewał serenadę dla Eloise. „Postawiłem wszystko na jedną kartę. Wszystko co mam, stawiam na ciebie”. Okropnie kliwa scena, wydawać by się mogło. A jednak ta scena nie była kliwa. Była piękna. Robert śpiewał zadziwiająco, czystym głosem, cichym i intymnym, a nie grzmiącym, jakiego używał w dyskusji. Brzmiał jak profesjonalny piosenkarz, pewny siebie i niezwykle czuły. Mimo woli oparłam się o ścianę i słuchałam. Wiedziałam, że nie powinno mnie tu być, ale nie chciałam odejść. Robert skończył piosenkę, a Eloise biła mu brawo. Stałam bez ruchu. Robert coś powiedział, nie dosłyszałam, co, potem uderzył w struny i zaintonował **Weszłaś mi w krew.**

Wolno ruszyłam do siebie, a jego głos biegł za mną po korytarzu. Robert wspomniał, że nie powiodło mu się w przemyśle muzycznym. Nie wypytywałam go o szczegóły, żeby nie wyjść na zbyt ciekawską. Teraz nie miałam wątpliwości, że był piosenkarzem, ale jakim? I dlaczego nie zdobył sławy? Z takim głosem nie powinien mieć z tym żadnych trudności. Robert Chappell okazał się równie tajemniczy, jak kiedyś Eloise. Oboje skryli się w sypialni, dzieląc się miłością i sekretami, zjednoczeni przeciwko reszcie świata. Weszli sobie w krew. Dopóki śmierć ich nie rozłączy. Albo rozwód, poprawiłam się w duchu.



1974-1978

Niezniszczalny tata jednak umarł. W tydzień po wyjeździe Eloise do Paryża. Dowiedziałam się o tym z gazet, przeczytałam nekrologi, przyjrzałam się jego twarzy na zdjęciach. Rodzinne podobieństwo zauważyłam jedynie w nisko położonych kościach policzkowych. Poza tym przypominał Ernesta Hemingwaya: grzywa siwych włosów, chmurna mina, pełne wyższości, groźne spojrzenie. Jego śmierć otworzyła drzwi do jednej z najbardziej strzeżonych tajemnic Eloise - śmierci jej matki.

Tygodnik „Time” opisał całe życie ojca mojej przyjaciółki, począwszy od skromnych początków. Ojciec Paula Parkera prowadził stację benzynową w New Jersey. Paul skończył szkołę średnią, a potem college w Havford. Po krótkim flircie z komunizmem wykonał gwałtowną woltę i został zagorzałym sympatykiem Partii Republikańskiej. Zbił fortunę na handlu, ponieważ miał, jak to określił „Time”, zdumiewający dar robienia odpowiednich interesów we właściwym momencie i niemal nadprzyrodzone wyczucie rynku.

W wieku trzydziestu lat ożenił się z wywodzącą się ze świetnej rodziny panną z Nowej Anglii, późniejszą matką Eloise - Frances Spaulding. Frances wkroczyła w życie towarzyskie na balu debutantek i stała się jedną z najśtywniejszych dam w eleganckich sferach. Już przed ślubem była bajecznie

majątna. Żałowałam, że nie zamieszczono jej fotografii i poświęcono jej zaledwie kilka linijek tekstu.

Frances Parker utonęła w cieśninie Long Island. Uważa się, że jej tragiczna śmierć miała związek z głęboką depresją poporodową, z powodu której była krótko hospitalizowana w 1953 roku. Chociaż śmierć pani Parker nie została oficjalnie uznana za samobójstwo, przyjaciele sądzą, że utopiła się podczas kolejnego ataku depresji. Pan Parker odmawiał wszelkich komentarzy. Nigdy się ponownie nie ożenił, jego córka i jedyna spadkobierczyni, Eloise Camille Parker, lat 22, czuwała przy jego łożu śmierci w Paryżu.

Żałowałam, że nie wiedziałam tego wcześniej. Eloise nie ufała mi na tyle, żeby mi o tym powiedzieć; unikała rozmów na temat śmierci matki. Nie trzeba dyplomu psychoanalityka, żeby się domyślić, że to poczucie winy spowodowało u niej przekonanie o cięższej nad nią klątwie i potrzebę „wyrównania rachunków”. Eloise obarczała się winą za śmierć matki. Wierzyła, że to jej narodziny wywołały strumień niszczących hormonów, które w rezultacie doprowadziły do śmierci matki. Biedna Eloise. Wiedziałam, że nie znosi, kiedy się nad nią ktoś lituje, ale łzy napływały mi do oczu. Moja przyjaciółka była ofiarą tragicznego splotu wydarzeń.

Powiedziała mi, że ojciec odsunął się od niej, kiedy skończyła trzynaście lat. Czy bał się, że szalejące hormony nastolatki zawładną jego córką, tak jak kiedyś zawładnęły jej matką? Czy czuł się winny, że nie zaopiekował się żoną odpowiednio i zbyt wcześnie pozwolił jej wyjść ze szpitala? A może podświadomie winił Eloise za jej śmierć? Jakkolwiek było, co do jednego miałam pewność - przez całe życie Eloise dźwiżyła na barkach ciężkie brzemie. Te wszystkie lilie. Wciąż jeszcze czułam ich duszący zapach, kiedy do pokoju w akademiku przynoszono nową partię kwiatów.

Nasze listy minęły się gdzieś nad Atlantykiem. Napisałam

do Eloise, a po dwóch dniach przyszedł list od niej. Było to w przeddzień mojego wyjazdu do Peorii.

Droga Stace,

Może już wiesz, że zmarł mój ojciec. Nie odzyskał przytomności, nawet nie wiedział, że przy nim byłam. A może wiedział, ponieważ cały czas do niego mówiłam, a podobno ludzie w takim stanie czasem słyszą, chociaż innym się wydaje, że tak nie jest. Nie przychodził mi do głowy żaden inny temat, oprócz fizyki, więc jeśli moje słowa rzeczywiście do niego docierały, to być może zanudziłam go na śmierć. A może teraz tłumaczy Bogu teorię względności.

Przed pogrzebem nałożyli mu na twarz tak grubą makijaż, że wyglądał jak kukła brzuchomowcy albo postać z komiksu. Wolę zachować jego obraz, jaki zapamiętałam w dzieciństwie, i czasami nawet żałuję, że nie pozwoliłam mu umrzeć samotnie. Obiecuj mi, że kiedy ja umrę, nie będziesz oglądała moich zwłok. Nie pomoże to ani mnie, ani tobie.

Wkoło tylu Francuzów, ale żaden z nich nie nosi beretu. Co za rozczarowanie. Poczułam się trochę lepiej, kiedy obejrzałam „Cyganerię” w Operze Paryskiej.

Muszę tu jeszcze trochę zostać i wyjaśnić kilka spraw z prawnikami, którzy przylecieli z Nowego Jorku. Zdaje się, że jestem bogatsza niż Pan Bóg, jak kiedyś mawiałaś. Bogatsza niż Bóg i diabeł razem wzięci, ponieważ teraz mam nie tylko pieniądze matki, ale i ojca. Pewnie wiesz już z gazet wszystko o śmierci mojej mamy. To miłe czytać o swoich osobistych sprawach w „Time”, nie ma co. Mój sekret się wydał. Znasz mnie, Stacy, więc rozumiesz, dlaczego nie chciałam o tym rozmawiać. Ani przedtem, ani teraz.

Właśnie przeczytałam ten list. Brzmi tak lekko i niefrasobliwie. Jednak nic, co wiąże się ze śmiercią mojego ojca, nie jest lekkie i niefrasobliwe. Ale nie mogę już o tym myśleć. Zawsze miotałam nadzieję, że kiedyś znów będziemy sobie bliscy. Teraz nadzieja przepadła. Zostałam sierotą, a to jeszcze gorsze niż bycie nastolatką.

Okazało się, że ojciec od dziesięciu lat miał burzliwy romans z jakąś mężatką, tutaj w Paryżu. Widzisz więc, że

się myliłam.

Była inna kobieta. Spotkałam ją któregoś dnia w szpitalu. Kiedy zobaczyłam, jak gorzko płacze, uświadomiłam sobie, że go kochała. Zapytałam, dlaczego mi o niej nigdy nie powiedział. Odparła, że to była ich tajemnica. Pewnie bardziej bym się tym zdenerwowała, ale ta kobieta jest tak niezwykle piękna, jak gwiazda filmowa z lat trzydziestych. Nie mogła wyjść za mojego ojca, ponieważ jest katoliczką, i nie chciała się rozwodzić. Wyznała mi, że od dziesięciu lat żyje z ciągłym poczuciem winy. Sama nie wie, czy jego śmierć sprawiła jej ulgę, czy doprowadziła do rozpacz.

Tak bardzo żałuję, że ojciec mi nie ufał. Być może czułabym zazdrość, ale przecież nawet w wieku trzynastu lat byłam romantyczką. Mogliśmy o tym porozmawiać. Razem przeżywalibyśmy jego problemy. Dlaczego nie pokładał we mnie większej wiary? Przecież tak bardzo go kochałam. Zawsze będę go kochała.

Mam nadzieję, że dobrze wam się z Buddym układa. Może przyjechalibyście kiedyś do Paryża?

Uściski
Eloise

Mój list do niej wyrażał tyle współczucia, na ile mogłam się zdobyć, kiedy chodziło o stratę człowieka, którego uważałam za złego ojca. Chociaż mnie kusilo, nie wspomniałam o jej matce. Eloise zamknęła na klucz tę część swojej duszy, gdzie kryły się problemy związane z matką. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła się tam dostać, ale nie potrafiłam się zmusić przyjaciółki do otworzenia tej sekretnej komnaty. Musiałam uszanować to, że nie życzy sobie rozmów na ten temat.

Zapomniałam o Eloise, kiedy zaczęłam myśleć o zbliżającej się konfrontacji z własnym ojcem. Nie może mnie powstrzymać przed zamieszkaniem z Buddym. Kiedy zacznę pracę w księgarni Doubleday, zarobię na swoje utrzymanie, chociaż na bardzo niskiej stopie. Jednak brak aprobaty ze strony ojca bardzo by mnie unieszczęśliwił. Buddy zamierzał przyjechać do mnie, do Peorii, w następną sobotę.

- Nie mów im, że chcemy mieszkać razem, dopóki tam nie przyjadę, dobrze?

- Dobrze - odparłam. Ucieszyłam się, że odwlekłam przykrą rozmowę o tydzień, a kiedy będę już musiała rzucić bombę w środek domowego ogniska, Buddy stanie przy moim boku.

Przez cały tydzień wychwalałam Buddy'ego przed rodzicami, opowiadałam, jak świetnie mu idzie na studiach, jaki jest kulturalny i z jakiej dobrej pochodzi rodziny. Widziałam jego rodziców i siostrę tylko raz. Mieszkali w Connecticut i zrobili na mnie wrażenie liberalnej rodziny na luzie. Nie mieli wobec mnie żadnych zastrzeżeń, chyba nawet spodobałam im się bardziej niż poprzednie dziewczyny Buddy'ego. Miałam nadzieję, że moi rodzice zachowają się wobec niego równie miło i serdecznie.

W rezultacie to, czego tak bardzo się obawiałam, okazało się łatwe i przyjemne. A to dzięki decyzji Buddy'ego, że powinniśmy się pobrać. Oświadczył mi się pięć sekund po tym, jak spotkaliśmy się na lotnisku. Wprawiło mnie to w takie oszołomienie, że niewiele więcej z tego dnia pamiętam. Wiem tylko, że natychmiast się zgodziłam i że Buddy poprosił o moją rękę ojca, który po krótkiej rozmowie również się zgodził. Mama płakała ze szczęścia. Wypiliśmy mnóstwo szampana. Buddy zrobił na rodzicach wspaniałe wrażenie, a ja byłam w euforii.

Dotychczas nie zdawałam sobie sprawy, jak silnie krępują mnie konwenanse i jak bardzo pragnę tuż po college'u wyjść za mąż i poświęcić się domowemu życiu. Dostałam pracę w Doubleday na skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności. Zgłosiłam się w odpowiednim momencie, a asystentką kierownika księgarni na Pięćdziesiątej Trzeciej była moja koleżanka z kursu literatury rosyjskiej i poleciła mnie w dziale personalnym. Perspektywa pracy z książkami, nawet na tak niskim szczeblu, bardzo mnie cieszyła. Tymczasem Buddy zaliczał ostatni rok studiów prawniczych. Zgodnie z moim planem gry, czekały nas cudowne chwile. Mieliśmy żyć w nieustannym szczęściu, jak w romantycznej operze, ale bez żadnego tragicznego wątku. Doskonała para w doskonałym mieście. Właśnie tak to widziałam.

Postanowiliśmy się pobrać we wrześniu, w Nowym Jorku.

Ślub miał być cichy i gustowny, w obecności rodziny i kilkorga przyjaciół. Wysłałam zaproszenie do Eloise, wciąż przebywającej w Paryżu. Odpowiedziała mi:

Droga Stace,

Bardzo bym chciała przyjechać, ale obawiam się, że nie będę mogła. Nie uwierzysz, ale wciąż jestem tu uwiązana, ze względu na formalności prawne. Mam już tego dość. Chodzi głównie o podatki, obywatelstwo taty i tym podobne nudne sprawy. Prawnicy twierdzą, że moja obecność jest niezbędna, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Kiedy pierwszy raz zrobiłam sobie zastrzyk podczas wieczornego spotkania, omal nie zemdleli. Tak jak ty tamtej nocy, myśleli, że jestem narkomanką. Szczerze mówiąc, to jedyne zabawne zdarzenie, jakie tu przeżyłam.

Tak się cieszę z twojego ślubu. Pamiętasz, jaka byłam o ciebie zazdrosna? Teraz czuję się jeszcze gorzej, a w dodatku martwię się o ciebie, bo poznałam tutaj wielu prawników i wiem, jaki to okropny gatunek ludzi.

Jestem pewna, że Buddy ich nie przypomina. Oboje zasługujecie na wszystko co najlepsze, i właśnie to wam się przydarza.

Uściski
Eloise

Żałuję, że nie potrafię dokładnie określić momentu, w którym nasze małżeństwo zaczęło się psuć. Wtedy być może potrafiłabym zrozumieć, jak i dlaczego rozpadają się związki między ludźmi. Nie doszło między nami do jakiejś jednej wielkiej kłótni, do gwałtownego kryzysu, po prostu miłość powoli się wyczerpywała. Tak jakby pociągało się za nitkę zwisającą na skraj spódnicy, aż w końcu pruje się cały obrąbek.

Dlaczego na początku miłości ludzie się okłamują? Nie robią tego ze złej woli, ale traktują prawdę jak plastelinę, której można nadać potrzebny nam kształt. Buddy zapewniał, że interesuje go muzyka poważna, a ja mówiłam, że lubię pop. Słuchałam jego płyt z wytwórni Motown, a on mojego Mozarta. Oboje twierdziliśmy, że fascynują nas nasze odmienne upodobania.

Te kłamstewka przetrwały około roku. Potem Buddy zaczął mi zarzucać, że jestem przedwcześnie zestarzałą dziewczką, a ja nazywałam go przerośniętym nastolatkiem. Mogło to być nawet zabawne, ale nie było. Nasza wieża stereo zamieniała się w pole bitwy. Rozgorzała między nami walka o to, kto pierwszy jej dopadnie, jaką płytę puści i jak głośno.

Te utarczki przynosiły jednak mniej szkody niż problemy z praniem. Gdy jeszcze studiowałam, z ochotą prałam rzeczy Buddy'ego w pralni w suterenie. Czułam nawet dumę. Przejmowałam nad nim opiekę. Kiedy poszłam do pracy i co wieczór wracałam do domu zatłoczonym metrem, perspektywa prania jego brudnych skarpetek już mnie tak nie cieszyła. On również nie podchodził do tego z entuzjazmem. Brudna bielizna piętrzyła się w szafie, stając się niemal zagrożeniem dla naszego zdrowia.

Z początku to rzeczywiście było śmieszne. Obojgu nam się tak wydawało. Ale kiedy brudne ciuchy zaczynały wysypywać się z szafy na podłogę sypialni, traciliśmy poczucie humoru. W końcu zabierałam się do prania. Dojrzewającą we mnie feministka ustępowała pola głęboko zakorzenionemu przekonaniu, że to mój obowiązek. Ale teraz był to zniechęcony obowiązek. Owszem, prałam, gotowałam i sprzątałam, ale nie pozwalałam Buddy'emu zapomnieć, że robię to wbrew sobie. Według mojego męża nie było to w porządku, ponieważ na początku naszego związku wydawało mu się, że wykonuję te prace z przyjemnością. I rzeczywiście, sprawiało mi to wtedy przyjemność, ale nie dlatego, że lubiłam prace domowe, lecz dlatego że w ten sposób określałam swoją pozycję, symbolicznie przejmowałam nad Buddym opiekę, zaznaczałam swoje terytorium. Poza tym obawiałam się, że gdybym zastrajkowałam, z łatwością znalazłyby inną kobietę, która radośnie podjęłaby się tych obowiązków, jak to z pewnością robiła jego poprzednia dziewczyna.

Kiedy w niedzielne przedpołudnia zapraszaliśmy znajomych, przyglądałam się z podziwem i zazdrością studentkom prawa. Wydawały mi się takie fascynujące i inteligentne. Na pewno nie robiłyby problemu z prania skarpetek, a w dodatku

znajdowałyby czas na wyteżone studia, które w przyszłości zapewnią im zawrotną karierę. Tymczasem ja harowałam w księgarni jako skromna ekspedientka, przyjmowałam pieniądze i wskazywałam odpowiednie półki klientom, szukającym Szczek albo Strachu przed lataniem. Czasami po pracy szłam z jakąś koleżanką do baru po drugiej stronie ulicy, gdzie z grupką francuskich kelnerów opróżniałyśmy butelkę wina. Ci sami kelnerzy niedawno obsługiwali mnie i Eloise w Cote Basque.

Wracałam do domu, zmęczona po całym dniu na nogach, i z niechęcią wykonywałam domowe prace.

Chyba każde małżeństwo, z mniejszą lub większą trudnością, musi przeskakiwać przez jakieś płotki, niczym w zawodach sportowych. Jednak przede mną wyrósł szczególnie trudny do pokonania płotek, taki z kolcami na poprzeczce. Był nim wiecznie zły nastrój Buddy'ego. Mój mąż stale siedział zagłębiany w prawniczych książkach, walczył o sukces, chciał dobrze wypaść podczas rozmów w sprawie pracy i dostać posadę w jednej z najlepszych firm. Ten wysiłek zaczął odciskać na nim swoje piętno. Kiedy mieszkaliśmy ze sobą przed ślubem, również miewał złe humory, ale potrafiłam sobie z nimi poradzić, tak samo jak radziłam sobie z dołkami Eloise. Rozśmieszałam go, opowiadałam dowcipy, albo uciekałam się do łatwiejszego środka, który nie mógł być stosowany wobec Eloise - ciągnęłam go do łóżka.

Teraz te środki zaradcze zawodziły. Buddy uodpornił się na nie, albo był zbyt zmęczony i tracił ochotę do zabawy. Rano budził się nachmurzony, narzekał na brak snu, na woń dymu z moich papierosów i na karaluchy. Wszystkie jego skargi były całkowicie uzasadnione, ale przecież nie mogłam mu zapewnić dłuższego snu, nie potrafiłam rzucić palenia i nie byłam w stanie kontrolować inwazji insektów. Po pracy wysłuchiwałam następnej porcji gderania. Półgłówkom z jego grupy lepiej poszło na teście, profesorowie to idioci, a nauki jest za dużo. Nawet po skończeniu studiów, kiedy znalazł dobrą posadę i sam zaczął pracować, nadał żył pod presją. Prawnicy pracują czternaście godzin na dobę, czasami dłużej.

Wszyscy starają się w ciągu kilku lat zostać partnerami w swojej firmie. Jeśli komuś się to nie uda, jest skazany, przylepia się mu etykietkę przegranego.

Nie umiałam mu pomóc, nie potrafiłam złagodzić napięcia. Wszystko psułam. Moi znajomi najczęściej wpadali do nas w niedzielę przed południem, właśnie wtedy, gdy on odsypiał całotygodniowe zaległości. Raz kupiłam nie dopuszczony do oficjalnej sprzedaży, bardzo przez wszystkich chwalony środek przeciwko karaluchom i rozpyliłam go w kuchni. Kiedy po pracy wróciłam do domu, okazało się, że mieszkanie nie nadaje się do użytku. Panował w nim straszliwy smród. Musieliśmy zabrać swoje rzeczy i na trzy dni przenieść się do przyjaciół. Po powrocie znaleźliśmy tysiące zdechłych karaluchów, zalegających wszystkie pomieszczenia. Innym razem wyprałam jego koszulę ze swoją różową bluzką, która puściła farbę. Oczywiście Te głupstwa złożyłyby się na doskonały film komediowy, ale zatruwały prawdziwe życie.

Praca była obsesją Buddy ego, on natomiast stał się moją. Im usilniej się starałam, żeby wszystko było dobrze, żeby wróciły dawne cudowne dni, tym bardziej robiłam się nerwowa i popełniałam więcej błędów. Przypominałam mu o jakimś romantycznym wieczorze z narzeczeńskich czasów i byłam zdruzgotana, kiedy Buddy nie wykazywał żadnej chęci do wspomnień i nie miał ochoty odtwarzać tamtej atmosfery. Myślami błądził gdzie indziej. Jak zwykle.

Kupował mi kwiaty w dniu urodzin i rocznicy ślubu. Kiedy je dostawałam, zawsze myślałam o Eloise i jej ojcu. Jakie to smutne, kiedy ktoś pamięta o tobie tylko przy tak oczywistych okazjach.

Pewnej soboty, kiedy miało do nas wpaść kilka osób na wczesny lunch, poszłam rano na zakupy. Po powrocie włączyłam sobie nagranie *Cyganerii* i zaczęłam rozpakowywać torby. Do kuchni wszedł Buddy, bez koszuli, z uśmiechem na twarzy. Od wieków nie widziałam go rano uśmiechniętego. Wyglądał tak samo, jak tamtego pierwszego wieczoru na West Endzie. Starczyło mi rozumu, żeby nie powiedzieć tego głośno.

- Pomogę ci - odezwał się. Uśmiechnęłam się do niego. Nawet nie powiedział nic złośliwego na temat opery. - Moja siostra i ja robiliśmy to, kiedy byliśmy dziećmi - mówił dalej.

- Zamienialiśmy nudny obowiązek w zabawę. - Zastanawiałam się, o jaką zabawę mu chodzi. Dlaczego przedtem nic mi o tym nie powiedział? Moglibyśmy wszystkie domowe obowiązki zamienić w zabawę. Dobrze byśmy się bawili przy praniu i sprzątanii. Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniał? Nie śmiałam zapytać. - Stań przy lodówce, a ja ci będę po kolei rzucił wszystkie te rzeczy. Bardzo szybko. A ty musisz równie szybko układać je w lodówce.

Miał rację, to była dobra zabawa. Rzucił mi puszkę, słoiki z majonezem, a ja, zgrzana i podekscytowana, wkładałam je do lodówki i wyciągałam ręce po następną puszkę albo słoik. Oboje śmialiśmy się w głos.

- Dobra, a teraz najtrudniejsza część. Jajka. Każde musisz włożyć do tego plastikowego zagłębienia w półeczce na drzwiach. Gotowa?

- Jasne.

Złapałam pierwsze jajko, włożyłam je na miejsce, a drugie już nadlatywało. Upuściłam je.

- Cholera. - Trzecie leciało w moją stronę. - Cholera, Buddy, nie mogę... - Urwałam. - Wystarczy!

Ale nadleciało czwarte jajko, potem piąte i szóste. Wszystkie się rozbiły, tworząc lepka kałużę na podłodze.

- Jezu, Stacy, ale z ciebie niezdara.

- A teraz mam to wszystko posprzątać, tak? - krzyknęłam.

- Rzeczywiście, niezła zabawa. Ubawiłam się jak cholera. I to pewnie ja będę musiała jeszcze raz wyjść i kupić więcej jajek.

Na tym nie skończyłam. Wrzeszczałam na niego, potem się rozplakałam. Kiedy skończyłam, znów zaczęłam krzyżeć. Wszystko mu wygarnęłam. Stał spokojnie, a ja wpadałam w coraz większą histerię. Odezwał się, gdy wreszcie umilkłam.

- Pomógłbym ci z tymi jajkami, ale ty od razu zaczęłaś się na mnie wydzierać. Może zrobisz listę wszystkich moich wad i powiesz sobie nad łóżkiem? Na wypadek gdybyś chociaż na chwilę zapomniała, jaki jestem okropny. Tak naprawdę

chciałabyś mieć przy sobie jakąś postać z opery, kogoś takiego, jak ten facet, który teraz zdiera sobie gardło. Zarzucasz mi, że mam upodobania jak nastolatek, ale to ty zachowujesz się jak uczennica z głową w chmurach. Oczekujesz, że będę cię zabierał na kolacyjki, patrzył głęboko w oczy i cały czas mówił o nas. Przepraszam, ja tak nie potrafię. Na litość boską, nie jestem Rudolfusem, Rudolfem, czy jak mu tam, który trzyma chłodną rączkę swojej ukochanej. Muszę pracować. Wiem, że to bardzo przyziemne, ale konieczne. Powinnaś nauczyć się żyć w prawdziwym świecie. To już nie te czasy, kiedy Eloise zabierała cię na romantyczne wyprawy do miasta.

- Nie powinieneś nazywać mnie niezdara. Wcale nie jestem niezdarna. A Eloise nie ma z tym nic wspólnego.

- Jak uważasz. Muszę się ubrać. - Buddy wzruszył ramionami i wyszedł, a ja zaczęłam sprzątać.

Nasze małżeństwo trwało jeszcze dwa lata, pełne złych nastrojów, cichych dni i kłótni. Zachowywałam wobec Buddy'ego czujność, tłumiłam w sobie wszelkie romantyczne oczekiwania, starałam się schodzić mu z drogi i nie przeszkadzać w tym, co dla niego najważniejsze - w pracy. Nigdy nie dzwoniłam do niego do biura ani go tam nie odwiedzałam. Usiłowałam nie rzucić mu się w oczy i tak sprawnie, jak tylko potrafiłam, wypełniałam swoje domowe obowiązki. Jednak wciąż czekałam na dzień, kiedy nasze życie będzie takie jak dawniej i znów zaczniemy spędzać wspólne noce na rozmowach, kochaniu się i zabawie. Nic takiego się nie wydarzyło, więc całymi dniami rozmyślałam nad tym, jaką to kiedyś tworzyliśmy wspaniałą parę. Nie potrafiłam zapomnieć o obrazach z przeszłości i w skrytości ducha wściekałam się na męża, ponieważ uważałam, że zdradził naszą miłość; przedkładał pracę nade mnie.

Byłam przekonana, że ta sytuacja może się ciągnąć w nieskończoność. Ja miałam czekać na dzień, kiedy z biura wróci prawdziwy Buddy i znów przeniesie mnie w krainę namiętności. Tymczasem możemy mieć dzieci i kiedy nadejdzie czas,

martwić się o wybranie dla nich odpowiedniej szkoły. Będziemy rodziną. Ale pewnego dnia Buddy wrócił z pracy i oznajmił, że chce rozwodu.

- Przykro mi, Stacy, ale już nic nas nie łączy. Nie rozmawiamy, nie śmiejemy się razem, nie spieramy się ze sobą.

- To dlatego, że stale jesteś zmęczony - zaprotestowałam. - To przez twoją pracę.

- Być może. Wiem, że tak to widzisz, i ja też przez jakiś czas tak myślałam. Ale to nie praca jest winna. Już cię nie kocham. Nie wiem, jak inaczej mógłbym ci to powiedzieć.

- Szkoda, że wtedy nie złapałam tych jajek.

- O czym ty mówisz?

- Wtedy w sobotę powinnam się bardziej postarać. Nasze życie potoczyłoby się inaczej.

- Wiedziałem, że źle to przyjmiesz - odparł, cofając się. - Może powinnaś wybrać się do psychologa?

- Czy jest jakaś inna kobieta?

- Nie. Ale czasami mi się zdaje, że w twoim życiu był jakiś inny mężczyzna. Chodzi mi o to, że nie wyszłaś za mąż za prawdziwego mnie, tylko za jakieś wyobrażenie, które o mnie miałaś. Jestem dość trudnym człowiekiem, ale ty przez swoje nierealistyczne wymagania jeszcze bardziej wszystko utrudniasz. Wiem, że nie spełniam twoich oczekiwań, a ty tylko udajesz, że jest inaczej. Nie wyszło nam. Może dlatego, że na początku pozwoliłem, żebyś wykształciła sobie mój nieprawdziwy obraz. Zrobiłem błąd.

- Ja jestem twoim błędem?

- Wyraź to inaczej. Ty jesteś moim błędem, a ja twoim. Nie ma sensu dłużej tego ukrywać.

To był koniec naszego małżeństwa. Znalazłam sobie mieszkanie, nadal pracowałam, udało mi się dostać awans i przeniesienie do działu obsługi klientów. Robiłam wszystko, żeby nikt nie spostrzegł, że moje serce nieodwracalnie pękło. Gdy patrzyłam na pary, które wydawały się szczęśliwe, zastanawiałam się, co się kryje za tą fasadą szczęścia. Kiedy pojawiają się pierwsze rysy i pęknięcia? Nie ufałam nikomu, stałam

się oschła, uszczypliwa i wszędzie dopatrywałam się lekceważenia i obrazy. Choć kiedyś kochałam Manhattan, teraz nienawidziłam go z całej duszy. Wydawał mi się sztuczny i powierzchowny - jak migotliwy neon, za którym kryje się bezmiar nieszczęścia. Nienawidziłam tłumów, dziwaków stojących na rogach ulic i wiatru od rzeki, który rozrzucił śmiecie po ulicach. Nienawidziłam też metra. W dniu, kiedy w zatłoczonym wagonie jakiś mężczyzna rozpiął rozporek i zaczął się onanizować na moich oczach, postanowiłam na dobre wyjechać z tego miasta.

Nie chciałam wracać do Peorii. Rodzice jasno dali mi do zrozumienia, że za rozpad naszego małżeństwa obwiniają wyłącznie mnie. Przecież Buddy nie był alkoholikiem ani mnie nie bił. Prawda, że to on ode mnie odszedł, ale każda prawdziwa kobieta potrafi zatrzymać mężczyznę, jeśli tylko się postara. Ja widocznie nie starałam się wystarczająco. Nie zdałam egzaminu.

Złożyłam więc podanie o pracę kierowniczką księgarni B. Daltona w San Francisco. Postanowiłam zrobić to, co kiedyś robili Amerykanie, gdy nie wiedzieli, co dalej począć ze swoim życiem - wyruszyć na zachód. Spakować manatki i uciec.



8 grudnia 1989

Kiedy następnego ranka zeszedłam na dół, Robert, w dżinsach i flanelowej koszuli, siedział w salonie, obejmując dłońmi kubek z kawą.

- Zdaje się, że w tym domu jedynie my jesteśmy rannymi ptaszkami. Napijesz się kawy? - powitał mnie.

- Tak, poproszę. - Usiadłam na kanapie, a on poszedł do kuchni. Deborah i lokaj, którzy obsługiwali nas poprzedniego wieczoru, zniknęli. Kiedy zapaliłam pierwszego tego dnia papierosa, Robert wrócił z tacą.

- Mleka? - zapytał.

- Tak, ale za. cukier dziękuję.

- Dobrze. Proszę bardzo. - Wręczył mi kubek, usiadł i patrzył, jak pociągam długi łyk. - Kofeina to cudowna rzecz. Natychmiast pobudza do życia. Nikotyna też. Za kilka sekund zaczniesz się rozpierać energią. Może zagramy w tenisa?

- Robert, błagam, żadnych ćwiczeń fizycznych. - Jęknęłam.

- Ja też dawniej paliłem. Kiedy parę lat temu rzuciłem papierosa, nie mogłem usiedzieć na miejscu. Dotąd mi to zostało. Eloise trafił się nadpobudliwy mąż. Nic dziwnego, że tak późno wstaje. Zamęczam ją.

- Jestem pewna, że bardzo jej to odpowiada. Wiesz, wczoraj wieczorem idąc do siebie słyszałam, jak śpiewałeś. Masz

wspaniały głos. To o to chodziło, kiedy mówiłeś mi, że pracowałeś w przemyśle rozrywkowym? Byłeś piosenkarzem?

- Owszem, byłem piosenkarzem.

- Czy zadałam ci głupie pytanie? Może powinnam rozpoznać twoje imię? Wiesz, ja i Eloise nie przyłączyłyśmy się do pokolenia rock and rolla. Nigdy nie znałam popularnych gwiazd piosenki.

Robert odstawił kubek, wziął z mojej paczki papierosa, włożył do ust, ale nie zapalił.

- Byłem połową dość popularnego duetu. Druga połowa wspięła się na szczyt sławy i chwały. Ja też próbowałem się dostać na ten szczyt, ale mi się nie udało. To bardzo nudna historia. - Machnął papierosem w powietrze i schował go z powrotem do paczki.

- To znaczy, że nie jesteś jednym z Everly Brothers.

- Nie, nie jestem ani Philem, ani Donem. - Roześmiał się i zaśpiewał kilka taktów ich piosenki **Będę płakał tylko w deszczu**. Jego głos, nie zagłuszany dźwiękami instrumentu, brzmiał jeszcze piękniej niż wczoraj. Ta druga połowa duetu musiała śpiewać jak anioł, żeby go zaćmić.

- Nie bądź taki tajemniczy, Robercie. Jeśli mi nie powiesz, i tak dowiem się od Eloise. Pamiętaj, że jako dziecko lubiłam się bawić w detektywa. Kto był tą drugą połową?

- Drugą połową była piękniejsza połowa mojego małżeństwa. Mojego pierwszego małżeństwa. Sapphire Shannon. Można powiedzieć, że była lepszą połową.

- Sapphire Shannon! - Zauważyłam, że Robert się skrzywił, i pożałowałam tego okrzyku.

Sapphire Shannon. Nic dziwnego, że Bobby ma nogi jak koszykarz. Sapphire Shannon jest pewnie jego matką. Nie ma wielu kobiet mierzących ponad metr osiemdziesiąt, więc od razu rzucają się w oczy. Zwłaszcza jeśli są gwiazdami pop, które odniosły niesłychany wręcz sukces. Sapphire Shannon wyróżniała się z tłumu nie tylko wzrostem. Zwracała też uwagę świetnym głosem i niezwykłą urodą. Wyglądała tak, jakby tuż po urodzeniu ktoś wylał na nią butelkę wybielacza: przezroczysta cera, platynowoblond krótkie włosy i nienaturalnie

jasne niebieskie oczy. Mając takie cechy, powinna wyglądać jak chłopczyca, a tymczasem była niebywale kobieca. Stanowiła jeden z tych symboli seksu, które przeciętne kobiety czasami podziwiają, czasami im zazdroszczą, ale najczęściej ich nienawidzą.

Sapphire była pierwszą żoną Roberta? Trudno to sobie wyobrazić. W niczym nie przypominała Eloise - co drugie słowo, jakie padało z jej ust, to „pieprzyć” albo „gówno”. Wiecznie paradowała w obcisłych dżinsach i wyzywających bluzkach. Była prymitywna i wulgarna, ale odnosiła sukcesy i ciągle było o niej głośno. Kiedyś nawet się zastanawiałam, czy nie przybierała takiej pozy, żeby nadać sobie nieco kolorytu, którego poskapiły jej geny.

Czytałam o niej wiele artykułów, ale w żadnym z nich nie wspominano o byłym mężu ani synu. Sapphire była jedną z tych postaci, które najczęściej opisuje się w magazynach leżących u fryzjera. Uwielbiała towarzystwo młodych przystojnych chłopców. Tak przynajmniej głosiła prasa i potwierdzały zdjęcia wykonane przez wszędobylskich paparazzi.

Jak to się stało, że on się z nią związał? Rola porzuconego męża zupełnie nie pasowała do przystojnego, kipiącego energią i obdarzonego silnym charakterem Roberta. Ale przecież równie trudno było mi wyobrazić go sobie jako piosenkarza. Jeszcze raz pożałowałam, że tak głośno wykrzyknęłam imię jego byłej żony. Ma już pewnie dość takich reakcji.

- Coś ci powiem, Robercie. Ślub z kimś, kto ma na imię Sapphire, czyli szafir, to był wielki błąd. Nie żartuję. Jak mogłeś?

Prychnął rozbawiony.

- Eloise mi mówiła, że masz poczucie humoru. Ale Sapphire wtedy nazywała się jeszcze Amy. Zmieniła imię, kiedy zaczęła się pięć na wyżyny kariery solowej.

- Może ty wtedy powinienes nazwać się Platyna albo Złoto?

- Może. - Wzruszył ramionami i znów prychnął. - Takie rzeczy mogą się zdarzyć tylko w Ameryce, co? Zrobiłem ze swojej żony gwiazdę, a ona odwróciła się ode mnie przy

pierwszej sposobności. Jaki slogan jest teraz najpopularniejszy? Chyba „Idź naprzód”. Amy poszła naprzód i dotarła na sam szczyt. Cóż, życzę jej szczęścia. - Uśmiechnął się do mnie i dolał mi kawy. - Dlaczego w taki piękny poranek siedzimy w domu? Wstawaj, Stacy. Pójdziemy na spacer po plaży. - Poderwał się i pociągnął mnie za sobą. Nie potrafiłam mu odmówić. - Zabierz swoją kawę. I weź to... - Podniósł beżowy sweter z oparcia kanapy i rzucił mi go. - Mnie nie jest potrzebny. A na ciebie będzie lepiej pasował niż sweter mojego syna. Wychodzimy. - Popychał mnie teraz do drzwi. - Mam twoje papierosy i będę ci je wydzielał. Dostaniesz jednego. To zalecenie lekarza.

- Dobrze, już dobrze. Zwolnij trochę.

Był rześki grudniowy ranek. Robert poszedł przodem i kroczył szybko przez pokryty śniegiem trawnik. Biegłam za nim truchtem, żeby dotrzymać mu kroku, i czułam się jak paź wojowniczego króla. Dotarliśmy do plaży i skręciliśmy w lewo, tam gdzie zaczynały się piaszczyste wydmy. Przez jakieś piętnaście minut nie odzywaliśmy się do siebie. Pokaszłując w wilgotnym oceanicznym powietrzu starałam się nadażyć za Robertem i nie rozlać przy tym kawy. Przy pierwszej wydmie zatrzymał się, wszedł na jej szczyt i dał ręką znak, że bym do niego przyszła. Zza ucha wyciągnął papierosa. Sam go zapalił i podał mi, kiedy opadłam na mokry piasek.

- Chyba czegoś tu nie rozumiem. - Chwilę trwało, zanim złapałam oddech. - Masz wspaniały głos. Dlaczego sam nie zrobiłeś kariery? Nawet jeśli Sapphire, to znaczy Amy, od ciebie odeszła, mogłeś sam się wybić.

- Och, ja też z początku tak myślałam. Ale w świecie muzyki, kiedy raz przyczepią ci etykietkę nieudacznika, tak już zostaje. Nie dadzą ci drugiej szansy. Chociaż to brzmi banalnie, byłem tylko panem Shannon, mężem Sapphire, i to wszystko. Byłem mężem, który został porzucony. Żalną postacią, chwilowym obiektem kpin i domysłów. Tak, po rozpadzie naszego małżeństwa nagrałem jeden album, ale prasę interesowałem jedynie jako pan Shannon, a nie Robert Chappell. Nie mogę też powiedzieć, żeby Amy bardzo mi

pomogła. Kiedy poproszono ją o opinię na temat mojej płyty, powiedziała, że mam miły i ładny głos. To się nazywa pogrążyć kogoś za pomocą zdawkowej pochwały. Nie zapominaj, że musiałem też wychowywać Bobby'ego. Sapphire rzuciła mnie trzy miesiące po jego urodzeniu. Spadły na mnie obowiązki, z których należycie się wywiązałem. Koniec historii.

- Jesteś zły, kiedy o tym myślisz? Czujesz gorycz?

Naciągnęłam jego sweter na kolana i pochyliłam się nad obłoczkiem pary, unoszącym się nad kawą. Patrzyliśmy na stado skrzeczących mew, które nurkowały po zdobycz. Wpatrywaliśmy się w horyzont niby para rozbitków czekających na łódź ratunkową.

- Stacy, opowiem ci historyjkę, dobrze?

Skinęłam głową. Robert wyrwał źdźbło trawy z kępy wyrosłej na piachu i włożył je do ust. Dobrze wyglądał w takiej niedbałej pozie, z włosami rozwianymi wiatrem od morza.

- Kiedy byłem chłopcem, najbardziej chciałem latać. Nie wiem, czy to marzenie wywołała lektura Piotrusia Pana, w każdym razie bardzo chciałem unieść się w powietrze. Wiedziałem, że nie dokonam tego, po prostu machając ramionami. Któregoś dnia, jak w piosence Peggy Lee, do miasta przyjechał cyrk, a wraz z nim sprzedawcy balonów, wypełnionych helem. Były tych balonów setki, może nawet tysiące. Wtedy przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Miałem siedem lat, ale udało mi się przekonać wszystkich moich przyjaciół i młodsze ode mnie dzieciaki z sąsiedztwa, żeby kupili tyle balonów, ile tylko mogą. Namawiałem ich, żeby wykradli mamie drobne z portmonetki, jeśli to okaże się konieczne. Wszystko, byle tylko kupili balony. Kazałem im przyjść w sobotę wczesnym rankiem na pole, na tyłach naszego domu i obiecałem, że im pokażę, jak latam. Zrobiłem kosz, w którym, chociaż z trudnością, ale mogłem stanąć. Dzieciaki się zjawiły i przyniosły ze sobą mnóstwo balonów. Boże, jakie one były przejęte. Ja zresztą też. Bardzo starannie przywiązałem wszystkie balony do kosza. Potem sam wszedłem do środka i czekałem na start. Ale kosz się nawet nie poruszył. Wszystkie

dzieciaki na mnie patrzyły i wiedziałem, że myślą o tym, ile pieniędzy wydały zupełnie niepotrzebnie. Musiałem coś zrobić. Trzeba było ocalić twarz, a ja nie miałem pojęcia, jak. Jednak byłem już na tyle duży, żeby zrozumieć, że pewnie jestem za ciężki i dlatego kosz nie chce oderwać się od ziemi. Powiedziałem dzieciakom, żeby z całej siły trzymały kosz, a ja za chwilę wrócę. Popędziłem do domu ile sił w nogach, wbiegłem do swojego pokoju i wyjąłem z klatki chomika. Musisz zrozumieć, że to był mój najlepszy przyjaciel. Rozmawiałem z nim, co wieczór powierzałem mu najgłębsze sekrety. Bronił mnie przed łobuziakami. Był dla mnie wszystkim. Jednak chwyciłem go bez namysłu i pobiegłem z powrotem na pole. Dzieci patrzyły na mnie wyczekująco. Włożyłem go do kosza i wtedy na naszych oczach chomik uniósł się z ziemi. Nie tylko się uniósł, ale poszybował w górę. Zapewniam cię, że nad krawędzią kosza widziałem pyszczek mojego chomika. Wydawało mi się, że w jego oczach lśnią łzy. - Urwał i wyrzucił źdźbło trawy. - Jeśli więc mnie pytasz, czy jestem zły na Amy, to właśnie ta opowieść jest moją odpowiedzią. Rozumiem, co to znaczy ambicja. No, cóż... - Wstał, otrzepał piasek ze spodni i podał mi rękę. - Wracajmy do domu. Trzeba obudzić moją leniwą, gnuśną żonę i syna.

Resztę przedpołudnia wszyscy czworo spędziliśmy grając w krokieta na trawniku przed domem. Gra, zorganizowana przez Roberta, przebiegała wśród wybuchów śmiechu i nieustannych oszustw. Co jakiś czas robiliśmy przerwę i żeby się rozgrzać, szliśmy na drinka do salonu. Bobby i ja graliśmy w jednym zespole. Zauważyłam, że chłopakowi zależało na wygranej bardziej niż reszcie towarzystwa, ale był na tyle uprzejmy, że nie krytykował moich żalonych prób trafienia piłką do bramki i kiedy tylko miał okazję, nadrabiał stracone przeze mnie punkty, wybijając z gry piłki Eloise i Roberta. Eloise była w siódmym niebie - radosna, rozgadana, bardziej ożywiona, niż mogłam sobie kiedykolwiek wyobrazić. Wyglądała świetnie w jaskrawych, różowo-zielonych narciarskich

spodniach i swetrze.

Mimo woli zastanawiałam się, czy to wspaniały seks z Robertem tak ją odmienił, rozluźnił i pozwolił zapomnieć o wszystkich lękach z dzieciństwa. Ale to musiało być coś więcej niż udany seks, raczej doskonałe połączenie seksu, romanisu i miłości. Robert nie tylko potrafił zorganizować wesołą grę w krokieta w środku grudnia, ale też śpiewał romantyczne ballady, wkładał złote pierścionki do kieliszka z szampanem, tańczył przy dźwiękach muzyki country, z przyjemnością słuchał oper, opowiadał zadziwiające historie, wygrywał zakłady o niepokalane poczęcie i najprawdopodobniej był wspaniałym, namiętym kochankiem. Jak Sapphire Shannon mogła go porzucić? Zadawałam sobie to pytanie patrząc, jak oparty o młotek do krokieta zastanawia się nad kolejnym uderzeniem.

- Hej, Robert! - zawołałam. - Może masz brata na Zachodnim Wybrzeżu?

- Przykro mi, Stace. - Eloise roześmiała się. - Nie znajdziesz takiego drugiego. A on jest już zajęty. - Śmiejąc się stanęła za mężem i objęła go. Robert stracił równowagę, oboje upadli na śnieg i zaczęli się całować. Nie mogłam oderwać oczu od ich szczęścia.

- Ma syna - odezwał się za mną Bobby. Odwróciłam się, żeby się do niego uśmiechnąć, i napotkałam wściekłe spojrzenie chłopaka. - Chyba dość już tej gry - rzekł, nie patrząc na ojca i macochę. Ruszył w stronę domu. - Muszę się znów czegoś napić.

Mój samolot startował wczesnym popołudniem, więc zostawiłam Bobby'ego w salonie z Krwawą Mary i poszłam się spakować. Przez okno balkonu zobaczyłam Eloise i Roberta. Wciąż bawili się przed domem, obrzucając się śniegowymi kulami. Rozbawieni bogaci kochankowie - co za wspaniały widok. Eloise nigdy nie będzie musiała zawracać sobie głowy praniem skarpetek Roberta, nie będzie pchała ciężkiego wózka w supermarkecie po całym dniu ciężkiej pracy i nie będzie musiała śpieszyć się do domu, żeby zdążyć z obiadem. Jeśli

ma się wystarczająco dużo pieniędzy, romans może trwać wiecznie. Jediną ciemną chmurą, jaka mogła pojawić się na ich horyzoncie, był Bobby, tajemniczy syn o wybuchowym usposobieniu. Ale Bobby miał już dwadzieścia lat, nie był dzieckiem, którym trzeba stale się opiekować. Nie będzie w stanie im zaszkodzić. Patrzyłam, jak ośnieżeni Robert i Eloise, objąwszy się czule, wracają do domu.

Eloise może teraz zająć się meblowaniem domu w Nowym Jorku, tak jak przemeblowała tę rezydencję, a Robert poświęci się pisaniu książek dla dzieci. Będą się spotykać przy obiedzie i kolacji, żeby dyskutować na temat sztuki. Urodzą im się śliczne dzieci.

Odeszłam od okna i zapięłam torbę. Pora wracać do własnego życia. Wystarczy już tego napawania się cudzym szczęściem. Eloise i Robert powinni teraz zostać sami.



Luty 1990

Z początku nie rozpoznałam głosu Bobby ego. Od ślubu Eloise minęły dwa miesiące. Wróciłam do swojego zwykłego trybu życia i tylko czasami myślałam o nowożeńcach.

- Stacy?

- Mark, przepraszam cię za...

- To nie Mark, tylko Bobby. Bobby Chappell.

- Och, cześć, Bobby! Tak miło cię słyszeć. Jak się miewasz? I skąd dzwonicz?

- Jestem w San Francisco. Nigdy mnie o to nie pytałaś, ale studiuję na Uniwersytecie Kalifornijskim. Przyjechałem do San Francisco na weekend. Eloise dała mi twój numer. Zastanawiałem się właśnie, czy jesteś już z kimś umówiona na kolację.

Była niedziela. Bobby pewnie miał za sobą szalony weekend i chciał spędzić spokojny wieczór w towarzystwie przyjaciółki rodziny. A może po prostu czuł się zobowiązany do mnie zadzwonić i odkładał to na ostatnią chwilę. Tak czy inaczej, poczułam się jak leciwa dama.

- Tak się składa, że jestem dzisiaj wolna. W Tiberon jest miła restauracja, „U Sama”. Dotrzesz tam na ósmą?

- Tak. Dziękuję, Stacy. Cieszę się, że się zobaczymy.

Ten sam stary, dobrze wychowany Bobby, czy raczej ten sam młody, dobrze wychowany Bobby. Czy podczas kolacji

wę dwoje zachowa się bardziej bezpośrednio, czy też nadal będzie przypominał nieprzenikniony mur i tylko od czasu do czasu ujawni się jego wybuchowy charakter, jak to zaobserwowałam podczas weekendu na Cape Cod? Ciekawiło mnie to. Żałowałam też, że nie spytałam go wcześniej, gdzie studiuje. Wszyscy troje w zasadzie go ignorowaliśmy, chociaż brał udział we wszystkich naszych rozrywkach. Traktowaliśmy go jak przygodnego towarzysza podróży. Był przy nas, ale nie zwracaliśmy na niego uwagi. Miałam ochotę dowiedzieć się o nim czegoś więcej, a raczej, prawdę mówiąc, chciałam dowiedzieć się czegoś o jego matce.

Bobby pierwszy przybył na spotkanie i zamówił butelkę Chablis. Wstał, kiedy podeszłam do stolika, odsunął dla mnie krzesło i pocałował mnie w policzek. Był dokładnie taki wyśoki, jak go sobie zapamiętałam.

- Cieszę się, że cię znowu widzę, Stacy

- Ja też się cieszę. - Podał mi ogień, a potem sam zapalił. Żadne z nas nie wiedziało, jak zacząć rozmowę. - Powiedz mi, Bobby, jak się teraz bawią młodzi mężczyźni? - zagałam.

- Umawiają się na kolację z atrakcyjnymi, starszymi od siebie kobietami.

- To świetnie - odparłam, chociaż pomyślałam coś wręcz przeciwnego. Bobby zupełnie nie przypominał ojca. Był zbyt młody, i przez to nieinteresujący.

- Eloise i ja wspólnie się dogadujemy. Boże, ależ ona ma forszę, co?

- Można tak to ująć. - Miał na sobie garnitur od Hugo Bossa. Czy Eloise zafundowała mu ten strój? A może Sapphire? Ona też musi mieć kupę forsy. Ciekawe, czy całkiem zaniedbała Bobby'ego. Czy w ogóle się z nim spotyka?

- A jak inaczej to ująć? - Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami, co nadało jego słowom zaczepny wydźwięk. Po zaledwie kilku sekundach rozmowy poruszyliśmy temat pieniędzy. Ale to chyba nieuniknione, jeśli mowa o Eloise.

- Pewnie masz rację. Eloise jest niesamowicie bogata, ale mimo to... - Urwałam i poprawiłam się zażenowana: - Źle to

wyraziłam. Jest bogata i bardzo miła. Wydaje mi się, że uszczęśliwia twojego ojca. Sądząc z ich zachowania podczas ślubnego weekendu, ona również jest z nim szczęśliwa.

- O, tak. Ojciec ją też uszczęśliwia. - Zmarszczył brwi.

Zaniepokoił mnie jego ton i mina.

- Bobby, czy coś jest nie tak?

- Nie. - Grymas zamienił się w półuśmiech. Chłopak pociągnął łyk wina. - Wiesz, mój ojciec to bardzo silny człowiek.

- Wiem. To się daje zauważyć. Z tego, co czytałam o twojej matce, wynika, że ona też ma silny charakter.

- Skąd miałbym to wiedzieć? - Bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał obojętnie, ale nie potrafił stłumić nuty goryczy.

- To znaczy, że nie widzisz jej zbyt często, tak?

- Właściwie wcale jej nie widuję. Czy możemy zmienić temat?

- Jasne - wycofałam się szybko. Tak jak Eloise, Bobby nie lubił rozmawiać o przeszłości. Miał do tego prawo. Sławna matka musi być dla niego dużym obciążeniem, zwłaszcza jeśli nie utrzymują ze sobą kontaktów. Bobby wyglądał na rozdrażnionego i spiętego, więc ucieszyłam się, kiedy podszedł do nas kelner. Zamówiliśmy hamburgery i następną butelkę wina.

- Jak ci się wiedzie na studiach? Jaki jest Uniwersytet Kalifornijski? Co studiujesz?

Okazało się, że nauki polityczne. Zaczęliśmy rozmawiać na bezpieczniejsze tematy. Opowiedział mi o swoich wykładach, a ja wyjaśniłam mu, na czym polega praca kierowniczkę księgarni. Skończyliśmy właśnie drugą butelkę wina, kiedy Bobby spojrzał mi prosto w oczy, tak jak robił to jego ojciec.

- Nieźle tu karmią.

Popatrzyłam na jego talerz z hamburgerem i sałatką.

- Dziwne, że tak mówisz, bo przecież nic nie zjadłeś.

- Jeśli powiedziałem coś dziwnego, to dlatego że chcę się z tobą przespać i nie wiem, jak ci to zaproponować. To znaczy, jeszcze przed chwilą nie wiedziałem. - Pochylił się do przodu i oparł brodę na dłoni.

Słyszając tę propozycję, zaniemówiłam ze zdziwienia. Czegoś takiego się nie spodziewałam. Bobby nie zachowywał się

uwodzicielsko, nie było między nami erotycznego napięcia. Teraz nagle atmosfera się odmieniła. Musiałam się nad tym wszystkim zastanowić. Bobby byłby dla mnie tak zwanym chłopcem-zabawką. Nigdy przedtem nie zastanawiałam się nad taką możliwością, ale też nigdy nie otrzymałam podobnej propozycji. Młodszy mężczyzna. Przez lata miałam do czynienia tylko z mężczyznami w moim wieku lub starszymi. Jak będę się czuła, mając przy sobie takie młodzieńcze szczupłe ciało? Zdałam sobie sprawę, że mnie to ciekawi, i jednocześnie uświadomiłam sobie, że już podjęłam decyzję. Pamiętałam jeszcze świeży i miły zapach jego swetra tamtego grudnia.

- To znaczy, że chcesz być moim chłopcem-zabawką? - zapytałam ze śmiechem.

- Nie. - Bobby szybko rozejrzał się po sali, a potem znów spojrzał na mnie. - Chcę być mężczyzną. Jeszcze tego nie robiłem.

- Czego nie robiłeś? Nie spałeś ze starszą kobietą? To nie koniecznie robi z ciebie mężczyznę.

- Nigdy tego nie robiłem. Nie spałem ani ze starszą kobietą, ani z młodszą. Z żadną. Od razu wyjaśniam, że nie spałem też z mężczyzną. Jestem prawiczkim.

- Jezu. - Byłam równie niedomyślna jak tego dnia, kiedy Eloise oznajmiła, że się chce „tego pozbyć” z Johnem. Teraz sama znalazłam się w roli Johna. Dwudziestoletni prawiczek - nie wiedziałam, że tacy istnieją. Bobby patrzył na mnie błagalnie. Pasierb mojej byłej współlokatorki. Poczułam się jak bohaterka niedorzecznego serialu telewizyjnego, ale wypiłam już tyle, że bardzo mi się to spodobało. Szofer John spełnił swój obowiązek wobec Eloise, ja zrobię to samo względem Bobby'ego. Pomogę mu przeskoczyć pierwszy płotek i wyprowadzę go w dalszą drogę. Mogę nauczyć go rzeczy, które przydadzą mu się w przyszłych kontaktach z dziewczynami. Być może pośrednio uszczęśliwię wiele młodych kobiet. Nie będzie żadnych komplikacji. Potem Bobby wróci na uniwersytet, i na tym koniec. Chłopak na jedną noc. Dlaczego nie?

Chyba właśnie na taką przygodę miałam ochotę. Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Dobrze, Bobby. Chodź. Zapłaćmy i wynośmy się stąd. Kiedy dotarliśmy do mojego mieszkania, zaczęłam żałować tej decyzji. Jeśli mam odegrać rolę Annę Bancroft, a on Dustina Hoffmana, co właściwie mam robić? Nie pamiętałam już, jak to rozegrali w filmie *Absolwent*. Jak to zagrać? Mam się na niego rzucić? A może przebrać się w seksowną koszulkę i uwodzicielsko tarzać się na łóżku? Czy będę potrafiła go rozluźnić, skoro sama mam napięte nerwy?

Jak się okazało, Robert Chappell junior nie potrzebował żadnej pomocy. Nie było żadnych wstępów, romantycznych scen ani rozmów. Kiedy tylko zamknęliśmy za sobą drzwi, szybko mnie rozebrał, sam też zrzucił ubranie, zaniósł mnie do sypialni i wprawnie założył prezerwatywę. Nie musiałam niczego go uczyć. Nie śpieszył się ani nie miał przedwczesnego wytrysku, jaki zwykle wywołuje podniecenie pierwszej nocy. Wręcz przeciwnie, Bobby kochał się wolno i rozważnie przez ponad godzinę, aż oboje dotarliśmy do szczytu. Udało mu się mnie nabrać.

- Bobby! - Usiadłam na łóżku i zapaliłam nocną lampkę. - To nie jest dla ciebie pierwszy raz. - Nie odpowiedział. Wymierzyłam mu mocnego klapsa w pośladki. - Już to kiedyś robiłeś, ty draniu!

Oparł się na łokciu i roztarł siedzenie.

- I co z tego?
- Co z tego! Dlaczego mnie oszukałeś?
- Inaczej być może nie poszłabyś ze mną do łóżka.
- Poszłabym, jeśli chcesz wiedzieć.
- W takim razie, powiedzmy, że się zabezpieczyłem.
- To nie było w porządku.
- Zgadza się. - Uśmiechnął się, a ja miałam ochotę go zabić. - Nie złość się, Stacy. Szkoda czasu. Było nam ze sobą wspaniale. Czy to ważne, jak do tego doszło? Masz piwo?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Stoi w lodówce. Jeśli już tam idziesz, to przynieś też dla mnie. Kuchnia jest w końcu korytarza po lewej.

Włożyłam szlafrok i zamknęłam oczy. Kiedy na początku mnie całował, przez chwilę, przez jedną krótką chwilę, miałam dziwne uczucie. Otaczałam ramionami jego szyję, czułam szorstkie, krótko przystryżone włosy i myślałam o jego ojcu. Wolałabym, żeby to on był na miejscu Bobby'ego. Otworzyłam oczy i zapaliłam papierosa. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, patrzyłam, jak Bobby wraca z dwiema butelkami piwa. Otworzył je i wyciągnął się obok mnie.

- Wiesz, kiedyś w Kalifornii zdarzyła się następująca historia. Pewne małżeństwo zabrało do samochodu autostopowiczkę. Mąż porwał ją i trzymał w skrzyni, w piwnicy swojego domu. Torturował ją i dręczył. Ale ona mieszkała z tym małżeństwem przez siedem lat. Większość czasu spędzała w zamknięciu, uwięziona w tej skrzyni, jakby w trumnie. Po pewnym czasie mężczyzna czasami ją wypuszczał. I wiesz co? Chociaż dziewczyna miała taką możliwość, nie uciekła, nie zawiadomiła policji ani nie poprosiła nikogo o pomoc. Pilnowała dzieci tych ludzi, kiedy oni gdzieś wychodzili, rozmawiała z sąsiadami i tak dalej, a potem znów wracała do skrzyni. Trzymali tę skrzynię pod sypialnią. Taką niedużą skrzynię, podobną do trumny.

- Chryste, Bobby.

- Żona wiedziała, co robi jej mąż. Nie wtrącała się i na wszystko pozwalała. Z początku autostopowiczka krzyczała i błagała, żeby ją wypuścić, ale potem się przyzwyczaiła. A żona wszystko wiedziała. Wiedziała, i nie zrobiła nic, żeby powstrzymać męża. Przez siedem lat.

- Chyba nie chcę dalej słuchać tej historii.

- Nie wiem, jak to się stało, że go w końcu złapali. Pamiętam tylko, że dziewczyna dzwoniła do niego i całymi godzinami z nim rozmawiała, kiedy czekał w areszcie na rozprawę. Adwokat wykorzystał to podczas procesu. Podkreślał też, że autostopowiczka nie uciekła, chociaż miała do tego wiele okazji. - Pociągnął łyk piwa. - Chciałbym ją poznać. I jego. I tę żonę. Wiesz, tę skrzynię pokazywali jako dowód rzeczowy podczas rozprawy.

Opowiadał z takim przejęciem, jakiego nie widziałam u

niego, nawet kiedy się kochaliśmy. Wyraz podniecenia na jego twarzy przerażał mnie.

- Bobby, to jakieś koszarne opowiadanie. Nie nadaje się na temat łóżkowej rozmowy.

- Jak sądzisz, czy udałoby mi się jakoś do nich dotrzeć? Mógłbym udawać, że piszę o nich książkę albo coś w tym rodzaju.

- Pomysł, żeby udawać kogoś, kim się nie jest, wydaje mi się dość kiepski. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co chcesz ich poznać. Ta fascynacja wydaje mi się trochę chora.

- Chyba masz rację. - Dopił piwo i opuścił długie nogi na podłogę. - Muszę już iść. Możesz sprowadzić mi taksówkę?

Ubrał się i w milczeniu czekaliśmy na taksówkę. Ta opowieść i kłamstwo, którym się posłużył, zniechęciły mnie do Bobby'ego. Nie miałam mu nic do powiedzenia. W każdym razie, i tak myślałam gdzieś daleko. Nie starałam się nawiązać towarzyskiej rozmowy. Wreszcie nadjechała taksówka i zamknęłam za nim drzwi. Przeklinałam się w duchu za to, że zadałam się z kimś tak nieodpowiednim. Był dziwny. Trochę się go bałam. Popełniłam głupi błąd.



Luty 1990

Następnego ranka obudziłam się roztrzęsiona po serii koszmarnych snów. W jednym z nich ktoś zamknął mnie w szafce na leki. Wstałam, zaparzyłam sobie kawy i zaczęłam niespokojnie krążyć po kuchni. Zanim się spostrzegłam, wykręciłam nowojorski numer Eloise.

- Cześć, Stacy! Tak się cieszę, że dzwonisz. - Głos Eloise brzmiał radośnie i moje dreszcze nieco ustąpiły.

- Chciałam się dowiedzieć, jak się miewasz. To znaczy, co słyszać. Jak twoje życie małżeńskie? Nadal szczęśliwe?

- Absolutnie. To zadziwiające. Miałam właśnie do ciebie zadzwonić, żeby cię zaprosić na weekend. Teraz ty wykazałaś dar jasnowidzenia. Jak ci się podoba ta propozycja? Przyjedziesz? Proszę.

- Bardzo bym chciała, ale...

- Ale co? Nie przyjmuję żadnych wymówek, chyba że w grę wchodzi mężczyzna. A jeśli tak jest, to zabierz go ze sobą.

- Nie. W moim życiu nie ma mężczyzny. - Przed oczami wyobraźni przesunął mi się w przyspieszonym tempie film z Bobbym w łóżku. Poczułam, że się rumienię. - Z przykrością to mówię, ale chodzi o pieniądze. Nie stać mnie na tak częste podróże. W księgarni nie zarabia się kokosów.

- Bilet na piątkowy samolot będzie na ciebie czekał na

lotnisku, dobrze? Wiesz, że nie znoszę się kłócić, więc nawet nie zaczynaj.

- Eloise, ja...

- Nie próbuj się wykręcać. Jeśli nie wykorzystasz tego biletu, zmarnuje się. Edwin będzie na ciebie czekał. Wydaje mi się, że samolot ląduje około dziewiątej wieczór naszego czasu. Robert bardzo by chciał znów cię zobaczyć.

- Wielkie dzięki. Ja też bardzo bym chciała się z wami spotkać. A skoro wspomniałaś o Robercie, to wczoraj zjadłam kolację z jego synem.

- Jak to miło z twojej strony. Jak się Bobby miewa?

- Całkiem dobrze. Chcę cię o coś zapytać. Czy nigdy ci się nie wydawało, że on jest trochę dziwny? Jakby nieco zagubiony?

Eloise ani chwili się nie zastanawiała nad moim pytaniem.

- Nie. A ty tak sądzisz? Wobec mnie zawsze jest bardzo uprzejmy i miły. Świetnie się razem bawiliśmy podczas świąt. Co zrobił? Może trzeba powiedzieć o tym Robertowi?

- Nie, nie. Nic takiego nie zrobił. Może to ja byłam w dziwnym nastroju. Nie rozmawiajmy o tym więcej.

- Dobrze. Do zobaczenia w piątek. Przywieź ciepłe ubrania, bo tutaj jest bardzo zimno.

W ciągu tygodnia Bobby Chappell zostawił w mojej automatycznej sekretarce dwie wiadomości, ale nie odpowiedziałam na jego telefony. Angażowanie się w układ z dwudziestolatkiem obciążonym problemami nie miało najmniejszego sensu. Przypuszczałam, że dziwne zachowanie Bobby'ego można przypisać temu, że matka, sławna piosenkarka, opuściła go w dzieciństwie. Mimo woli czułam coraz większe zainteresowanie osobą Sapphire. Porzuciła męża, porzuciła syna i wspięła się na szczyt popularności w branży, w której panowały bardzo ostre reguły gry. To musiała być twarda kobieta. Nastawiona na sukces. Jak długo byli ze sobą Sapphire i Robert? Co wywołało rozpad ich związku? Wiedziałam, że jeśli się trochę postaram, z łatwością znajdę odpowiedzi na te pytania. Więc się postarałam.

Mój przyjaciel, który pracował w dziale kobiecym w „San

Francisco Chronicle”, ułatwił mi wstęp do biblioteki wycinków prasowych, gdzie pożyczono mi grubą teczkę, oznaczoną napisem „Sapphire Shannon”. Było w niej wiele artykułów o Sapphire, tak wiele, że nie wiedziałam, od którego zacząć. Postanowiłam czytać je od najnowszych i na początek wybrałam jeden z magazynu „People”, sprzed pół roku. Jego treść była łatwa do przewidzenia. Ilustrowało go typowe zdjęcie Sapphire, w niebywale obcistych dżinsach, siedzącej okrakiem na motocyklu. Wyglądała na nim jak kobieca wersja Jamesa Deana, miała krótkie blond włosy i zamyślonę spojrzanie. Rzuciło mi się w oczy, że jej twarz jest niezwykle młoda. Operacja plastyczna? Przyjrzałam się uważniej fotografii i zauważyłam na twarzy byłej żony Roberta szeroki naturalny uśmiech. Na taki uśmiech nie może pozwolić sobie kobieta, której skóra została naciągnięta i wykrojona ręką chirurga.

Zaszokował mnie podkoszulek Sapphire z napisem DZI-WKA. W artykule pisano głównie na temat jej najbliższego tournée i aktualnego młodego towarzysza, typowego chłopca-zabawki. Był to dwudziestodwuletni perkusista z grupy heavy metalowej. Na zamieszczonym niewielkim zdjęciu widać było, że ma zniewalający uśmiech i mnóstwo kolczyków w uszach.

Artykuły z lat osiemdziesiątych i drugiej połowy siedemdziesiątych były do siebie podobne. Sapphire nosiła wyzywające stroje, lubiła mówić o seksie, a z jej wypowiedzi usuwano wulgarne słownictwo. Nie robiły tego tylko pisma takie jak „Rolling Stone”. „Lubię, kiedy facet jest zdany na moją łaskę, a najłatwiej do tego doprowadzić, kiedy zaciągnie się go do łóżka. Wtedy nie pieprzy głupot, tylko po prostu pieprzy”. Taki cytat zamieścił „Esquire”.

Przerwałam lekturę i przypomniałam sobie Eloise i Roberta, jak niewinnie bawili się przed domem i obrzucali kulami śniegowymi. Jak bardzo Eloise różni się od pierwszej żony Roberta. Tylko raz słyszałam, jak mówi „cholera”. Było to wtedy, gdy upuściła książki na korytarzu. Niecierpliwie przerzuciłam wycinki, dotarłam do artykułów z późnych lat sześćdziesiątych i wreszcie znalazłam to, czego szukałam. Krótka notatka na temat duetu „Chłopak i dziewczyna”. Robert i Amy

Chappell - debiutanci, którzy zdobyli umiarkowaną popularność w Bostonie i przygotowywali się do występów w klubach w okolicy Haight-Ashbury.

Podpis pod zdjęciem przedstawiającym tylko ich twarze głosił: „Przybywają do San Francisco z kwiatami we włosach”. Zobaczyłam Amy Sapphire. Krótkie włosy skrywał wianek ze stokrotek. Uśmiechała się takim samym uśmiechem jak na fotografii w „People” i patrzyła prosto w obiektyw. W jej oczach, mimo młodego wieku, widać było życiowe doświadczenie. W języku lat sześćdziesiątych można by powiedzieć, że to klawa lala. Wystrzałowa.

Chłopak obok niej to zupełnie inna sprawa. Przede wszystkim sięgał jej do ucha. Zdjęcie musiało zostać zrobione, kiedy oboje stali. On również się uśmiechał, ale dość głupio. Robert wyglądał jak półgłówek. Miał długie potargane włosy, przypominające jakiś wyjątkowo odrażający rodzaj pleśniowego porostu. Na czubku głowy bezładnie zatknął sobie kilka goździków, pewnie dla uzasadnienia podpisu. Wzrok miał mętny, jakby brał jakieś narkotyki. To tłumaczyłoby głupawy uśmiech. Zdjęcie nie było zbyt wyraźne, ale jednak widać było na nim pryszczę Roberta. Szczególnie jedną stronę twarzy szpecił wyjątkowo silny trądzik. Porównałam ówczesny wygląd Roberta z tym, jaki zapamiętałam, kiedy machał mi na pożegnanie, stojąc przed domem na Cape Cod. Dzisiaj na jego twarzy nie pozostał żaden ślad po młodzieńczych wypryskach. Widocznie Robert należał do tych ludzi, których wygląd poprawia się wraz z wiekiem. Ale jak on musiał cierpieć! Zwłaszcza mając u swojego boku tak wyjątkowe uosobienie piękna.

Z pewnością zdobył Amy głosem i osobowością. Razem mogli podbić świat. Jednak wyczuwałam, co się stało, tak jakbym była przy tym obecna. Ten nietypowy duet występował w klubach, błakając się po obrzeżach przemysłu płytowego, czekając na swoją szansę. I pewnego wieczora jakiś ważniak z wytwórni przyszedł ich obejrzeć, i zobaczył Amy. Tylko ją.

Zaoferował jej korzystny kontrakt, pod jednym warunkiem: „Pozbądź się tego przyszczatego frajera, dziecinko, a ja zrobię z ciebie gwiazdę”.

Taki oklepany scenariusz był najbardziej prawdopodobny. Gdyby Robert i Amy występowali w większym zespole, gdyby na scenie były przynajmniej cztery osoby, śpiewające i grające na różnych instrumentach, być może Robertowi by się udało. Nie przyciągałby uwagi, byłby jednym z muzyków, chłopakiem z głupią miną gdzieś w tle. Ale nie, występowali tylko we dwoje, a co gorsza byli małżeństwem. Wielbicielem nie spodobałoby się, że Amy jest mężatką, a wielbicielki wcale nie miałyby ochoty wieszac plakatu z Robertem nad swoim łóżkiem. Teraz pewnie chętnie by to zrobiły, ale jak sam zauważył, było już za późno. Dostał etykietkę nieudacznika, przegranego. Zmienił wygląd równie gruntownie jak Eloise, ale po prostu zbyt późno. Tak bardzo mu współczułam, że aż ścisnęło mi się serce. Nie chciałam już więcej czytać. Sapphire okazała się twarda i ambitna. Dostała dokładnie to, czego chciała, ale nie to, na co zasłużyła. Wkładając artykuły z powrotem do teczki, jeszcze raz zerknęłam na fotografię w „People”. Miałam ochotę ztrzeć jej ten uśmiech z twarzy.

Panorama Nowego Jorku nie była już dla mnie cudownym objawieniem, ale i tak nie mogłam oderwać od niej wzroku, kiedy Edwin wiózł mnie z lotniska w piątek po południu. Patrzyłam na światła i przypominałam sobie rzeczy, o których chciałam zapomnieć. Żałowałam, że przyjąłam zaproszenie Eloise. Na Cape Cod czułam się dobrze, ale Manhattan stanowił bezpośrednie zagrożenie. Wysokie budynki, klaksony samochodów, wariaci dający dziwaczne przedstawienia na rogach ulic; wszystkie te charakterystyczne nowojorskie elementy sprawiały, że mogłam myśleć tylko o kłęsce, jaką tutaj poniosłam. Cieszyłam się, że jedziemy East Side Highway, omijając West Side, krainę mojej przeszłości. College Barnard, West End Bar i Riverside Drive znajdowały się niemal na drugim końcu miasta. Jeśli będę się trzymała East Side,

dzielnicy, w której mieszkała Eloise, może odegnam niektóre złe wspomnienia. Postaram się udawać - jak to z powodzeniem robiłam w San Francisco - że Buddy nigdy nie istniał.

Tym razem byłam już przygotowana na widok całkowicie przemeblowanego domu i odmienionej Eloise. Moja przyjaciółka miała na sobie biały wełniany kostium Chanel i naszyjnik oraz kolczyki z pereł. Wyglądała tak pięknie i świetliście, jak rzeźba z lodu. Uściskałyśmy się na przywitanie, a potem zaprowadziła mnie do salonu. Stał tam Robert z butelką szampana i napełniał dla mnie kieliszek. To też był już dla mnie znajomy widok.

- Jak to cudownie, że was znowu widzę. - Wzięłam szampana od Roberta i szybko pocałowałam go w policzek. Podświadomie oczekiwałam, że wyczuję szorstki naskórek, jaki zostaje po medycznym usunięciu blizn po trądziku, ale policzek Roberta był w dotyku najzupełniej normalny. Niezbyt miękki, ale normalny. Robert w niczym nie przypominał chłopaka z tamtego zdjęcia i zaczęłam się nawet zastanawiać, czy to w ogóle był on. Potem przypomniałam sobie, że fotografię podpisano jego nazwiskiem. Zauważyłam też, że brwi pozostały takie same. Na zdjęciu wyglądał okropnie. Szczególnie szpeciły go brzydkie, splątane długie włosy. Ale przecież w latach sześćdziesiątych długie włosy były dla chłopaka wręcz obowiązkowe, bez względu na to, czy taka fryzura mu pasowała. Na szczęście teraz mógł nosić uczesanie, w którym było mu najbardziej do twarzy. Krótkie włosy Sapphire wyglądały tak samo modnie teraz, jak i wtedy. Udało jej się. Ale tej kobiecie pewnie wszystko się udaje.

- Jak się miewasz?

- Doskonale - odparł rozpromieniony Robert. - A jak się miewa moja ulubiona druhna?

- Nie druhna, tylko świadek honorowy.

- Naprawdę taki honorowy?

- Bez komentarza.

Podeszłam do kominka i rozejrzałam się po salonie. Ktośkolwiek projektował to wnętrze, dobrze się spisał.

Głowy zwierząt i poroża zniknęły bez śladu. Jasnoróżowe i białe tkaniny wprowadziły tu zupełnie inną atmosferę. Jedwabne poduszki leżały na kanapach i fotelach, na stołach stały wazy z liliami i fotografie w srebrnych ramkach. Obrazy były nowoczesne, z rodzaju takich, przed którymi ludzie stają i myślą, że oni też potrafiliby coś takiego namalować. Dziwią się też, dlaczego za te kilka płam na płótnie trzeba tak drogo płacić. Jednak w salonie Eloise te obrazy wyglądały doskonale. Śmiałe kolory dodawały życia tradycyjnemu wnętrzu i stanowiły przeciwagę dla różowych obić mebli. Zauważyłam, że Robert siedzi na kanapie w różowo-białe pasy, stojącej na miejscu starego mebla, który kiedyś zajmował John. Robert najwyraźniej czuł się w tym domu bardzo swobodnie.

- Pomyśleliśmy sobie, że zjemy dzisiaj lekką kolację, Stacy. Na pewno jesteś zmęczona. A jutro ruszymy w miasto. Zgadzasz się na taki plan? - zapytała Eloise.

- Oczywiście. Doskonale. Muszę stopniowo przyzwyczajać się do Nowego Jorku.

- W takim razie dobrze, że na nas trafiłaś. Umiejętnie wprowadzimy cię na orbitę. - Robert znów napełnił mój kieliszek, a potem kieliszek żony. Eloise siedziała wyprostowana jak żołnierz podczas inspekcji. Skromnie skrzyżowała nogi w kostkach, ale wzrok miała nieco mętny. Ciekawiło mnie, ile wypili przed moim przyjazdem.

- Jak ci idzie pisanie, Robert? - Zauważyłam, że Eloise spuściła oczy.

- Wcale mi nie idzie. Mam blokadę twórczą, chociaż jeszcze nawet nie zacząłem tworzyć. Nieźle, co?

- Nie mógł pracować, ponieważ mieliśmy tu tyle zamieszania w związku z remontem domu. Trudno mu było znaleźć chwilę ciszy i spokoju. - Eloise położyła rękę na udzie męża, a on natychmiast nakrył ją dłonią.

- Eloise jest moją największą wielbicielką. Prawda, kocie? Zresztą ja też jestem jej największym wielbicielem. Nie zdradźcis nam, Stacy?

Zaskoczona tym pytaniem, nerwowo wypilał długi łyk szampana.

- Oczywiście, że wam zazdrozczę. Kto by wam nie zazdrościł? Jesteście parą doskonałą.

- Ty też niedługo będziesz połową doskonałej pary, Stace - zapewniła pośpiesznie Eloise. - Robert nie chciał być niedelikatny, po prostu lubi się chwalić.

Robert bezradnie wznosił ręce i uśmiechnął się do mnie.

- Czasami nie mogę się powstrzymać. Chodźmy, świadku honorowy. Umieram z głodu. Kolacja gotowa.

Kiedy zaczerwieniona szłam z nimi do jadalni, znów żałowałam, że przyjechałam do Nowego Jorku. Dlaczego nawet teraz, w latach dziewięćdziesiątych, szczytem osiągnięć kobiety ma być znalezienie sobie drugiej połowy i stworzenie szczęśliwej pary? Podobno to się już zmieniło. Podobno praca też się liczy, a udana kariera ma równoważyć niedostatki życia emocjonalnego. Lubiłam swoją pracę, chociaż nie był to najbardziej dochodowy zawód, jaki mogłam wybrać. Ale właśnie w takiej pracy byłam szczęśliwa. Dlaczego, mimo wszystkich zdobyczy feminizmu, tak wielkie znaczenie ma mężczyzna przy moim boku, czy raczej jego brak? Byłam zła na siebie, że tak zareagowałam na pytanie Roberta.

Na widok jadalni zapomniałam o gniewie. Zaszokowała mnie. Przede wszystkim rzucał się tu w oczy jaskrawoczerwony stół, otoczony czarnymi, lakierowanymi na wysoki połysk krzesłami. W całym pomieszczeniu dominowała czerń i czerwień.

- Tutaj jest jak w piekle - powiedziałam do Eloise. - Dokładnie jak w piekle. Gdzie jest diabeł z widłami?

- Właśnie mamy go kupić - odparła. - To znaczy, chcemy kupić obraz z diabłem, który Robert znalazł w pewnej galerii. Podoba ci się?

- Owszem, tak. Diabeł kojarzy mi się z jedzeniem i pić. To ciekawy pomysł na urządzenie jadalni. Trochę niesamowity.

Lokaj podał nam pierwsze danie, zupę z rukwi wodnej.

Wszyscy troje siedzieliśmy w jednym końcu stołu, przy którym z łatwością zmieściłoby się dziesięć osób. Zastanawiałam się, czy często zapraszają tu na kolacje eleganckie i bogate towarzystwo z Manhattanu. Wszystko to tak bardzo się różniło od naszego pokoju w akademiku, z jego dwoma przepisowymi łózkami i szafkami upchniętymi na niewielkiej przestrzeni.

- Ciekawe, dlaczego ludzie bardziej boją się w nocy niż w świetle dnia? - Robert rzucił to pytanie w przestrzeń, nie zwracając się wprost do żadnej z nas.

Eloise odezwała się pierwsza.

- Pewnie dlatego, że w ciemnościach nic nie widać. To strach przed nieznanym, zwłaszcza w przypadku dzieci. Pamiętam, że jako dziecko bardzo bałam się potworów, kiedy wieczorem gospodyni gasiła światła.

Robert zatarł ręce, złożył je, a potem zacisnął w pięści i oparł o stół.

- Ale przecież to nie ma sensu. Dzieci wyłaniają się z ciemności. W łonie jest całkiem ciemno, a przecież to podobno najwspanialsze miejsce pod słońcem. Narodziny to wstrząs. Właśnie dlatego kobiety rodzą teraz w słabo oświetlonych salach porodowych. To właśnie światło jest trochę niesamowite, jak to określiła Stacy. Dzieci, wszyscy ludzie, powinni lubić ciemność. Należałoby raczej przypuszczać, że w niebie panują nieprzeniknione ciemności, a piekło to więzienie, wypełnione jaskrawym światłem.

- To niewątpliwie ciekawy pomysł. Ale przecież płód nie wie, że przebywa w ciemnościach. - Dyskusja mnie wciągnęła. Przypominała mi dawne rozmowy, jakie prowadziłyśmy z Eloise. - Płód nie zdaje sobie sprawy, że nic nie widzi. Dziecko i dorosły wie, że kiedy zapada ciemność, przestaje widzieć, a on staje się bezbronny.

- Cieszę się, że użyłaś zaimka w rodzaju męskim, Stacy. Nie potrzebujemy tu żadnych rozszalałych feministek. Mamy ich już dość. Nasza listonoszka się wściekła, kiedy raz nazwałam ją listonoszem. - Robert prychnął rozbawiony. - Więc chcesz powiedzieć, że to, czego nie wiemy, nie może nas zranić? Płód czuje się świetnie, ponieważ nie ma świadomości?

Ignorancja to szczęście?

Robert odchylił się do tyłu. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. To dziwne, że dopiero teraz spostrzegłam, jak często w rozmowie posługuje się pytaniami. Zwykle kończył zdanie zwrotami typu „nie sądzisz?” albo „czy to nie wspaniałe?” Taka technika zawsze przerzucała ciężar konwersacji na współrozmówcę, który czuł się zobowiązany coś odpowiedzieć, a często, jak to było w moim przypadku, zgodzić się z Robertem.

- Ignorancja to jest szczęście, dopóki nie zaczyna szkodzić - wtrąciła Eloise. - To, czego nie wiesz, nie może cię zranić. A zranić może cię wszystko. Na tym polega problem. - Wyglądała tak smutno i bezbrinnie, jak wtedy, gdy była dzieckiem, które bało się potworów.

Robert spojrział na mnie znacząco, dając mi do zrozumienia, że oboje wiemy o skłonności Eloise do depresji.

- Posłuchaj mnie, kocie. Siedzisz tu z nami ubrana na biało, niczym anioł w piekle. I powinnaś być szczęśliwa jak anioł. Czy ona nie wygląda anielsko, Stacy?

- Ależ tak. Robert ma rację. - Tego wieczoru Eloise otaczała aura niewinności. Mimo drogiego kostiumu i pereł przypominała zjawę nie z tego świata na de czerwono-czarnej jadalni. Jakbyśmy wezwali ją tu podczas seansu spirytystycznego.

- Oczywiście, że mam rację! - zawołał Robert. - Nieszczęśliwa mina do ciebie nie pasuje, aniołku. Napij się jeszcze. - Nalał jej kieliszek czerwonego wina.

- Przepraszam. - Przygarbiona wypita łyk, ale natychmiast się wyprostowała niczym żołnierz na defiladzie i spojrzała na męża. - W zeszłym tygodniu Stacy umówiła się na kolację z Bobbym. Mówiłam ci o tym?

- Owszem. Jak się miewa mój syn? Mam nadzieję, że był grzeczny.

- Jak najbardziej.

- I mam też wielką nadzieję, że próbował cię poderwać. Byłby głupi, gdyby tego nie zrobił.

Eloise parsknęła śmiechem, niemal zachłystując się winem.

- Robert! Przecież Bobby ma tylko dwadzieścia lat! - wykrztusiła pokaszując.

Wzrok Roberta przeszywał mnie jak promienie rentgenowskie. Założyłam nogę na nogę i zaraz usiadłam prosto. Zmieszana starałam się wytrzymać spojrzenie Roberta. Z ulgą powitałam pojawienie się lokaja, który przyszedł zabrać talerze.

- Powiedz, Stacy, czy mój syn odebrał od ciebie jakąś życiową naukę? - nie ustępował Robert.

- Jesteś niemożliwy, kochanie. - Eloise zanosila się śmiechem.

- Niczego go nie nauczyłam. Rozmawialiśmy o jego studiach - odrzekłam.

- To pewnie był strasznie nudny wieczór. Muszę nauczyć Bobby'ego, jak zabawiać kobiety. - Robert odstawił kieliszek i uśmiechnął się do mnie. - Przepraszam w imieniu syna.

- Żadne przeprosiny nie są potrzebne, Bobby to interesujący młody człowiek. Mówię szczerze.

- To dobrze. Miło mi to słyszeć. Trudno samotnie wychowywać dziecko, wiesz? Cały czas się martwisz, nie jesteś pewien, czy właściwie postępujesz. Chłopak dorastający bez matki jest bardzo pokrzywdzony. Starałem mu się to wynagrodzić, ale skąd mam wiedzieć, czy to się udało? Pozytywne opinie z zewnątrz dodają mi otuchy.

- Los samotnego rodzica z pewnością jest trudny - odparłam. - W mojej księgarni widuję wielu klientów w dziale z podręcznikami na temat wychowania dzieci. Szukają książki, która im powie, jak być rodzicem doskonałym. A takiej książki nie ma.

Rozmawialiśmy z Robertem o znanych nam książkach o opiece nad dzieckiem. Wymienialiśmy tytuły bestsellerów i takie, o których wszyscy szybko zapomnieli. Zerkałam na Eloise, ale ona nie przyłączyła się do dyskusji. Widać było, że opuszcza ją energia.

- Nie wiem jak ty, Stacy, ale ja jestem wykończona - odezwała się w końcu. Wyglądała jak anioł, któremu za chwilę harfa wypadnie z rąk.

- Kocie, a co z kolacją?
- Już nic więcej nie zjem. Chyba za dużo wypiałam. Poza tym, miałam tyle wrażeń w związku z przyjazdem Stacy. Lepiej już się położyć. Przepraszam, Stace.
- Nie ma za co. Ja zjadłam coś w samolocie i pewnie też zrezygnuję z kolacji, jeśli kucharka się nie obrazi.
- Jest do tego przyzwyczajona - odpowiedziała Eloise z westchnieniem. Wstała i oparła się o krzesło.
- Do czego jest przyzwyczajona? - Nie zrozumiałam jej.
- Och, do tego, że goście nie zjadają wszystkiego, co ugotuje. Tak wielu ludzi przestrzega teraz różnych diet - wyjaśnił Robert, klepiąc się po brzuchu. - Ale ja, jak widzisz, do nich nie należę. Zaprowadzę Eloise do sypialni. Fryderyku... - Skinał na lokaja. - Powiedz Sarah, żeby zaprowadziła naszego gościa do pokoju, dobrze? I przyslij mi na górę tacę z resztą kolacji.
- Oczywiście, panie Chappell.

Idąc za Sarah po szerokich schodach z białego marmuru, uznałam, że ja też za dużo wypiałam. Wciąż słyszałam, jak Eloise zaśmiewa się na myśl, że ja i jej pasierb mogliśmy wylądować razem w łóżku. Doszłam do wniosku, że na ogół samotne spędzanie nocy jest o wiele bezpieczniejsze.

W przydzielonej mi sypialni poczułam się, jakbym wylądowała w Paryżu, a nie w Nowym Jorku. W rogu stał kryty czerwonym aksamitem szezlong. Łóżko było wielkie, zaścienione lnianymi prześcieradłami i kwadratowymi poduszkami. Obrazy na ścianach przedstawiały kobiety wychodzące z kąpieli lub stojące nago przy umywalkach. Wnętrze przywodziło na myśl ekskluzywny dom publiczny. Przynajmniej ja odnosiłam wrażenie, że to idealny pokój do uprawiania seksu.

Łazienka mnie nie zaskoczyła. Olbrzymia wanna na czterech nóżkach była lustrzanym odbiciem wanien z obrazów. Tak samo jak umywalka. Podłogę pokrywały zwykłe białe kafelki. W sypialni panował ostentacyjny przepych, tymczasem łazienkę urządzone skromnie. Najbardziej luksusowymi przedmiotami były tu puszyste ręczniki, w które bez trudu zawinąłby się potężny zapaśnik sumo. Spozstrzegłam też piękny

szlafrok kąpielowy. Dotychczas widywałam takie tylko na zdjęciach w czasopismach turystycznych. W takie ręczniki wyposażone są apartamenty w hotelu George V, a kierownictwo z góry zakłada, że zostaną rozkradzione przez gości.

Wzięłam wspaniałą długą, ciepłą kąpiel i poszłam do łóżka, które już nagrzano termoforem z gorącą wodą. Zасыpanie w takich warunkach było nie tylko łatwe, ale wręcz rozkoszne. Kiedy się obudziłam, zjawiła się Sarah z pytaniem, co zjem na śniadanie. Widząc taką troskliwą opiekę, zastanawiałam się, jak wygląda życie Eloise. Co ona robi całymi dniami? Pewnie wypoczywa i cieszy się życiem. W takich okolicznościach każdy by tak postępował.

Zjadłam śniadanie w łóżku, ubrałam się i zeszałam na dół, żeby poszukać przyjaciółki, ale jej nie znalazłam. Nie było jej w salonie, więc poszłam korytarzem na prawo od schodów. Pierwsze drzwi prowadziły do pokoju ze sprzętem elektronicznym. Zobaczyłam tam telewizor, wideo i odtwarzacz kompaktowy. Ściany pomalowano tu na jasnoszaro, a całość oświetlały lampki wpuszczone w strop. Jedną ze ścian całkowicie zasłaniały półki z płytami. Ułożono je w porządku alfabetycznym, według nazwisk piosenkarzy. Byli tu chyba wszyscy znani mi wykonawcy pop oprócz, co bardzo interesujące, Sapphire Shannon. Spostrzegłam też całą kolekcję starszych piosenkarzy, takich jak Fred Astaire i Bing Crosby. Płyt kompaktowych było mniej i stanowiły mieszankę muzyki klasycznej, operowej i country. Uznałam, że to nowa pasja Roberta. Pewnie Eloise zaznajomiła go z przyjemnością słuchania utworów operowych, a on ją z artystami w stylu Tammy Wynette.

Przypomniałam sobie, że Robert nagrał kiedyś solowy album, i wróciłam do półek z tradycyjnymi płytami. Znalazłam go wśród nagrań innych piosenkarzy na literę C. Wyjęłam okładkę i zobaczyłam, że jest pusta. Na okładce widniał tytuł „Dlatego, że tam jest” i zdjęcie Mount Everest. Nazwisko Roberta wypisano u dołu, krwistoczerwonymi literami. Odwróciłam okładkę na drugą stronę i przeczytałam tytuły piosenek. Strona A:

Kochaj albo rzuć, Graj uczciwie, Gorące piaski; Dlaczego nie?; Próbowałem. Strona B: Dlatego, że tam jest, Zastanów się jeszcze raz; Musisz coś przeżyć, Pół mili; To, czego pragniesz.

Wszystkie napisał Robert Chappell. Rozczarował mnie brak samej płyty. Bardzo chciałam wysłuchać nagrania jego głosu, przekonać się, czy rzeczywiście był jedynie „ładny i miły”, jak go opisała Sapphire, czy lepszy. Chciałam się dowiedzieć, jak bardzo niesprawiedliwie Robert został potraktowany przez los w osobie swojej byłej żony.

Odłożyłam okładkę na miejsce, wyszłam z pokoju i wsunęłam głowę do małego saloniku po drugiej stronie korytarza. Wyglądał na doskonale miejsce na leniwą lekturę porannej prasy przy filiżance kawy. Ściany wyklejono tapetą w pasy. Stała tu lampa i dwa duże fotele. Kominiek otaczał marmurowy fryz, na którym wyrzeźbiono panoramę włoskiego miasteczka na stoku wzgórze. Ławę w okiennej wnęcie obito materiałem pasującym do tapet. Oczywiście i tutaj stało mnóstwo białych lilii. Wróciłam do głównego salonu i przyjrzałam się oprawnym w srebrne ramki fotografiom, które zwróciły moją uwagę już ubiegłego wieczoru. Chciałam znaleźć podobiznę matki Eloise. W tym samym celu przeszukałam kiedyś dom na Cape Cod, ale bez powodzenia. Tutaj również nie dopisało mi szczęście. Większość zdjęć ukazywała Roberta i Eloise, uśmiechających się do siebie bądź do obiektywu. Znalazłam też jedno zdjęcie Bobby'ego w stroju tenisowym i jedno ojca Eloise, w ubraniu myśliwego.

Postanowiłam obejrzeć resztę domu. Wyszłam na korytarz i ruszyłam na lewo, mijając salonik i pokój muzyczny. Otworzyłam drzwi do pomieszczenia, które najwyraźniej było gabinetem Roberta. Siedział tam z nogami na biurku i grał na gitarze.

- Dzień dobry, Stacy. My, ranne ptaszki, zawsze się znajdziemy, prawda? Siadaj. - Wskazał stojący naprzeciw, obity skórą fotel, a ja skorzystałam z zaproszenia. - Chcesz drinka? Jest wódka z sokiem pomidorowym, z sokiem pomarańczowym, dżin z tonikiem, co tylko sobie życzysz.

Pora wydała mi się trochę zbyt wczesna na drinka, ale głupio mi było odmówić.

- Poproszę wódkę z sokiem pomidorowym. - Wyjęłam papierosa. Robert odłożył gitarę na podłogę, podał mi ogień, a potem podszedł do barku obok biurka i zrobił mi drinka. - Nie chcę ci przeszkadzać. Co grałeś?

Sięgnął po gitarę, przerzucił pasek przez ramię i usiadł na blacie przede mną. Stykaliśmy się kolanami.

- Na statku z lizakami - zaczął śpiewać, a ja wybuchnęłam śmiechem. - Stacy, Stacy. To nic śmiesznego. Shirley Temple miała wspaniały, niezwykły głos. Umiała zmieniać tonację jak Ella Fitzgerald. Uwielbiam tę piosenkę. Siedź spokojnie i słuchaj.

Zaśpiewał ją jak tęskną balladę, smutnym, pełnym żalu głosem. Wydała mi się tak wzruszająca jak *Somewhere Over the Rainbow*, a nawet bardziej, ponieważ dotychczas znałam ją jako radosną dziecięcą pioseneczkę.

- Robert - odezwałam się po chwili milczenia, kiedy skończył. - Nie zrezygnowałeś, prawda? Nie możesz przestać śpiewać. Jesteś na to zbyt dobry.

- Oczywiście, że mogę przestać. Owszem, zrezygnowałem - odparł gromko, zupełnie zmieniając ton głosu. Potem dodał znowu łagodnie: - No, chyba że udałoby ci się znaleźć nauczyciela, który zrobiłby ze mnie śpiewaka operowego w tak zaawansowanym wieku, to kto wie. Ale przecież nie mam wystarczającej skali głosu, co?

- Nie wiem. Słyszałam cię tylko parę razy. Może po ćwiczeniach okazałoby się, że masz odpowiedni głos.

- Nie. Jestem za stary. Życie nie zaczyna się po czterdziestce. Wtedy zaczyna się kończyć. I wcale bym nie chciał współzawodniczyć z primadonnami. To zarozumiałe, grube baby. - Uśmiechnął się do mnie i starannie włożył gitarę do leżącego przy biurku futerału.

- Lubisz filmy z Shirley Tempie? - zapytałam.

- Jasne. Przecież każdy je lubi. Wszystkie mają doskonałą fabułę. Shirley zwykle gra jakąś śliczną sierotkę, która w końcu znajduje doskonałych rodziców. Ci kochający rodzice

wybawiają ją od nieszczęśliwego dzieciństwa, tak że w finałowej scenie Shirley z szerokim uśmiechem może odśpiewać jakąś wesołą piosenkę i tanecznym krokiem ruszyć w przyszłość. Jako dziecko marzyłem, że coś takiego przydarzy się również mnie. Większość dzieci boi się tego, że zostały adoptowane. Ja bałem się czegoś wręcz przeciwnego - że moi rodzice rzeczywiście są moimi rodzicami i nikt się po mnie nie zgłosi, żeby mnie przed tym wszystkim uchronić.

- Przed czym chciałeś się uchronić?
- Mówiąc ściśle, chciałem się chronić przed matką.
- Dlaczego?

- Najlepiej opowiedziałbym tę historię leżąc na kozetce u psychoanalityka. - Roześmiał się. - Przecież większość ludzi ma niezbyt szczęśliwe dzieciństwo. Wszyscy to wiemy i takie historie nas nudzą, chyba że przydarzają się nam osobiście.

- Bardzo bym chciała cię wysłuchać, Robercie.

- Naprawdę? - Zamyślił się, jakby ważył wszystkie za i przeciw opowiadaniu tak bolesnej historii obcej osobie. - Nie zapominaj, że dorastałem w latach pięćdziesiątych, kiedy oczekiwano od matek, że będą tradycyjnymi matkami, a od ojców, że będą zabierali synów na mecze futbolowe. Były to też czasy, kiedy heinemedina zbierała obfite żniwo. Jednak nie mnie dopadła ta choroba, tylko mojego ojca. Został kaleką, a matka zaczęła utrzymywać dom. Tak więc role się odwróciły. Ona wychodziła do pracy, a on zostawał w domu i oglądał telewizję. Nie byłoby to takie złe, ale matka awansowała. Wspięła się po szczeblach kariery, od posady sekretarki w zarządzie sieci supermarketów do stanowiska kierowniczkii jednego ze sklepów. Dla mojego ojca w ogóle nie miała czasu. Traktowała go jak kalekę. Jeśli zaś chodzi o mnie, to po prostu jej zawadzałem. Nigdy nie przychodziła do szkoły podczas dni otwartych dla matek, nie podwoziła dzieci sąsiadów do szkoły, jak to robiły inne matki, nie przychodziła kibicować mi w szkolnych zawodach sportowych. Kiedy ją o to prosiłem, potrząsała tylko głową i mówiła, że jest bardzo

zajęta. Razem z ojcem żywiliśmy się spaghetti z puszek i zupami Campbella. Matka nie miała głowy do gotowania. Sypialnia ojca była oczywiście na parterze, a matki na piętrze. Wpadała do domu jak do hotelu, a my musieliśmy uważać na jej humory. Jeśli zdarzył się jej zły dzień w biurze, my za to płaciliśmy, i to drogo. A to dom był nieposprzątany, a to nie docenialiśmy jej ciężkiej pracy. Byliśmy pijawkami, które się do niej przysały i żarłocznie piły jej krew. Wtedy najlepiej było jej unikać. Ojciec nie odrywał się od telewizora w sypialni. Ja zostawałem w swoim pokoju, odrabiałem lekcje i ćwiczyłem grę na gitarze, którą dostałem na gwiazdkę od ojca. Matka wydzielała mu kieszonkowe, a on oszczędzał, żeby kupić mi prezent. Jak dziecko. Kiedy matka miała urlop, wyjeżdżała sama, a ja opiekowałem się ojcem.

Gdy mi to opowiadał, zauważyłam, że niewielka skaza na jego tęczęwce wygląda jak spływająca łza. Wieczna łza, której nie można osuszyć. Jednak poza tym jego twarz miała nonszalancki wyraz.

- W takim razie, co twoja matka robiła wieczorami, skoro ojciec oglądał telewizję, a ty nie wychodziłeś z pokoju? - Robert nie odpowiedział. - Z twojego opowiadania wynika, że to była bardzo okrutna kobieta. Nie miała żadnych pozytywnych cech?

- Doskonale radziła sobie w pracy. Opłaciła moją naukę w college'u. Zresztą bardzo lubiła wypominać mi ten dług. Oboje już nie żyją. Ojciec z latami stawał się coraz słabszy, aż zmarł, a matka dostała ataku serca.

- Co za ponure dzieciństwo.

- Daj spokój. Nie było tak źle. Niektóre dzieci są bite przez rodziców. Ja po prostu zamknąłem się w sobie i jakoś przeżyłem. Często marzyłem, żeby mieć inną matkę, taką, jakie pokazują w serialach telewizyjnych.

- A ojciec? Czy stosunki między wami dobrze się układały?

- Jak już mówiłem, chciałem mieć kogoś, kto by mnie chronił. A ojciec tego nie robił. Teraz wiem, że to ja powinienem go chronić.

- Co chcesz powiedzieć?

Zadzwoił telefon na biurku. Podskoczyłam, a Robert z uśmiechem podniósł słuchawkę.

- Tak, dobrze. Zaraz tam będę - powiedział i rozłączył się.

- Eloise się obudziła. Wypiję z nią kawę. Słuchaj, Stacy, sam nie wiem, dlaczego opowiedziałem ci tę historię. Chyba weszło mi w nawyk zwierzać ci się z mojej przeszłości. Jesteś tak dobrym słuchaczem, że nie potrafię się oprzeć.

- Nie żartuj - zaprotestowałam. Stanął za moim fotelem i delikatnie zaczął masować mi kark.

- Wiesz, powinnaś spróbować akupunktury.

- Co takiego?

- Na palenie. Jesteś kłębkim nerwów. Mięśnie na szyi masz twarde jak drewno. To trzeba zmienić.

Kiedy wyszedł, nadal siedziałam i rozmyślałam o dzieciństwie Roberta. Jak na kogoś o tak smutnych początkach, wyrósł na wspaniałego człowieka. Wychowany przez nieczułą matkę, były mąż takiej kobiety jak Sapphire Shannon, potrafił zachować poczucie humoru i dystans do życia. Eloise spotkało jeszcze większe szczęście, niż przypuszczałam. Ona miała nieobecnego ojca, on nieobecną matkę. Świetnie się dobrali. Robert nigdy nie będzie kpił z jej kruchej konstrukcji psychicznej.

W gabinecie było niemal tyle samo książek, co płyt w pokoju muzycznym. Zaczęłam je przeglądać, żeby dowiedzieć się z wyboru lektur czegoś o charakterze Roberta. Wszystkie poukładano według nazwisk autorów i podzielono na sekcje. Między innymi zaletami Robert posiadał również umiłowanie porządku. Beletrystyka. Literatura faktu. Sztuka. Historia. Podróże. A na końcu niewielki dział o psychologii. Dział beletrystyki obejmował powieści od klasycznych po całkiem współczesne. W literaturze faktu znajdowały się głównie biografie i autobiografie sławnych ludzi, tak różnych jak Laurence Olivier i Ed Koch. Historia koncentrowała się na wojnie secesyjnej. Dział sztuki zajmowali wyłącznie współcześni artyści. Ciekawiło mnie, kto wybierał obrazy do mojej sypialni.

Dział psychologii najbardziej mnie zadziwił. Pełno w nim

było popularnych śmieci typu: Czy czujesz się winny, kiedy mówisz nie?, Jak poczuć się lepiej we własnej skórce, Czego naprawdę chcą kobiety. Ostatnia pozycja w tej sekcji przyciągnęła moją uwagę. Cienka książeczka w miękkich okładkach nosiła tytuł: Miłość - najdoskonalsza metoda prania mózgu. Rozpoznałam nazwisko autora. Daniel Sterne. Dlaczego nigdy przedtem jej nie widziałam? Książki to mój zawód, ale ta jakoś nie wpadła mi w ręce. Gdybym wiedziała o jej istnieniu, umieściłabym ją na honorowym miejscu wystawy Daltona. Sprawdziłam datę wydania - 1987. Jak to się stało, że przegapiłam tę książkę? Sam widok nazwiska autora wywołał we mnie nagłą tęsknotę. Znow zobaczyłam starszawe kelnerki w kawiarni Wiedeńskiej, ich trzęsące się ręce, rozmazaną szminkę i łagodne spojrzenie. Mrożona kawa z lodami kawowymi. Deszczowe popołudnia, które tam spędzałam na pisaniu prac semestralnych. I to jedno popołudnie, kiedy byłam pewna, że Daniel Sterne chce się z mną umówić.

Szybko przejrzałam książkę i upewniłam się, że to dobra lektura. Powiedziałam sobie, że chcę się więcej dowiedzieć na temat miłości i prania mózgu, i natychmiast uśmiechnęłam się do siebie. Kogo zamierzałam oszukać? Chodziło mi o to, żeby znow porozmawiać z Danielem Sterne'em. Odłożyłam książkę, podniosłam słuchawkę i połączyłam się z biurem numerów. Podano mi numer Daniela Sterne'a, zamieszkałego przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej. Zadzwoiłam tam od razu.

Kiedy weszła Eloise, właśnie odkładałam słuchawkę.

- Robert mi powiedział, że tu jesteś - odezwała się. - Gotowa na wyprawę po galeriach sztuki i jakieś niewielkie zakupy? Możemy zjeść mały lunch w Mortimers, jeśli zechcesz. - Eloise wyglądała egzotycznie w powłóczystym kimonie, a jej twarz znow nabrała kolorów. - Przebiorę się w jednej sekundzie. Będzie tak jak za dawnych czasów. Pożarczki kultury znow ruszają w miasto. - Uśmiechnęła się.

- To wspaniała propozycja, ale obawiam się, że nie zjemy razem lunchu. Pod wpływem nastroju chwili zadzwoniłam do

swojego dawnego wykładowcy. Pamiętasz Daniela Sterne'a? Umówiłam się, że zjemy coś razem.

- Aha. Dobrze. - Eloise podeszła do barku i nalała sobie z dzbanka wódki z sokiem pomidorowym. - Zaraz, zaraz. Daniel Sterne? To ten, w którym się podkochiwałaś, prawda? Och, Stace, nie rumień się! Słuchaj, jeśli ten lunch będzie udany, zaprosz go dzisiaj do nas na kolację. Na ósmą. Bardzo chciałabym poznać tego człowieka.

- Pewnie jest żonaty.

- Tak powiedział?

- Nie. Nie wydawał się nawet zdziwiony, że do niego dzwonię. Powiedział tylko „Oczywiście, że cię pamiętam, niemądra. Kawiarnię Wiedeńską zamknęli, ale spotkajmy się w Balcony”.

- To brzmi obiecująco.

- Ale nie znaczy, że nie jest żonaty.

- Stace, spójrz tylko na siebie. Nie potrafisz ukryć, że jesteś przejęta. Już wpadłaś. Bardzo mi się to podoba. Czy trochę romansu w życiu to nie jest cudowna sprawa?

- On na pewno ma żonę. Albo woli chłopców.

- Jesteś beznadziejna. - Eloise potrząsnęła głową i roześmiała się. - No, szybko przygotuj się do wyjścia. Przed lunchem zdążymy odwiedzić Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Ale lepiej trochę się umaluj.

- Ty mi mówisz, że mam się umalować? To chyba jakiś żart.

- Już nie. Starzejemy się i musimy jakoś temu przeciwdziałać. Trzeba wyglądać jak najlepiej.

- Dobrze, już dobrze. Nigdy nie przypuszczałam, że usłyszę to właśnie od ciebie.

- Rzeczy się zmieniają - odparła śmiertelnie poważnym tonem. - I ludzie też.

Daniel Sterne niewiele się zmienił. Wciąż był niski i krępy, miał zaczesane do tyłu włosy i twarz przypominającą Stalina - ale bez wąsów. Nawet teraz, po czterdziestce, nie wyglądał

jak profesor, ale staromodny tajemniczy przemytnik rumu z pirackiego statku. Od razu zrobiło mi się przyjemnie, ponieważ gdy tylko weszłam do restauracji, rozpoznał mnie i pomachał na powitanie. Ucieszyło mnie też, że nie rzucił palenia. W rękę trzymał Pall Malla bez filtra.

- To robi wrażenie - powiedziałam, siadając naprzeciw niego. - Bałam się, że dołączyłeś do brygady fanatyków, zwiariowanych na punkcie zdrowego życia i przerzuciłeś się na Marlboro Lights.

- Nic podobnego - odparł. - Wielu ludzi tylko czeka, że bym padł trupem. Nie chcę ich zawieść.

- Kto pragnie twojej śmierci?

- Jedna była żona. Kilka dawnych kochanek. Mnóstwo studentów, których oblałem. Mój brat, bo wtedy odziedzyczyłby mój karnet na mecze Yankees. Wszyscy wykazują wiele cierpliwości. Przysyłają mi całe kartony papierosów na urodziny i na gwiazdkę, a ja tymczasem nie choruję nawet na gripę. Palę dwie paczki dziennie. Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić.

Miałam nadzieję, że nie zauważył, jak wielką ulgę poczułam, kiedy powiedział „była żona”. Siedzieliśmy w Balcony, restauracji na Upper West Side. Podłogę wyłożono tu wypolerowanym parkietem, a wzdłuż jednej ściany, nad naszymi głowami, biegła dekoracyjna galeria. Wystrój był spokojny i wygodny. Przypomniałam sobie, że już raz tu byłam, z Buddym. Grano tę samą muzykę co piętnaście lat temu - koncerty fortepianowe Chopina. Tamtego wieczora pokłóciłam się z Buddym. Poszło o moje papierosy.

- Dlaczego zamknęli Wiedeńską? - zapytałam.

- Sama zgadnij. Stare kelnerki dziwaczki, kierownictwo, któremu bardzo się podobało, że w kawiarni całymi godzinami przesiadują studenci, zamawiając najwyżej dwie filiżanki kawy. To cud gospodarczy, że ten lokal przetrwał tak długo.

- Smutne. Wiedeńska to część mojej przeszłości. - Nieoczekiwanie przypominałam sobie, jak Robert tęsknym głosem śpiewał piosenkę Shirley Tempie. - Ale cieszę się, że nadal uczysz. Pewnie już jesteś profesorem.

- Ja się z tego nie cieszę. Nauczanie to koszmar roboty. Gorsze jest tylko pisanie. - Roześmiał się. Zresztą kiedy mówił, stale mi się wydawało, że zaraz wybuchnie śmiechem.

- Widziałam twoją książkę. Miłość - najdoskonalsza metoda prania mózgu. Jeszcze jej nie czytałam, tylko przejrzałam. Zapowiada się bardzo interesująco. Nie wiem, dlaczego wcześniej się na nią nie natknęłam. Jestem teraz kierowniczką księgarni w San Francisco. Mogłabym sprzedać wiele egzemplarzy.

- Ta książka jest do niczego. Proszę cię, zrób mi przyjemność i nie wspominaj o niej. Mój cholerny wydawca nie wierzył w jej sukces, więc umarła szybką, nienaturalną śmiercią na półkach księgarni, gdzie bardzo krótko gościła. Muszę pisać różne bzdury, chociaż mam teraz stałą umowę na uniwersytecie. Oczywiście nie ma z tego żadnych pieniędzy. Taka akademicka pisanina. Spróbowałem więc zarobić trochę forsy na psychologii w stylu pop, ale to też okazało się stratą czasu. Teraz jestem na urlopie naukowym i powinienem pisać wyczerpującą pracę na temat Hofstadtera, ale oszukuję i poświęcam się wysmażaniu dziełka, które zarobi dla mnie fortunę. Jak raz na zawsze pozbyć się bólu pleców. To murowany bestseller. Wiesz, ilu ludzi w Ameryce, Europie, Nikaragui i Papui Nowej Gwinei cierpi na ból pleców? Będę sławny, będę bogaty, będę jak Oprah Winfrey. Jesz lunch z przyszłą supergwiazdą.

- Znasz się na bólu pleców?

- Ani trochę. Ale potrafię czytać podręczniki medyczne i świetnie mi idzie wymyślanie prostych ćwiczeń, a jeśli do tego dodam rozdział o wpływie efektu cieplarnianego na plecy, to mnie ozłocą.

Roześmialiśmy się oboje. Siedzieliśmy w restauracji na West Side, w samym sercu terytorium Buddy'ego, a ja zachowywałam się beztrudnie. Spodobało mi się, że Sterne zaśmiewa się ze swoich własnych dowcipów.

- Wiesz - konspiracyjnie pochylił się nad stolikiem - nic, co tu podają, mi nie smakuje, ale często tu przychodzę, bo zawsze któryś z kelnerów coś rozlewa albo tłucze. Czuję się

tu jak za dawnych czasów w Wiedeńskiej, z tą różnicą, że tu pracują młodzi ludzie. Nie powinni mieć takich wpadek. Chodzi mi o to, że są sprawni, pewnie odpowiednio przeszkoleni, robią to codziennie. Jednak za każdym razem, trrrrach, i już talerz frytek ląduje na podłodze albo wino rozlewa się na sukienkę klientki. To świetna zabawa, tylko doprowadza mnie do bankructwa. Może dzisiaj nic nie potłuką. Wtedy nie będę musiał więcej tu przychodzić.

Domyśliłam się, że rachunek będziemy płacić po połowie. To dziwne, ale przyzwyczaiłam się do tego, że w Kalifornii mężczyźni zawsze płacą za kobiety. Z początku, kiedy tam zamieszkałam, zawsze chciałam na randce płacić za siebie i za każdym razem spotykała mnie ostra odmowa. Mój feministyczny upór w tej dziedzinie szybko zniknął. Jednak Sterne jasno określił swoją sytuację finansową i byłam mu za to wdzięczna. Zapomniałam już, jak to przyjemnie być na równych warunkach z mężczyzną. Nie będę musiała się martwić, że jestem mu coś winna. Nie znaczy to, że miałabym coś przeciwko fizycznemu związkowi ze Sterne'em. Był człowiekiem, który łatwo wchodził w fizyczne kontakty, podczas rozmowy często dotykał mojego ramienia. Nie robił tego z rozmysłem, jak niektórzy ludzie, świadomie stosujący tę taktykę, żeby wywołać poczucie intymności. U niego to był naturalny sposób bycia. Nie potrafił zachowywać się inaczej. Tak samo by mnie dotykał, gdybym była mężczyzną. Ale ja reagowałam bardzo zmysłowo na jego ruchy, śmiech i natychmiast przypominałam sobie, jak na jego wykładach ogarniało mnie uczucie dziwnej tęsknoty.

- Nie zjadłbyś dzisiaj kolacji ze mną i z moimi przyjaciółmi? Bardzo bym się cieszyła.

Usłyszeliśmy brzęk tłukącego się kieliszka. Stojący przy barze kelner zaklął głośno. Sterne pełnym rozpaczony gestem chwycił się za głowę. Potem podniósł wzrok i zaciągnął się papierosem.

- Kolacja. To zależy.

- Od czego? - zaciekałam się.

- Od tego, kim są twoi przyjaciele i co będziemy jeść.

Podczas lunchu opowiedziałam mu, najlepiej jak umiałam,

o Eloise i Robercie. Daniel słuchał, więcej pałac niż jedząc, i od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie.

- Co za wspaniała przemiana, prawda? Księżę pocałował Śpiącą Królową, a ona z zepsutej, brzydkiej bogatej dziewczynki zamieniła się w zepsutą, ładną bogatą dziewczynkę.

- Nie. To nie tak. Eloise nie jest zepsuta. Trudno to wytłumaczyć, jeśli ktoś jej nie zna. Ma limuzynę, domy, służbę, futra...

- I nie jest zepsuta? Już to widzę. Czy jest coś, czego nie ma? Może własnej zawodowej pedikiurzystki na każde zawołanie? - Oparł dłoń na moim ramieniu.

- Nie ma w niej ani krzty arogancji. Nie zachowuje się ostentacyjnie. Wygląda na osobę zamożną, posiada wiele pięknych rzeczy, ale nie popisuje się bogactwem. Jest miła. Zawsze taka była. I wydaje mi się bezbronna.

- Chciałbym być taki bezbronny. - Sterne uśmiechnął się i wziął mnie za rękę. - Stacy, już nie mogę się doczekać, kiedy poznam tych ludzi. Nawet nie będę zwracał uwagi na jedzenie. To na pewno będzie jakieś świństwo w stylu *nouvelle cuisine*. Ale teraz muszę iść do toalety. Przypilnuj mojego miejsca, dobrze?

Ucieszyłam się, że przyjął moje zaproszenie. Nie tylko dlatego, że znowu miałam go zobaczyć, i to tak szybko, ale również dlatego, że nie cieszyła mnie perspektywa kolejnego wieczoru w roli samotnego świadka wielkiego szczęścia Roberta i Eloise. Zaczynałam się przy nich czuć jak dziecko z sierocińca, którego nikt nie chce adoptować. Shirley Tempie czekająca na idealnych rodziców. W dodatku spotkania sam na sam z Robertem dziwnie na mnie wpływały. Nieraz łapałam się na rozmyślaniach, co by się stało, gdybym go poznała, zanim jeszcze spotkał Eloise. Niebezpieczne myśli. Daniel Sterne pojawił się w moim życiu w bardzo odpowiednim momencie.

Kiedy wrócił, jego milczenie nieco zbiło mnie z tropu. Usiadł, zapalił, ale się nie odezwał. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Czy mam mu zadać jakieś pytanie? A może mamy tak chwilę siedzieć, w przyjacielskiej ciszy. Milczenie się

przeciągało, a moja stopa zaczęła nerwowo podskakiwać. Szczęśliwie zasłaniał ją stół. Pomyślałam sobie, że dobrze by było, gdybym mogła opowiedzieć Sterne'owi jakąś historię, taką jak historia o chomiku, to wtedy przyciągnęłabym jego uwagę, wywarła na nim wrażenie. Wpadłam w panikę. Ta scena zaczęła wyglądać jak nasze ostatnie spotkanie, a ja nie chciałam, żeby tak było. Owszem, przyjął zaproszenie na kolację, ale pewnie tylko po to, żeby obejrzeć sobie moich bogatych przyjaciół, zobaczyć, jak wygląda bajka przeniesiona w realny świat.

Zgasiałam papierosa i zapaliłam następnego. I nagle zaczęłam opowiadać Sterne'owi o Bobbym, włącznie ze szczegółami naszego spotkania w San Francisco. Na koniec przytoczyłam ponurą opowieść Bobby'ego o autostopowiczce w skrzyni. Przyczyny, dla których zdecydowałam się mu to wszystko powiedzieć, były tak zagmatwane, jak fabuła serialu telewizyjnego. Bezcelne kłamstwo Bobby'ego, jakoby jeszcze nigdy nie spał z kobietą, mogło być tematem ciekawej dyskusji psychologicznej. O tym, dlaczego po zmysłowych uniesieniach postanowił mi opowiedzieć taką ponurą historię, można by rozmawiać co najmniej przez dziesięć minut. Ale tak naprawdę wyznałam wszystko o tamtej nocy, ponieważ odczuwałam desperackie, żałosne pragnienie, żeby Daniel Sterne wiedział, że jestem godna pożądania. Dwudziestolatek chciał pójść ze mną do łóżka.

Gdy tylko skończyłam mówić, poczułam się głupio. Chciałam się wymknąć z restauracji i nigdy więcej nie oglądać Daniela. Brakowało mi jakiegoś guzika czy klawisza, którym mogłabym wymazać wszystko, co powiedziałam.

- Stacy... - Daniel pochylił się do przodu i splótł ręce na stole. - Dziwna z ciebie kobieta. Przyjaźnisz się z bogatą dziewczką i byłem mężem Sapphire Shannon. Zabawiasz się w łóżku z chłopakiem, który o niczym innym nie marzy, jak tylko o spotkaniu z trojgiem poważnie stukniętych czubków. - Roześmiał się. - Chyba nie powinienem zostawiać cię samej. Takim jak ty z szafy ciągle wypada jakiś trup. Pewnie w drodze powrotnej na East Side jakiś taksówkarz powie ci, że jest księciem na wygnaniu, który planuje rewolucję w swoim kraju.

I cholera, to będzie pewnie prawda, a ty jeszcze w tym miesiącu zostaniesz królową jakiejś Rurytanii. Więc uważaj na siebie do wieczora. I zaplanuj sobie, że jutro zjesz tutaj późne śniadanie. Posłuchamy sobie, jak się tłuką następne kieliszki. Potem się w tobie zakocham, a ty będziesz mogła mnie porzucić i wrócić do swojego stukniętego chłopaczka czy innego czubka z Zachodniego Wybrzeża.

- Trzeba przyznać, że ma pan szczególne podejście do kobiet, profesorze Sterne.

- No, cóż... - Spojrzał na mnie, a potem wznosił oczy do nieba. - Chyba jeszcze zapalę.



Luty 1990

Kiedy wróciłam z lunchu, Eloise i Robert rozmawiali w salonie. Usłyszałam, jak moja przyjaciółka mówi:

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Naprawdę. Przynajmniej, dopóki nie...

Robert zobaczył mnie i wstał, nie dając jej dokończyć zdania.

- Powrót marnotrawnej córki. Udany lunch?

- Tak, dziękuję.

Eloise uniosła brwi w oczekiwaniu, ale ja pragnęłam tylko jak najszybciej wyjść z tego pokoju. Czułam się jak nastolatka wracająca z randki, którą przepytują wścibscy rodzice. Nie chciałam jednak być nieuprzejma, więc nie mogłam tak od razu wybiec z salonu. Robert już mi nalał kieliszek szampana.

- Co to za dobry pomysł, o którym zaczęłaś mówić? - zapytałam Eloise.

- Wolelibyśmy raczej usłyszeć coś na temat twojego spotkania - odezwał się Robert.

- Daniel przyjdzie na kolację, Eloise. Mam nadzieję, że mówiłaś poważnie, kiedy mi proponowałaś, żebym go zaprosiła.

- Oczywiście, że tak - odparła, chwytając męża za rękę. - Nie będziemy cię przepytywać, Stace. Pewnie dobrze się bawiliście, skoro go zaprosiłaś. Rozumiem, że nie okazał się homoseksualistą?

- Nie.
- Żonaty?
- Już nie.
- Widzisz? Mówiłam, żebyś się nie martwiła. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Pamiętam, jak godzinami przesiadywałyśmy w tej ciemnej kawiarni.

- Więc co to za dobry pomysł? - Usiadłam w fotelu. - Opowiedz mi o tym.

- Och, nic takiego. Właśnie mówiłam Robertowi, że chciałabym się zapisać na studia podyplomowe. Byłabym dorosłą studentką, czy jak się to teraz nazywa. Wróciłabym do fizyki. Mam już dość bezczynności.

Jakby dla podkreślenia jej słów do salonu cicho weszła Sarah i zaciągnęła zasłony w oknach. Ani Robert, ani Eloise nie zwrócili na nią uwagi, kiedy wyszła bez słowa. Spojrzałam na przyjaciółkę. Miała na sobie kolejny doskonale skrojony firmowy kostium, biżuterię Palomy Picasso i buty od Charlesa Jourdana. Poczulałam się przy niej jak zebraczka. Zażenowałam się za dawną zaniedbaną Eloise, jej skarpetkami nie do pary, okropnymi ciuchami, potarganymi włosami i namiętnością do fizyki. Miałam ochotę chwycić ją za rękę, zaciągnąć do taksówki, zawieźć na dziedziniec Columbi i posadzić na schodach, gdzie mogłybyśmy porozmawiać o tym, co naprawdę dzieje się z naszym życiem.

- Jakiej bezczynności? Przecież zajmujesz się mną, kocie. Czy to się nie liczy? - Robert położył jej rękę na szyi i zaczął ją delikatnie masować.

Pociągnęłam łyk szampana.

Eloise zwróciła się do męża. Zobaczyłam czułość w jej oczach.

- Opiekowanie się tobą to dla mnie najważniejsza rzecz pod słońcem. Dobrze o tym wiesz. Pomyślałam tylko...

- Pomyślałaś, że mogłabyś codziennie zostawiać mnie samego i wcale się mną nie przejmować, tak? To niezbyt miłe, prawda, Stacy?

- Sama nie wiem. Chodzi mi o to, że Eloise naprawdę świetnie radziła sobie na studiach. Może powinna wrócić na

uniwersytet. Jestem pewna, że potrafiłaby jednocześnie być studentką i doskonałą żoną. Teraz większość kobiet pracuje. To jest dla nich bardzo ważne. - Spojrzałam na Eloise i uśmiechnęłam się, żeby dodać jej odwagi.

- A dla mnie jest bardzo ważne, żeby Eloise została w domu - odparł spokojnie Robert. - Kobiety teraz chciałyby mieć wszystko, co? Nie wystarcza im miłość, dom. Nie! One chcą się spełnić. A to się zawsze dzieje jakimś kosztem. Kosztem dzieci, kosztem męża. To wszystko jest zupełnie niepotrzebne.

Natrafiałam na czuły punkt. Jego matka. Sapphire. Powstrzymałam się i nic nie powiedziałam o równości, szacunku i prawach kobiet. Dwie samodzielne kobiety bardzo Roberta zraniły. Miał prawo trochę zbyt emocjonalnie podchodzić do tego tematu. Poza tym byłam pewna, że dla Eloise mąż jest ważniejszy niż fizyka. Chciałam poprzeć rodzącą się w przyjaciółce potrzebę niezależności, ale jednocześnie nie miałam najmniejszej ochoty zakłócać ich szczęśliwego związku. Nie zamierzałam podsycać ich kłótni, być może pierwszej w tym małżeństwie.

- Masz rację, Robercie. - Eloise zerknęła na mnie, a potem znów spojrzała na męża. - Oczywiście, niektóre kobiety muszą pracować, tak jak Stacy. Ale to byłby absurd, gdybym akurat ja zrobiła doktorat z fizyki i poszła do pracy. Przecież tego nie potrzebuję. Zabierałabym miejsce komuś, kto naprawdę musi pracować. Poza tym, cieszę się, że tak bardzo pragniesz, żebym została w domu. Uwielbiam być przy tobie.

Pomyślałam, że argument Eloise jest dość naciągany. Gdyby posiadanie pieniędzy było wystarczającym powodem do rezygnowania z pracy, wszyscy dyrektorzy wielkich korporacji musieliby grupowo zrzec się swoich stanowisk. Jednak w ten sposób udało się jej złagodzić napięcie. Oczywiście, Eloise знаła przeszłość Roberta, wiedziała, na jakie sprawy jest uczulony. Sama wiele wycierpiała, więc z pewnością rozumie go doskonale. Miałam ochotę porozmawiać z Eloise o Sapphire, wreszcie nagadać się od serca. Jednak w tej chwili było to niemożliwe. Robert zamknął ją w mocnym uścisku. Jeszcze jedna publiczna demonstracja gorącego uczucia.

- Chyba pójdę na górę i utnę sobie drzemkę - oznajmiłam.
- Jeszcze się nie przyzwyczyłam do zmiany czasu. - Wątpię, czy mnie usłyszeli, tak zapamiętali się całowali. Szłam po marmurowych schodach i dziękowałam opatrznosci, że nieoczekiwanie zesłała mi Daniela Sterne'a.

Wieczorem zjawił się punktualnie o ósmej, ubrany w obszerną kurtkę typu parka, w której wyglądał jak człowiek z reklamy opon Michelin. Kiedy ją zdjął i podał Sarah, wrócił do swoich normalnych rozmiarów. Miał na sobie granatowe sztruksowe spodnie, białą koszulę i kolorowy krawat w tureckie wzory. Puścił do mnie oko, kiedy witaliśmy się w korytarzu.

- Ładne mieszkanko - powiedział. - Jak sądzisz, zaadoptowałyby borykającego się z trudnościami profesora? Może ktoś tu cierpi na ból pleców?

- Cicho siedź, dobrze. - Wzięłam go za ramię i poprowadziłam do salonu.

Eloise i Robert dokładali wszelkich starań, żeby Daniel znalazł się w centrum rozmowy. Robert wypytywał go o nauczanie w college'u, o to, jak z upływem lat zmieniają się poglądy studentów i jakie cechy, jego zdaniem, powinien mieć dobry profesor. Daniel z łatwością udzielał odpowiedzi. Eloise siedziała obok mnie na kanapie. W pewnej chwili trąciła mnie łokciem i wyszeptwała:

- Stace, on jest wspaniały.

Jej aprobata ucieszyła mnie i napełniła dumą.

Kolacja, jak trafnie przewidział Daniel, składała się z dań *nouvelle cuisine*. Dostrzegłam na jego twarzy pobłażliwy grymas, kiedy wniesiono maleńkie porcje kaczki, artystycznie ułożone na talerzu, polane sosem malinowym i otoczone dopasowanymi kolorystycznie warzywami. Widać należał do wielbicieli steku z ziemniakami. Zaspokoił jednak apetyt nakładając sobie na talerzyk do pieczywa trzy bułki i górę masła. Nie skomentował piekielnego wystroju jadalni, jakby codziennie przebywał w takich wnętrzach. Doszłam do wniosku, że nie zwraca uwagi na materialne aspekty otoczenia i równie małe wrażenie wywarłby na nim idylliczny wiejski domek,

jak wenecki pałac. Domyślałam się, że w jego mieszkaniu panuje wieczny bałagan, wszędzie leżą porozrzucane książki i gazety, a niedopałki papierosów same mnożą się w popielniczkach.

- Co jest najtrudniejsze w nauczaniu, Danielu? - zapytała Eloise.

- Najtrudniej sprzedać siebie samego. Studenci muszą wierzyć, że jesteś od nich bystrzejszy, co nie zawsze jest prawdą. A jeszcze trzeba przekonać ich do przedmiotu, który wykładasz, przyciągnąć ich uwagę i zatrzymać na dłużej. Kiedy wygłaszam wykład, to jakbym wchodził na scenę. Młódzież ma z góry wyrobiony pogląd na to, jak ma wyglądać dobry profesor i jak ma się zachowywać. Nie mogę zbyt długo się namyślać i szukać odpowiednich słów. Trzeba ich przekonać, że mówię wartościowe rzeczy i że to, czego mają się nauczyć, jest bardzo interesujące. To niełatwe. Czasami żałuję, że nie mogę po prostu zrobić im dyktanda. Ale jestem do tego zawodu doskonale przygotowany. Kiedyś sprzedawałem po domach encyklopedie. Potem przerzuciłem się na odkurzacze. Wiesz, czego mnie nauczyle jako akwizytora? Tego, że za wszelką cenę trzeba się dostać do mieszkania. Moja ulubiona metoda polegała na tym, że dzwoniłem się do drzwi i mówiłem „Western Union!” Pani domu wpuszczała mnie do środka, bo spodziewała się, że to posłaniec z telegramem. Wtedy tłumaczyłem, że bardzo mi przykro, że pewnie się przesłyszała, ale ja powiedziałem „Wesley Union” i przychodzę tu, żeby sprzedać odkurzacz. - Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. - Potem trzeba było wyjąć torbę ze śmieciami i wysypać ją na dywan. Pani domu wpadała w histerię, ale ja znajdowałem kontakt, włączałem odkurzacza i pokazywałem jej, jak doskonale działa. Cudowna metoda. To było lepsze niż poważne rozmowy o edukacji małego Jasia i o tym, jak bardzo potrzebna jest w każdym domu encyklopedia. Sprzedawanie odkurzaczy dawało mi wielką satysfakcję.

- Dużo udało ci się sprzedać? - zaciekała się Eloise.

- Jasne.

- Ja też bym jeden od ciebie kupiła.

- Słuchaj, gdybym trafił do tego domu, spodziewałbym się, że kupisz z pięćset.

Daniel przestał mówić na swój temat i zapoczątkował dyskusję o polityce. Zrobił to w odpowiednim momencie, ponieważ mało brakowało, a przez cały wieczór słuchalibyśmy wyłącznie jego anegdotek.

Wypiliśmy mnóstwo wina i dyskutowaliśmy o światowych problemach podniesionymi głosami, ale nie doszło do żadnych sprzeczek. Wszyscy czworo mieliśmy raczej liberalne poglądy, więc nie zgadzaliśmy się jedynie co do drobiazgów. Już zaczęłam żałować, że jutro muszę wyjechać, kiedy nagle Eloise wstała. Myślałam, że chce wznieść toast, ale nie. Oświadczyła, że idzie spać, ponieważ niezbyt dobrze się czuje.

- Co się stało, kocie? Za dużo gadania o zagrożeniu atomowym czy szykuje ci się grypa? Wczoraj też źle się poczułaś, pamiętasz? - pytał Robert z zatroskaną miną.

- Może to rzeczywiście grypa. Przepraszam. To był cudowny wieczór, ale muszę się położyć. - Opierała się o krzesło. - Przykro mi, Stace, Danielu. Czuję się po prostu okropnie.

- Mnie nie musisz przepraszać. - Daniel też wstał, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. - Bardzo się cieszę, że cię poznałem i dziękuje ci za gościnę. Pisanie listów dziękczynnych niezbyt mi wychodzi, więc zrobię coś innego. Przyślę ci egzemplarz mojej książki *Miłość - najdoskonalsza metoda prania mózgu*. Jeśli będziesz musiała kilka dni zostać w łóżku, może jej lektura cię rozbawi.

- Och, dziękuję. - Eloise zamknęła oczy. - Wspaniale.

- Co za tytuł! - wtrącił Robert. - Ja też chciałbym ją przeczytać. Odprowadzę Eloise na górę i zaraz wrócę. Napijemy się kawy w salonie.

- Zajrzę do ciebie jutro rano i przyniosę ci trochę zupy, jeśli będziesz miała na nią ochotę - powiedziała do przyjaciółki, kiedy wychodziła z jadalni. - Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej. - Wymamrotała coś, czego nie dosłyszałam, i zniknęła za drzwiami.

- Wczoraj przydarzyło się jej prawie dokładnie to samo -

wyjaśniłam Danielowi. - Wydaje mi się, że trochę za dużo wypięła.

Daniel usiadł i wpatrzył się w stojący przed nim nietknięty sorbet.

- Mmmm...

Zachowywał się tak, jakby nie zwracał uwagi na to, co mówię. Znowu zapadł w milczenie. Nakazałam sobie zachować spokój.

- Bardzo przyjemny wieczór. Już dawno nie prowadziłam takiej dyskusji. Nie wiem dlaczego. Po prostu nie było okazji.

- Mmmm...

Daniel bawił się sorbetem, dzieląc go na małe, szybko topniejące kawałki.

Nie znosiłam, kiedy tak chował się w sobie. Nie rozumiałam, dlaczego to robi.

- Nie obraż się, ale odniosłam wrażenie, że wstydzisz się tej książki. Dlaczego więc wspomniałeś o niej Eloise?

- Tak sobie - odparł. - Ciekawe, kiedy przyniosą wino deserowe. Piliśmy już szampana, białe wino, czerwone, a został jeszcze jeden kieliszek, pewnie właśnie na deserowe. Ale coś mi się zdaje, że się go nie doczekamy. Dostaniemy od razu kawy w salonie. Szkoda.

- Ty wstrętny żarłoku - powiedziałam ze śmiechem. - Jeśli chodzi o jedzenie i picie, to jesteś tradycjonalistą, prawda? Chodźmy do salonu. Pozwólmy Sarah sprzątać ze stołu.

Zajęliśmy te same miejsca, co przed kolacją. Ja siedziałam na kanapie, a Daniel stał odwrócony do mnie plecami, patrząc w ogień.

- Nawet po tylu latach wciąż wydaje mi się dziwne, że oglądałam cię w tych okolicznościach, poza salą wykładową. Cieszę się, że do ciebie zadzwoniłam. - Daniel nie odwrócił się, ani nic nie powiedział. To stawało się krępujące. Czyżbym podczas lunchu źle zrozumiała jego uwodzicielski sposób bycia? Może się cieszy, że jutro wyjeżdżam? Chyba zrobiłam z siebie idiotkę. Była studentka, narzucająca mu swoje towarzystwo, to z pewnością ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje.

- Tak jak mówiłam, zadzwoniłam do ciebie, bo natknęłam się

na twoją książkę. Co za zbieg okoliczności, że Robert ma w swojej biblioteczkę książkę napisaną przez mojego dawnego wykładowcę. - Płatałam się w wyjaśnieniach, starałam się usprawiedliwiać, bo chciałam, żeby wiedział, że może bez poczucia winy odwołać nasze jutrzejsze spotkanie, jeśli nie ma na nie ochoty. Nie musieliśmy się więcej umawiać. Nie chciałam, żeby się nade mną litował. Daniel odwrócił się do mnie i zapalił papierosa.

- Ale przecież Robert nic nie wiedział o mojej książce, prawda?

- Chyba nie. - Miał rację. Jej tytuł nic Robertowi nie powiedział. Byłam lekko wstawiona, więc wcześniej tego nie zauważyłam. Czułam się idiotycznie. Nie wiedziałam, co Daniel o mnie myśli, dlaczego nagle tak się oddalił. Im szybciej wrócę do Kalifornii, tym lepiej. Nowy Jork to moje przekleństwo.

Wszedł Robert i opadł na fotel obok kanapy. Ucieszyłam się z jego powrotu.

- Biedny kot - odezwał się. - Bardzo źle się czuje. Zasnęła, jak tylko położyła głowę na poduszce.

- Ja też już powinienem położyć głowę na poduszce - stwierdził Daniel. - Czekam jeszcze daleka podróż na West Side. Dzięki za wspaniały wieczór, Robertcie. - Szybko wyszedł do holu. Podążyliśmy za nim.

- Nie zapomnij przysłać książki, o której mówiłaś mojej żonie. Oboje z przyjemnością ją przeczytamy. - Robert potrząsał ręką Daniela. Był od niego kilka centymetrów wyższy. Przy Bobbym Daniel wyglądałby jak karzeł.

- Oczywiście. - Daniel już wkładał kurtkę. Miałem wrażenie, że chce jak najszybciej stąd wyjść. Nagle zwrócił się do mnie, przeciskając ramię przez rękaw. - Znajdziesz czas na to późne śniadanie przed wylotem? W tym samym miejscu? O jedenastej?

- Jasne - odparłam zadziwiona, że potwierdził zaproszenie. Z jego zachowania przez ostatnie dziesięć minut wywnioskowałam, że nie chce się już ze mną widzieć.

- Świetnie. - Przecisnął ramię przez rękaw i jego dłoń uka-
zała się na zewnątrz. Zapiął suwak kurtki i pocałował mnie w
policzek. - W takim razie, do zobaczenia. Dobranoc wszyst-
kim. - Błyskawicznie wypadł z domu.

- Interesujący człowiek - stwierdził Robert, kiedy tylko
zamknęły się drzwi. - Założę się, że to świetny nauczyciel.

- Owszem.

Wróciliśmy do salonu i usiedliśmy w fotelach.

- Jesteśmy nie tylko rannymi ptaszkami, ale też nocnymi
sowami. Prawda, Stace? - Na dźwięk tej skróconej formy
mojego imienia drgnęłam. Dotychczas tylko Eloise tak się do
mnie zwracała. - Chcesz trochę brandy?

- Nie, dziękuję. Czy nosiłeś kiedyś brodę?

- Co za pytanie! Skąd ci to przyszło do głowy? - Poglądził
rękami policzki. - Czyżbym się dzisiaj niedokładnie ogolił?

- Nie, nie o to chodzi. Nie masz tak modnego teraz lekkie-
go zarostu. Pytałam z ciekawości.

- Często o tym myślałem. Chciałem zapuścić brodę, żeby
ukryć egzemę. Kiedy byłem młodszy, bardzo mi to dokucza-
ło. Wszyscy myśleli, że to trądzik, co jeszcze pogarszało całą
sprawę. To było bolesne. Oczywiście, chodzi mi o aspekt
psychiczny. Próbowałem wszystkiego. Nie będę cię zanudzał
szczegółami. W końcu jakiś specjalista dermatolog powie-
dział mi, że to tylko i wyłącznie nerwy. Zalecił mi medytacje i
jogę. To bardzo w stylu lat sześćdziesiątych. - Roześmiał się.
- Chociaż wtedy były już lata siedemdziesiąte. Okazało się, że
chodziło tu o kwestię przewagi ducha nad materią. Musiałem
się nauczyć kontrolować swoje myśli i nerwy. Podziałało.

- Wydaje ci się, że jestem kłębkim nerwów?

- A nie?

Wybuchnęłam śmiechem, dość nerwowym, jak sobie po
chwili uświadomiłam.

- Opowiedz mi o swoim ojcu. Dlaczego uważasz, że po-
trzebował opieki?

- Nie, nie będziemy o tym rozmawiać. To nie jest odpo-
wiednia pora.

Dawał mi do zrozumienia, że i tak za bardzo wtrącam się w jego życie. Poczułam się jak skarcone dziecko.

- Dla mnie już chyba czas do łóżka.

- Aha! Sen dla urody? Żeby pięknie wyglądać na jutrzejszej randce?

- Można tak powiedzieć. - Wstałam i z rozmysłem ziewnęłam, żeby ukryć wpełzający na policzki rumieniec. - O coś jeszcze chciałam cię zapytać. Dzisiaj rano widziałam w twoim gabinecie książkę Daniela o praniu mózgu. Zresztą właśnie dzięki temu do niego zadzwoniłam. Nie wiedziałeś, że ją masz?

- Naprawdę tam jest? To dziwne. Nie, nigdy przedtem o niej nie słyszałem. Ciekawe, jak się tam znalazła. Życie jest pełne najdziwniejszych zbiegów okoliczności, prawda? Idź już lepiej do łóżka, bo przepadnie twój sen dla urody. Makiaż. Fryzury. Ciuchy. Nie mam pojęcia, jak kobiety znajdują na to wszystko czas.

- Robimy to dla was, mężczyzn. Dobranoc.

- Życzę ci słodkich, erotycznych snów, Stace.

Eloise, ubrana w inne równie piękne kimono, obudziła mnie następnego ranka. Przyniosła dwa kubki kawy.

- Obsługa! - zawołała na powitanie. - Przynajmniej raz to ja wstałam wcześniej.

- Jak się czujesz?

- Niezbyt dobrze. - Postawiła kawę na nocnym stoliku i usiadła obok mnie.

- Myślisz, że to grypa?

- Nie, jestem pewna, że to kac. Wczoraj trochę za dużo wypiałam, i to wszystko.

- Trudno tutaj nie pić. - Usiadłam w pościeli i pociągnęłam łyk kawy. - Me nie wydaje ci się, że to niezbyt dobry pomysł, żeby tak dużo pić, jeśli to tak źle na ciebie wpływa? To już drugi wieczór z rzędu, kiedy kiepsko się poczułaś. Podczas studiów nigdy nie piłaś, oprócz tego jednego razu z Johnem. Przy cukrzycy picie na pewno nie służy.

- Stace, błagam, nie wygłaszaj mi kazań. Wiele rzeczy mi nie służy. Dam sobie radę, zapewniam cię. Możesz wierzyć, albo nie, ale jestem dorosłą kobietą.

Pamiętałam takie nagłe wybuchy gniewu ze studenckich czasów.

- Dobrze, dobrze. Przepraszam. Może nie potrafię znieść myśli, że obie już jesteśmy dorosłymi kobietami. W każdym razie cieszę się, że mnie obudziłaś. Mam wrażenie, że przez ten weekend prawie wcale cię nie widziałam, a dzisiaj po południu wyjeżdżam. Nie miałyśmy okazji sobie pogadać.

- Wiem. Właśnie dlatego cię obudziłam. Muszę z kimś porozmawiać o pewnej sprawie, a ty jesteś jedyną osobą, która się do tego nadaje.

- Co to za sprawa?

Tak jak dawniej próbowała uchwycić kosmyk włosów i włożyć sobie do ust, ale teraz miała krótką fryzurę, więc jej się nie udało. Potrząsnęła głową i usiadła po turecku. Wyglądałyśmy jak dwie nastolatki następnego ranka po dziewczęcej prywatce w piżamach.

- Chodzi mi o seks. - Na twarzy Eloise pojawił się uśmiech zażenowania. - To pewnie zabrzmiało żałośnie, ale muszę się dowiedzieć.

Czyżby chciała zapytać, czy poszłam z Bobbym do łóżka? Nie. Popadałam w paranoję. Nie chodziło o Bobbygo, tylko o Eloise.

- Przejdź do rzeczy. Początek brzmi interesująco.

- Dobrze. Powiedz mi, jak poznać, czy jest się dobrym w łóżku?

Jak zwykle w trudnej sytuacji, natychmiast zapaliłam papierosa.

- Daj mi chwilę do namysłu - odparłam. Skąd kobieta wie, że jest „dobra w łóżku”? Można by odpowiedzieć, że jeśli musi o to pytać, to nie jest. Ale taka rezolutna odpowiedź byłaby niesprawiedliwa względem przyjaciółki. W dodatku nie miałam nawet pewności, czy to prawda. Mogłam rozpocząć dyskusję o tym, co to znaczy być „dobrym w łóżku”.

- Stacy?
- Zastanawiam się. Zaczekaj chwilę.

Można zapytać o to mężczyzny. Ale każdy mężczyzna ma zupełnie inne pojęcie o tym, co to znaczy „dobra w łóżku”. Już miałam powiedzieć, że to określenie w ogóle nie ma żadnego znaczenia, ale przypomniałam sobie niektóre przygody seksualne, jakie miałam w San Francisco. Zdarzało się, że leżałam pod mężczyzną i myślałam: „On nie ma o tym bladego pojęcia. Jest do niczego”. Co sprawiało, że tak go oceniałam?

- Może to zabrzmie dziwnie, ale wydaje mi się, że jeśli lubisz się kochać, jeśli nie jest to dla ciebie obowiązek, tylko nagroda, przyjemność, to znaczy, że jesteś dobra w łóżku.

- Mnie to sprawia przyjemność. - Eloise spuściła wzrok i w skupieniu szarpała brzeg prześcieradła. - Ale wydaje mi się, że nie jestem w tym dobra. Chyba wystarczająco się w tym nie zatracam. Tak to mogę określić.

- Jak dla mnie jesteś wystarczająco zatracona. Widziałam, jak się z Robertem całujecie i ściskacie bez opamiętania. - Roześmiałam się.

- To tylko pocałunki. To nie to samo. Całowanie się jest łatwe. Seks to co innego. Nie jestem seksowna. Nie robię w łóżku nic oryginalnego. Nie jestem taka dobra jak... Chcę powiedzieć, że się do tego nie nadaję. Wiesz, czasami mi się wydaje, że Robert nie... To znaczy, nie zawsze...

- Chwileczkę. Nie jesteś taka dobra, jak kto? Jak Sapphire, prawda? Porównujesz się do Sapphire?

- Wiesz o niej? - Skinęłam głową. - Co ja mam robić? Stacey, ona była taka żywiołowa. Z Robertem całymi dniami nie wychodzili z łóżka. Ja nie wiedziałabym, co można w nim tyle czasu robić. Nie mam o niczym pojęcia.

- Pewnie byli naćpani do nieprzytomności. Ale dlaczego Robert ci to opowiedział? To nie fair, że zaszczepił ci poczucie współzawodnictwa ze swoją byłą żoną. Poza tym wydaje mi się, że on jej nie lubi. Mam nawet wrażenie, że jej nie znosi.

- Owszem, nie znosi jej. Ale opowiadał mi o ich związku. Oświadczył, że chce być wobec mnie szczerzy, że nie zamierza

mnie okłamywać. Musiał mi powiedzieć, jaka była dynamiczna w łóżku. Seks w ich małżeństwie był bardzo ważny, wręcz najważniejszy.

Eloise zaczęła płakać, a ja pomyślałam, że szczerść może być bardzo okrutna. Robert pewnie się nawet nie spodziewał, jaką reakcją wywoła jego prawdomówność. Był mężczyzną, a mężczyźni nie znają się na emocjach kobiet.

- Nie płacz, Eloise. Wysłuchaj mnie. Jesteś mężatką od... o ile się nie mylę, od trzech miesięcy. Przedtem znaliście się pół roku. Te rzeczy wymagają czasu. Seks staje się coraz lepszy, im lepiej się poznajecie, im bardziej się do siebie zbliżacie. Lepiej jest zacząć powoli i systematycznie budować związek, niż wypalić się na samym początku. Sapphire nie stanowi dla ciebie zagrożenia. Robert cię kocha. Po prostu daj sobie trochę czasu.

Eloise pociągnęła nosem, otarła łzy wierzchem dłoni i sięgnęła po kubek z kawą.

- Chyba masz rację. Rzeczywiście, to się trochę z czasem poprawia. Po kilku drinkach jestem bardziej rozluźniona, nie mam tylu zahamowań.

- Nie potrzebujesz alkoholu, żeby się rozluźnić. Zdobądź się tylko na większą pewność siebie.

- Wiesz, jak trudno jest się rozluźnić, kiedy czujesz, że musisz to zrobić? Robert wciąż mi powtarza, że jestem bardzo spięta. Sapphire pewnie w żadnej sytuacji nie była spięta.

- Zapomnij o Sapphire, dobrze? To dziwka. Zostawiła męża i dziecko, uciekła, żeby zaspokoić swoje egoistyczne zachcianki i zrealizować własne plany. Nie jest warta twoich łez. Nie myśl o niej.

Czułam się bezradna, ponieważ nie wiedziałam, jak dać jej więcej pewności siebie w sprawach erotycznych. Ten temat jest polem minowym lęków i kompleksów. Skąd miałam wiedzieć, co robi w łóżku dobrze, a co źle? Jak mogłam ją pocieszyć? Powiedzieć, żeby odnalazła swojego pierwszego kochanka, Johna, i zażądała od niego referencji? Mogłam tylko zmienić temat.

- Zobaczysz, że w tych sprawach wszystko się między wami ułoży. Przestań się martwić i trochę odczekaj. Naprawdę. Ale teraz to ty musisz mi pomóc. Jestem umówiona z

Danielem i liczę, że pożyczysz mi jakiś ciuch. Coś, co go zwali z nóg.

Eloise klasnęła w dłonie jak dziecko na widok tortu urodzinowego. Poczułam ulgę.

- To będzie świetna zabawa. Nareszcie ja odegram rolę starszej siostry. Chodźmy do mojej garderoby.

Przez następne dwie godziny zachowywałyśmy się jak uczennice. Wyciągałyśmy najróżniejsze stroje z jej licznych szaf, przymierzałyśmy, odrzucałyśmy, znowu je wkładałyśmy, cały czas chichocząc. To zadziwiające, jak Eloise, kiedyś zupełnie nieinteresująca się modą, potrafiła się nauczyć tak wiele o sztuce ubierania się. Jednak jakoś jej się to udało i kiedy wychodziłam z domu, wyglądałam naturalnie, ale bardzo elegancko. Doskonale dobrała mi kreację. Spędziłyśmy razem wspaniałe chwile, taki kobiecy ekwiwalent męskich wypraw do baru.

Przybyłam do Balcony o jedenastej. Nie byłam zmęczona, nic nie piłam. Nie było więc żadnego wytłumaczenia, dlaczego od razu się zakochałam. Zobaczyłam Sterne'a pierwsza. Siedział z łokciami na stole. Z papierosem w ustach czytał „The Sunday Times”. Miał na sobie jaskrawobłękitny sweter. Na taki sam kolor pomalowałam swój pierwszy rower. Przebiegło mi przez głowę, że powinnam wyjść z restauracji, wyjechać z Nowego Jorku i uciec przed Danielem, tak szybko, jak tylko możliwe. Jednocześnie chciałam, mówiąc słowami piosenki country, którą słyszałam dzień przed ślubem Eloise, być klejem na jego bucie. Wpadłam w poważne kłopoty. Jeszcze poważniejsze niż z Buddym, ponieważ teraz już wiedziałam, ile trudności sprawia miłość. Wmawiałam sobie, że to wszystko przez kolor jego swetra. Pomyliła mi się dziecięca miłość do roweru z miłością do mężczyzny. Daniel podniósł wzrok, zobaczył mnie i pomachał mi na powitanie.

- Niech pan nigdy nie podnosi ręki powyżej ramienia, profesorze Sterne - powiedziałam siadając. - To jest niebezpieczne.

- Tylko w tłumie. Powinnaś to pamiętać. - Złożył gazetę i z hukiem zrzucił ją na podłogę. Zapaliłam papierosa i zamówiłam wódkę z sokiem pomarańczowym. Chociaż w pożyczonej od Eloise kreacji wyglądałam jak opanowana eleganka kobieta, wcale nie byłam spokojna. - Świetnie się wczoraj bawiłem. Państwo Chappell to bardzo interesująca para.

- Co o nich sądzisz? Spodobali ci się?

- Bardzo polubiłem Eloise. Muszę przyznać, że miałaś rację. Nie jest zepsuta, mimo tych wszystkich kosztownych zabawek i uwijającej się wokół służby.

- A Robert?

Przysunął krzesło bliżej stołu i przeczesał rękami włosy.

- Robert. Sam nie wiem. Mam z nim trochę problemów.

- Dlaczego?

- Powinnaś coś o mnie wiedzieć. Gram w pokera. Jestem dobrym graczem. A żeby zostać dobrym graczem, trzeba studiować twarze ludzi. Starać się wejrzeć w ich charakter. Robię to w następujący sposób. Kiedy się komuś przyglądam, udaję, że ten ktoś jest sędzią przysięgłym na moim procesie, a mnie niesłusznie oskarżono o zabójstwo. Twoja przyjaciółka ma szczerą twarz. Jest miła, trochę zagubiona, chce wszystkim sprawić przyjemność. Taki człowiek nigdy nie uznałaby mnie za winnego. Przy niej byłbym bezpieczny. A teraz ty. Wydaje ci się, że panujesz nad sobą, ale chociaż tego nie wiesz, na twojej twarzy odbijają się wszystkie emocje. Przebiegają przez nią jak rozszalały huragan. Masz twarz żywą, pełną ekspresji. Gdybym był winien, nie miałabyś dla mnie żadnej litości, ale bardzo bym chciał, żebyś siedziała na mojej ławie przysięgłych, bo zrobiłabyś wszystko, żeby wydać sprawiedliwy werdykt. Słuchałabyś uważnie, a w przypadku najmniejszej wątpliwości przeciwstawiłabyś się decyzji pozostałych. Ty w coś wierzysz. Jeszcze nie wiem, co to jest, ale widzę to na twojej twarzy. Natomiast twarz Roberta jest zwodnicza. Oczy mu błyszczą, ale jeśli się dokładniej przyjrzy, to zauważysz w tym błysku złość. Szczególnie uważnie trzeba obserwować to jego dziwaczne oko ze skazą. Właśnie w nim czai się gniew. Nawet jeśli Robert się śmieje, to jest to

twardy, zły śmiech. Ten facet uznałby mnie za winnego dla własnej przyjemności. I jeszcze coś ci powiem. On nie kocha żony.

- Tutaj się mylisz. Bardzo się mylisz. Przyglądam się im wystarczająco długo, i wiem, że tak nie jest. Może miał przykre doświadczenia z kobietami, ale nie jest ani twardy, ani zły. Źle odczytałeś wyraz jego twarzy. To człowiek wrażliwy. Szkoda, że nie słyszałeś, jak śpiewa.

- Może. - Daniel spojrział w sufit, jak kiedyś na sali wykładowej. Miał taki szczególny zwyczaj, o którym zapomniałam. Zawsze się zastanawiałam, czy szuka na suficie pęknięć, czy też wznosi oczy do nieba z prośbą o natchnienie. Często też przemawiał do sufitu, jakby to był student, który zadał trudne pytanie. - Może po prostu jestem zazdrosny, że Robert ma dostęp do takiej wielkiej gotówki. Pewnie miło by było przez kilka lat odgrywać rolę Arystotelesa Onassisa. A może po prostu zazdroszczę każdemu, kto kiedyś spał z Sapphire Shannon? Cholera, o to na pewno mógłbym być zazdrosny.

- Co takiego szczególnego jest w Sapphire Shannon? Mam już dość wysłuchiwania, jaka to ona jest cudowna. Czy każdy mężczyzna dostaje wariacji na jej widok? - Idiotyczne posunięcie. Nigdy nie należy przy mężczyźnie krytykować innej kobiety.

- Daj spokój, Stacy. Sapphire to ostra sztuka. Widziałaś ją kiedyś na scenie?

- Nie chadzam na koncerty muzyki pop. Muzyka pop jest trywialna.

- Och, podoba mi się ten lekceważący ton. Uroczy. - Daniel roześmiał się i pod stolikiem dotknął kolanem mojej nogi.

Zjawiła się kelnerka, więc zamówił kawę i jajecznicę. Ja nie byłam głodna. Od rana wypaliłam za dużo papierosów, żeby myśleć o jedzeniu.

- W każdym razie wydaje mi się, że wyczerpaliśmy już temat Chappellów. Wiesz, wciąż jeszcze mam to opowiadanie, które dla mnie napisałaś podczas studiów. Dziś rano przeczytałem je jeszcze raz. Nadal na mnie działa. Jest dobre.

- Dzięki.

Wróciła kelnerka i postawiła przed nim filiżankę z kawą. Czułam, że Daniel się spodziewa, że coś rozleje, ale dziewczynie się udało. Uśmiechnął się do niej i podziękował. Czekalam, kiedy sobie pójdzie. Z radością zauważyłam, że nie wpatrywał się w jej oddalającą się pupę.

- No więc... - zaczęłam i urwałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Bałam się, że znowu nastąpi niezręczna cisza, ale też nie chciałam opowiadać jakiej głupiej historyjki, żeby wypełnić próżnię. - No więc... - Zapaliłam papierosa. - Jeszcze nikt nic nie wylał ani nie stłukł. - Miałam ochotę rozpląnąć się w powietrzu, zlać się w jedno z parą unoszącą się nad jego kawą.

- Rzeczywiście. - Chwycił mnie za ramię i ścisnął je. - To może być nasz szczęśliwy dzień. Już nigdy nie będziemy musieli tu przychodzić. Ta jajecznicza na pewno okaże się pomyłką. Lepiej nakarmiliby nas w McDonalddie. - Wybuchnęliśmy śmiechem. Starłam się rozluźnić mięśnie. - Ale i tak pewnie będzie lepsza niż te świństwa wczoraj na kolacji. - Odsunął filiżankę. - I bardzo lubię Chopina, chociaż tak często się powtarza.

Zaczął opowiadać o swoim ulubionym kompozytorze - Brucknerze - ale ja nie słuchałam go uważnie. Kiedy weszłam do restauracji, zakochałam się równie gwałtownie jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłam Buddy'ego. To musiało we mnie wzbudzić podejrzliwość wobec samej siebie. Myślałam, że nigdy już nie doświadczę wszystkich tych burzliwych uczuć, a tymczasem znowu mi się to przydarzało.

Za każdym razem kiedy mnie dotykał, reagowałam bardzo gwałtownie. Czułam wielką przyjemność. Gdy odsuwał dłoń, ogarniał mnie smutek. Znow byłam jak zadurzona nastolatka, uzależniona od kaprysów mężczyzny. Niczego się w Kalifornii nie nauczyłam, po prostu brodziłam po płytkiej wodzie i czekałam, aż przyplynie następny rekin-ludojad. W skupieniu przyglądałam się Danielowi, starając się zagłuszyć głos serca i posługiwać się rozumem. Udawałam, że to on jest sędzią przysięgłym na mojej rozprawie. Zauważył, jak mu się przyglądam, i cicho się roześmiał.

- Wiem - powiedział. - To przerażające, prawda?

- Co jest przerażające? - Szybko odwróciłam wzrok. - Nigdy bym nie powiedziała, że Bruckner jest przerażający.

- Daj spokój. Nie Bruckner. Ja i ty. - Nic nie odrzekłam, a Daniel się uśmiechnął. - Jeśli chcesz, możesz nic nie mówić. Oboje przeszliśmy już tyle, że teraz jesteśmy ostrożni. Chcę ci tylko coś powiedzieć. Dla mnie to nie jest nic niespodziewanego. Podobałaś mi się, kiedy przychodziłaś do mnie na zajęcia. Bardzo mi się podobałaś. Na wszelki wypadek od razu wyjaśnię, że to nie zdarza mi się często. Prawdę mówiąc, byłaś jedyną studentką, do której żywiłem takie uczucia. Jednak związek ze studentką to bardzo ryzykowny pomysł, więc trzymałem się od ciebie z daleka. Tamtego dnia w Wiedeńskiej mało brakowało, a zaproponowałbym ci spotkanie, ale wiedziałem, że nie byłby to dobry ruch. Jednak z daleka śledziłem twoje losy, Stacy. Dowiedziałem się, że wyszłaś za mąż za jakiegoś błyskotliwego studenta prawa, a potem się rozwiodłaś. Mam swoich szpiegów. Doszło też do mnie, że przeprowadziłaś się do Kalifornii. Nie miałem obsesji na twoim punkcie. W tym czasie sam się ożeniłem i rozwiodłem. Przydarzyło mi się też wiele romantycznych związków. - Wzruszył ramionami. - Nie przestałem się tobą interesować. Kiedy wczoraj zadzwoniłaś, byłem już umówiony na lunch, ale odwołałem spotkanie. Domyślałam się, że ty również byłaś mną zainteresowana.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Bardzo się starałam, żeby moja twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Inaczej tak cholernie ciężko byś nie pracowała na moim kursie.

- Czy sprawiedliwie zasłużyłam na piątkę?

- Jak najbardziej. - Pochylił się nad stołem i pocałował mnie, a przy okazji strącił moją szklaneczkę z drinkiem. Roztrzaskała się na podłodze.

- Powinieneś zgłosić się tu do pracy - powiedziałam ze śmiechem. Jego pocałunek smakował dymem i kawą, a do tych rzeczy byłam już nałogowo przyzwyczajona.

Przyszła kelnerka i sprzątnęła potłuczone szkło. Daniel przeprosił za wypadek i zamówił następną filiżankę kawy.

- Ponieważ zamierzamy prowadzić romans na odległość i nie mamy wiele czasu, musimy nad tą filiżanką kawy omówić tyle spraw, ile w innych okolicznościach omawialibyśmy podczas kilku kolacji. Chcę, żebyś opowiedziała mi swoje życie. Co lubisz, czego nienawidzisz, komu zazdrościsz, o czym marzysz. Tylko nic nie mów o byłych mężach i kochankach. Wystarczyła mi opowieść o Bobbym. Więcej na ten temat nie chcę nic słyszeć, dobrze?

- Dobrze - zgodziłam się. - Podoba mi się twój sweter.

- Jak na początek, wystarczy - odparł i zapalił kolejnego Pall Malla.



Luty 1990

Miłość była jak średniowieczny kuglarz, dokonujący w moim sercu popisów cyrkowych.

Po rozwodzie nie dopuściłam do tego, żeby się w kimkolwiek zakochać. Dusiałam w zarodku każdy dobrze się zapowiadający związek i bardzo byłam z tego zadowolona. Trzeba też przyznać, że nigdy nie spotkała mnie zbyt silna pokusa. W każdym nowo poznanym mężczyźnie po pięciu minutach rozmowy wynajdowałam tysiąc wad. Z Danielem rozmawiałam kilka godzin i nie dopatrzyłam się w nim niczego irytującego. Wcale też nie miałam ochoty tego robić. Znowu byłam gotowa postawić na szali uczucia, tylko tym razem miałam nadzieję, że nie przegram. Doszłam do wniosku, że oddalenie okaże się korzystne. Będziemy poznawać się stopniowo, pisać listy, rozmawiać przez telefon. To, że ze sobą nie spaliśmy, też miało swoje zalety. Mogłam kontrolować swoją namiętność, panować nad sobą. Tym razem będę praktyczna i racjonalna.

Zapłaciłam taksówkarzowi przed domem Eloise, zadzwoniłam do drzwi i zaczęłam się śmiać. Oszukiwanie siebie samej stało się moim drugim zawodem. W tej chwili nie marzyłam o niczym innym, jak tylko o tym, żeby zostać w Nowym

Jorku, wskoczyć Danielowi do łóżka i nie wychodzić z niego przez kilka dni. Muszę się przyzwycząić do tego, że znów straciłam nad sobą kontrolę. Jednak tak długo, jak uda mi się ukrywać te uczucia, jestem bezpieczna. W tak zaawansowanym wieku przekonałam się, że wszystkie te oklepane formułki, które wbijano mi do głowy jako młodej dziewczynie, są prawdziwe. Im bardziej obojętnie zachowujesz się wobec mężczyzny, tym większe on wykazuje zainteresowanie. Chce wiedzieć, że go kochasz, ale też dobrze jest, jeśli pozostawisz mu cień wątpliwości. Jeśli zbyt wiele od niego wymagasz, jak ja od Buddy'ego, poczuje się złapany w potrzask. Trudno mi było uwierzyć, że ta prosta zasada tak dobrze działa, chociaż są już lata dziewięćdziesiąte, ale wiele razy widziałam na przykładzie własnym i przyjaciół, że to się sprawdza, więc można ją uznać wręcz za naukowy pewnik. Moja matka nazywała to odgrywaniem trudnej do zdobycia.

Danielowi wolno było powiedzieć, że podobałam mu się jako studentka, że śledził moje losy. Ale co by się stało, gdybym ja pierwsza coś podobnego mu wyznała? W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kobiety zrobiły wiele, żeby zlikwidować podwójną moralność, ale udało im się to tylko w niewielkim zakresie. Nie zniszczyły jej, a niektórym nawet się ona zaczęła podobać.

W taksówce zastanawiałam się, czy nie przełożyć lotu, nie wysłać wiadomości do pracy, że jestem chora, i nie zadzwonić do Daniela z propozycją spotkania. Nie mogłam tego zrobić. Nie pozwoliłabym sobie na to.

Sarah wpuściła mnie do środka. Rozejrzałam się po domu i znalazłam Eloise w saloniku. Moja przyjaciółka była zupełnie załamana. Jej mokra od łez twarz wyglądała żałośnie, a na policzkach widniały smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Siedziała skulona w fotelu i przy każdym oddechu zanosiła się łkaniem.

- Eloise, mój Boże! Co się stało?

Czyżby Robert zginął? Może do domu wdarli się rabusie, ją zgwałcili, a jego zadźgali nożem? Zaczynałam myśleć jak

rdzenna mieszkanka Nowego Jorku.

- Nie potrafię... - To wszystko, co udało się jej wydusić.

- Czego nie potrafisz? - Podeszłam do niej i uklęknłam obok fotela.

- Po prostu nie mogę.

- Co się dzieje? - Wzięłam ją za ramiona i potrząsnęłam. - Czego nie możesz?

W odpowiedzi podniosła ze stołu obok książkę i cisnęła ją na drugi koniec pokoju. Zobaczyłam okładkę. Strach przed lataniem. Powieść Eriki Jong.

- Nie możesz czytać Eriki Jong? Nic nie rozumiem. Co w tym strasznego? Ja nie mogę czytać Prousta. I co z tego?

Starła się uspokoić, ale dopiero po kilku minutach udało się jej opanować łkanie. Czekałam, nic z tego nie pojmując.

- Robert dał mi ją dziś rano. To prezent.

- I? Eloise, daj spokój. Mąż daje ci książkę, a ty z tego powodu przeżywasz załamanie nerwowe? Proszę cię, jakoś mi to wytłumacz.

- Seks. Ta książka jest o seksie. Jeszcze jedna kobieta bez zahamowań. Dlaczego? Dlaczego seks jest taki ważny? Dlaczego Robert dał mi tę książkę? On chce mi coś powiedzieć, chce dać mi do zrozumienia, że jestem do niczego. Ja to wiem. Stace, co ja mam zrobić? Stracę go. Muszę się czegoś napić. Podaś mi drinka? Tam w rogu stoi dzbanek Krwawej Mary. Należysz mi?

- Oczywiście. - Sobie też nalałam. Podałam jej szklaneczkę i przysiadłam u jej stóp. - Eloise, wysłuchaj mnie. Przede wszystkim, seks to nie jest najważniejsza rzecz pod słońcem...

- Tak, akurat! Przecież jest wszędzie. We wszystkich filmach, serialach telewizyjnych, w książkach roi się od ludzi, którzy cały czas uprawiają dziki, namiętny seks. Jeśli to nie jest najważniejsza rzecz na świecie, to dlaczego wszyscy mają obsesję na tym tle? Odpowiedz mi.

- Może dlatego w książkach i filmach wygląda to tak wspaniale, że w życiu jest zupełnie inaczej. Nie przyszło ci to

do głowy? Może cały świat lubi fantazjować.

- Dobrze sobie to wymyśliłaś. - Eloise potrząsnęła głową i zagryzła wargę.

- Niewykluczone, że mam rację. Ale teraz o tym nie rozmawiajmy, dobrze? Nie seks, tylko miłość jest najważniejszą rzeczą na świecie. Czy nadal kochałabyś Roberta, gdyby został sparaliżowany od pasa w dół?

- Oczywiście, że tak - odparła urażona.

- Właśnie. I on by cię kochał, gdybyś z jakiegoś powodu nie mogła z nim spać. Eloise, wpadasz w histerię. Jak dawniej przychodzą ci do głowy najczarniejsze, pesymistyczne myśli. Teraz, kiedy znalazłaś szczęście, boisz się, że je utracisz. Nie trzeba być psychoanalitykiem, żeby się domyślić, że to śmierć matki i zachowanie ojca tak spaczyło twoje poglądy na miłość. To oczywiste. Robert daje ci książkę z erotycznymi scenami, a ty wyciągasz z tego zupełnie błędne wnioski. Może uznał, że to zabawna powieść. Erica Jong potrafi być dowcipna i ma wiele trafnych spostrzeżeń na temat stosunków męsko-damskich. Nie chodzi tylko o seks. Na wszystko spoglądasz teraz pod tym kątem, ponieważ jest to dla ciebie bolesny temat. Musisz się uspokoić.

- Och, Stace... - Eloise pociągnęła nosem i spróbowała się uśmiechnąć. - Tak się cieszę, że przy mnie jesteś. Chyba rzeczywiście trochę przesadziłam. Z początku wszystko dobrze szło. Lektura tej książki nawet sprawiała mi przyjemność. Ale potem poszłam do łazienki i znalazłam to... - Łzy znów napłynęły jej do oczu. - To pismo leżało na podłodze. Nie wiem, skąd się tam wzięło, pewnie zostawiła je jedna z pokojówek. Gdybym wiedziała, która to, zaraz bym ją wylała. - Wyjęła egzemplarz „Vanity Fair”, który leżał wciśnięty w róg fotela, i podała mi go. Na okładce było zdjęcie Sapphire Shannon. Opierała się o palmę, ubrana w dżinsy i zsuniętą z jednego ramienia obcisłą niebieską bluzkę. Na nosie miała lustrzane okulary. Opanowana, zmysłowa, oszałamiająca. Spojrzałam na zapłakaną twarz Eloise.

- Rozumiesz teraz? Zobaczyłam to i starałam się o tym zapomnieć, wrócić do lektury, ale natrafiłam na kolejny szczegółowy opis sceny erotycznej i straciłam panowanie nad sobą. - Jednym łykiem dopiła drinka i wyciągnęła do mnie szklaneczkę. Dolałam i jej, i sobie. Osłonięte okularami oczy Sapphire przyglądały się nam, kiedy piłyśmy.

- Daniel uważa, że ona jest „ostra” - powiedziałam. - Dziwka. To przez takie jak ona kobiety nienawidzą kobiet.

- Tak bym chciała, żeby zniknęła z powierzchni ziemi - jęknęła Eloise.

- To mało prawdopodobne. Ale Robert jej nie kocha. Pamiętaj o tym.

- Spróbuję. Tylko że jest mi ciężko. Ciągle natrafiam na jakieś pisma z artykułami na jej temat. Może nasz lokaj się w niej podkochuje. Przecież nie mogę zakazać wnoszenia czasopism do naszego domu, prawda?

- Raczej nie. Jesteś ponad to. Nie myśl o niej. Ona się nie liczy. Jeśli nie przestaniesz o niej myśleć, będziesz jeszcze bardziej spięta. Z tego, co słyszałam, wcale nie ma takiego wspaniałego głosu. Z pewnością nie dorównuje ani Elisabeth Schwarzkopf, ani Joan Sutherland.

Zdałam sobie sprawę, że moje zapewnienia nie są niezbyt przekonujące, kiedy jeszcze raz spojrzałam na te nogi, twarz i uśmiech, na cały wizerunek leżący na podłodze niczym zły duch. Postanowiłam spełnić swoją dziecięcą zachciankę.

- Stace! - zawołała Eloise, a potem roześmiała się przez łzy.

Znalazłam w torbie długopis i właśnie dorysowywałam Sapphire Shannon wąsy. Dodałam kozią bródkę. Do ręki włożyłam jej widły, a na głowie umieściłam rogi. Wyglądała jak diabeł-albinos w kobiecym przebraniu. Eloise dostała ataku śmiechu - śmiała się równie histerycznie, jak uprzednio płakała. Wręczyłam jej długopis. Teraz ona miała przerobić wygląd Sapphire według własnego uznania.

- Z czego się tak śmiejecie? - zapytał Robert, wchodząc do saloniku. - Słyszałem was już na schodach.

Eloise natychmiast odwróciła pismo, a ja wstałam, żeby zasłonić Robertowi widok.

- Właśnie pokazywałam Eloise bardzo zabawną recenzję z opery. Wystawili Cyrulika sewilskiego, w którym biorą udział wyłącznie mężczyźni, a krytycy niemiłosiernie wyśmiali ten pomysł.

Wzięłam od Eloise „Vanity Fair” i ukradkiem wsunęłam do swojej obszernej torebki.

- Kocie, co się stało z twoją twarzą? - zapytał Robert, wpatrując się w żonę.

- Popłakałyśmy się ze śmiechu. Boże! - Spojrzałam na zegarek. - Muszę się spakować. Pomożesz mi, Eloise?

- Jasne. Już idę. Przy okazji poprawię makijaż. - Eloise wstała pośpiesznie, chcąc jak najszybciej oddalić się z miejsca przestępstwa.

- Wracajcie szybko na dół, dziewczyny. - Robert pocałował ją w poplamiony tuszem policzek. - Prawie cię dzisiaj nie widziałem, kocie. Ukrywałaś się. Stace, czy mam powiedzieć Edwinowi, żeby przygotował limuzynę?

- Bardzo proszę - odparłam i szybko wyszłam z pokoju, pociągając za sobą Eloise.

Na górze jeszcze raz pośmiałyśmy się z okładki „Vanity Fair”, jak niegrzeczne uczennice, którym udało się bezkarnie narozrabiać za plecami nauczyciela. Być może Robert śmiałby się z tego zdjęcia wraz z nami, ale nie chciałam ryzykować i widziałam, że Eloise też tego nie chciała. Wrzuciłam pismo na dno walizki i skończyłam pakowanie, jednocześnie opowiadając przyjaciółce o spotkaniu z Danielem. Znow obudziły się we mnie wszystkie emocje i lęki.

- Moim zdaniem, to jest piękne. Miłość to rzeczywiście najważniejsza rzecz na świecie - oświadczyła Eloise. - Tam na dole powiedziałaś bardzo słuszną rzecz. Przepraszam, że straciłam panowanie nad sobą. Dzięki Bogu, że przy mnie byłaś. To się już więcej nie powtórzy.

- Przrzekasz?

- Przrzekam. On mnie kocha, jestem pewna. I masz rację,

to się poprawi. Mam na myśli seks. Muszę się tylko rozluźnić, i zrobię to. Obiecuję. Teraz ty mi obiecaj, że zachowasz tę kreację, którą ci pożyczyłam. Wyglądasz w niej lepiej niż ja. W San Francisco będzie ci przypominała Daniela.

- Eloise...

- Nie znoszę kłótni, pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- To dobrze. - Eloise siedziała na szezlongu i zakręcała kosmyk włosów wokół palca wskazującego. - Chcę ci coś powiedzieć, zanim wyjedziesz. Znasz mnie tak dobrze, potrafisz wyciągnąć mnie z dołka, domyślasz się, co powiedzieć, żeby mnie uspokoić, wiesz, jak często tracę wiarę w siebie. Ja też cię znam i wiem, jaka jesteś dumna. To, co się zdarzyło między tobą a Buddym, okaleczyło cię. Już widzę, że szukasz sposobu, żeby nie dopuścić do związku z Danielem. Nie chcesz, żeby się do ciebie zbliżył. Wolisz, żeby wszystko zostało tak jak na studiach - tylko w marzeniach. Oddalasz się od niego, żeby nie zranić swojej dumy. Ale musisz zaryzykować. W college'u zajmowałyśmy pozycję kibica, ale teraz trzeba przystąpić do gry. Musimy się zaangażować. Nigdy nie interesowałyśmy się polityką, ale szalałyśmy na punkcie miłości. Nie wycofuj się. To było moje przemówienie dnia. Teraz doprowadzę się do porządku i przyjdę cię odprowadzić. Tym razem nie będzie łzawych pożegnań. Na dzisiaj już się wypłakałam.

Zanim wsiadłam do limuzyny, długo i ciepło uściskałam Eloise. Nasza przyjaźń nabrała dawnych rumieńców - byłyśmy znów sobie tak bliskie jak na studiach i nie chciałam, żeby rozdzielił nas czas, pieniądze albo odległość. Brakowało mi jej. Przez trzy lata dzieliłyśmy pokój i przeżycia, uczucio-wo byłyśmy sobie bliższe niż większość małżeństw. Gdybym znalazła się w kłopotach, wiedziałam, że Eloise w każdej chwili pośpieszyłaby mi z pomocą, nawet na drugi koniec świata. Ja zrobiłabym dla niej to samo.

Robert zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku, a ja wyszeptałam:

- Opiekuj się nią.

Wszyscy potrzebujemy opieki, chociaż tak niewielu z nas się do tego przyznaje.

Daniel zadzwonił dzień po moim powrocie. Przeprowadziłyśmy zabawną, swobodną rozmowę, która trwała godzinę. Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, już zaczęłam się zastanawiać, kiedy znowu go zobaczę. Żadne z nas nie mogło sobie pozwolić na zbyt wiele transkontynentalnych lotów ani długich międzymiastowych rozmów telefonicznych. I chociaż Eloise kazała mi się zaangażować, wciąż zamierzałam zachować emocjonalny dystans, przynajmniej udawać, że kontroluję sytuację. Nie będę go błagała, żeby mnie odwiedził, nie odmienię niczego w swoim trybie życia. A jeśli większość dnia spędzam na marzeniach o Danielu, to już wyłącznie moja sprawa. Wyciągnęłam z dna szafy stary album z rodzinnymi fotografiami i znalazłam zdjęcie błękitnego roweru, tego w kolorze swetra Daniela. Ostrożnie je wycięłam i oparłam o lampę na nocnym stoliku. Ludzie zdesperowani robią dziwaczne rzeczy.

Następnego dnia przysłano mi do pracy trzy tuziny kwiatów i cały personel bezlitośnie zadreślał mnie pytaniami. Kiedy podpisywałam pokwitowanie, cały czas myślałam, że to bukiet od Daniela. Taki romantyczny gest zupełnie do niego nie pasował, ale trudno byłoby mi sprawić większą przyjemność. Pracownicy zebrali się wokół mnie, cali w ochach i achach, a ja się zastanawiałam, jak zareagować. Przynajmniej miałam doskonały pretekst, żeby wieczorem do niego zadzwonić.

Zerwałam papier i zobaczyłam to, czego w zasadzie powinnam się spodziewać. Białe lilie. Przysłane nie przez Daniela, ale przez Eloise. Do bukietu przyczepiono karteczkę: „Nie potrzebujesz klimatyzatora?” Uśmiełabym się z tego, gdybym nie była taka rozczarowana. Radość, jaka ogarnęła mnie na widok dostarczonego bukietu, uświadomiła mi, że znów zaczynam zachowywać się tak samo jak podczas małżeństwa z Buddym. Oczekuję na każdym kroku romantycznych gestów.

Fakt, że to nie Daniel przysłał kwiaty, zirytował mnie, chociaż przedtem wcale się tego po nim nie spodziewałam. W sprawach męsko-damskich wszystko psułam tak jak dawniej. Stale podświadomie wymagałam tego, czego nikt nie mógł mi dać.

Zabrałam kwiaty do domu i rozstawiłam je po całym mieszkaniu. Kiedy się potem im przyjrzałam, doszłam do wniosku, że przypominają bukiety pogrzebowe, i mało brakowało, a wyrzuciłabym wszystkie trzydzieści sześć lilii do kosza. „Włączyłam kasetę z utworami Beethovena, usiadłam i zasłuchałam się. Zanim poszłam do łóżka, napisałam króciutki liścik do Eloise: „Potrzebuję klimatyzatora do przewietrzenia umysłu”.

Zwrot „wpadać w obsesję” stał się bardzo modny w pewnych środowiskach w Kalifornii i ja też stale go używałam. Wpadałam w obsesję na tle Daniela, ponieważ nie zadzwonił do mnie przez resztę tygodnia. Potem wpadłam w obsesję na tle własnej obsesji. Nie znalazłam tytułu jego książki w katalogu książek będących aktualnie w sprzedaży, więc zadzwoniłam do wszystkich znanych mi właścicieli antykwariatów, żeby ją zdobyć. Byłam zła na siebie, że nie pożyczyłam jej z biblioteczki Roberta.

Nie mogłam jeść. Paliłam jednego za drugim. W pracy nadal rozmyślałam wyłącznie o swoich obsesjach. Wiedziałam, że powinnam wycofać się z tego związku, dopóki znowu nie zapanuję nad emocjami. Chociaż bardzo mi się podobało, że znów ogarnia mnie fala uczucia, wiedziałam, że muszę poczekać, aż ustąpi, zanim znowu będę w stanie rozsądnie zająć się swoim związkiem z Danielem. Mimo to nadal trzymałam zdjęcie niebieskiego roweru przy łóżku.

W piątki zwykle zostawiałam swoją Hondę Prelude przed domem i jechałam do pracy przez zatokę promem. Nawet przy złej pogodzie bardzo cieszyła mnie ta podróż. Lubiłam spoglądać z pokładu na most Golden Gate i na nieodparcie wspaniałe - puste teraz - więzienie Alcatraz. Chociaż mieszkałam w San Francisco od dziesięciu lat, nadal czułam się jak turystka. Spacer z przystani do domu był jedynym ćwiczeniem

fizycznym, jakie wykonywałam przez cały tydzień, i jeśli udało mi się po drodze nie zapalić papierosa, czułam się po powrocie absurdalnie zdrowa i wysportowana.

W pierwszy piątek po powrocie z Nowego Jorku paliłam przez całą drogę do domu. Właśnie przystanąłam, żeby zapalić kolejnego papierosa, kiedy spostrzegłam Daniela Sterne'a. Ubrany w niebieski sweter siedział na schodach przed moim mieszkaniem. Żadne z nas się nie odezwało, kiedy otwierałam drzwi. Nic też nie mówiliśmy, kiedy je zamknęłam. Uściskał mnie i długo przytulał, zanim zaczął całować. Nie przerywając pocałunku rozebraliśmy się nawzajem. Tylko na krótko przerwaliśmy nasze czynności, kiedy Daniel wyjął z kieszeni spodni paczkę prezerwatyw. Nie poszliśmy do sypialni. Kochaliśmy się na dywanie w salonie. Równie namiętnie robiłam to z innymi mężczyznami, ale tym razem pojawiło się coś nowego, coś czego nigdy przedtem nie doświadczyłam. To było tak jak wtedy, gdy pierwszy raz leciałam samolotem i zobaczyłam chmurę z góry. Niby nadal była taka sama jak te, które całe życie oglądałam z dołu, ale wydawała się żywa, nęcąca, jakby wzywała mnie, żebym otworzyła okienko, wyskoczyła i pobawiła się na niej. Właśnie tak było z Danielem.

Gdy skończyliśmy, włożyłam dzinsy i bawełniane podkoszulek, nalałam dwa kieliszki białego wina i przyniosłam je do salonu. Daniel siedział na podłodze, oparty plecami o kanapę. Miał na sobie parę białych Levisów i bawełnianą koszulę w niebieskie pasy, z rękawami podwiniętymi powyżej łokcia. Niebieski sweter leżał na podłodze, tam gdzie go rzuciłam. Usiadłam obok Daniela i podałam mu kieliszek.

- Jak myślisz, dlaczego ludzie się ubierają, chociaż przed chwilą się rozebrali? - zapytałam.

- Ponieważ bardzo chcą się znowu rozbierać. - Odgarnął mi włosy z twarzy. - Nie wiem jak ty, ale ja bardzo lubię zrzucać ubranie. Lubię cały ten proces. Poza tym podoba mi się twoje mieszkanie.

- Tak? Wydawało mi się, że nie zwracasz uwagi na otoczenie. Co ci się w nim podoba?

- Nie zwracam uwagi na otoczenie, tylko na atmosferę. To wewnątrz jest przytulne, ale nieprzytłaczające, kobiece, a nie-przesłodzone. Chociaż trochę chyba przesadziłaś z tymi liliami.

Już miałam mu powiedzieć, że to prezent od Eloise, ale się rozmyśliłam.

Rozejrzałam się, próbując zobaczyć własne mieszkanie jego oczami. Ściany pomalowałam na biało, a drewnianą podłogę starannie wypolerowałam. Meble kupowałam stopniowo, sztuka po sztuce. Wszystkie pochodziły z drugiej ręki, ale były w niezłym stanie. Potem pokryłam dużą kanapę i dwa fotele brzoskwinowym płótnem. Mieszkanie wyglądało na zamieszkałe od dawna. Półki z książkami lekko zapadały się po środku, jak długo używane podwójne łóżko.

Daniel wstał i podszedł do pianina, które odziedziczyłam po dziadku. Zawsze miałam wątpliwości, gdzie je ustawić, i w końcu zdecydowałam się na róg salonu. Miałam wobec tego instrumentu mieszane uczucia, bo przypominał mi, że nie umiem na nim grać, a jednocześnie przywodził na myśl dziadka, którego najbardziej lubiłam z całej rodziny.

- Potrafisz grać na pianinie? - zapytał Daniel, ale nie dał mi odpowiedzieć. - Nie, nie potrafisz. Powiedziałaś mi to w Balcony. To pianino dziadka, tak?

- Zgadza się.

Ucieszyłam się, że nie zaczął grać jak do kotleta, co zdarzało się niektórym mężczyznom, przewijającym się przez moje życie.

- Jak długo byłeś gotów czekać pod drzwiami? - zapytałam.

- Kto wie? - Zapalił papierosa. - Kocham cię. Być może czekałbym całą noc. Z drugiej strony, zaczynało mi się już trochę nudzić.

Zadzwoił telefon, ale nie odebrałam; włączyła się automatyczna sekretarka. Po sygnale usłyszałam męski głos: - Cześć

Stacy, tu Bobby. Znow przyjechałem na weekend do miasta. Chciałbym z tobą porozmawiać. Naprawdę. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś do mnie zadzwoniła. Mój numer czterysta dwadzieścia trzy, dziewięćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt cztery. Dziękuję.

Daniel uniósł brwi i potrząsnął głową. Roześmiałam się. Podeszedł do mnie i zaczął mi wyciągać podkoszulek ze spodni. To ja ci dziękuję, Bobby, pomyślałam.

Tym razem wylądowaliśmy w sypialni i po wszystkim nie zawracałam sobie głowy ubieraniem. Siedzieliśmy na łóżku i śmialiśmy się, paląc papierosy. Daniel otaczał mnie ramieniem. Czułam się przy nim jak w domu, byłam rozluźniona i szczęśliwa. Wiedziałam, że ludzie sprawdzają się w bardzo różnych okolicznościach. Kiedyś wybrałam się na ślizgawkę z człowiekiem, który dopiero na lodzie pokazał się z najlepszej strony. W każdym innym miejscu, w restauracji, teatrze, w łóżku, był normalnym, miłym, trochę nieśmiałym człowiekiem. Ale na lodowisku przeistaczał się w ideał łyżwiarza. Odprężał się, był swobodny i tryskał energią.

Inni ujawniają swoje najatrakcyjniejsze oblicze w najbardziej nieoczekiwanych miejscach - robiąc zakupy na targu, oglądając telewizję w niedzielne popołudnie, jedząc w barze firmowy zestaw śniadaniowy za dwa dolary. Zwykle porządkowałam listę wszystkich znajomych według miejsc, gdzie czuli się najlepiej. Z odpowiednią osobą szłam do kina, z inną na koncert, a z jeszcze inną umawiałam się na drinka w barze. Rzadko się zdarzało, żeby ten sam człowiek sprawdzał się w kilku miejscach.

Moim zdaniem Daniel pokazywał się z najlepszej strony, za każdym razem gdy otwierał usta albo mnie dotykał. Nie był konwencjonalnie przystojny - trochę za niski i przysadzisty. Przypominał odwrócony trójkąt. Miał potężne ramiona, szeroką pierś i zaskakująco wąskie biodra oraz szczupłe nogi. Zachowywał się swobodnie, był dowcipny i ciekawy świata. Lubił zadawać pytania i w przeciwieństwie do wielu znanych mi mężczyzn, z ochotą wysłuchiwał odpowiedzi. Właśnie

miałam go zapytać, co by zjadł na kolację, kiedy mocno ścisnął moje ramię.

- Bezbarwne idee wściekle śpią - powiedział.
- Co takiego?
- To Chomsky. Zawsze rozwesela.
- Jesteś beznadziejny. - Westchnęłam.
- Nie, po prostu głodny.

Przez telefon zamówiłam pizzę z dostawą do domu. W lodówce nie było jedzenia, a nie miałam zamiaru pozwolić Danielowi wyjść z mojej sypialni.

Daniel Sterne dorastał w Brooklynie, w kamienicy zamieszkaney przez ludzi, którzy całymi dniami rozprawiali o Holocauście.

- Pamiętaj, że mówimy tu o ośmioletnim dzieciaku. Za trzymywali mnie na schodach i zmuszali do wysłuchiwania tych strasznych historii. Wiem, że to moje dziedzictwo i jako Żyd powinienem słuchać ich z uwagą. Ale przecież miałem osiem lat. Chciałem grać z chłopakami w baseball. Słyszałem z ulicy głosy rówieśników. Grali w piłkę, a tymczasem jakaś zasuszona staruszka karmiła mnie szczegółowymi opowieściami o komorach gazowych. Był pięćdziesiąty drugi rok, wojna się skończyła i miałem ochotę wszystkim powiedzieć: „Słuchajcie, ja nie potrafię zmienić historii. Jestem Żydem i jestem z tego dumny, ale dajcie mi spokój”. Moi rodzice i wszyscy ich przyjaciele widzieli siebie jako ofiary. Oczywiście, byli ofiarami. Wtedy zdawałem sobie z tego sprawę tak samo jak teraz. Ale nie chciałem się identyfikować z ofiarami. Nie zamierzałem być jedną z nich. Więc wdawałem się w bójki z kolegami, kiedy tylko widziałem szansę na wygraną, i w ogóle byłem ze mnie niezły gagatek. Trzymałem z największymi twardzielami w okolicy. Nauczyłem się grać w karty i bilard. Jednocześnie uczyłem się jak wariat. W tajemnicy. W dzień szwendałem się po ulicach, a w nocy ślęczałem nad podręcznikami. Dzięki temu nie wychodziłem na mięczaka. Nikomu nie przyszło do głowy, że jestem mołem książkowym. Wszyscy uważali mnie za cwane go mądrałę. Myśleli, że nabieram nauczycieli, bo dostaję dobre stopnie, a w ogóle

się nie uczę. Nie dostrzegali moich sińców pod oczami. To była niezła sztuczka.

- Oszust! - powiedziałam.

- Jasne. Przecież wszyscy oszukujemy, w ten czy inny sposób.

- Być może.

Ten mężczyzna tak mnie fascynował, że zaczęłam wpadać w panikę. Przyjechał na weekend, a już zbliżała się sobota. Ile godzin nam jeszcze zostało? Wróciły moje dawne marzenia o ucieczce na Karaiby, koktajlach z rumem, palmach, miłości na plaży w świetle księżyca. On tymczasem opowiadał mi o pracy na uczelni. Przegrałaś, Stacy, ostrzegałam się w duchu, wpatrując się w pizzę z pepperoni. Za daleko zabrnęłaś z tym mężczyzną. Wycofaj się.

Kiedy zjedliśmy, poszłam do salonu i włączyłam na odtwarzaczu CD płytę z Weselem Figara, w nadziei że muzyka pomoże mi opanować emocje. Mozart i Da Ponte znali się na uczuciach. Hrabia Almaviva kochał kiedyś hrabinę do szaleństwa, ale bardzo szybko zapragnął skorzystać z *droit de seigneur* względem pokojówki swojej żony. Namiętność nie trwa wiecznie. Miłość jest płocha. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby jeszcze raz przeczytać *Annę Kareninę*. Potem wróciłam do sypialni z drugą butelką wina.

- Opowiedz mi o swojej książce - zagałam.

Ze skrzyżowanymi nogami siedzieliśmy na łóżku, twarzą do siebie, oboje ubrani tylko w koszule. Między nami leżała popielniczka i resztki pizzy. Kolejne przyjęcie w piżamach, tym razem w wersji męsko-damskiej.

- Jak wiesz, zawsze interesowałam się praniem mózgow i technikami propagandowymi. Czytałem wszystkie prace na temat Korei, Chin, Wietnamu. Dowiedziałem się wiele o klasycznych metodach i innowacjach. Co się dzieje z jeńcami wojennymi. Jak działają reklamy na Madison Avenue. Jak zmienić ludzki umysł albo nakłonić kogoś, żeby zrobił dokładnie to, co chcesz. Możesz to nazwać manipulacją. Czy wiesz, że termin „pranie mózgu” został pierwszy raz użyty na

piśmie, we wrześniu pięćdziesiątego roku? Niejaki Edward Hunter napisał artykuł dla „Miami News” zatytułowany Taktyka prania mózgu zmusza Chińczyków do wstępowania do partii komunistycznej. Hunter był agentem CIA do spraw propagandy, pracującym jako dziennikarz. Wymyślił określenie „pranie mózgu” na podstawie chińskiego wyrażenia hsi-nao, co dokładnie znaczy „wyczyścić umysł”. Pod koniec wojny koreańskiej siedemdziesiąt procent z siedmiu tysięcy stu dziewięćdziesięciu jeńców amerykańskich przetrzymywanych w Chinach złożyło zeznania lub podpisało petycje z żądaniem wycofania wojsk amerykańskich z Azji. Piętnaście procent poszło na współpracę z Chińczykami, a tylko pięć wytrwale odmawiało. Tak więc w CIA zaczęli się zastanawiać, co się tam dzieje i jak oni mogą na tym skorzystać. Jak odmienić podstawowe przekonania i wzorce zachowań? Jak opanować ludzki umysł i serce? Wtedy właśnie zaczęli prowadzić eksperymenty z LSD na nic niepodjęrzewających ofiarach, wysyłali ekspedycje do Meksyku po grzyby halucynogenne. Grube ryby były przekonane, że najlepiej tu zadziała odpowiedni narkotyk. Myśleli, że jeśli znajdą właściwą substancję, to będą mogli poddać skutecznemu praniu mózgu każdego i wszędzie. Wierzyli w to, nawet kiedy dwóch z ich najlepszych agentów złożyło obszerny raport, z którego wynikało, że Chińczycy nie mają żadnych cudownych narkotyków, a ich technika polega na poddawaniu słabego ludzkiego charakteru intensywnej presji psychologicznej. Właśnie to może nas pokonać. Nie brak odporności na narkotyk, taki jak LSD, tylko nasze ludzkie słabości. Nasze desperackie pragnienie, żeby być kochanym i akceptowanym. Spójrz na tragedię w Jonestown. Udało się przekonać dziewięćuset trzynastu ludzi, żeby odebrali sobie życie. Trzeba zadać sobie pytanie: jak to się stało, że Jim Jones nakłonił tylu ludzi do masowego samobójstwa? Przecież to trudna sztuka. Odizolował ich w Gujanie, zaszczepił w nich strach, ale również podarował im wizję, wizję ziemi obiecanej, akceptacji, miłości. Dawał tym ludziom to, czego sami nie potrafili znaleźć. Według mnie, Jima Jonesa dzieli od Charlesa Mansona tylko krok. Te dzieciaki,

które przystały do grupy Mansona, były zagubione i samotne, szukały akceptacji, a Charlie im ją dał. Dzięki temu byli w stanie dla niego zabić. W końcu co motywuje wyznawców kultów i gorliwych fundamentalistów wszelkiej maści? Pragnienie przynależności, akceptacji, samookreślenia. Oni chcą wierzyć. Myślę o tym wszystkim, kiedy przechodzę obok kościoła i widzę wychodzącą z niego parę młodą. Ależ oni są pełni wiary. Wierzą w małżeństwo, w siebie, a przede wszystkim w miłość. Wtedy mój trochę zwichrowany umysł, wiecznie poszukujący tematu do następnej komercyjnej książki, zaczyna pracować. Te wychodzące z kościoła dzieciaki muszą przecież wiedzieć, że co drugie małżeństwo się rozpada, ale mimo to uśmiechają się do siebie uszczęśliwione. Kiedyś skupiałem się na studiach nad siłą zbiorowości, ludzką gotowością do zatracenia własnej indywidualności na rzecz grupy. Ale nie potrzeba etosu grupy, żeby utracić tożsamość. To się może zdarzyć ot, tak... - Strzelił palcami. - Kiedy się zakochasz.

Stuknął papierosem o dłoń, włożył go do ust i zapalił.

- Tak wcale nie musi być - zaprotestowałam. - Przecież związek może być partnerski. Nie trzeba rezygnować z samego siebie. - Dziwnie się czułam, jako ten mniej cyniczny rozmówca w dyskusji o miłości.

- Partnerstwo? Nie bardzo w to wierzę. To tak jak w stosunkach międzynarodowych. Rozkład sił od czasu do czasu się zmienia, zwłaszcza po konflikcie, ale rzadko występuje rzeczywiste partnerstwo i równowaga. Jeden kraj ma kilka tysięcy rakiet więcej, inny liczniejsze siły lądowe.

Chciałam pojąć wszystko, co mówi, ale miałam wrażenie, że znów znalazłam się na sali wykładowej i powinnam robić notatki.

Wstał, podszedł do okna sypialni i wyjrzał w noc.

- Ładne zasłony - zauważył, dotykając materiału.

Siedziałam potrząsając głową. Daniel odwrócił się, spostrzegł moją pełną niedowierzania minę i roześmiał się.

- W tej chwili to ty masz przewagę, Stacy. Powiedziałem

ci, że cię kocham, a ty nie odwzajemniłaś mi się tym samym. Zdobyłaś jeden punkt. Przyleciałem tu, żeby cię zobaczyć. Drugi punkt dla ciebie. Chcę, żebyś mnie zaakceptowała, więc cię zabawiam historyjkami z mojej przeszłości. Jeśli jutro zaprosiłabyś mnie na narty wodne, pewnie bym poszedł, żeby ci pokazać, jakim to jestem wspaniałym facetem. Musiałbym się zastanowić, czy za dużo nie ryzykuję, ponieważ nie potrafię jeździć na nartach wodnych i mogłabyś się ze mnie śmiać. Zdobyłabyś wtedy trzeci punkt.

- Daniel, to nie jest rozgrywka tenisowa ani szachowa. Rozmawiamy o emocjach, a nie o zdobywaniu punktów kosztem drugiej strony. Poza tym mam wrażenie, że po tym, jak powiedziałeś, że ja mam przewagę, to tak naprawdę ty jesteś górą.

Wrócił do łóżka, nachylił się i mnie pocałował.

- Jak już mówiłem, zasłużyłaś sobie na piątkę na moich zajęciach. - Zaczął mnie łaskotać w bosą stopę.

- Przestań. To nie jest śmieszne. Czy twoja książka opiera się na założeniu, że miłość to taka psychologiczna gra wojenna? Jeśli kogoś w sobie rozkochasz, możesz mu zrobić pranie mózgu i zmusić go do tego, żeby robił to, co chcesz?

- Jego albo ją. - Znów się uśmiechnął i rozciągnął się na łóżku. - Oto hipoteza. Powiedzmy, ot tak sobie, że zakochałaś się we mnie bez pamięci. Jesteś rozedrganym emocjonalnie wrakiem człowieka, całkowicie ode mnie zależnym.

- Wielkie dzięki! - Próbowałam kopnąć go w kostkę, ale nie trafiłam.

- Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. Przestań mi przerywać. Gdybym chciał cię kontrolować, powinienem teraz przesłać ci jakiś pozytywny sygnał, podbudować cię, powiedzieć ci, że jesteś wspaniała, że bardzo cię kocham i nikt przedtem nie doceniał cię tak jak ja. Zaufałabyś mi, uzależniłabyś się od moich pochwał. Stałbym się twoją matką, ojcem, bratem, przyjacielem, psychoanalitykiem i kochankiem w jednej osobie. Złapałabyś się na haczyk,

- I po co miałbyś to robić? - zapytałam cicho.

Daniel wzruszył ramionami.

- Jak już byś się ode mnie uzależniła, stopniowo wycofwałbym aprobatę, oczywiście w bardzo subtelny sposób. Czasami wspominałbym coś o twoich niedostatkach, grałbym na twoich słabych punktach. Nie wiedziałabyś, co się dzieje. Może zrobiłaś coś złego? Zastanawiałabyś się, jak odzyskać moją miłość.

Spojrzałam na niego. Na rękawie koszuli, nad łokciem, miał plamę z czegoś, co wyglądało jak zaschnięta farba.

- Potem, jeśli wcześniej nie kazałabyś mi się wynosić, wszczepiłbym ci wzorzec zachowania, zgodny z moimi oczekiwaniem, i przez dozowanie aprobaty sprawiłbym, żebyś postępowała według niego.

- Daniel... - Wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju. W żołądku czułam ucisk, dłonie zwinęłam w pięści. - Nie wiem, czy dobrze rozumiałam. Zrezygnujmy z mojej osoby jako przykładu, dobrze? Chcesz powiedzieć, że w każdym związku miłosnym jedna osoba, która ma tak zwaną władzę, świadomie robi ofiarę z drugiej, żeby osiągnąć swoje cele? To jest chore.

- Nie ma znaczenia, czy robi to świadomie czy nie. Nie twierdzę też, że tak się dzieje w każdym przypadku. Mówię tylko, że tak się czasami zdarza. Pary angażują się w takie gry o władzę. Każdy aspekt związku można zamienić w walkę o przewagę. Kto zmywa naczynia. Kto inicjuje seks. Kto podejmuje drobne decyzje, nie wspominając już o wielkich. Tę walkę wygrywa zwykle to, które ma mniejsze potrzeby.

Przestałam chodzić po sypialni, zapaliłam papierosa i nalałam sobie kolejny kieliszek wina.

- Nie sądzisz, że to po prostu kwestia kompromisu?

- Owszem. Ale mnie interesuje dynamika związku. Kto idzie na kompromis, w jakich sprawach i dlaczego? Powtarzam, że, moim zdaniem, przegrywa zwykle to, które bardziej potrzebuje miłości i akceptacji. Słuchaj, powiem szczerze. Napisałem tę książkę tuż po rozwodzie, więc trudno mnie wtedy było nazwać bezstronnym obserwatorem. Ujawniła się w niej moja własna frustracja. Dlatego właśnie mówiłem, że

książka jest do niczego. Wydawca jej nie promował, ponieważ bardzo pesymistycznie przedstawiała miłość. Teraz muszę się z nim zgodzić. Widziałem bardzo dobre związki, w których ludzie się nie duszą. Spotkałem udane pary. To właśnie ci ludzie są najbardziej interesujący. - Westchnął, znowu wzruszył ramionami i wydmuchnął dym pod sufit. - W dalszym ciągu jednak uważam, że niektóre moje wnioski są słuszne. Jeśli chcesz nakłonić kogoś, żeby zrobił coś wbrew swoim przyzwyczajeniom, coś co nie leży w jego charakterze, nie trzeba mu wbijać drzazg pod paznokcie albo zamykać w klatce. Wystarczy go w sobie rozkochać.

- Na mnie skuteczniej podziałałyby tortury fizyczne. Gdyby ktoś zagroził mi nożem, natychmiast powiedziałabym wszystko, co wiem.

- No, tak. Ale ja mówię o efektach długofalowych, o zmianie osobowości. Jeńcy wojenni z Korei i Wietnamu, których jakoby poddano praniu mózgu, po powrocie do domu, kiedy zniknęło zagrożenie, szybko się zmieniali, przynajmniej większość z nich. Miłość to dłuższa historia. Dziewczyny Mansona wciąż w niego wierzą!

- Powiedz mi, dlaczego obiecałeś Eloise, że wyślesz jej swoją książkę?

- Ponieważ wydaje mi się, że Robert nie dałby jej żonie, nawet jeśli sam ją przeczytał, a może - zwłaszcza jeśli to zrobił. Uważam, że powinna ją poznać. Zrobiła na mnie wrażenie kobiety, która wyrzekła się siebie samej. Patrzy na męża w sposób godny ubolewania. To mnie martwi, ponieważ ją lubię. Przydałaby się jej edukacja w tej dziedzinie.

- A czy ja potrzebuję edukacji?

- Ty przede wszystkim powinnaś przyznać, że mnie kochasz. Wtedy wyrównamy rachunki. Przynajmniej na jakiś czas. - Patrzył na mnie bez drgnienia powiek.

- Myślisz, że wyznam ci miłość po tym wykładzie na temat prania mózgu? Wystraszyłeś mnie jak cholera.

- To dobrze. - Roześmiał się i zaczął rozpinąć koszulę.

- Nieży z ciebie wariat. I w dodatku niezbyt mądry. Nie powinni pozwalać ci uczyć.

- Jestem głupim, upierdliwym dupkiem bez grosza przy duszy, w dodatku zazdrosnym. - Wziął mnie za rękę, pociągnął na łóżko i zrzucił resztki pizzy na podłogę. - To są w dodatku moje zalety. Czy nadal chcesz się ze mną kochać? - Skinęłam głową. - Świetnie. Teraz ja będę na górze.



Luty-marzec 1990

Tej nocy trudno mi było zasnąć. Żadna ilość wina, seksu i nikotyny nie była w stanie wymazać z moich skłębionych myśli poglądów Daniela na miłość. Nie mogłam spokojnie leżeć obok niego, kiedy chrapał w najlepsze o poranku. Nie potrafiłam się odprężyć. Wypowiadał swoje teorie tak lekko, jakby rzucał kółkami do gry w ringo, ale mnie one podcinały skrzydła, raniły moje żalosne nadzieje. Siedziałam na krześle przy toalecie, patrzyłam na śpiącego Daniela i marzyłam o tym, żeby to trwało wiecznie. Nie chciałam z nim rozmawiać, kochać się, wchodzić w jakikolwiek kontakt. Najlepiej by było, gdyby stale tak leżał bez świadomości.

Daniel twierdził, że zna szczęśliwe pary. Mówił, że zmienił swoje zdanie na temat możliwości stworzenia udanego związku, ale ja nadal byłam na etapie rozpamiętywania swojej porażki z Buddym. Daniel się zmienił od czasu rozwodu, ja nie. Doskonale się nadawałam do napisania książki *Miłość - najdoskonalsza metoda prania mózgu. Cześć druga*. Udawałam, że nie wierzę w jego teorię walki o władzę w związkach międzyludzkich, ale przecież nie tylko w nią wierzyłam, ale sama głosiłam. Miałam ochotę obdarować nią każdą znaną mi parę. Tak, w każdym związku jeden partner dominuje. Nie, równość nie istnieje. Nawet jeśli w jakimś związku mężczyzna i kobieta pracują zawodowo, dzielą się obowiązkami domowymi

i pozornie mają nowoczesny doskonały układ. Jedno z nich zawsze jest górą, a drugie stara się za wszelką cenę zadowolić partnera. Ulega. Idzie na kompromis. Poświęca się.

Bardzo chciałam obwinie mężczyzn za upadek związków męsko-damskich, przypisać to temu, że nie umieją żyć z kobietami na zasadach równouprawnienia, ale nie potrafiłam. Nie zawsze sprawdzał się powszechny pogląd, że mężczyznom mniej niż kobietom zależy na miłości, ponieważ sprawdzają się w pracy, gdy tymczasem kobiety potwierdzają się w związku z mężczyzną. Widziałam również mężczyzn okaleczonych emocjonalnie, robiących wszystko, co w ich mocy, żeby uszczęśliwić kobietę, ale niebędących w stanie sprostać oczekiwaniom i dorosnąć do ich marzeń. Jest wielu szalejących z zazdrości mężczyzn w typie Otella i Leontesa, którzy wpadają w obsesję, zabijają żony lub ich kochanków. Tacy jak John Hinkley są w stanie zrobić wszystko, nawet zamordować prezydenta, żeby tylko udowodnić kobiecie miłość. Namiętność jest jak pozbawiony uprzedzeń pracodawca, który wszystkim daje równą szansę, bez względu na wiek, płeć, rasę i wyznanie.

Daniel żartował, że mógłby się wybrać ze mną na narty wodne, ale ja aż nazbyt poważnie rozważałam myśl o tym, że mogłabym ulec każdej jego zachciance. Z łatwością sobie wyobrażałam, że zaczynam uprawiać wspinaczkę wysokogórską, jeśli ten sport okazałby się jego pasją, albo że ścinam włosy na krótko, gdyby podobały mu się kobiety w typie Audrey Hepburn. Kiedy jedliśmy pizzę, zastanawiałam się nad jakimś podstępem, dzięki któremu mogłabym nazajutrz wyjść sama na miasto i kupić jakąś oszałamiającą kreację. No i oczywiście w natrętnych marzeniach z radością rzucałam pracę i przeprowadzałam się do jego nowojorskiego mieszkania. Widziałam siebie, no, może nie w kuchni, ale usadowioną wygodnie w fotelu, boso i w ciąży. Chryste. Byłam urodzoną ofiarą miłości.

Ostrożnie, żeby nie zrobić hałasu i nie obudzić Daniela, poszłam do kuchni i zaparzyłam sobie filiżankę kawy. Jako

dziecko obejrzałam zbyt wiele seriali telewizyjnych, a jako dorosła - zbyt wiele oper, podobnie jak Eloise. Wierzyłam w miłość, namiętność, w zatracenie swojego ja dla mężczyzny. Jednocześnie chciałam zachować godność, szacunek dla siebie, kontrolę nad własnym życiem. To bardzo trudna sztuka.

Słowo „zatracenie” odbiło się echem w mojej pamięci. Przypomniałam sobie strach Eloise, że nie zatraci się dostatecznie w łóżku. Biedna Eloise rzuciła się prosto w otchłań miłości, tymczasem ja wciąż balansowałam na krawędzi. Ona skakałaby dla Roberta przez płonące obręcze i zalewałaby się łzami, gdyby skok jej nie wyszedł. Szofer John stwierdził, że Eloise bardzo potrzebuje miłości.

Jak daleko potrafiłaby się dla niej posunąć?

Tak mocno zaciągnęłam się papierosem, że poczułam dym aż w palcach u nóg.

Przez resztę weekendu odgrywałam rolę przewodniczki Daniela po San Francisco. Jeździliśmy kolejką linową, spacerowaliśmy po nabrzeżu. Zwiedziliśmy wszystko, co dało się zwiedzić w ciągu tych kilku godzin, które spędziliśmy poza łóżkiem. Wciąż zaskakiwało mnie to, jak dobrze Daniel czuje się we własnej skórze - wielu ludzi przez całe lata musi poddawać się psychoterapii, żeby osiągnąć ten stan. Nigdy się nie tłumaczył, chętnie przyznawał się do błędu, równie chętnie opowiadał o zasłużonych sukcesach z przeszłości. Śmiał się z własnych żartów, zwłaszcza jeśli były wymierzone w niego samego. Najwyraźniej nie czuł potrzeby, żeby coś komukolwiek udowodniać, czy to fizycznie, czy intelektualnie. W zależności od nastroju, potrafił się kochać wolno i leniwie lub pośpiesznie i intensywnie. Jednak nigdy nie był spięty ani zatroskany.

Z początku niektóre jego komentarze mnie zadziwiały. Potrafił przywiązywać taką samą wagę do odcinka serialu *Nasza rodzinka*, który oglądał trzydzieści lat temu, jak do nowatorskiej rozprawy akademickiej, wychwalanej przez „The Sunday Times”. Interesował się kulturą w najszerszym znaczeniu

tego słowa, równie swobodnie rozprawił o rocku, jak o muzyce klasycznej, interesował się i baseballlem, i sztuką. Wiedziałam, że powinnam się od niego uczyć, w pierwszej kolejności tego, jak wyzbyć się snobizmu. Od lat skrycie oglądałam telewizję, ale nie śmiałam się do tego przyznać, dopóki w rozmowie ktoś pierwszy nie poruszył tego tematu. Bałam się, że stracę wiarygodność, jeśli się wyda, że z przyjemnością oglądam popularne programy telewizyjne. W moich oczach oglądanie telewizji było rodzajem porażki. Daniel uważał je za przyjemne i niezbędne zajęcie.

- Jeśli jesteś bystra, wiele się nauczysz nawet z najgłupszego programu - mówił. - Naprawdę wierzysz, że Tocqueville ignorowałby telewizję, gdyby teraz prowadził badania ustroju społecznego i politycznego Ameryki? Na pewno poświęciłby jej wiele miejsca w swoich pracach.

Przez cały czas, kiedy leżeliśmy w łóżku albo krążyliśmy po mieście, układałam tajne plany. Zostanę komandosem uczuć. Zasada numer jeden - bądź tajemnicza. Już w Nowym Jorku powiedziałam Danielowi za dużo na temat własnego życia, dałam mu zbyt wiele wskazówek. Ważne jest, żeby w odpowiednim momencie zamilknąć, co on tak doskonale potrafił robić. Wycofać się, żeby przygotować skuteczną zasadzkę. Przy każdej okazji stawiać przed nim wyzwanie, ale beznamiętnie, z klinicznym wręcz chłodem i opanowaniem. Zasada numer dwa - niczego nie oczekiwać. Nie spodziewać się czułych słówek, romantycznych gestów, żadnych deklaracji. Zasada numer trzy - planować resztę życia bez niego. Ten weekend to tylko przerywnik. Kiedy tylko Daniel wsiądzie do samolotu do Nowego Jorku, wykreślę go ze swoich myśli. Zwalczę obsesję na jego de. Nie zrobi mi prania mózgu. Dam mu imię, stopień, numer seryjny i dużo przyjemności w łóżku. Kropka. Jeśli nastawię się na najgorsze, być może przydarzy się najlepsze. Kiedy odwoziłam go na lotnisko, byłam nienaturalnie spokojna, mój umysł wykonywał taką pracę, jaką dla ciała byłoby tysiąc szybkich pompek. Daniel nastawił radio na stację nadającą stare przeboje pap i śpiewaliśmy razem piosenkę Johna Lennona.

Wsluchiwałam się w jej słowa i zaczynałam wierzyć z jungowską koncepcją synchroniczności, ale ręce nadal trzymałam sztywno na kierownicy, w przepisowym ułożeniu „za dziesięć drugą” i nie odrywałam oczu od drogi.

- Stacy - odezwał się Daniel, kiedy piosenka dobiegła końca. - Doskonale się maskujesz, ale tylko marnujesz czas. Swój i mój.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Nacisnęłam pedał gazu i zjechałam na pas szybszego ruchu. Roześmiał się. Jeszcze mocniej wcisnęłam gaz.

- Oczywiście, że wiesz, o czym mówię. - Zaczął śpiewać piosenkę wraz z Buddy Hollym. Miał głos nałogowego palacza. Gdy dojechaliśmy do lotniska, położył mi rękę na udzie i pocałował mnie w policzek. - Nie wysiadaj. Ja tu wyskoczę. - Odwróciłam głowę i poszukałam w torebce papierosa. Wy-rwał mi go z ręki. - Nie bądź niemądra, Stacy. Dość cynicznie podchodzę do miłości, ale cię kocham. Jak mógłbym nie kochać kobiety, która przy swoim łóżku trzyma zdjęcie roweru? - Roześmiał się i wzruszył ramionami. - Możemy bawić się w różne gierki, jak długo zechcesz, ale i tak w końcu będziemy razem. Jeśli ktoś z nas ucierpi, to trudno. Przez jakiś czas jestem gotów zabiegać o ciebie, ale kiedyś będziesz musiała wyjść mi naprzeciw. Następnym razem, kiedy będę odjeżdżał, chcę widzieć łyzy na twoich policzkach, a nie ten niewzruszenie kamienny wyraz twarzy. Ja się też popłaczę, dobrze? Powinniśmy spróbować. Może nasz związek wbrew wszystkiemu okaże się udany. Może będziemy interesującą parą, nie schrzaniemy wszystkiego. - Wziął torbę z tylnego siedzenia, wyszedł z samochodu i zniknął w budynku dworca lotniczego. Gdyby wrócił, zobaczyłby łyzy.

W domu zastałam wymięte prześcieradła, pełne popielniczki i milczącą sekretarkę automatyczną. Melancholia niedzielnego popołudnia uderzyła mnie ze zdwojoną siłą. Wzięłam prysznic, umyłam włosy, wysuszyłam, umalowałam się, nie wiadomo dla kogo, i zaraz zmyłam makijaż. Spróbowałam słuchać Beethovena, wyłączyłam magnetofon, usiadłam na kanapie i zatopiłam się w ćwiczeniu umysłowym. Starłam się

przypomnieć sobie wszystkie wanny, w których się kąpałam.

Kiedy zadzwonił telefon, siedziałam właśnie w wannie mojego dziadka - długiej, głębokiej, pełnej gorącej wody. Ćwicyłam sztuczkę z myjką, której mnie nauczył. Na wyciągniętej prawej ręce kładłam myjkę i powoli zanurzałam dłoń w wodzie. Zostawało pod nią trochę powietrza. Potem wyjmowałam rękę na powierzchnię, a z myjki robiłam niewielki balonik. Wciągałam go pod wodę, ściszałam, a wtedy z balonika wydobywały się bąbelki, niczym podwodne fajerwerki.

- Stace? Jak się masz? - Eloise mówiła radosnym tonem, niczym telewizyjny prezenter pogody zapowiadający słoneczny weekend.

- Świetnie. Miewam się świetnie. Nie, prawdę mówiąc, niezbyt dobrze. Siedzę tu i użalam się nad sobą.

- Dlaczego? Co się stało?

- Daniel przyjechał do mnie na weekend i jestem teraz jeszcze bardziej zakochana. Nie wiem, kiedy go znowu zobaczę, a poza tym i tak nic z tego nie wyjdzie.

- Stacy! - Eloise wybuchnęła śmiechem, co bardzo mnie zirytowało. Miałam już dość tego, że ludzie się ze mnie śmieją. - Potrzebujesz agenta do spraw uczuć. Takiego agenta, jakich mają gwiazdy filmowe i pisarze. Taki agent zajmowałby się twoim życiem uczuciowym. I to ja nim jestem. Dzwonię, ponieważ w przyszły piątek wybieramy się z Robertem do Las Vegas na koncert Kenny Rogersa i chcę, żebyś też tam pojechała. Ty i Daniel. Nie mów mi tylko, że nie masz za co, bo ja funduję. Zatelefonuję do Daniela i wszystko ustalę. Więc się nie martw, bo zobaczysz go za tydzień. Nie ma problemu. Odliczę sobie tylko dziesięć procent twojego szczęścia.

- Eloise, jesteś pijana.

- Może i jestem. Tutaj już prawie północ, wypiałam kilka drinków, jestem w świetnym nastroju i wpadłam na ten doskonały pomysł. Nas czworo w Las Vegas. Będę twoim agentem. To doskonały plan. Możecie się pobrać w którejś z tamtejszych kapliczek. Plan jest taki wspaniały, że sama nie mogę w to uwierzyć. Może podkupię Kenny Rogersa, żeby zaśpiewał

na waszej uroczystości.

- Chyba czas iść do łóżka. Prześpij się trochę.

- Dobrze, dobrze. Nie bądź taka mądra. Powinnaś mi podziękować, wiesz?

- Dziękuję. Teraz idź do łóżka.

- Dobrze. Robert też chce, żebyś przyszła do łóżka. - Słyszałam, jak Eloise bierze głęboki oddech. - Może jestem trochę wstawiona, ale o tym weekendzie mówiłam całkiem poważnie. Zarezerwuję wam pokój w Golden Nugget. Jutro zadzwonię do Daniela. Jego numer jest w książce telefonicznej, prawda?

- Nie dzwoń do niego. Ja z przyjemnością pojedę do Las Vegas, bo bardzo chcę się z tobą spotkać, ale nie naciskaj na Daniela.

- Po prostu bądź w piątek w hotelu. Jestem twoją dobrą wróżką. Wróżki na nikogo nie wywierają nacisku. Wystarczy, że skiną magiczną różdżką. - Rozłączyła się.

Lot do Las Vegas różni się od lotu do każdego innego miasta w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy pasażerowie mają pełen wyczekiwania wyraz twarzy, jak dzieci w noc Halloween, przekonane, że wypełnią swoje torby cukierkami. Ludzie rozmawiali ze sobą poprzez przejścia między fotelami, radzili, na jakie występy warto pójść, które automaty hotelowe zapewniają największe wygrane, gdzie się najlepiej gra w pokera. Podśluchiwałam, zastanawiając się, czy pasażerowie będą równie zadowoleni w drodze powrotnej. A jak ja się wtedy będę czuła? Sama podejmowałam wielkie ryzyko, niczym hazardzista. W środku tygodnia Eloise zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce, że mam się spotkać z nią i z Robertem w piątek, w hotelu Golden Nugget, ale nie wspomniała o Danielu. On też nie zadzwonił. Napięcie mnie nie zabiło, ale niewątpliwie miało wpływ na stan moich nerwów. Co najmniej pięć razy przejrzałam folder linii lotniczych, ale nie byłam w stanie się na niczym skupić. Wyjęłam książkę

Huntera S. Thompsona, Strach i pogarda w Las Vegas, i próbowałam czytać. Jednak chociaż to do mnie nie podobne, cały czas żałowałam, że nie mam przy sobie żadnego narkotyku, który wprowiłby mnie w taki sam nastrój, w jakim byli współpasażerowie.

Las Vegas jako miasto nie interesowało mnie. Mimo panującego wokół pustynnego upału, chłodnym wzrokiem spoglądałam na automaty do gry witające nowo przybyłych na lotnisku, czekające na poważnych graczy limuzyny, jaskrawe kolory i tandetne reklamy. Chciałam jak najszybciej znaleźć taksówkę.

Każdy taksówkarz ma do opowiedzenia jakąś historię, i mój nie był wyjątkiem. Twierdził, że kiedyś miał miliony, ale przegrał je w ruletkę, i teraz przygotowuje się do odzyskania przegranej. Znalazł już system. System gry w ruletkę, który przywróci mu utraconą fortunę. Uznałam, że kłamie, opowiadając mi o przegranym majątku, a oszukuje sam siebie co do przyszłej wygranej. Nie podobała mi się też tabliczka z napisem „Dziękuję za niepalenie”, otoczonym małymi, roześmianymi twarzami. To nie była prośba, tylko rozkaz.

Wzdłuż autostrady prowadzącej do miasta stały gigantyczne, oświetlone neonami tablice reklamowe, jak wielkie drzewa na jakiejś planecie z filmu science fiction. Ten dziwaczny las informował o najbliższych występach. Uśmiechali się do nas Tom Jones, Kenny Rogers i inni bogowie, którzy zstąpili na ten weekend z nieba, żeby łaskawie wystąpić przed śmiertnikami. Bogowie i boginie.

- Niech no pani tylko na to spojrzy. - Były milioner wskazał na tablicę niemal dwa razy wyższą i szerszą od innych.

Sapphire Shannon. Jej ludzie od reklamy pewnie dostali wielką podwyżkę za to zdjęcie. Jak zwykle miała na sobie obcisłe dzinsy, ale tym razem od krocza aż do kolan naszyto na nich skórę z kuca w białobrązowe łaty. Doszłam do wniosku, że obrońcy praw zwierząt nie puściliby jej tego płazem, więc skóra pewnie jest sztuczna. W każdym razie, wyglądało to wyjątkowo seksownie. Sapphire stała na rozstawionych nogach, opierając ręce na biodrach. Jej oczy świeciły, i to dosłownie, ponieważ wmontowano w nie rytmicznie migające

szafirowe żarówki. Ale to nie był jedyny trik, jaki miał przyciągnąć uwagę przejezdnych. Zamiast zsuniętej z ramienia bluzki lub podartego podkoszulka, wydatny biust Sapphire opinała krótka trykotowa bluzeczka bez rękawów, a wokół talii wił się najprawdziwszy żywy wąż. Otaczał ją jak ciasny pasek, a głowę trzymał dokładnie na jej pępku, pokazując kły każdemu, kto śmiał na niego spojrzeć. Zdjęcie tej jasnowłosej dziewczyny jakby wyjętej z Dzikiego Zachodu umieszczono na całkowicie czarnym tle. Wyglądała jak błądy duch, wyskakujący z ciemności, połączenie Annie Oakley, Ann-Margaret i biblijnej Ewy - twarda, zmysłowa, ale również dziwnie czysta.

Eloise musiała przejeżdżać obok tej samej tablicy, poraził ją więc ten sam widok. Westchnęłam ze współczuciem. Na tym zdjęciu nikt nie mógł dorysować koziej bródki ani wąsów. Kiedy je mineliśmy, uświadomiłam sobie, że reklama zapowiadała występ Sapphire w Caesar's Pałace.

- Niezła jest, co? - Taksówkarz odwrócił się do mnie.

- Mmmmm... - Zamknęłam oczy i skinęłam głową. - Kiedy ma wystąpić? Nie zauważyłam daty.

- Co innego przyciąga wzrok, prawda? - Znów skierował wzrok na drogę. - W następny weekend. Wszystkie bilety wyprzedane.

W następny weekend. Co za ulga. Przynajmniej nie będzie jej tutaj w tym samym czasie co my. Mimo to Eloise nie miała szczęścia. Nawet jeśli Daniel nie dał się namówić na przyjazd, cieszyłam się, że tu jestem. Eloise będzie mnie potrzebowała.

Hol hotelu Golden Nugget wyglądał jak centrum handlowe w przedświątecznym tygodniu. Roilo się od meldujących się i wyjeżdżających gości, którzy albo bardzo chcieli rzucić się w szpony hazardu, albo przed nimi uciekali. Przede mną stał niebywale tęgi mężczyzna w czerwonej hawajskiej koszuli, doskonale pasującej do jego nabiegłych krwią oczu. Ścisnął w rękę kartę American Express, jakby to był system podtrzymywania funkcji życiowych organizmu. Równie gruba kobieta w przezroczystej bluzce i czarnym staniku pojawiła się u jego boku i trąciła go łokciem w brzuch, żeby go nakłonić do

wyjścia. Nie chciał się ruszyć. Chwyliła go za ramię i pociągnęła. Wyglądało to jak starcie dwóch profesjonalnych zapasników. W końcu kobieta wygrała i mężczyzna potulnie za nią podążył. Podejrzewałam, że historia tej pary okazałaby się o wiele ciekawsza niż opowiadanie taksówkarza.

W recepcji czekała na mnie wiadomość.

Rozgość się, Stacy, a potem przyjdź do naszego apartamentu.

Uściski,
Eloise

PS. Od razu zauważysz, że twój pokój jest wyposażony w podwójne łóżce.

Twój agent

A więc Daniel przyjął zaproszenie Eloise. Kiedy recepcjonistka spojrzała na mnie podejrzliwie, zdałam sobie sprawę, że podskoczyłam z radości.

- Życzę miłego pobytu - powiedziała monotonnym głosem. Bez wątpienia widziała wielu ludzi skaczących z radości na myśl o grze, którzy potem boleśnie lądowali na ziemi.

Torba Daniela już była w pokoju, w popielniczce leżały niedopałki, a na poduszce liścik.

Najwyższy czas, Asie. Witaj w Las Vegas. Eloise mnie adoptowała. Szczodra dama. A teraz biegiem do jej apartamentu. W towarzystwie bogatych ludzi robię się nerwowym.

Usiadłam na łóżku, zebrałam myśli i uporządkowałam uczucia. Wiedziałam, że nie na długo uda mi się odgrywać wymyśloną przez siebie rolę komandosa uczuć. Wcześniej czy później stracę panowanie nad sobą i skoczę prosto w ramiona Daniela. A co potem? Racjonalna część mojego umysłu zaczęła złośliwie pracować na najwyższych obrotach. Przeprowadzę się do Nowego Jorku, zrezygnuję z pracy i rozważnego życia w San Francisco, zamieszkać z Danielem i będę patrzyła, jak sobie powszedniejemy, jak z naszego związku

wyparowuje romantyzm uczuć, a my zmieniamy się w barbarwną, okropną parę, niechętną sobie i ponurą. Czy tego naprawdę pragnę?

Zdusiłam te myśli, poprawiłam makijaż i poszłam do apartamentu Chappellów.

Zapukałam; drzwi otworzył Robert, skłonił się i wprowadził mnie w krainę luksusu. Objane skórą fotele i kanapy, białe puszyste dywany, dwa telewizory, barek z lustrami, nowoczesny telefon o opływowych kształtach, stoliki ze szklanymi blatami, a w rogu telefaks. Nowoczesne wnętrze w stylu „Miami Vice”.

- Witaj, Stace. - Otoczył mnie ramieniem i pocałował w policzek. - Napijesz się?

- Tak, poproszę wódkę z sokiem pomarańczowym.

Daniel siedział na kanapie, ubrany w dżinsy, firmową koszulkę Golden Nugget i czapkę baseballową nowojorskich Yankees. Poklepał miejsce obok siebie.

- Cieszę się, że przyjechałaś. - Uniósł brwi i uśmiechnął się. - Właśnie przegrałem zakład z Robertem, i trochę mi głupio.

- O co się założyliście? - Usiadłam obok niego, a on wziął mnie za rękę.

- O to, do czego odnosi się termin niepokalane poczęcie.

- Ja też przegrałam z nim ten zakład. Robert! - Popatrzyłam na niego, kiedy podawał mi drinka. - Mógłbyś w ten sposób zarabiać na życie.

- Wiem. To świetny zakład, prawda? - Usiadł w fotelu i oparł stopy o szklany blat stolika. Na czubku głowy miał okulary przeciwsłoneczne. Ubrany był również w dżinsy, kowbojskie buty i koszulkę, jak typowy miłośnik muzyki country. - Już powiedziałem Danielowi, jak wyglądają nasze plany. Mamy kilka godzin przed występem, więc proponuję, żebyśmy w coś zagraли. Daniel nie może się doczekać, kiedy zasiądzie przy stoliku do pokera, a Eloise i ja zamierzamy znaleźć salę do gry w bakarata. Spotkamy się na drinku przed koncertem. Co ty na to?

- Bardzo chętnie.

Do pokoju weszła Eloise.

- Stace! Witaj! - zawołała. Wyglądała jak sobowtór Roberta. Takie same buty, džinsy i koszula. Jediną różnicę w stroju stanowiła dziwaczna, wysadzana połyskliwymi kryształkami skórzana kurtka. Zdawało się, że to oni powinni wystąpić na scenie. Poderwałam się z miejsca i uściskałam przyjaciółkę. Z bliska zauważyłam pod jej oczami sińce, których nie mógł ukryć nawet makijaż. - Cudownie znowu cię widzieć. Jak ci minął lot? - zapytała.

- Bardzo dobrze.

Podchodząc do barku, potknęła się, ale odzyskała równowagę i naląła sobie kieliszek szampana.

- Obsłużyłbym cię, kocie. - Robert lekko uniósł się z fotela, ale zaraz usiadł z powrotem.

- Nie, nie. Sama to zrobię. Chcę wznieść toast. - Podniosła kieliszek i po kolei wysunęła go w stronę każdego z nas. - Niech żyje Las Vegas. Tak się cieszę, że jesteśmy tu razem. Za przyjaciół. I kochanków.

- Za przyjaciół i kochanków - powtórzyliśmy za nią i wypiliśmy.

Daniel nie puszczał mojej ręki. Sama nie wiedziałam, czy Eloise wygląda w tym stroju głupio czy wspaniale - granica była cienka i wrażenie zależało zapewne od nastroju chwili. Jednak jej decyzja, żeby włożyć džinsy, wydała mi się wątpliwa. Dżinsy na Eloise wyglądały o wiele gorzej niż na Sapphire. Powinna unikać takiego porównania. Najwyraźniej wypila kilka drinków więcej niż ja. Z kieliszkiem w ręku chwiejnie podeszła do Roberta, usadowiła mu się na kolanach i zarzuciła mu ramię na szyję.

- „Czasami trudno być kobietą - zaśpiewała - i kochać tego jedyne. Do końca nie wiesz, co w nim siedzi, dlatego cierpisz, choć on dobrze bawi się”. - W studenckich czasach Eloise nigdy nie śpiewała, nawet nie nuciła pod nosem. Teraz wiedziałam, dlaczego. Śpiewała w złej tonacji, fałszowała; brzmiało to okropnie. Pociągnęła łyk szampana i śpiewała dalej chrypliwym głosem: - „Ale jeśli go kochasz, to bądź z niego dumna, bo przecież to tylko człowiek. Bum, bum, bum.

Stój przy nim wiernie, przytul go czule...”

Wyśpiewywała teraz pełną piersią refren, a my troje słuchaliśmy w milczeniu. Chciałam jej przerwać, żałowałam, że nie znam słów, żeby się do niej przyłączyć i ją zagłuszyć. Dziwiłam się, że Robert nie przejął inicjatywy, nie uciszył żony. To nie było zabawne, tylko żenujące. Chyba była kompletnie pijana. Wreszcie, dzięki Bogu, skończyła.

- Wspaniale, kocie. - Robert przytulił ją do piersi i spojrzał na nas nad jej ramieniem, jakby chciał powiedzieć: „Cóż więcej mogę zrobić?”

- Zaśpiewać wam jeszcze? - Eloise wyswobodziła się z uścisku męża, znów usiadła prosto i z bezmyślnym uśmiechem zaczęła okręcać kosmyk włosów wokół palca.

Daniel pochylił się i chwycił ją za ramię.

- Eloise, uwielbiam cię - powiedział. - Masz jeszcze gorszy głos niż ja, a to nie byle co, wierz mi. Nigdy nie wystąpimy w Grand Ole Opry. Musimy ćwiczyć samotnie, tam gdzie nikt nas nie usłyszy, bo inaczej narazimy się na oskarżenie o zadawanie wymyślnych i okrutnych cierpień.

- Aż tak źle śpiewam? - zapytała dziewczęcym głosem.

- Nawet jeszcze gorzej - odparł ze śmiechem Daniel, patrząc jej prosto w oczy. - Trzymaj się tego, co ci dobrze wychodzi. Tak mawiał mój ojciec.

- Ale co mi dobrze wychodzi? No, w czym jestem dobra? - Patrzyła na Daniela błagalnie.

Siedziałam jak wmurowana, nie byłam w stanie jej pomóc. Nie rozumiałam, dlaczego Robert też nic nie robi i się nie odzywa.

- Nie znam cię zbyt dobrze, więc będę zgadywał. Wydaje mi się, że dobrze wychodzi ci uczciwość. Jesteś bardzo uczciwa, a to rzadka cecha. Ważniejsza niż umiejętności wokalne. Trzymaj się tego.

- Ty jesteś dobra we wszystkim, kocie - odezwał się w końcu Robert i objął ją niedźwiedzim uściskiem.

- Daniel ma rację - powiedziała, bardziej do siebie niż do

nas. - Przynajmniej jest jedna rzecz, która mi dobrze wychodzi. Kiedyś świetnie się znałam na fizyce. Wiedziałeś o tym, Danielu? - Wydawało się, że nie czuje uścisku Roberta. Skupiła uwagę na Danielu.

- Tak, wiedziałem. Wiem też, że teraz przydałoby ci się trochę kawy, żebyś nie zasnęła w połowie koncertu Kenny Rogersa. Robercie, nie znajdzie się tu kawa i woda mineralna? - Daniel puścił rękę Eloise, wstał, wziął ją za ramiona, podniósł z kolan Roberta i posadził na swoim miejscu obok mnie.

- Oczywiście. - Robert również natychmiast wstał, podszedł do baru, nalał dużą szklankę wody Perrier i filiżankę kawy z termosu. - Zdaje się, że za dużo wypija. Tak podzielała na nią Las Vegas. To jej pierwsza wizyta w tym mieście.

- To moja pierwsza wizyta w tym mieście - powtórzyła tępo Eloise. - Wspaniale tu mają tablice reklamowe, prawda? - Kiedy to powiedziała, gwałtownie drgnęłam. Spojrzałam jej w oczy.

- Są takie tandetne - oznajmiłam stanowczo. - W złym guście. Takie oczywiste. Odwołują się do najniższych ludzkich instynktów. Jak myślisz, jak przedstawiono by na nich Pavarottiego? Albo Placido Domingo? To dopiero byłaby sztuka. - Miałam ochotę jej powiedzieć, żeby wyszła wreszcie z tej mrocznej jamy, przestała się nad sobą użalać i rozpamiętywać swoje kompleksy. Nie myśl o Sapphire. Do cholery z Sapphire. Robert podał jej kawę i wodę, patrząc na mnie, jakby prosił o pomoc. Eloise pociągała raz łyk kawy, raz łyk Perrier, a Robert zaczął opowiadać anegdotę, jak to kiedyś widział Pavarottiego na Manhattanie, z trudem przeciskającego swoje słynne zwaliste cielsko przez drzwi restauracji. Przez następne pół godziny zabawialiśmy się opowieściami z życia operowego czekając, aż Eloise nieco wytrzeźwieje. Po trzech szklankach wody mineralnej i czterech filiżankach kawy odzyskała panowanie nad sobą na tyle, że gotowa była pójść do kasyna.

- Kocie, naprawdę dasz radę? - zapytał Robert zatroskanym głosem.

- Oczywiście - odparła i wstała. - Czas najwyższy, aby wygrać trochę pieniędzy.

W gwarnej kasynie Robert i Eloise skierowali się do ustronnego pokoju, gdzie grano w bakarata, a ja z Danielem poszliśmy do części zarezerwowanej dla pokerzystów. Wszędzie wokół widziałam ogarniętych szaleńców gry, pobladłych ludzi, pochylonych nad automatami, pocących się przy kole ruletki, przepychających się bliżej stołu do gry w kości. Martwe postacie, robiące wszystko, żeby wygrać, a może raczej przegrać. Ci ludzie przypominali mi karaluchy z Nowego Jorku. Skłębione stado obrzydliwych insektów, biegających po kasynie. Panowała tu atmosfera zbliżającego się końca świata, a strach i nadzieja były wszechobecne, jak panujący wokół hałas. Daniel nie zwracał na nic uwagi, krążył tęsknie wokół stołu pokerowego, gdzie grano o niskie stawki, aż wreszcie uszczęśliwiony zdobył miejsce. Kibicowałam mu z boku.

Przy stole siedziało ośmioro ludzi. Trzech starców o wychudłych twarzach bez uśmiechu, z rękami pokrytymi wątrobowymi plamami i z paciorkowatymi oczami. Staruszka jedząca banana, o wyglądzie bezdomnej kobiety, z kilkunastometrowymi, polakierowanymi na czerwono paznokciami. W myślach ostrzegłam przed nią Daniela. To twarda sztuka, trzeba na nią uważać. Zdenerwowany, obwieszony złotem Murzyn siedział obok rozdającego karty. Po obu bokach Daniela zasiedli dwaj mężczyźni w średnim wieku, o nabrzmiałych twarzach. Na głowach mieli teksańskie kapelusze. Śledziłam przebieg gry obserwując, kto za każdym razem zgarnia pulę. Przeczucie mnie nie zawiodło. Wygrywała staruszka o czerwonych szponach. Danielowi szło nieźle, też czasami zgarniał kupkę żetonów. Tekszańscy cały czas tracili pieniądze, przegrywali rozdanie po rozdaniu, robili kwaśne miny, poprawiali kapelusze i mamrotali coś do rozdającego. Po godzinie miałam wrażenie, że obserwuję postacie z podziemnego świata. Nie gangsterów, ale umarłych, którzy bezpowrotnie przekroczyli rzekę Styks; diabelską zbieraninę handlarzy dusz, gotowych sprzedać swój ostatni ludzki odruch za fula. Podeszłam i klepnęłam Daniela w ramię. Rozdrażniony podniósł wzrok.

- Czas już iść na spotkanie z Eloise i Robertem - przypomniałam.

- Dobrze. Już. - Policzył żetony, przeprosił pozostałych graczy i uśmiechnął się. - Dwadzieścia dolarów. Nieźle.

- Ta gra wyglądała mi na ciężką pracę, a nie rozrywkę - skomentowałam.

- Ależ to jest rozrywka, i to doskonała, pod warunkiem, że się wygrywa.

Poszliśmy do umówionego baru, w którym gracze robili sobie krótkie przerwy przed dalszą grą. Chappellowie jeszcze się nie pojawili.

- Poproszę wodę mineralną - powiedziałam do kelnerki, a Daniel zamówił sobie szkocką. - Po tym, co wyprawiała Eloise, chyba przez jakiś czas będę unikała alkoholu.

- Była w złej formie. - Daniel zapalił papierosa i zrobił zamyśloną minę. - Wiesz, przylecieliśmy tu razem, prywatnym samolotem, który dla nas wynajęła. Wielki luksus. To zrobiło na mnie wrażenie tak wielkie, że chyba zbyt mało uwagi zwracałem na Eloise.

- To pewnie zdjęcie Sapphire tak ją rozstroiło. Ja też bym się upiła, gdyby Sapphire okazała się twoją byłą żoną.

- Bo była.

- Bardzo śmieszne.

- Prawdę mówiąc, moją byłą żoną jest Roseanne Barr.

- Jeszcze śmieszniejsze.

- Wyobraź sobie, że Robert nie powiedział ani słowa, kiedy mijaliśmy tę tablicę. Siedzieliśmy jak skamieniały, wszyscy się na nią gapiliśmy, ale nikt się nie odezwał. Bardzo niezręczna sytuacja. Więc zażartowałem. Taki mam nawyk. Powiedziałem: „Cholera, spodziewałem się na jej brzuchu raczej aligatora. Czy ona nie wie, że wążowa skóra jest w tym sezonie niemodna?” - Nie roześmiałam się. - Tak, wiem, że nie jest to zbyt śmieszne, ale co innego mogłem zrobić. W limuzynie panowała tak duszna atmosfera, jakby nagle wysiadła klimatyzacja. Ktoś musiał rozładować napięcie, a ten dupek Robert po prostu siedział i wpatrywał się w swoją byłą.

- Wcale nie jest dupkiem. Na pewno jej widok go zaskoczył, wytrącił z równowagi. Co miał powiedzieć?

- Jest od pół roku mężem Eloise, tak? Musi zdawać sobie sprawę, że mało kto wytrzymuje porównanie z Sapphire, nawet milionerka. Do tej pory powinien już uporać się z tym problemem, rozwiązać obawy żony. Takie jest jego zadanie, oczywiście jeśli ją kocha.

- Wciąż kwestionujesz ich miłość. Dla mnie ich uczucie jest oczywiste.

- Dla mnie jest oczywiste, że to Eloise kocha Roberta. Szkoda, że go nie słyszałaś w samolocie. Wciąż zwracał jej uwagę, żeby siedziała prosto, nie bawiła się włosami, poprawiała makijaż, jeszcze raz namalowała kreskę na powiekach. Zachowywał się jak jakiś cholerny faszysta.

- Przesadzasz. Uważaj, nadchodzą.

Szli ręką w rękę, klucząc między stolikami do gry w oczko, jak współczesniona wersja Roya Rogersa i Dale Evans. Wyglądali na zadowolonych z siebie i z otoczenia. Zapewniałam się w duchu, że Daniel się myli. Przecież potrafię na odległość rozpoznać odwzajemnioną miłość. Eloise przywołała kelnerkę do stolika i zamówiła wodę mineralną. A lepiej by było, gdyby zamówiła sobie drinka.

Bogaci nie muszą stać w kolejkach. Drzwi same się przed nimi otwierają, podczas gdy inni, którzy muszą harować i oszczędzać na wakacje w Las Vegas, cierpliwie czekają na swoją kolej, chętnie poświęcając czas i ciężko zarobione pieniądze, żeby tylko zobaczyć gwiazdę na żywo. Bilety mieliśmy za darmo, na koszt hotelu. Kierownictwo Golden Nugget cenilo sobie wizytę Eloise i spodziewało się, że podczas weekendu i tak wiele więcej przegra w kasynie, niż wynosi cena jakichkolwiek biletów. Ta polityka się opłacała, ponieważ razem z Robertem zdążyli już przegrać w bakarata pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Naszą czwórkę wprowadzono do sali klubowej. Mijaliśmy

tłum ludzi, którzy wyciągali szyje, żeby sprawdzić, czy sami nie jesteśmy gwiazdami, a upewniwszy się, że to nikt znany, rozczarowani odwracali wzrok. Oczywiście dostaliśmy stolik z przodu, żeby lepiej widzieć Kenny'ego w akcji. Było tu przytulniej, niż oczekiwałam, widownia była mniejsza, bardziej mroczna i przyjazna. Nie przypominała sali koncertowej. Usiedliśmy i obejrzelśmy wstępny numer, satyryka, który opowiedział kilka udanych dowcipów, ale było widać, że jest niepotrzebnie zdenerwowany. Pomyślałam, że taki występ tuż przed koncertem gwiazdy musi być bardzo deprymujący. Artysta wie, że publiczność się niecierpliwi i tylko czeka na ukazanie się głównego wykonawcy. Przecież zapłacili za bilet, żeby zobaczyć właśnie jego, Kenny Rogersa.

Po ostatnim dowcipie satyryk wylewnie podziękował publiczności. Zapowiedziano krótką przerwę, w czasie której zespół towarzyszący Kenny'emu rozstawiał sprzęt. Eloise pochyliła się do mnie i wymieniała tytuły najbardziej znanych piosenek Kenny'ego, ale kiedy była w połowie tej listy, salę ogarnęła cisza, jak przelewająca się fala. Milczenie najpierw zapanowało z tyłu, a potem stopniowo przesunęło się ku scenie. Ludzie przy stolikach, rząd po rządzie, przerywali rozmowy, odwracali głowy i coś sobie szeptali do ucha. Pomyślałam, że to Kenny Rogers wszedł tylnymi drzwiami, żeby zrobić większe wrażenie, i, witany z podziwem, teraz idzie wśród publiczności. I rzeczywiście, ludzie wiedli wzrokiem za postacią sunącą ku scenie. Postać ta była wysoka, ubrana w niebieskie dżinsy.

- Cholera - zakląłam. Eloise usiłowała zobaczyć, kto wywołał taką sensację. Chwyciłam ją za rękę i uściśnęłam, kiedy Sapphire zbliżyła się do nas, wiodąc za sobą grupkę mężczyzn, wyglądających na jej ochronę. Miała na sobie dżinsy z rzędem cekinów na bokach i zupełnie przezroczystą bluzkę z naszytymi dwoma kółkami z cekinów, które ledwie osłaniały jej sutki. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Szła jak królowa na czele procesji, prowadząc swoją świętą do stolika nie opodal naszego.

- Chłopaki, siadać, do cholery - nakazała, machając ręką do swoich ochroniarzy, którzy natychmiast spełnili jej polecenie.

- Zaraz zacznie się koncert. Zamknijcie gęby.

- A gdzie się podział wąż? - wyszeptał mi do ucha Daniel. Eloise wyglądała jak kobieta, której dziecko potrafił samochód. Mocniej ścisnęłam jej dłoń i spojrzałam na Roberta. Wciągnął policzki, w rękę trzymał niezapalonego Pall Malla, którym poczęstował go Daniel. Patrzył na Sapphire. Rytmicznie kręcił głową, jakby czemuś zaprzeczał. Nagle znieruchomiał. Popatrzyłam na Sapphire. Widocznie rozglądała się po sali w poszukiwaniu znajomych i spostrzegła byłego męża.

- Hej, Robbo! - wrzasnęła. - Kopę lat! Ale numer. Co ty tu robisz?

Robert nie odpowiedział, tylko odwrócił się do niej plecami. Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli z ciekawością przyglądać się towarzystwu, na które taka gwiazda zwróciła uwagę. Kim byliśmy? Sapphire, niezrażona pogardliwym brakiem reakcji Roberta, patrzyła chłodno na Eloise, Daniela i na mnie.

- Robbo, to teraz zadajesz się z lesbiami?

Puściłam rękę Eloise, jakby to był odbezpieczony granat. Na całym ciele poczułam falę gorąca, a na policzkach Eloise dostrzegłam rumieniec, równie czerwony jak mój. Ludzie wokół nas wybuchnęli śmiechem.

Przygasły światła.

- Panie i panowie - zaczął konferansjer - Golden Nugget z dumą przedstawia jedyne w swoim rodzaju, najwspanialszego pod słońcem wykonawcę piosenek country. Przed państwem Kenny Rogers!

Zespół zaczął grać i przy burzliwych oklaskach na scenę wszedł Kenny w smokingu. Jego siwe włosy połyskiwały w świetle reflektora. Zaczęło się przedstawienie. Jednak dla mnie przedstawienie właśnie się skończyło. Eloise siedziała skulona, nawet nie patrząc na scenę. Robert pocierał czoło, jakby chciał wymazać z głowy myśli. Tylko Daniel słuchał uważnie, kiedy Kenny zaczął śpiewać Ruby, nie zabieraj swojej miłości do miasta. Ukradkiem zerkałam na Sapphire i zastanawiałam się, jak można być taką złośliwą dziwką. Dlaczego

ze wszystkich miast na świecie musiała pojawić się akurat w tym, i to właśnie teraz? Piosenka się skończyła. Kenny usiadł na wysokim stołku i zaczął mówić do publiczności niskim, zmysłowym głosem:

- Cieszę się, że jestem tu dziś z wami...

- Jest mi niedobrze - powiedziała Eloise. - Chcę wrócić do pokoju.

- Eloise, nie pozwól jej wygrać - odparł Daniel.

Ludzie wokół zaczęli ich uciszać.

- Chcę wracać. Proszę. Zaraz. Jest mi niedobrze.

- Ciii!

Robert wstał i wziął Eloise pod ramię.

- Idziemy.

Kenny Rogers umilkł w środku jakiejś anegdoty, kiedy Daniel, Eloise i ja wstaliśmy zza stołu, odsunęliśmy krzesła i między stolikami podążyliśmy do drzwi.

- Czy powiedziałem coś złego? - zapytał Rogers. Szliśmy pośpiesznie z opuszczonymi głowami. Publiczność śmiała się z dowcipu piosenkarza. - Może spodziewaliście się, że wystąpi Dolly Parton? Przepraszam, że was rozczarowałem. - Ryk śmiechu. Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim dotarliśmy do drzwi. Kiedy wreszcie wyszliśmy na zewnątrz, bileter zapytał nas, czy coś się stało.

- Ta pani się źle poczuła. - Wskazałam na Eloise. - Ma mdłości. Nie chciała wymiotować na stolik.

- Ach, tak. Oczywiście - przytaknął z ulgą. - Może przyjdą państwo jutro wieczorem. To wspomniały koncert.

- Dziękujemy. Z przyjemnością - odparł Daniel.

- Muszę się czegoś napić - oświadczyła Eloise, kiedy tylko wróciliśmy do apartamentu. Podeszła do barku i naląła sobie whisky.

- Dla mnie też nalej - poprosił Daniel.

- I dla mnie - dodałam.

Robert w milczeniu podszedł do okna wychodzącego na basen.

- Przykro mi, że zepsułam wam wieczór. - Eloise opadła na skórzany fotel. - Widzieliście, co ona miała na sobie? To było takie... - Zawahała się, spojrzała na Roberta. Stał odwrócony plecami.

- Takie wulgarne - dokończyłam za nią. - Mało subtelne.

- Sapphire Shannon chyba nie przywiązuje wagi do subtelności. - Daniel roześmiał się krótko. - Całe jej zachowanie jest tak subtelne jak młot kowalski. Jej właśnie o to chodzi, żeby cię zwalić z nóg porażającym seksem. Na tym polega jej sztuczka.

- A czy tobie ona się wydaje pociągająca? - Eloise zwróciła się do Daniela, ale cały czas wpatrywała się w plecy męża.

- To zależy, w jakim jestem nastroju - odparł. Miałam ochotę go uderzyć. - Madonna zachowuje się tak samo, pokazuje bieliznę i tak dalej. Ale zachowuje w tej grze większą samokontrolę, wykazuje się poczuciem humoru. Zabawia się z kulturą pop. Sapphire zapędziła się w ślepy zaułek. Wydała się na pastwę stworzonego przez siebie wizerunku. Już nie może być niczym innym, tylko wampem. A przecież się starzeje. Za kilka lat jej gierki na nikogo nie podziałają, więc kuje żelazo, póki gorące.

- A więc uważasz, że jest pociągająca? - napierała Eloise, nie odrywając ani na chwilę oczu od męża. Robert stał bez ruchu, jakby był milczącym autostopowiczem, którego zabraliśmy po drodze.

- Szczerze mówiąc, nie. Przeważnie mi się nie podoba. Jak powiedziała Stacy, jej gierki są zbyt wulgarne. Nie będę siedział wpatrując się w jej biust, w nadziei, że przy jakimś ruchu te kółka z cekinów się przesuną i wszystko zobaczę. Zakładając tę bluzkę, Sapphire właśnie na to liczy. Nie, ja wolę typ bibliotekarki w okularach, z włosami upiętymi w kok. W takiej kobiecie tli się ukryty płomień, który tylko ja mógłbym podsyć. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie.

Wiedziałam, że kłamie, i podziękowałam mu za to, bezgłośnie poruszając ustami. Szybko sam zrozumiał, czego Eloise potrzebuje, bo ja nic mu nie powiedziałam o jej obawach, że

nie sprawdza się w łóżku. Daniel domyślił się, że należy dodać jej otuchy. Dlaczego Robert nie starał się jej pomóc? Jak mógł tak samolubnie stać i gapić się przez okno? Pewnie jego przeżycia z Sapphire były takie bolesne, że widok tej kobiety chwilowo go sparaliżował. Jej okrzyk „Robbo!” był tak pogardliwy, lekceważący, że wywołał zbyt wiele przykrych wspomnień.

- Robert, napijesz się czegoś? - zapytał Daniel, żeby wyrwać go z ponurego zamyślenia.

- Tak, oczywiście. - Wreszcie się odwrócił, przeczesał palcami włosy i potarł nasadę nosa. - Napiję się z wami whisky.

Eloise uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Kocie, na litość boską, siedź prosto! - warknął.

Eloise zareagowała tak, jakby ktoś ją uderzył. W jej oczach natychmiast pokazały się łzy. Wyprostowała się sztywno.

- Przepraszam. - Robert podszedł do niej, położył jej ręce na karku i zaczął go rozmasowywać. - Jestem zmęczony. Nie chciałem na ciebie krzyczeć.

- Ale przecież masz rację. Zawsze miałam okropną postawę. Zapytaj Stacy. - Usiłowała powstrzymać łzy i wziąć się w garść.

Co za noc, pomyślałam. Dzięki Bogu, że jest tu Daniel. Sama nie dałabym sobie rady.

- Nie obrazicie się, jeśli wcześniej pójdziemy spać? - zapytał nas Robert, nadal masując kark żony. Powoli się rozluźniała. Pamiętałam to miłe uczucie ustępującego napięcia.

- Jasne, że się nie obrazimy. - Wstaliśmy z Danielem jednocześnie i ruszyliśmy do drzwi.

- Spotkajmy się jutro rano, wypijemy razem kawę - wymamrotała Eloise z zamkniętymi oczami. - Może u nas? O dziesiątej?

- Dobrze - zgodził się Daniel. - Do zobaczenia. Dobrze się wyśpijcie.

- Zrobimy to - cicho odrzekł Robert.

Kiedy rozbieraliśmy się z Danielem w naszym pokoju, obzuciłam Sapphire Shannon stekiem wyzwisk.

- Stacy - przerwał mi Daniel. - Nie możesz winić Sapphire. Przybyła, zobaczyła, zwyciężyła. Już taka jest. Eloise nie powinna uciekać, tylko zostać na miejscu. A Robert powinien stanąć w obronie żony, kiedy Sapphire przygadała mu na temat zadawania się z lesbijkami. Problem nie leży w osobie Sapphire. Istnieje między Robertem a Eloise. Pozwolili, żeby Sapphire stała się częścią ich związku. Nie możesz jej za to obciążać.

Nie byłam tego taka pewna.

- A dlaczego ty mnie nie broniłeś, kiedy nazwała nas lesbijkami?

Zsunął spodenki i rzucił je w róg pokoju. Wylądowały na telewizorze.

- Skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście nie jesteś lesbijką?

- Daniel! - Chciałam wymierzyć mu kuksańca w brzuch, ale złapał mnie za rękę i rzucił na łóżko.

- Przemoc fizyczna nic tu nie rozwiąże. Może udowodnisz mi swoją heteroseksualność w inny sposób? I to zaraz? - Chwycił ustami koniuszek mojego ucha.

- Ty wariacie. - Jęknęłam.

- Coś mi się zdaje, że tak mnie będziesz często przezywać. - Roześmiał się.

Zaczął mnie całować, a ja zamknęłam oczy. Dlaczego pod powiekami zobaczyłam obraz Sapphire Shannon w przezroczystej bluzce? Dlaczego mi się wydawało, że Daniel też o niej myśli?

Przyszedliśmy do apartamentu Chappellów tuż po dziesiątej. Na stole leżał wielki wybór bułek, rogalików i bagietek. Obok stały dzbanki z kawą i herbatą. Śniadanie doskonałe. Sińce pod oczami Eloise były jeszcze ciemniejsze niż poprzedniego dnia, ale poza tym wyglądała na odprężoną. Miała na sobie jasnozieloną spódnicę i bluzkę projektu Donny Karan. W tej kreacji było jej lepiej niż w kowbojskim stroju. Z przyjemnością zauważyłam, że Robert też ubrał się inaczej - w białe

spodnie z lnu i fioletową koszulę z krótkimi rękawami od Yvesa St Laurenta. Nalewając kawę Eloise jeszcze raz przeprosiła nas za nieudany wieczór i powiedziała, że załatwiła bilety na dzisiaj.

- Robert uważa, że powinniśmy się wybrać do Circus, Circus. To podobno wspaniałe miejsce. Ale ty nie musisz iść - zwróciła się do Daniela, podając mu kawę. - Może wolisz zagrać w pokera.

- Zastanowię się - odparł. - Rano nie jestem najsprawniejszy. Muszę się rozbudzić, zanim będę w stanie podjąć jakąś poważną decyzję.

- Stacy i ja to ranne ptaszki. - Robert odgryzł kęs rogalika i rozparł się na kanapie. - Dzisiaj o siódmej pływałem w basenie. Powinnaś była do mnie dołączyć, Stace. - Puścił do mnie oko, przeżuując rogalik.

Odezwał się dzwonek do drzwi.

- Kto to może być? - zdziwiła się Eloise. - Dopiero przed chwilą przynieśli jedzenie. Na pewno nie chcą jeszcze sprzątać.

- Ja otworzę - powiedziałam i odstawiłam filiżankę. - Zostańcie tu. Sprawdź, o co chodzi. - Otworzyłam drzwi i ujrzałam Sapphire Shannon.

Minęła mnie jak powietrze i wkroczyła do środka, a za nią dwóch zwalistych młodych mężczyzn, których widziałam w jej towarzystwie poprzedniego wieczora. Ochrona.

- Cholera - zakląłam. - Cholera.

Musiła mnie usłyszeć, bo zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do mnie.

- Ależ ty się wyrażasz! Jeszcze gorzej niż ja. - Poszła dalej, jednym spojrzeniem oceniła sytuację i ruchem ręki odesłała ochroniarzy pod okno. Sama podeszła do barku, podskoczyła i usiadła na jego blacie, obok butelki szampana. Rozłożyła szeroko nogi. Miała na sobie niebieską, zsuniętą z jednego ramienia bluzkę, tę samą co na okładce „Vanity Fair”. Poszłam za nią i stanęłam obok fotela Eloise.

Nasza czwórka zamarła w pełnym oczekiwania bezruchu, a tymczasem Sapphire chłodno oszacowała nas od stóp do głów,

tak samo jak wczoraj. Czekaając, aż się odezwie, zauważyłam, że ma nienaganną postawę.

- Więc to tak. Nic mi nie mówcie, sama zgadnę. - Głos miała niski, matowy. Potrząsnęła głową, ale krótko ostrzyżone jasne włosy nie wzburzyły się. - Ty jesteś nowa żona, tak? - Z uśmiechem wskazała na Eloise. Paznokcie miała pomalowane na metaliczny srebrny kolor. Eloise ani drgnęła. - Bez obrazy... - Sapphire wyciągnęła palec w moim kierunku. - Ale ona wygląda na bogatszą niż ty, dziecko. Łatwo wykombinować, że ten, kto płaci za cały ten majdan - zatoczyła krąg ramieniem - ma kupę forsy. To lepsza meta niż moja w Caesar's Pałace. Muszę się poskarżyć tym dupkom z kierownictwa. Przyjeżdżam tutaj tydzień wcześniej, żeby się przygotować do tego pieprzonego koncertu, a oni mi dają jakąś norę. Jak wam się to podoba?

- Czego chcesz, Amy? - Robert miał zmarszczone czoło, ale jego głos brzmiał spokojnie.

- Czego chcę, Robbo? Jak zwykle podejrzliwy. Wyluzuj się. Nie mam złych zamiarów. Przyszłam ci pogratulować nowego życia i młodej żony. Zmartwiłam się, kiedy usłyszałam, że...

- Dobrze - przerwał jej Robert. - Już nam pogratulowałaś. Teraz wyjdź.

- Hej, wolnego. Jeszcze mnie nie przedstawiłeś. - Oparła ręce na udach. - Mówię poważnie. Przecież możemy się zachowywać jak ludzie cywilizowani. Dlaczego nie mielibyśmy zostać teraz przyjaciółmi? Co było, minęło, czy jak się tam mówi. W każdym razie, nie wracajmy do pieprzonej przeszłości. Mamy nowe życie, nowe miłości. Możemy rozmawiać jak ludzie. - Robert zacisnął zęby i zamknął oczy. - Jak się miewa Bobby? Co słyszać u naszego syna? - Sapphire wzięła leżący obok niej korkociąg i zaczęła obracać go w rękach. - Mam już dość tego, że od lat kładziesz mu tyle gówna do głowy. Zabraniasz mu się ze mną widywać. Opuść trochę, Robbo. Kiedy twoja druga...

- To jest mój syn, Amy, nie twój. Porzuciłaś go, nie pamiętasz?

- Przeszłość, przeszłość, to wszystko pieprzona przeszłość. - Sapphire zeskoczyła z baru i rzuciła korkociąg na podłogę. - Już wystarczająco długo mnie karzesz, dupku. - Znów potrząsnęła głową. Wyglądała jak Amazonka. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że boję się tej kobiety. - To już przeszłość, do kurwy nędzy. Wymierzyłeś mi karę. Zrobiłeś Bobby'emu pranie mózgu. Nie odpisuje na moje listy, nie odpowiada na telefony. Robert, przecież ja jestem jego matką. Może dałbyś już spokój? Minęło dwadzieścia cholernych lat! - Zaciśnęła dłonie w pięści. Kątem oka spostrzegłam, że dwaj goryle zrobili krok do przodu i wymienili czujne spojrzenia. Sapphire zwróciła wściekły wzrok na Eloise. - Nawet jeśli jesteś lesbijką, to mimo wszystko kobietą. Rozumiesz, że ludzie popełniają błędy. Bobby to mój syn. Może przemówisz swojemu mężowi do rozumu. Wytłumacz mu. Ta, jak jej tam, próbowała...

- Zostaw Eloise w spokoju, Amy. Odczep się od Bobby'ego. Odczep się ode mnie. Dokonałaś wyboru i musisz z tym żyć. Bobby ma dwadzieścia lat. Sam podejmuje decyzje. Nie chce cię widzieć. - Robert wstał. - Nasza rozmowa dobiegła końca. Jeśli zaraz nie wyjdiesz, wezwę ochronę hotelu.

- Możesz wezwać nawet FBI, gównu mnie to obchodzi. Ale wyjdę. Ty masz świra na punkcie kontrolowania innych ludzi. Pieprzony sukinsyn. Nie potrafiłbyś zachować się po ludzku, nawet jeśli byś chciał.

Sapphire tupnęła nogą, niczym rozwścieczona harpia, i poszła do Eloise. Myślałam, że się na nią rzuci, albo wyciągnie zza dekoltu węża i ciśnie jej go na kolana. W popłochu rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu noża, przycisku do papierów czy jakiegokolwiek innego przedmiotu, za pomocą którego mogłabym obronić przyjaciółkę.

- Żal mi cię, mała. - Sapphire górowała nad Eloise. Spoglądała na nią z politowaniem. - Cholernie mi cię żal. Wyszłaś za męża za potwora. Ja też to zrobiłam. Ale mnie przynajmniej udało się uciec. Chłopaki, idziemy. Wynośmy się z tej nory.

Wydawało mi się, że przez pokój przeszedł huragan. Chwyciłam się oparcia fotela Eloise, żeby nie upaść. Trzęsły mi się nogi. Daniel patrzył w sufit. Eloise spuściła głowę - nie

widziałam jej twarzy, ale odgadłam, że płacze. Robert krążył po pokoju, aż wreszcie zatrzymał się przy barze.

- Czy ktoś ma ochotę na drinka? - zapytał. W jego głosie usłyszałam dziwne zadowolenie.

- Tak. - Eloise wolno uniosła głowę. - Poproszę gin z tonikiem. - Kiedy Robert przyrządził drinka i podał go jej, zapytała cichym głosem: - Nie sądzisz, że powinieneś jej pozwolić spotkać się z Bobbym? Może wtedy dałaby nam spokój? Nie chcę jej już nigdy widzieć.

- Problem polega na tym, że Bobby nie chce się z nią kontaktować. Nie bądź niemądra, kocie. - Robert uśmiechnął się promiennie. - Ona nie wróci. Nie będzie nas już niepokoiła. Nie myśl o niej.

- Skąd wiesz, że nie wróci? - Eloise westchnęła i pociągnęła duży łyk ginu. - Może kazać nas śledzić. O, Boże, życzę jej śmierci. Żałuję, że tu przyjechaliśmy.

- I mielibyśmy stracić weekend ze Stacy i Danielem? Kocie, skarbie, nie wpadaj w paranoję. Uporałem się z nią. Koniec całej historii. Wypij, to cię odpręży. Jesteś za bardzo spięta.

Ale przecież to Robert był spięty, i to bardzo, kiedy Sapphire wtargnęła do apartamentu. Mówił krótkimi zdaniami, twarz miał stężałą. Przecież tak naprawdę wcale nie uporał się z byłą żoną. To do niej należało ostatnie słowo. Dla czego teraz wydawał się taki zadowolony?

Tego wieczora nie poszliśmy do Circus, Circus. Eloise nie chciała nigdzie wychodzić. Podejrzywałam, że ze strachu, by gdzieś nie natknąć się znów na Sapphire. Mówi się, że pewne rzeczy są straszniejsze w wyobraźni niż w rzeczywistości, ale spotkanie z Sapphire okazało się równie destrukcyjne, jak rozmyślanie o niej. Na żywo była tak samo imponująca jak na okładkach czasopism, a nawet bardziej, bo otaczała ją aura siły. Nawet kiedy prosiła Eloise o pomoc w sprawie Bobby'ego, brzmiało to jak rozkaz, a nie prośba. Kiedy znajdowała się w pokoju, można było patrzeć tylko na nią, i ona o tym wiedziała. Jej siła nie wynikała jedynie z sex-appealu. Sapphire

była kobietą, która wie, czego chce, zdobywa to i zatrzymuje dla siebie. Odniosła sukces w męskim świecie, w dodatku większy niż inni konkurenci. Powinnam ją podziwiać, widzieć w niej wzór do naśladowania. Jednak budziła we mnie lęk, przez co jej nienawidziłam.

Eloise piła jednego drinka za drugim. Próbowалаm ją powstrzymać, ale nie chciała mnie słuchać. W końcu Robert odciągnął mnie na bok i wyszeptał:

- Pozwól jej się upić. Musi się odprężyć. Zrozum, że ta scena to było dla niej za wiele. Po południu położę ją do łóżka. Wieczorem dojdzie do siebie.

Skinęłam głową, chociaż nie byłam przekonana, czy to dobry pomysł, ale tak samo, jak tamtego dnia z Johnem, zadałam sobie pytanie, czy mam prawo ją powstrzymać. Daniel najwyraźniej wyłączył się z całej sprawy. Obserwował, jak Eloise się upija, widział moje wysiłki, żeby ją powstrzymać, i wreszcie moją rezygnację, ale nic nie powiedział. Palił papierosy, spoglądał w sufit, pogrążony w typowym dla siebie milczeniu. Tyle że tym razem milczał dłużej. Nerwy Eloise były w złym stanie, ale moje w jeszcze gorszym. Podobnie jak ona, żałowałam, że w ogóle przyjechałam do Vegas. Ten weekend zmieniał się w koszmar.

Do południa prowadziliśmy z Robertem wymuszoną pogawędkę, Eloise siedziała bez słowa, prawie nie odsuwając szklaneczki od ust. Milczący Daniel robił wrażenie, jakby się na nas złościł. Jedynie ja z Robertem staraliśmy się zachować pozory towarzyskiej rozmowy, Eloise wtopiła się w tło. Robert zaczekał, aż żona wypije wystarczająco dużo, żeby bez protestów dała się położyć do łóżka. Kiedy wreszcie nadszedł ten moment i głowa opadła jej bezwładnie, wziął ją na ręce. W jego objęciach była taka mała. Znów, jak pierwszego dnia w college'u, przypominała szmaccianą lalkę.

- Zadzwoń, kiedy Eloise to odeśpi - wyszeptał. - Jestem pewien, że niedługo odzyska formę. Pewnie tak koło szóstej.

- Dobrze - odpowiedziałam za nas oboje. - Gdybym mogła w czymś pomóc, daj mi znać.

- Musi się po prostu otrząsnąć. - Robert przytulił ją i pocałował we włosy. - Czasami brakuje jej sił. Nie wie, jak pozbyć się lęków. Dzisiaj pomógł jej w tym alkohol.

- Wczoraj też - wtrącił ostro Daniel.

- To był trudny weekend - tłumaczył Robert cierpliwie. - Kiedy się skończy, Eloise dojdzie do siebie. Wszyscy czasem potrzebujemy pomocy z zewnątrz.



Marzec 1990

To rozsądna prośba, Stacy. Ona jest jego matką. Dlaczego miałyby się z nim nie widywać?

- A dlaczego miałyby się widywać? Słyszałeś, co mówił Robert? Sapphire porzuciła Bobby'ego, opuściła go. Teraz chce znowu wejść w jego życie, jako dumna mamusia. Daj spokój!

Nasz pokój, który w porównaniu z apartamentem Chappellów przypominał celę więzienną, jeszcze bardziej się skurczył, kiedy zaczęłam się spierać z Danielem.

- Uspokój się. Machasz rękami jak oszalały wiatrak. Dlaczego nie potrafisz spojrzeć na Sapphire Shannon jak na istotę ludzką? Zrobiła to, co robią codziennie miliony mężczyzn - odeszła od rodziny, zostawiła dziecko. Takie rzeczy robi się z wielu powodów, dla innego człowieka, dla kariery i tak dalej. Czy to oznacza, że rozwiedziony ojciec do końca życia nie ma prawa zobaczyć własnych dzieci? Nie możesz spojrzeć na to pod takim kątem?

- Nie. Patrę na tę sprawę z punktu widzenia Roberta. To on został na lodzie, jego kariera legła w gruzach, musiał sam wychowywać syna. Sapphire to potwór.

- Sapphire to przebojowa kobieta.

- Przestań jej bronić. Zobacz, co zrobiła z Eloise, do czego ją doprowadziła.

- Stacy, Stacy, Eloise sama to sobie zrobiła. Z pomocą Roberta. To on ją zachęcił, żeby się upiła do nieprzytomności. Czy to coś pomoże? Robert pogarsza tylko sytuację żony, podsyca jej obsesję na punkcie Sapphire. Dlaczego? Bardzo bym chciał to wiedzieć. To bzdura, że Eloise jest taka słaba. On ją traktuje jak kalekę, siedzi beczynn timer i czeka, aż żona zupełnie się pogrąży. To on źle na nią wpływa, nie Sapphire. Ciekawe, kto to jest ta druga kobieta, ta „jak jej tam”, o której wspomniała Sapphire.

- A kogo to obchodzi? Nie miała prawa tak się wdzierać do ich apartamentu.

- Zdaje się, że twoim zdaniem Sapphire Shannon nie ma żadnych praw. Czy to nie jest trochę irracjonalne podejście?

- Stajesz po jej stronie, bo nie znosisz Roberta. Zazdrościsz mu, prawda?

- Już o tym rozmawialiśmy. Owszem, zazdroścę mu pieniędzy, przyznaję. Ale tobie chyba chodzi o coś innego. Pytasz mnie, czy nie jestem zazdrosny o niego, tak?

- Chryste! Dlaczego miałbyś być o niego zazdrosny? Przecież to mąż Eloise.

- A czy to znaczy, że nie możesz mu się podobać, albo że on nie może podobać się tobie?

- To właśnie chciałam powiedzieć. Tak jest. Z całą pewnością.

- Ostrożnie, Stacy. Nie protestuj zbyt energicznie.

- W takim razie nie wysuwaj takich absurdalnych przypuszczeń.

Staliśmy na środku pokoju. Daniel wyjął z kieszeni papieroś, trzepnął nim o dłoń, podszedł do łóżka i usiadł.

- Dobrze, spróbuję. Postaram się powiedzieć coś głębszego. - Uśmiechnął się. Ja nadal stałam nieruchomo. - Chcę, żebyś się do mnie przeprowadziła. Rzuć pracę, przyjeźdź do Nowego Jorku i zamieszkać ze mną. Zdaję sobie sprawę z tego, o co cię proszę. Wiem, że to nie fair. Ale ze związku na odległość nic nie wyjdzie, nawet jeśli Eloise co tydzień będzie nam fundowała bilety. Dwa razy już do ciebie przyjeżdżałem.

Wyznałem ci miłość i mówiłem poważnie. Nie mogę ci zagwarantować, że będziesz szczęśliwa, ale zrobię wszystko, żeby tak było.

Wszystkie słowa, o których marzyłam, właśnie padły. Unosiły się teraz w zadymionym powietrzu między nami. Wystarczyło tylko powiedzieć tak. Ale ja wciąż jeszcze nie otrząsnęłam się po naszej kłótni, nadal byłam najeżona i agresywna.

- Oczekujesz, że będę ci prała skarpetki i gotowała?

- Och, Stacy. - Westchnął ciężko. - To przypomina scenę z kiegoś filmu z lat siedemdziesiątych. Czasami ty będziesz prała, czasami ja. Raz ty coś ugotujesz, innym razem ja. Co ty na to?

- To się nigdy nie udaje. Przeczytaj własną książkę. A co z moją pracą, z mieszkaniem, z całym życiem?

- Co chcesz powiedzieć? Że jest takie wspaniałe?

- O, Boże. Nie mów o tym takim lekceważącym tonem.

- Wcale nie mówię lekceważąco. Zdaję sobie sprawę, o co cię proszę. Ale ja nie mogę i nie chcę przenosić się do jakiegoś kalifornijskiego college'u. Nie jestem Kalifornijczykiem, tylko mieszkańcem Nowego Jorku z krwi i kości. Śmieję się z dowcipów Woody'ego Allena na temat Kalifornii. Musisz się zastanowić, czy warto zrezygnować z dotychczasowego życia i przeprowadzić się do mnie. To twoja decyzja.

- Cóż, ty najwyraźniej uznałeś, że nie chciałbyś dla mnie zrezygnować ze swojego życia. Dlaczego ja miałabym postawić inaczej?

- Nie wiem. Po prostu cię zapytałem. To wszystko.

- Więc odpowiadam. Nie warto. - Złożyłam ręce na pierśsiach.

- To zabrzmiało bardzo zdecydowanie. - Daniel wstał, wziął z fotela czapkę baseballową i ruszył do drzwi. Kiedy mnie mijał, ścisnął moje ramię. - Idę pograć w pokera. Odpowiem jeszcze na twoje wcześniejsze pytanie. Nie, nie jestem zazdrosny o Roberta, jeśli już, to o demona, który w tobie siedzi i zmusza cię do takich niemądrych decyzji jak ta przed chwilą.

Doskonale mi się udało zranić siebie. Weszłam na minę własnej dumy i sama wysadziłam się w powietrze. Jasne, mogłam

za nim pobiec, rzucić się w korytarzu na kolana, ale nie byłam w stanie się poruszyć. Stałam na środku pokoju jak sparaliżowana. Gdyby tylko Buddy tak mnie nie zranił, gdybyśmy nie pokłócili się z Danielem o Sapphire, gdyby nie napisał tej cholerniej książki, nasza rozmowa przebiegłaby inaczej.

Związki uczuciowe, pragnienia mężczyzn i kobiet, różnice między nimi, pytanie, czy w ogóle istnieją jakieś podstawowe różnice, wszystko to było niczym labirynt. A ja nie miałam mapy i już mnie zmęczyło ciągłe wpadanie na ściany. Gdyby Gloria Steinem i Germaine Greer dwadzieścia lat temu siedziały cicho, być może mieszkałabym teraz na przedmieściach, z piątką dzieci i psem, i z radością poświęciłabym własną indywidualność dla większego dobra rodziny. Tak się jednak nie stało.

Powlokłam się do łóżka, położyłam się i zaczęłam płakać. Kochałam Daniela czy po prostu uznałam go za moją ostatnią szansę, ponieważ już dawno skończyłam trzydziestkę? Kochałam Buddy'ego czy, jak twierdził, kochałam swoje o nim wyobrażenie, jakiś romantyczny ideał? Do jakiego stopnia wszystko mi się pomieszało? Nie chciałam sobie odpowiadać na te pytania. Szkoda, że nie uległam jakiemuś wypadkowi, nie za bardzo groźnemu, ale wymagającemu pobytu w szpitalu. Daniel by mnie odwiedzał. We łzach padlibyśmy sobie w ramiona. Opiekowałyby się mną życzliwe pielęgniarki, odpowiedzialność za siebie samą mogłabym przerzucić na kogoś innego. Inni zajęliby się moim losem, mówiliby mi, co robić. Dlaczego to ja miałam decydować, czy przeprowadzić się do Daniela? Dlaczego nie mógł porwać mnie w ramiona i unieść ze sobą, jak to zrobił Robert z Eloise w dniu ślubu albo dzisiaj. Gdyby tylko Daniel bardziej nalegał. Niestety, było inaczej.

Może odnaleźć Daniela w kasynie, przerwać mu grę, oznajmić przed tymi wszystkimi postaciami z podziemnego świata, że to jest mężczyzna dla mnie stworzony? To by było bardzo romantyczne i widowiskowe. Na taki gest łatwo zdobyłaby się Sapphire Shannon, bo to taka „przebojowa kobieta”. Czy ja też musiałabym całe życie być przebojową kobietą, żeby zadowolić Daniela? A gdybym zwolniła tempo, okazała

słabość, czy znudziłby się mną?

Wstałam z łóżka, poszłam do łazienki i umyłam twarz. Czas wziąć się w garść, tylko jak to się robi? Potrzebowałam kofeiny; filiżanki mocnej gorącej kawy i papierosa. Kiedy Buddy mnie zostawił, stale nadużywałam kofeiny i nikotyny. Papierosy, cola, kawa i czekolada pomogły mi przetrwać pierwsze miesiące po rozwodzie. Już miałam zadzwonić do obsługi hotelu, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Daniel. Jeszcze raz przemyślałam zaczerwienione oczy i pobiegłam rzucić mu się w ramiona. Kiedy otworzyłam drzwi, wylądowałam w ramionach Roberta.

- Hej, Stacy! - Otoczył mnie jedną ręką. W drugiej trzymał gitarę. - Co się stało? Skąd te łzy? - Poprowadził mnie do pokoju i odsunął mi z czoła opadające bezładnie kosmyki włosów. - Ktoś cię dręczył?

- Nie. Sama się dręczyłam, - Szybko otrząsnęłam się z rozczarowania. W tej chwili z radością witałam towarzystwo każdej ludzkiej istoty.

- Ach, to najgorszy rodzaj udręki. Wiem coś o tym. - Rozejrzał się po pokoju. - Ależ tu nadymione. Gdzie jest Daniel?

- Zdaje się, że gra w pokera. Jak się czuje Eloise?

- Wciąż w krainie zapomnienia. Potrzebuje jeszcze kilku godzin snu, zanim będzie mogła dołączyć do grona ludzi przytomnych. - Robert zrzucił buty i usiadł w fotelu stojącym w rogu pokoju. - Pozwolisz, że zagram kilka piosenek? Bałem się, że obudzę kota, więc przyszedłem zobaczyć, co robicie i czy nie przydałoby się wam trochę rozrywki.

- Bardzo się cieszę. Może właśnie muzyka pomoże mi się uspokoić.

- Znowu nerwy, Stace? - Spojrzał na mnie ostro i uderzył w struny. - Słuchaj, jeśli chcesz się odprężyć, to ja ci pomogę.

- Tym razem masaż karku nic tu nie zdziała.

- Nie, nie to miałem na myśli. Pamiętasz, powiedziałem, że każdy czasem potrzebuje pomocy z zewnątrz? Wszyscy mamy za sobą dziwny weekend. Może zapalisz ze mną jednego? - Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa skręty. - Eloise mi mówiła,

że na studiach nigdy niczego takiego nie próbowaliście, ale jeden skręt z trawki ci nie zaszkodzi. Powinnaś tego doświadczyć. Przecież to część kultury naszego pokolenia.

- Sama nie wiem... - Albo przyłaczę się do Roberta, albo grzecznie wyproszę go za drzwi, zejdę na dół, odnajdę Daniela i powiem mu, że zmieniłam zdanie. Ale czy je zmieniłam? Jeśli mu powiem, że się do niego przeprowadzę, to być może w następnej chwili opadną mnie wątpliwości i dostanę histetrii?

Nie byłam w formie do podejmowania życiowych decyzji. - Dobrze. Dlaczego nie?

Robert przypalił mojego skręta, a potem swojego. Usiadł wygodnie w fotelu i głęboko się zaciągnął. Widziałam to w wielu filmach, więc wiedziałam, co robić, żeby jak najlepiej wykorzystać działanie marihuany. Poza tym zaciąganie się dymem było i tak moją drugą naturą. Ułożyłam poduszki, oparłam się o nie, wyciągnęłam nogi i czekałam, aż Robert zacznie śpiewać.

Pierwsza piosenka miała rytm calypso i długą przygrywkę. W końcu usłyszałam głos Roberta.

- „Kiedyś przybiłem do słynnego portu Caypot i tam jedną prostą prawdę pojąłem w lot. Musisz coś przeżyć, by naprawdę żyć” - Co to za słynny port Caypot? Nazwa wymyślona dla rymu? Zaczęłam się śmiać, ale zaraz umilkłam, bo rozpoznałam słowa. To była piosenka Roberta, jeden z tytułów na okładce jego płyty. Sam ją napisał. Śpiewał ją uśmiechnięty, naśladując jamajski akcent: - „Zrzuć kapelusz, niech wiatr rozwiewa ci włosy. Wokół są kobiety, palmy i kokosy. Niech słońce rozweseli twój twarz, bo przecież tak niewiele do stracenia masz. Nie można wciąż się martwić i z myślami bić. Musisz coś przeżyć, by naprawdę żyć”. - Potem zaśpiewał **Żółtego ptaka**. Była to muzyka niczym na pokładzie samolotu lecącego na Jamajkę, Harry Belafonte w wersji dla białych, ale świetnie na mnie działała. Tak samo jak wtedy, gdy śpiewał piosenkę Shirley Temple, zwolnił tempo, i **Żółty ptak** zabrzmiał jak tęskna ballada. Te dwie piosenki doskonale się uzupełniały. Byłam zauroczona. I rozumiałam, dlaczego jego

płyta nie odniosła sukcesu. Musisz coś przeżyć nie nadawało się do dyskoteki. Zaciągnęłam się skrętem i czułam, jak moje ciało się rozluźnia, a ramiona prostują. Wolałam słuchać Roberta niż Kenny Rogersa. Miał subtelniejszy głos i dużo lepiej interpretował słowa utworów. Zaśpiewał *Pożegnanie z Jamajką*, a potem *Kobieta nie płacze*. Przeniosłam się duchem na Karaiby. Siedziałam zasłuchana, paliłam trawkę i wyobrażałam sobie palmy i upalną plażę.

- Wystarczy tego. - Robert zaciągnął się skrętem. - Czego chciałaś posłuchać? Masz jakieś życzenia?

- Robercie, to było takie piękne. Śpiewaj, co tylko chcesz. Byle wolno.

- „Bo to tylko papierowy księżyc zawieszony nad drzewem z dykty, ale jeśli mi uwierzysz, zaraz stanie się prawdziwy”. - Następny stary przebój. Po raz pierwszy uważnie słuchałam słów i robiły na mnie wielkie wrażenie. W tej jednej piosence zawierały się wszystkie cudowne stare filmy. Robert śpiewał dalej, utwory Cole Portera i Irvinga Berlina. Zakończył koncert *Wspaniałym romanssem*. Miałam wrażenie, że jestem w jakiejś nierzeczywistej krainie spokoju. Prawie zupełnie zapomniałam o Danielu.

- Stacy, nie jesteś głodna? - Robert ostrożnie odłożył gitarę na podłogę.

- Skoro już o tym wspomniałeś, to chyba tak. Jak wilk.

- Świetnie. Zamówmy coś. Co powiesz na lody czekoladowe i talerz frytek?

Roześmiałam się.

- Brzmi okropnie. Ale i kusząco. Jeszcze keczup. Do frytek konieczny jest keczup. - Wypaliłam już trzy czwarte skręta.

- Będzie i keczup. - Robert wstał, podszedł do telefonu przy łóżku i zamówił jedzenie.

- Słuchaj, gdzie jest ten port Caypot? - Roześmiałam się. - Słynny port Caypot. Nigdy o nim nie słyszałam.

- Uważasz, że jeśli nigdy o nim nie słyszałaś, to znaczy, że nie istnieje?

- Przecież jeśli jest słynny- to jego nazwa musi być znana. To chyba logiczne, prawda?

- Niekoniecznie.

- Nie? Może i nie. Muszę o tym pomyśleć. To ty napisałeś tę piosenkę. Wiem o tym. W Nowym Jorku widziałam okładkę twojej płyty. A gdzie jest płyta?

Położył się w nogach łóżka.

- Ale z ciebie ciekawsza kobieta - powiedział ze śmiechem. - Panna White na tropie złooczyńcy. Jesteśmy tu po to, żebyś się rozluźniła, a nie po to, by grzebać w mojej przeszłości. Zamknij oczy. - Posłuchałam i oparłam głowę o poduszki. Czułam, że zdejmuje mi buty i zaczyna masować stopy. To było cudowne, więc nawet przez myśl mi nie przeszło, że jest w tym coś niestosownego. - Powiedz mi, czym się zadreczę, zanim przyszedłem.

- Koniecznością podjęcia decyzji. Muszę dokonać pewnego wyboru.

- Pewnie między życiem w Nowym Jorku z Danielem i samotnym życiem w San Francisco?

Sennie skinęłam głową. Wydawało mi się, że rozmowa z Danielem odbyła się wieki temu.

- Ech, wy, kobiety. - Domyśliłam się, że potrząsa głową. - Wszystkie jesteście takie spięte. A to dlatego, że kieruje wami chciwość. Przypominacie gromadę nadpobudliwych dzieci, które biegają po domu w poszukiwaniu wielkanocnych jajeczek z czekolady.

- Hej, tam mam czułe miejsce! - zawołałam, cofnęłam stopę i otworzyłam oczy. Starłam się skupić wzrok na Robertcie. - Co mówiłeś o wielkanocnych jajeczkach?

- Nieważne. - Znów wziął moją stopę i delikatnie masował jeden palec po drugim, aż zapadłam w nieświadomość. Ocknęłam się na dźwięk dzwonka - tak się zrelaksowałam, że aż usnęłam. Robert otworzył drzwi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to nie Daniel. Oczywiście nie był to on. Miał własne klucze. Już wcześniej, kiedy zapukał do mnie Robert, powinnam sobie o tym przypomnieć. Fakt, że Daniel ma własne klucze do pokoju, nagle wydał mi się wyjątkowo ważny i

skoncentrowałam na nim wszystkie myśli. Tymczasem Robert pomógł kelnerowi ustawić lody i frytki na stoliku przy łóżku. Wyjął z kieszeni plik banknotów. Zobaczyłam, że kelner odchodzi z zadowoloną miną. Robert nie oszczędzał na napiwkach. Miły gest. Ale przecież go na to stać.

- Może zadzwonimy po Eloise, żeby do nas dołączyła? - zapytałam, chociaż miałam nadzieję, że odmówi. Dlaczego chciałam, żeby nasze sam na sam trwało jak najdłużej? Zdałam sobie sprawę, że to dlatego, że nie muszę o nic się martwić. Wszelkie zmartwienie odkładałam na później. Robert i ja znaleźliśmy się w innym świecie, robiliśmy sobie krótki urlop od rzeczywistości. Nie wspominaliśmy o Sapphire, nie rozmawialiśmy o sprawach zasadniczych. Zapewniałam się w duchu, że nie ma w tym nic złego. Usiadłam i wzięłam garść frytek.

- Pozwólmy jej się wyspać. Co ty na to, Stacy? Skinęłam głową i włożyłam sobie frytki do ust.

- A ty się wyspałaś?

- Mmmm. - Nie mogłam mówić.

Szybko pochłonęliśmy wszystkie frytki, maczając je na zmianę w keczupie. Miałam właśnie zabrać się do lodów, kiedy Robert wrócił na fotel, podniósł gitarę, z rozmachem uderzył w struny i zaczął śpiewać piosenkę Kenny Rogersa.

- „To nie ja rozpocząłem tę szaloną wojnę. Ruby, nie zabieraj swojej miłości do miasta”. - Wspaniale naśladował głos Kenny'ego, lekko go parodiując, aż zaczęłam pokładać się ze śmiechu. Śmiałam się tak żywiołowo, że ledwie łapałam oddech. - „Ruuuuubiiii!” - Tak długo przeciągał, że z oczu zaczęły mi lecieć łzy. - „Na miłość boską, zawróć z drogi!” - Zakończył wysokim zawrożeniem, a nie tak jak Kenny niskim pomrukiem, i skłonił się zadowolony.

Chciałam zaklaskać, ale nie potrafiłam skoordynować ruchów rąk.

- Nie mogę się ruszać - wydusiłam z wysiłkiem. - Błagam, już mnie więcej nie rozśmieszaj. - Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Śmiech zupełnie mnie obezwładnił. Robert podszedł

do mnie, nachylił się i zlizął łzy z mojej twarzy. Potem pocałował mnie w usta, tak samo jak w dniu ślubu, mocno i bez rozchylania warg. - Robert... - Zanim zdążyłam dokończyć, wsunął mi do ust łyżeczkę lodów.

- Ciii. - Położył mi palec na ustach. - Nic nie mów. - Nakarmił mnie trzema łyżeczkami lodów, potem ruszył do drzwi. Pomyślałam, że wychodzi. To najdziwniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Zatrzymał się przy drzwiach i zgasił światło. - W ciemności jest przyjemniej, prawda? - Zaciągnął zasłony w oknach.

Nie poruszyłam się, nie powiedziałam ani słowa, niepewna, co się za chwilę stanie. Zastanawiałam się, czy się boję. W ustach czułam zimny czekoladowy posmak. Myśl spokojnie, nakazałam sobie w duchu. Przecież cię nie zgwałci. To jest mąż Eloise. W mroku widziałam zarys jego sylwetki. Podniósł z podłogi gitarę. Nie mam pojęcia, co zagrał. Nie było słów, tylko dźwięki, akordy i nuty unoszące się w powietrzu. Namacałam papierosy na nocnym stoliku i zapaliłam jednego. Blask rozjarzonego ognika uspokoił mnie. Muzyka się urwała. Robert ukląkł obok łóżka i wziął mnie za rękę.

- Chodź tutaj - odezwał się. - Ani słowa.

Tym razem pocałował mnie delikatnie i niepewnie, jakby to był pierwszy w życiu pocałunek. Różnica między rozkazującym tonem, kiedy mówił „Ani słowa”, a tym czułym, chłopięcym pocałunkiem, całkiem mnie oszołomiła. Czułam się tak, jakby mnie wciągał jakiś podwodny prąd, jakbym opuszczała własne ciało i dała się porwać niewyobrażalnie szybkiemu strumieniowi. W rękę trzymałam papierosa, czułam go, widziałam rozjarzony ognik. Tak jak moje ciało, pomyślałam. Moje ciało płonie. Robert przerwał pocałunek i trzymając mnie za biodra pochylił głowę nad moją bluzką.

- Ciii - wyszeptał. - Patrz na mnie. - Rozpiął guziki zębami. Zaskoczona i zdziwiona obserwowałam go z fascynacją. Każdy z guzików ustępował bez żadnego oporu, jakby Robert odpinał go ręką.

- Nie rób tego.

- Czego mam nie robić? - zamruczał, rozsuwając poły bluzki zębami, odsłaniając moje nagie ciało. - Tego mam nie robić? - Przesunął językiem po czubku mojej piersi. - A może tego? - Język okrążył czubek drugiej piersi. - Hmm? Czego mam nie robić? - Moje ciało podjęło za mnie decyzję, odpowiadało na jego pytania zamiast mnie. Zaciągnęłam się papierosem i wydmuchnęłam dym pod sufit. Robert błędził językiem po moim brzuchu. Zębami odpiął guzik przy dżinsach. Znalazłam w ciemnościach popielniczkę i zgasiłam niedopałek. Potem zanurzyłam palce we włosach Roberta.

- Tego mam nie robić? - Zdjął ze mnie dżinsy i wsunął język do mojego wnętrza, delikatnie je badając. Potem uniósł głowę i jeszcze raz powtórzył pytanie, które stało się już litanią. - Odpowiedz mi, Stacy. Czego mam nie robić? - Potrząsnęłam głową. - Mów do mnie. Powiedz mi. Mam to zrobić, czy nie?

Podniosłam biodra i napałam na niego. To musiało się zdarzyć. Nie mógł przestać. Nie chciałam, żeby przerywał. Rozpinając pasek i zdejmując spodnie, gryzł delikatnie moje ciało, drażniąc moje najwrażliwsze miejsca. Potem wstał, rzucił koszulę i nagi ukląkł między moimi nogami, ukazując wielkiego penisa. Tak dużego jeszcze nie widziałam. Pomyślałam, że może mnie nim zabić, ale ogarnęło mnie tak wielkie pożądanie, że zapomniałam o strachu.

- A co teraz? - zapytał niskim, groźnym głosem. - Jak myślisz, co powinienem teraz zrobić?

- Po prostu to zrób. Na litość boską, zrób to. - Nie wiem, czy mnie usłyszał, bo mówiłam ciszej niż szeptem. To, co zrobił, było prymitywnym, zwierzęcym aktem kopulacji. Nie było w nim namiętności, spełnienia, tylko zapamiętałe, mechaniczne ruchy. Mocne, głębokie, bezlitosne pchnięcia. Gdyby nie to, że wyraziłam na wszystko zgodę, wyglądałoby to na gwałt. Nie brałam w tym akcie udziału. Nie było mnie tam. Równie dobrze mogłam być martwym ciałem. Robert rozdzierał mnie, ranił i ani na chwilę nie przestawał. Głowa odskakiwała mi w tył i na boki. Trwało to całe wieki. Kiedy spjrzałam na jego twarz, zobaczyłam okrutne, ponuro zaciśnięte usta i czarne, lodowate oczy. Szukający zemsty diabeł.

A czym byłam ja? Dziwką, która pieprzyła się z mężem najlepszej przyjaciółki. Zastugiwałam na cierpienie, a nawet śmierć.

Wycofał się nagle, chociaż nic nie świadczyło o tym, że skończył. Nie skończył, przynajmniej z fizjologicznego punktu widzenia. Nie miał wytrysku, tego byłam pewna. Czy zamierzał zrobić coś innego? Coś jeszcze gorszego? Poczułam głęboką ulgę, kiedy zobaczyłam, że sięga po koszulę. Już po wszystkim.

Jak długo tu byliśmy? Co zrobi teraz Robert? Jak mogłam do tego dopuścić? Te pytania kłębiły się w mojej głowie, a wszystkie wydawały się równie ważne. Rozejrzałam się za zegarkiem, ale zaraz sobie przypomniałam, że mam go na ręku. Jednak zbyt uważnie śledziłam ruchy Roberta, żeby spuścić wzrok i stracić go z oczu.

Sposób, w jaki wkładał ubranie, przypomniał mi o kimś innym. Bobby. Jaki ojciec, taki syn. Zamknęłam oczy. Może kiedy je otworzę, zobaczę Bobby'ego. Być może to wszystko pomyłka, koszmarny sen, pętla czasu. Rozbłysło światło i otworzyłam oczy. Robert. Siedział w fotelu, jakby nic się nie stało, i spoglądał na mnie. Zdałam sobie sprawę, że jestem naga, wyskoczyłam z łóżka, znalazłam swoje rzeczy, szybko się ubrałam, jakby na korytarzu włączył się sygnał alarmu przeciwpożarowego.

- Uspokój się, Stace.

- Proszę cię, wyjdź. - Miałam ochotę się rozplakać, ale czułam, że zabrakło mi już łez.

- Wyjdę. Ale nie obwiniaj siebie. Ani mnie. Takie rzeczy się zdarzają. Nie powiem Eloise, jeśli to cię tak denerwuje.

- Robert! - Potrząsnęłam głową. Bolała mnie szyja. - Bez względu na to, czy powiesz Eloise czy nie, chyba zdajesz sobie sprawę, co przed chwilą zrobiłam? Co oboje zrobiliśmy? Niedobrze mi. - Pragnęłam ukryć się w szafie, chciałam, żeby wyszedł. Jednocześnie bałam się, że wyjdzie i zostanie sama z własnym sumieniem.

- Za bardzo bierzesz sobie wszystko do serca - odparł ze śmiechem.

Patrząc na szeroką, roześmianą twarz, zobaczyłam pozbawione uczuć, przerażające rysy mężczyzny, który kilka minut temu na mnie leżał. Przerażający, okrutny nieznanomy o masywnych ramionach. Kim był ten człowiek? Czy zawsze tak się zachowuje w łóżku? Biedna Eloise. Chryste. Eloise. Czy będę potrafiła jeszcze na nią spojrzeć? Daniel. Cholera. Daniel.

- No, cóż... - Robert wstał, przeciągnął się i niedbale ziewnął. - Pójdę teraz na górę. Czas obudzić Eloise. - Sięgnął po gitarę. - Bardzo miły przerywnik, Stace. - Podeszedł do mnie i wziął mnie pod brodę. - No to pa.

- Robert... - Nie chciałam go dotykać, ale położyłam mu rękę na ramieniu, żeby jeszcze nie wychodził. - To się nigdy nie może powtórzyć. Rozumiesz?

Przechylił głowę, wykrzywił usta i spojrział na mnie z pełnym rozbawienia namysłem.

- Słuchaj, Stacy, wszyscy wokół mają romanse. Każdemu się zdarza przespać z kimś na boku. Szkoda, że nie widziałas mojej matki. Co wieczór umawiała się z jakimś mężczyzną. Przed wyjściem się stroiła i nawet pytała mojego ojca, jak wygląda. Stawała przed jego wózkiem inwalidzkim, zasłaniała telewizor i robiła mały piruet. To, co zrobiliśmy, nikogo nie zrani, prawda? Ty nie powiesz Danielowi, ja nie powiem Eloise. Nic wielkiego. Ten drobny epizod nigdy się nie wydarzył.

- Tylko że to nieprawda - powiedziałam bardziej do siebie niż do niego. I tak już wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostałam sama wśród czterech ścian, z roztopionymi lodami na talerzyku, niedopałkami skrętów, wypalonymi niemal do końca, i z wymiętymi prześcieradłami. Zostałam sama ze sobą.

To, co zrobiłam, do czego dopuściłam, było niewybaczalne. Zdrada najgorszego rodzaju. Nie było żadnych okoliczności łagodzących, żadnego wytłumaczenia. Och, jasne, mogłam powiedzieć, że po raz pierwszy w życiu paliłam trawkę i poszłam do łóżka w stanie wskazującym na zamroczenie narkotyczne. Przecież zachowałam wystarczającą świadomość, żeby zrozumieć, co się dzieje, nie podsunęto mi żadnych zwalających z nóg prochów. Brałam we wszystkim udział, przynajmniej z początku. Pod koniec po prostu leżałam jak

wiktoriańska dziewczica, ale najpierw się angażowałam. Każda ława przysięgłych uznałaby mnie za winną. Dwunastu gniewnych ludzi w mojej głowie głośno domagało się dla mnie kary.

Eloise. Zdradziłam właśnie ją. Przyjaciółkę, która tak mi ufała, że przyznała się przede mną do swoich obaw wobec seksu. Pieprzony świat. Doskonałe określenie. Pieprzony świat.

Krażyłam po pokoju. Trochę posprzątałam. Wzięłam kąpiel. Przebrałam się. Cały czas słyszałam głos Roberta. „Czego mam nie robić, Stacy? Tego mam nie robić?” Wciąż czułam jego włosy pod moimi palcami, czułam go w sobie, jego gwałtowne ruchy. Bolało mnie podbrzusze. Nigdy nie będę w stanie wymazać tego popołudnia, nigdy nie spojrzę na siebie tak samo jak dawniej. W krótkim czasie przespałam się z Bobbym, Danielem i Robertem. Powinno mi się naszyć na ubranie szkarłatną literę hańby albo zmusić do włożenia koszulki Sapphire Shannon z napisem „dziwka”.

Zadzwoił telefon. Nie odbierałam. Siedziałam na krawędzi wanny i paliłam papierosa. Co się teraz wydarzy? Daniel wróci z pokera. Wejdzie tu w swojej czapce baseballowej. Wyczuje w powietrzu zapach palonej marihuany. Będzie mnie wypytywał. Co robiłam przez całe popołudnie? Och, napaliłam się trawki i przespałam z Robertem. Nie. Musiałabym skłamać. Okłamać jego, okłamać Eloise. Być dobrą aktorką. Z uśmiechem na twarzy oglądać występ Kenny Rogersa. Wstałam, spojrzałam na siebie w lustrze, sztucznie się uśmiechnęłam. Patrzyła na mnie twarz, na której malowało się wyraźne poczucie winy.

Podbiegłam do szafy, wyciągnęłam walizkę i przetrząsnęłam pokój w poszukiwaniu swoich rzeczy. Musiałam stąd uciec. Natychmiast. Nie umiałam kłamać, nie potrafiłam bawić się w maskaradę. Chciałam wrócić do domu, do przyjaznych, wygiętych półek z książkami, nieużywanego pianina, do mojego sanktuarium. Otworzyłam okna, w nadziei, że wywietrzę pokój. Przynajmniej nie zostały zdradzieckie ślady po seksie. Żadnych plam na prześcieradłach. Powinno podziękować za to Robertowi. Znowu zadzwonił telefon i zmusił

mnie do szybszego myślenia. Nie zostało mi wiele czasu. Ludzie, z którymi wcale nie chciałam się widzieć, zaczną mnie zaraz szukać.

Drogi Danielu,

Muszę wracać do domu. Przepraszam za wszystko, ale to niemożliwe. Proszę, wytłumacz mnie przed Eloise. Powiedz jej, że źle się poczułam i że bardzo mi przykro. Nie próbuj do mnie dzwonić. To na nic. Nie jestem odpowiednią kobietą dla ciebie. Zbyt wiele demonów.

Ucałowania,
Stacy

Powrotny samolot do San Francisco był w połowie pusty. Nieliczni pasażerowie mieli rozczarowane miny. Pewnie skrócili sobie weekendową wycieczkę z powodu wysokich przegranych. Patrzyłam na okładkę książki leżącej na moich kolanach. Strach i pogarda w Las Vegas. Hunter Thomas niewiele o tym wiedział.



Marzec 1990

Według książki, którą kiedyś pobieżnie czytałam, w ludzkim umyśle jest ograniczona ilość miejsca na odczucia. Dlatego poszczególne odczucia prowadzą ze sobą wojnę, walczą ze sobą o przestrzeń. Można powiedzieć, że starają się jak najwygodniej usadowić w naszej głowie. Kiedy weszłam do swojego mieszkania, w mojej głowie królowało jedno. Wyrzuciło z niej wszelkie inne i kompletnie nią zawładnęło. Siedziało sobie teraz z nogami na stole i paliło cygaro. Było to obrzydzenie do samej siebie.

Próbowałam zignorować migające światełko na mojej automatycznej sekretarce. Nagrały się dwie wiadomości i mogłam się domyślić, od kogo pochodziły. Daniel i Eloise. Rzuciłam torbę na podłogę sypialni, zrobiłam sobie mocny gin z tonikiem i zaczęłam krążyć wokół telefonu. Mogłam zdecydować, że nie wysłucham tych wiadomości. To była jedna możliwość. Jak by fachowcy nazwali takie zachowanie? Strategia uników? Jeśli te wiadomości były rzeczywiście ważne, na przykład gdyby jedno z moich rodziców zmarło, to z pewnością ktoś jeszcze raz do mnie zadzwoni. Ale to znaczyło, że będę musiała odebrać telefon. Natomiast jeśli teraz wysłucham nagrania... Światło wysyłało mi sygnały, jak nieotworzone rachunki leżące na biurku. Lepiej szybko mieć to za sobą.

Sygnal.

Na dźwięk głosu Daniela drgnęłam, Usiadłam na kanapie i wypilałam duży łyk ginu.

- Stacy, ty wariatko. Co ci przyszło do głowy, żeby zostawić mnie tu samego? Mogłaś przynajmniej zostać na koncert Kenny Rogersa. Nie wydaje ci się, że twój list jest trochę melodramatyczny? Powinienem się zastanowić nad tą piątką, którą ode mnie dostałaś. Dzisiaj wygrałem trochę pieniędzy i miałem zamiar kupić coś w bardzo złym guście. Przegrałaś. Ale ja też. Kto ma szczęście w kartach, nie ma szczęścia w miłości.

Odwiesił słuchawkę. Słysząc było, że jest rozbawiony. Co w tym wszystkim zabawnego? Czy tak trudno brać mnie poważnie? Napisałam mu list pożegnalny, odeszłam od niego, a jego to wszystko bawiło.

Sygnal.

- Cześć, Stace. Przykro mi, że jesteś chora. Szkoda, że nam rano nie powiedziałaś, że źle się czujesz. Wezwalibyśmy miejscowego lekarza. I szkoda, że przed wyjazdem nie zaczęłaś, aż się obudzę. Teraz musimy już wychodzić na koncert Kenny Rogersa. Życzę ci zdrowia, jutro zadzwonię i...

Wtrącił się Robert:

- I wypoczywaj, pij dużo płynów i bierz aspirynę. Tradycyjne sposoby zawsze działają, prawda? Bądź grzeczną dziewczynką i dbaj o siebie. Bardzo nas martwi, że chorujesz. Do widzenia.

Objęłam głowę rękami i z całej siły pocierałam czoło. Słyszając jego słowa, poczułam się tak, jakby moje ciało pokrywały kurzajki. Ta bezczelność, z jaką do mnie przemawiał, wydała mi się obrzydliwa. Była to mieszanina kłamstwa, pogardy i pewności siebie. Ale przecież mógł sobie pozwolić na pewność siebie. Wiedział, że nie mam zamiaru powiedzieć Eloise o tym ponurym incydencie. „Bądź grzeczną dziewczynką”. Na pewno nią nie byłam. Zapaliłam papierosa i usiadłam wygodniej. Pragnęłam zabić Roberta, patrzeć, jak się skręca, kiedy ja wbijam w niego nóż, albo jeszcze lepiej, duśić go powoli, jedną ze strun z jego gitary. Widzieć, jak oczy wychodzą mu na wierzch i słyszeć błaganie o litość. Jeśli jego

matka zachowywała się jak dziwka względem jego ojca, traktowała go nieludzko, kazała mu patrzeć, jak się przygotowuje do spotkania z innym mężczyzną, jak on sam mógł tak lekko traktować swoje postępowanie wobec żony? Nie czuł się winny w najmniejszym stopniu. Mówił niefrasobliwie i, tak, z rozbawieniem. Dlaczego burzliwe wydarzenia dzisiejszego dnia tak rozbawiły obu tych mężczyzn? Eloise i ja byłyśmy niby pionki przesuwane z jednego pola szachownicy na drugie, podczas gdy mężczyźni mijali nas - jak gońcy, skoczki i wieże. Dlaczego nie byłyśmy królowymi na tej szachownicy? Dlaczego Eloise i ja, dwie podobno inteligentne, niebrydki kobiety, nie przejmowałyśmy prowadzenia w tej grze?

Jasne. Jak mogłyśmy przejąć prowadzenie, kiedy zajmowałyśmy się walką między sobą. Kobięca solidarność? Akurat. Niedawno przespałam się z mężem mojej najlepszej przyjaciółki, a ta z kolei bała się jego pierwszej żony. Sapphire, Eloise i ja byłyśmy wspaniałą reklamą siostrzanej siły.

Zadzwoił telefon. Wspaniale. Kto teraz? Urząd podatkowy? Jeszcze raz Robert z przypomnieniem, żebym się ciepło okryła? Daniel chce mi opowiedzieć coś więcej na temat pokera? Podniosłam słuchawkę, ale się nie odezwałam.

- Halo? - Usłyszałam męski głos, ale nie Daniela ani Roberta. Wydawał się znajomy, chociaż nie potrafiłam natychmiast go skojarzyć z konkretnym człowiekiem. - Stacy? Jesteś tam? - Znałam ten głos. - Stacy? - Czekałam, żeby się upewnić. - Stacy?

- Tak, jestem tu, Buddy. - Moje życie staczało się po równi pochyłej, a ten telefon był najniższym punktem. Dzwonił mój były mąż, zapewne po to, żeby mi powiedzieć, jaką byłam okropną żoną. Zamknęłam oczy. Usiadłam na podłodze. To chyba jakiś żart.

- Dobrze się czujesz? Twój głos tak dziwnie brzmi.

- Bywało lepiej.

- Przykro mi. Może zadzwonię kiedy indziej? Po prostu wczoraj przyjechałem służbowo do San Francisco i zostałem

jeszcze jeden dzień. Pomyślałem sobie, no wiesz, że minęło już tyle czasu. Miło by było spotkać się na drinka.

Sięgnęłam po swój gin z tonikiem i dopiłam resztę.

- To wszystko dawne dzieje.

- Co takiego? Stacy? Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. - Otworzyłam oczy i przypaliłam nowego papierosa niedopałkiem poprzedniego. - Buddy, naprawdę uważasz, że to dobry pomysł, żeby się spotkać? Czy nie będzie to przypominało szkolnego zjazdu po latach, gdzie każdy stara się dowieść, że doskonale mu się w życiu powiodło?

- To bardzo cyniczne podejście.

- Nie zawsze taka byłam.

- Aha. Czy to przytyk do mnie? Czy nadal wszystko jest moją winą?

- Nie, Buddy. - Westchnęłam. - W o wiele za dużym stopniu sama jestem sobie winna. Teraz mogę to przyznać. Jasne, że się zobaczymy. Właściwie... - Właściwie telefon Buddy'ego był chyba jedynym wydarzeniem, które mogło odwrócić moją uwagę od własnej obrzydliwej osoby. Wiedziałam, że przez to popołudnie z Robertem odcięłam kawał mojej przeszłości. Teraz już nigdy nie będę mogła spotkać się z Eloise. Jeśli zadzwoni, znajdę jakiś wykręt, nie przyjmę biletów lotniczych, wymyślę jakiś pilne zajęcie, ale już nigdy nie będę w stanie znaleźć się razem z nią w jednym pomieszczeniu. Poczucie winy by mnie zabiło. A Daniel, cóż, Daniel to też już przeszłość.

Wszystko zepsułam.

W takiej chwili pojawienie się Buddy'ego okazało się bardzo pożądane. Przynajmniej nie będę sama. Poza tym, mimo wszystkich naszych problemów, Buddy nigdy nie patrzył na mnie z rozbawieniem. Owszem, czasami ze złością, ale nigdy nie z rozbawieniem.

- Właściwie mógłbyś wpaść do mnie. Tutaj się spokojnie czegoś napijemy. Chyba nie miałabym siły, żeby teraz gdzieś wychodzić. Przed chwilą wróciłam z Las Vegas.

- Z Las Vegas? Ty? Jak to się wszystko zmienia.

- To długa historia - odparłam i podałam mu adres. Tej

historii wcale nie mam zamiaru ci opowiadać, dodałam w myślach.

Nie spodziewałam się, że będzie wyglądał tak dystyngowanie. Miał spokojną twarz profesjonalisty, która dobrze znosiła upływ czasu. W kącikach powiek pojawiło się akurat tyle zmarszczek, że jego uśmiech stał się bardziej serdeczny. Nad paskiem odznaczał się niewielki brzuch, świadczący o spokojnym życiu. Buddy ucałował mnie w oba policzki, usiadł na kanapie, wręczył mi butelkę szampana i natychmiast podciągnął zgiętą nogę do piersi, opierając brodę na kolanie. Słusznie przewidział, że nie mam nic przeciwko temu, żeby trzymał but na mojej kanapie. W takiej pozycji siedział tamtego pierwszego wieczora w barze West End i nadal na mnie działała.

Nie wiedziałam, czy jestem bardziej zdenerwowana czy zaciekawiona. Ubrałam się w dzinsy i podkoszulek, żeby nie wypaść zbyt formalnie albo nie zrobić wrażenia, że chcę mu się podobać. Gdybym włożyła krótką spódnicę, pomyślałby, że chcę mu się wydać młoda. Jedynym moim strojem, doskonale nadającym się na tę okazję, był ten pożyczony mi przez Eloise na spotkanie z Danielem. Muszę przyznać, że mało brakowało, a bym go włożyła.

Z nogą na kanapie siedział przede mną człowiek, z którym poszłam do ołtarza, przysięgałam mu wieczną miłość. Bliski nieznajomy. Tym właśnie był. Wiedziałam o nim wszystko i nic. Żałowałam, że to nie jest Daniel. Wołałabym, żeby siedział tu Daniel, wdychał, uśmiechał się, wzruszał ramionami i nazywał mnie wariatką.

- No, tak... - Buddy wziął ode mnie kieliszek z szampanem. - Nie wyszłaś drugi raz za męża? Nie ukrywa się gdzieś tu twój mąż? - Mogłam się spodziewać, że to będzie pierwsze pytanie. Nie o pracę, zarobki, sukces zawodowy, ale o mężczyznę. Wy wołało to we mnie mnóstwo nieprzyjemnych wspomnień.

- Nie. - Dochodziła prawie dziewiąta wieczór. Po co my tu siedzimy, w moim mieszkaniu, i sącymy drinki? Co tu robi ten mężczyzna? Przypomniałam sobie, że sama go zaprosiłam.

Popełniłam kolejny poważny błąd. - A co u ciebie?

- Mmmm. - Skinął głową i sięgnął do kieszeni. Siedziałam na fotelu obok niego i byłam najzupełniej pewna, co teraz nastąpi. - Uwierzysz, że mam dwoje dzieci? Popatrz. - Podał mi zdjęcia, a ja przejrzałam je tak szybko, jak tylko możliwe. Dwoje uśmiechniętych, lnianowłosych dzieci na plaży. Nie chciałam szukać w nich podobieństwa do ojca, nie chciałam myśleć o tym, co mogło być.

- Są prześliczne. - Oddałam mu fotografie, a on pochylił głowę i spoglądał na nie.

- Wiesz, kiedyś śmiałem się z ludzi, którzy uważają, że ich dzieci są najwspanialsze na świecie. Ale... - Podniósł głowę i uśmiechnął się. - Teraz sam jestem jednym z nich.

Odpowiedziałam mu uśmiechem. To była tortura, wymyślona specjalnie dla mnie, kara za to, co dzisiaj zrobiłam.

- To Jane, ich matka, jest blondynką. Nie mam przy sobie jej zdjęcia. Też jest prawniczką. - Pokiwałam głową, nadal się uśmiechając.

- To miłe.

- Och, Stacy, nadal palisz? - Nawet nie zauważyłam, że zapaliłam papierosa. - A jak praca? Prowadzisz teraz księgarnię?

- Tak. - Miałam ochotę powiedzieć: Buddy, dość tych bzdur. Nic cię nie obchodzi ani moja praca, ani ja sama. Jest tak, jak mówiłam przez telefon. Chcesz porównać wyniki i przekonać się, że powiodło ci się lepiej niż mnie. Dwoje dzieci, żona blondynka pracująca zawodowo, szczerza, nadal pociągająca, może nawet bardziej niż kiedyś, twarz. Pod każdym względem masz nade mną przewagę, zdobywasz punkty. Wyjdiesz stąd, potrząsniesz głową i powiesz „A tak mało brakowało! Jak to dobrze, że w porę się wyrwałem”. Wracaj do hotelu, zadzwoń do Jane i powiedz jej, jak bardzo ją kochasz. Nalałam sobie następny kieliszek szampana. - Obawiam się jednak, że niedługo już będę pracowała.

- Naprawdę? - Buddy podwinął drugą nogę i oparł brodę na prawym kolanie. - Dlaczego?

Przez tą okropną sytuację zaczęło mi się kręcić w głowie. Co za dziwny ciąg wydarzeń - kilka godzin temu poszłam do łóżka z mężem przyjaciółki, a teraz pijam ze swoim byłym i rozmawiam o jego żonie i dzieciach. To absurdatne, straszne. Wydawało mi się, że głowę wypełnia mi hel.

- Wkrótce wychodzę za mąż - odparłam z uśmiechem.

- Wspaniale. - Uniósł kieliszek, jakby wznosił toast. Wiele lat temu piliśmy toast w domu moich rodziców, stukaliśmy się kieliszkami, patrząc sobie w oczy i czując, że nasze serca się łączą. - Za kogo, jeśli wolno zapytać?

- Za Placido Domingo.

- Słucham? - Podniósł głowę i zmarszczył brwi. Potem znów usiadł swobodnie i roześmiał się. - Bardzo zabawne, Stacy. Boże, na chwilę dałem się nabrać.

Przed małżeństwem tyle razy śmialiśmy się razem w łóżku. Ta nasza niewinność. Miałam ochotę płakać, nie z powodu Buddygo czy siebie, ale nad naszą utraconą niewinnością, rozmarzoną, romantyczną niewinnością zakochanej pary, która dopiero zaczyna. Tego nie da się odtworzyć. Można znaleźć drugą, trzecią albo czwartą miłość, z którą spędzi się szczęśliwie resztę życia, ale ta nietknięta niewinność już nie powróci. Jest się skażonym. To odpowiednie słowo. Skażony.

Byłam zmęczona, zagubiona i samotna. Tęskniłam za domem, chociaż nie był to żaden konkretny dom. Taka nieokreślona tęsknota. Może rzeczywiście przechodzę załamanie nerwowe. Odwiozą mnie do szpitala, a ja będę krzyczała, że zostanę panią Domingo.

- Od jak dawna jesteś żoną z Jane?

- Od siedmiu lat.

- Rzucasz w nią zakupami?

- Wiesz, teraz robię to z dziećmi. Uwielbiają to. - Roześmiał się. Zawsze miał ładny śmiech, miękki i nieśmiały. Mimo otaczającej go aury profesjonalisty, Buddy zachował coś chłopięcego. Przypominał mi Richarda Gere w filmie *Pretty Woman*.

Zastanawiałam się, czy Jane wygląda jak Julia Roberts.

Nie, jest blondynką. Wyobraziłam sobie Buddy'ego, jak rzuca jajka swoim jasnowłosym dzieciakom, a Jane stoi obok i szczęśliwa patrzy na nich z matczynym zadowoleniem. Na pewno miały niewiarygodną koordynację ruchów i łapały jajka jedną ręką. Żonglowały nimi. Chciałam dalej prowadzić uprzejmą rozmowę z Buddym, ale ten obrazek zniweczył mój zamiar.

- Wiesz co, zamówię dla ciebie taksówkę. Mam za sobą długi, męczący dzień.

- Stacy, daj spokój. Dopiero zaczęliśmy rozmawiać. Mamy tyle do nadrobienia. Dlaczego nie wybierzemy się gdzieś na kolację?

- Bo jestem zmęczona. Bo w Las Vegas wszystko straciłam.

- Co chcesz powiedzieć? Przegrałaś swoje oszczędności? To do ciebie zupełnie niepodobne.

- Wiem, wiem. Nie przegrałam żadnych pieniędzy.

- Dobrze się czujesz? Może mógłbym jakoś pomóc? Powinnaś przyjechać do nas z wizytą do Nowego Jorku. Mamy wspaniały dom na Long Island. Odpoczęłaś trochę. Jane bardzo by się ucieszyła. Moglibyśmy wydać na twoją cześć kilka przyjęć.

I niewątpliwie przedstawić mnie kilku wartym zachodu mężczyznom.

- Buddy. - Potrząsnęłam głową. - Jane wcale by się nie ucieszyła. Dlaczego miałyby się ucieszyć na widok twojej byłej żony? To bardzo cywilizowany pomysł, ale ludzie tak nie reagują. Byłaby wściekła. Ja na jej miejscu właśnie to bym czuła. - Pomyślałam o byłej żonie Daniela. To ostatnia osoba pod słońcem, dla której chciałabym urządzić przyjęcie.

- Mylisz się. Nie znasz jej. Ucieszy się, kiedy jej powiem, że się z tobą spotkałem. Chciałaby, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- Bzdura. - Miałam go dosyć, miałam dosyć siebie i wszystkiego, co dotyczy mężczyzn i kobiet. - Chyba powinienś już iść.

- Dobrze. Świetnie. Wyjdę. Przykro mi, że to spotkanie nam się nie udało. - Włożył płaszcz i stanął przy drzwiach, z ręką na klamce. - Stacy, chcę, żeby łączyły nas dobre stosunki.

Naprawdę. Jeśli nie chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi, w porządku. Rozumiem to. Ale przecież nie musimy być wrogami. - Czułam, że na dźwięk tych słów moje serce zwalnia. Już nie musiałam go nienawidzić. Myliłam się, on nie jest bliskim nieznanym, tylko po prostu nieznanym. Kimś, kogo kiedyś znałam, kto teraz był mężem prawniczki o imieniu Jane i ojcem dwojga dzieci. Buddy nie był złym, zdeprawowanym sadystą, który celowo mnie skrzywdził. Nie, to nasz nieudany związek mnie zranił. Mówiąc prawniczym językiem, jego czyny wobec mnie nie nosiły znamion złośliwej premedytacji. Nie miał zamiaru mnie zniszczyć. Kiedy mówił, że mnie kocha, wierzył w to, tak samo jak wtedy, gdy mi powiedział, że mnie już nie kocha. To, że wolałam pierwsze oświadczenie, było już moim problemem.

- Nie, nie musimy być wrogami. - Zagryzłam wargę, podeszłam i objęłam go na pożegnanie. Takiego gestu nie robi się tuż po bolesnym rozwodzie. To był przyjacielski, swobodny uścisk. Kiedy się cofnęłam, poczułam, że zniknął gdzieś cień, który za mną podążał przez te wszystkie lata. Uśmiechnęłam się do Buddy'ego. Pomyślałam, że musi być wspaniałym ojcem. To widać. - Po prostu dzisiaj nie jestem w najlepszej formie.

- Tak już lepiej. - Również się uśmiechnął. Był już prawie za drzwiami, ale jeszcze się odwrócił. - Zanim pójdę, chcę cię zapytać, co się stało z Eloise?

- Wyszła za męża i jest bardzo szczęśliwa. Mieszka w Nowym Jorku.

- Nadal tak obrzydliwie bogata?

- Mhmm. - Skinęłam głową.

- Jej mąż to szczęściarz - stwierdził z żalem w głosie.

- On jest... - Urwałam. - Był kiedyś zonaty, z Sapphire Shannon.

- Niebawym szczęściarz. - Buddy potrząsnął głową. - Sapphire Shannon. Nie zazdroścę Eloise. Trudno konkurować z Sapphire Shannon. Tak samo jak z Placido Domingo. - Roześmiał się, jedną nogą już za progiem. - Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do nas. Powodzenia, Stacy.

- Dzięki. I nawzajem. - I to było wszystko. Wiedziałam, że nigdy do niego nie zadzwonię. Nie będzie więcej spotkań po latach. Jeszcze jeden fragment mojej przeszłości zniknął na dobre. Z takim dniem jak ten James Joyce zrobiłby cuda.

Nie zgasiłam światła, nie rozebrałam się, tylko w ubraniu poszłam do łóżka, po drodze łykając pigułkę nasenną. Włączyłam telewizor i zastanawiałam się, czy dotrzmam do programu Saturday Night Live. Po chwili włączyłam również radio. W moim mieszkaniu zrobiło się gwarno, muzyka i ludzkie głosy zagłuszały się wzajemnie, a ja czekałam, aż pigułka zacznie działać. Kiedy jutro się obudzę, w mieszkaniu nadal będzie gwar. Zostawię włączone radio i telewizor na całą noc, żeby nie czuć się samotnie. Rano pocieszy mnie niedzielne kazanie jakiegoś głosiciela Biblii.

Przynajmniej nie poszłam do łóżka z byłym mężem. To punkt na moją korzyść. Nie usiłowałam go uwodzić, żeby w ten sposób zemścić się na anielskiej Jane i dzieciach. Niedobra myśl. Prowadziła mnie prosto do Roberta.

Nie pragnął mnie. W miarę upływu godzin stawało się to dla mnie coraz jaśniejsze. Nie przespał się ze mną dlatego, że zmusiło go do tego pożądanie, nie zawiadnęła nim chwilowa namiętność. Zrobił to z wyrachowania. Ale w jakim celu? Dlaczego?

Tak sobie. Bez powodu. Dopatrywałam się teorii spiskowej tam, gdzie chodziło wyłącznie o seks. Mężczyźni korzystali z okazji, jeśli się nadarzała, a potem zapominali o całej sprawie. To był czysto fizyczny akt, niczym się nieróżniący od meczu tenisowego, który kiedyś rozegraliśmy, tylko o wiele mniej przyjemny. Robert nie miał wytrysku, zachował się szorstko, brutalnie i obojętnie, ale może właśnie to go brało. Seks nie miał znaczenia. Błahostka. Nic ważnego. Tak jak oświadczył Robert: „nic wielkiego”. Po prostu coś, co mężczyzna i kobieta robią razem, żeby zabić czas. Nic w tym nadzwyczajnego. Może jednak nie popełniłam niczego strasznego.

A co by było, gdyby wiele lat temu Eloise przespała się z Buddym? Czy to też nie byłoby nic ważnego? A gdyby właśnie w tej chwili była w łóżku z Danielem? Jak bym na to

zareagowała? Usłyszałam głos Eloise sprzed osiemnastu lat. „Wolna miłość nie istnieje. Za miłość trzeba zapłacić”. Nie ma też czegoś takiego jak beztroski seks bez zobowiązań. Erica Jong coś tu pokręciła. Kobiety nie potrafią oddzielić uczuć od seksu, choćby nie wiem jak się starały. Wciąż widziałam twarz Eloise, kiedy cisnęła jej książkę na drugi koniec pokoju. Pytała mnie, dlaczego seks jest taki ważny, a ja jej odpowiedziałam, że najważniejsza jest miłość. Jednak Eloise miała rację. Seks jest bardzo ważny. Dla kobiet.

Gonitwa myśli w mojej głowie nie zamierzała ustać. Wstałam, poszłam do łazienki i rozejrzałam się za jeszcze jedną pigułką nasenną. Nie potrafiłam wytłumaczyć sobie mojego postępowania wobec Roberta. Ani jego wobec mnie. Ale mogłam się postarać wymazać je z pamięci.



Marzec-grudzień 1990

Kiedy nazajutrz zadzwoniła Eloise, nie odebrałam, więc wgrała się na automatyczną sekretarkę. Moja przyjaciółka wylewnie, niemal niezrozumiale rozwdziła się nad występem Kenny Rogersa.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała na koniec. - Jutro wracamy do Nowego Jorku. Chcę z tobą porozmawiać o Danielu. Tęskni za tobą. Wszyscy za tobą tęsknimy. Zadzwoń jutro.

Rozmowa z nią byłaby dla mnie czymś równie trudnym, jak dla narkomana odstawienie heroiny. Sądząc po jej przyjacielskim tonie, najwidoczniej Robert nic jej nie opowiedział, ale przez to wcale nie czułam się lepiej. Wiedziałam, że powinienam do niej zadzwonić, żeby nie budzić podejrzeń przedłużającym się milczeniem, ale nie mogłam. Napisałam list.

Droga Eloise,

Pamiętasz, jak ci mówiłam, że przydałby mi się klimatyzator do przewietrzenia mózgu? Nadarzyła mi się wspa-
niała okazja. Kierownictwo B. Daltona zaoferowało mi całoroczny objazd księgarń na całym świecie. Mam zobaczyć, jak wygląda nasza konkurencja za granicą, sprawdzić, czy powinniśmy założyć filie w Europie i Japonii. To dla mnie doskonała szansa i nie mogę jej przeoczyć.

Tak więc na pewien czas urwie się między nami kontakt, ale mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Odezwę się, kiedy wrócę. Ucałowania,
Stace

Powinnam napisać, że wyruszani w rejs dookoła świata z Placido Domingo. W kłamstwach budowałam sobie wspaniałe życie, rzeczywistość była mniej powabna. W każdym razie ten list powstrzyma Eloise przed dalszymi telefonami i da mi chwilę oddechu. Nie zniósłabym jeszcze raz jej pełnego ufności głosu.

Przygotowałam sobie mnóstwo wykrętnych historyjek dla Daniela, ale nie wykorzystałam żadnej z nich. Nie zadzwonił do mnie. Moje nerwy były u kresu wytrzymałości. Czy powinnam do niego zatelefonować, przeprosić, a może wskoczyć do samolotu do Nowego Jorku i pojawić się na jego progu, tak jak on pojawił się na moim? Bałam się, że zastanę go z inną kobietą. Kim była ta, z którą odwołał lunch, żeby się ze mną spotkać? Gdzie teraz jest? W jego ramionach? Obawiałam się też, że zacznie mi zadawać pytania, na które nie mogłam odpowiedzieć. Co robiłaś wtedy w Las Vegas? Wyjaśnij mi, dlaczego uciekłaś. Nie wierzę w te bzdury, że jesteś nieodpowiednią dla mnie kobietą. Chodzi o coś innego, prawda?

Tak więc nie zadzwoniłam ani nie pojechałam z niespodziewaną wizytą - przyczałam się w San Francisco, pracowałam, czasami chodziłam na przyjęcia, oglądałam wiele filmów w telewizji. Zużyłam wiele energii umysłowej, starając się zdecydować, czy *Bill Cosby Show* jest wspaniałe, czy do bani. Zadzwoniłam do tego znajomego, który rozkwita na łyżwach, i poczułam się lepiej, patrząc jak mknie po lodowisku. Zastanawiałam się, czy się nie zapisać na lekcje jazdy na łyżwach, ale tego nie zrobiłam. Poszłam do hipnotyzera, żeby rzucić palenie, i tuż po wyjściu z gabinetu zapaliłam Merita. Robiłam plany hucznego przyjęcia z okazji trzydziestych ósmych urodzin, ale nikogo nie zaprosiłam.

W końcu powoli wróciłam do trybu życia, który wiedłam

przed ślubem Eloise. Dolegały mi tylko problemy natury fizycznej. Bolała mnie szczęka - od chwili przebudzenia do samego wieczora chodziłam z zaciśniętymi zębami. Ramiona miałam tak obolałe, jak Quasimodo po dwudziestoczterogodzinnej sesji bicia w dzwony. Przypisywałam te niedomagania stresowi, najpopularniejszej dolegliwości dwudziestego wieku. Paliłam jeszcze więcej papierosów i słuchałam muzyki współczesnej. W muzyce zaczęłam preferować nowoczesne prądy, zgrzytliwy kalejdoskop dźwięków. Inne utwory wydawały mi się przesłodzone - należały do uporządkowanego świata. Schnittke należał do świata rzeczywistego, mojego. Podobało mi się, że wielu ludziom jego muzyka wydaje się irytująca.

Pewnego deszczowego piątku, w pierwszym tygodniu grudnia, dziewięć miesięcy po powrocie z Las Vegas, przyjechałam z pracy do domu, przemoczona weszłam do środka i zaczęłam krzyczeć przerażona, kiedy zobaczyłam, że na mojej kanapie siedzą dwie osoby.

- Stacy, Stacy... - Jedna z osób wstała. Mężczyzna, niezwykle wysoki, stanowił wielkie potencjalne zagrożenie. Nagle przestałam krzyczeć. To był Bobby Chappell.

- Chryste, Bobby. Co ty, do cholery, robisz w moim mieszkaniu? - Wciąż jeszcze trzęsłam się ze strachu. Naruszono moje sanktuarium, a co gorsza, zrobił to Bobby.

- Przepraszam. Chcemy tylko z tobą porozmawiać. Powinnaś coś usłyszeć. - Ja nie wiedziałam, jak się zachować, ale on też miał zmieszaną minę. Wyglądał teraz doroślej, o wiele doroślej niż przy naszym ostatnim spotkaniu.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? Jak się tutaj dostałeś? I co to znaczy „my”? - Spojrzałam na drugą osobę na kanapie i zobaczyłam Sapphire Shannon, w modnie podartych dżinsach i koszulce z Hard Rock Cafe. - A co ona tu robi?

- Stacy, usiądź. Wszystko ci wytłumaczę. - Bobby mówił dość nerwowo.

- To nie twoje mieszkanie. Nie będziesz mi mówił, kiedy

mam usiąść. Lepiej się szybko wytłumacz, i radzę ci, żeby to było coś wiarygodnego. Przysięgam, że znowu zacznę krzyczeć, jeśli zrobisz krok w moją stronę. - Jednak był podobny do Roberta. Wstrząsnął mną dreszcz. Oparłam się o drzwi, gotowa do ucieczki i szukania pomocy. Bobby zagradzał mi drogę do telefonu w korytarzu.

- Och, przestań odgrywać przerażoną księżniczkę, dobra? Przecież on nie ma zamiaru cię zgwałcić, skarbie - odezwała się Sapphire o ostrym języku.

- Nie wierzę własnym oczom. - Starłam się mówić spokojnie. - Wynoście się stąd. Natychmiast. Wynoście się oboje.

- Stacy, musimy z tobą porozmawiać. Chodzi o Eloise. - Bobby usiadł obok matki. - Niepokoiśmy się o nią.

- Niepokoiście się o Eloise? Lepiej martw się o siebie. Włamujesz się razem ze swoją matką do cudzego mieszkania, rządzisz się tu jak u siebie w domu i jeszcze oczekujesz, że cię wysłucham. Daruj sobie. A w ogóle, jak się tutaj dostaliście?

- Jeden z moich goryli świetnie się zna na otwieraniu zamków - odparła niedbale Sapphire, jakby codziennie włamywała się do mieszkań. - Nie martw się, nie schował się w twojej sypialni... - Spostrzegła, że rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu jej ochroniarza. - Chociaż pewnie zrobiłby ci dobrze.

- Mamo... - wtrącił błagalnie Bobby.

Kipiałam ze złości, w każdej chwili gotowa wybuchnąć.

- Przepraszam, kochanie. - Sapphire uśmiechnęła się do syna. Przez chwilę wyglądała niemal jak ludzka istota. - Słuchaj, Stacy, obiecuję, że nie będę już sobie z ciebie żartowała, tylko usiądź. Nie skrzywdzimy cię. Nie włamałobyśmy się tutaj, ale Bobby powiedział, że nie odpowiadałaś na jego telefony, a chyba powinnaś wysłuchać tego, co mamy to powiedzenia.

- To żadne usprawiedliwienie - wymamrotałam. Jednak czułam, że mój gniew łagodnieje; ustępował miejsca ciekawości. Co Bobby i Sapphire robią tu razem? Powiedziała w Las Vegas, że go nie widziała, od kiedy był dzieckiem. Jak się skontaktowali? A może oboje w tej sprawie kłamali? I czego właściwie ode mnie chcą?

- Przykro mi, Stacy, naprawdę. - W głosie Bobby'ego brzmiała szczerza skrucha. Poza tym po raz pierwszy zauważyłam, że jest wystraszony. Jego matka wyglądała wspaniale, trudno było temu zaprzeczyć. Koszulka z napisem Hard Rock Cafe, którą widziałam na wielu turystach, wyglądała, jakby zaprojektowano ją specjalnie dla niej. Twarz Sapphire była tak jasna i przejrzysta, że z trudem odrywałam od niej wzrok.

- Dobrze. W porządku. Zaczekajcie, przyniosę butelkę wina. Nie wiem jak wy, ale ja muszę się czegoś napić. - Niespiesznie otwierałam wino i paląc papierosa, jeszcze raz starałam się odgadnąć, co ich tu sprowadziło. Czy chcieli pozyskać mnie do pomocy, żeby rozbić małżeństwo Roberta i Eloise? Może Sapphire wciąż go kocha? Zaniostałam do salonu trzy kieliszki i butelkę. Usiadłam i pociągnęłam łyk wina starając się wyglądać onieśmialająco.

- Więc o co tutaj chodzi?

Zauważyłam, że ani Bobby, ani jego matka nie tknęły wina. Mlecznoniebieskie wielkie oczy Sapphire spoglądały bez lęku. Pomyślałam o Eloise i jej czekoladowych oczach, załkniionych od dnia, w którym się poznałyśmy. Osiem miesięcy wcześniej dostałam od niej kartkę. Pisała na niej, żebym zadzwoniła po powrocie, ale sama od tego czasu nie starała się ze mną skontaktować. Dokładnie w tym momencie, popijając wino i patrząc na Sapphire, zrozumiałam, że z całego serca kocham Eloise i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jej bronić. Musiałam tylko ustalić, czy potrzebuje obrony, a jeśli tak, to przed kim.

Sapphire również patrzyła mi w oczy bez zmrużenia powiek. Siedzący obok niej Bobby wydawał się cieniem. Spokojnie wytrzymała mój wzrok, przeczesała palcami krótkie włosy i zmarszczyła czoło.

- A więc jest tak. Twoja przyjaciółka, kumpelka, Eloise, wpadła w kłopoty. To długa historia, a ja nie przepadam za opowiadaniem długich historii, ale się postaram. - Rozparła się wygodniej na kanapie. Bobby spoglądał to na matkę, to na mnie. - Zacznę od początku. Poznaliśmy się z Robertem, kiedy on był w college'u Browna. W Providence, w Rhode Island.

Stamtąd pochodzę. Porzuciłam szkołę, nie znosiłam tych naukowych bzdur. Pracowałam w sklepie z płytami, na Hope Street, w pobliżu campusu, tak?

Wyczułam, że chce, żebym jej przytaknęła. Sapphire nawykła do reakcji publiczności.

- W każdym razie, Robert często tam zaglądał. Dużo ze sobą gadaliśmy i zrobił na mnie wrażenie. Mówił w taki niezwykły sposób, jakby na wszystkim się znał, był lepszy niż inni, których wcześniej znałam. Wtedy nie wyglądał zbyt dobrze – miał egzemę. Jeśli chcesz wiedzieć, prawa strona jego twarzy wyglądała koszmarnie, ale był uroczy, a ja tylko czekałam, żeby mnie ktoś zauroczył. Inni faceci zawsze mnie poganiali, ciągnęli do łóżka. - Zerknęła na Bobby'ego i znowu dostrzegłam w niej matkę, która nie chce, żeby syn dowiedział się wszystkiego o jej przeszłości. - Robert był inny. Nie śpieszył się. Zalecał się do mnie, wiesz, robił takie staromodne szopy. Kwiaty, czekoladki. Co tu dużo gadać. Podziało.

Skinęłam głową. Romantyczne gesty. Wszystkie dałyby się za nie posiekać, nawet Sapphire Shannon.

- Czasami zachowywał się jak wariat i to było zabawne, szalone - ciągnęła. - Poza tym miał samochód. Przez całą szkołę średnią pracował w weekendy i w lecie, więc trochę zaoszczędził. Rozbijaliśmy się po Providence w jego Mustangu, słuchaliśmy radia i śpiewaliśmy. Robert miał niezły głos, prawdę mówiąc, cholernie dobry.

- Wiem - wtrąciłam. - Słyszałam, jak śpiewa.

- No to wiesz. - Teraz ona skinęła głową z zadowoloną miną. - I on, i ja umieliśmy niezłe śpiewać, a Robert miał plany dla nas obojga. Mieliśmy się pobrać i razem występować. Śpiewać w duecie. Zdobyć sławę. Mieszkać w rezydencji ze służbą. Żadne tam hipisowskie komuny. Ani jego, ani mnie nie obchodziła polityka. Chciał być bogaty. Bogaty i sławny. Dla mnie to brzmiało wspaniale. - Potrząsnęła głową i westchnęła. - I to było wspaniałe. Przez jakiś czas. Moi rodzice - ojciec jest elektrykiem, a matka zwykłą gospodynią domową - strasznie się ucieszyli. Zawsze się o mnie zamartwiali,

twierdzili, że wpakuję się w kłopoty. Zwłaszcza kiedy rzuciłam szkołę. Wydaje mi się, że trochę ich przerażałam, bo byłam taka cholernie wysoka. I jasna. Oboje są średniego wzrostu, a tu nagle trafiła im się taka żyrafa. Oni też mają blond włosy, ale nie takie jak moje. Ja wyglądałam prawie jak jakaś pieprzona albinoska, chociaż nią nie jestem. Rodzice patrzyli na mnie, jakbym wyszła z jakiejś złej bajki, nie była całkiem człowiekiem. Dlatego właśnie tak się ucieszyli, kiedy kto inny się mną zajął, kiedy Robert - ni mniej, ni więcej tylko student college'u należącego do Ivy League - przejął nade mną władzę. Bo Robert właśnie tak zrobił. Zaczął mną rządzić. Od chwili, kiedy włożył mi na palec obrączkę, stałam się jego własnością. Podслуchiwał moje rozmowy telefoniczne, otwierał listy. Jeśli mu powiedziałam, że umówiłam się na lunch z koleżanką, dopytywał się, gdzie, a potem też się tam pojawiał. Nie miałam nic swojego, Stacy. Rozumiesz to? Nie miałam własnego miejsca, przestrzeni, nic własnego. - Znów zerknęła na syna. - Zachowywał się jak ten tam Svengali, tylko, o ile pamiętam, on wprowadzał swoją Trilby w trans. Robert tego nie robił. Cały czas byłam przytomna. Czasami trzymał mnie na nogach całą noc i opowiadał rzeczy, których nie rozumiałam, ale sens był zawsze ten sam. Jestem dziwką, bo spałam z innymi facetami, zanim go poznałam. Jak to się nazywa? Ta zazdrość o czyjąś przeszłość?

- Zazdrość retrospektywna?

- No, właśnie. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, z nikim innym nie poszłam do łóżka, ale to się nie liczyło. I tak byłam dziwką. Szliśmy na drinka do baru, prosiłam barmana o piwo, a Robert wywlekał mnie na ulicę i oskarżał o flirtowanie z tym gościem. Staliśmy na chodniku, w środku zimy, a on mi kładł do głowy, jaką to jestem dziwką i że wolałby, żebyśmy była ćpunką. To mnie bardzo bolało. Chodzi o to, że mówił z takim przekonaniem, jakby nie miał co do tego wątpliwości, więc ja zaczęłam mu wierzyć. Przedtem nie spotkałam kogoś tak pewnego siebie. Wiesz, kiedy ktoś przez parę godzin, do trzeciej nad ranem, powtarza ci, że jesteś zła, to w końcu w to wierzysz.

Zaczynasz przeproszać. Przynajmniej ja tak robiłam. Rodzice zawsze uważali mnie za dziwadło, więc to, że Robert wmawiał mi coś podobnego, brzmiało dla mnie całkiem normalnie. W końcu spałam z wieloma facetami. - Tym razem nie spojrzała na Bobby'ego. - Wtedy tak się robiło. No, wiesz, wolna miłość i takie tam. Nie myślałam, że jestem dziwką, ale Robert mnie o tym przekonał. Koleżanki doszły do wniosku, że mi odbiło, bo ciągle płakałam. Mówiły, żebym go rzuciła, jak tylko dopadły mnie choć na chwilę samą, ale ja nie chciałam. Kochałam go. Wierzyłam mu. To wszystko nie trzymało się kupy. Jeździliśmy na występy, a ja się bałam, żeby Robert sobie nie pomyślał, że się gapię na jakiegoś faceta na widowni. Ciągle uważałam, żeby nie zrobić czegoś nie tak, bo wtedy on znowu zacząłby gadać na swój ulubiony temat. Jednocześnie kazał mi się ubierać jak dziwka. Sama nie wiem. Nie rozumiem tego. Ani teraz, ani wtedy. Nigdy nie zrozumieć.

Przypominałam sobie Roberta w łóżku, jego okrutne, złe spojrzenie, i ta trochę bezładna historia stała się dla mnie jaśniejsza.

- Bił cię?

- Nie. Nie musiał mnie bić. Potrafił tak na mnie spojrzeć... Nie umiem tego wytłumaczyć, ale wtedy czułam się tak, jakby mnie uderzył. Cały czas wygłaszał mi kazania. Mówił, że jego matka nie chce się ze mną widywać, ponieważ taka ze mnie zdzira. Przyjaciele bardzo mu współczuli, bo ożenił się ze zdzirą. Wiesz, ja byłam wtedy młoda. Miałam dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Nie starczało mi doświadczenia i rozumu, żeby odpowiedzieć: „Słuchaj, skarbie, jeśli taka ze mnie wywłoka, taki śmieć, to dlaczego się ze mną ożeniłeś?” Wszystko przyjmowałam za dobrą monetę. Wierzyłam. Cholera, jaka ja byłam głupia. Ale cały czas miałam nadzieję, że Robert kiedyś znowu będzie taki jak na początku - uroczy, szalony i inteligentny facet, który chciał się mną zaopiekować. I rzeczywiście, czasami taki był. Przynosił kwiaty. Napisał dla mnie romantyczną piosenkę. Więc kiedy dostawał ataku zazdrości, nie rozumiałam, co się dzieje, co się zmieniło. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, przez pierwszy miesiąc

znajomości wypytywał mnie o byłych chłopaków. Nie wiedziałam, dlaczego to robi. Sądziłam, że jest po prostu ciekaw mojego życia. Ale zaraz po ślubie zaczął mi wypominać wszystko, co mu kiedyś wyznałam. Torturował mnie tym. Jak mogłam tak się puszczać, sypiać z takimi odrażającymi mężczyznami, tak się poniżać? Wmówił mi, że jestem jakąś nimfomanką. Znienawidziłam się za to.

Skinęłam głową. Próbowałam sobie wyobrazić bezbronną Sapphire, wysoką, młodą dziewczynę, która wyplakiwała się przed przyjaciółkami.

- W każdym razie wszystko znosiłam. Potem zaszłam w ciążę i urodziłam Bobbyego. Jednocześnie zaczęliśmy występować w lepszych miejscach, zrobiliśmy się bardziej znani. Wszędzie zabieraliśmy ze sobą Bobbyego i wydawało mi się, że Robert złagodniał. Już nie wydzierał się na mnie cały czas, był zbyt zajęty planowaniem naszej kariery, naszej drogi do sławy. Właściwie swojej drogi do sławy, jeśli chcesz znać prawdę. Ja miałam skończyć ze śpiewaniem, siedzieć w domu i zajmować się Bobbym. On zamierzał spróbować solowych występów. Bardzo się przy tym upierał. Ale na razie na wszystkie koncerty mieliśmy wspólne umowy, więc postanowił stopniowo usuwać mnie ze sceny. Taki plan nie bardzo mi się podobał, ale nie wiedziałam, co mogę zrobić, żeby to zmienić. On trzymał nad wszystkim kontrolę. Pojechaliśmy na Zachodnie Wybrzeże, ściśle mówiąc, przyjechaliśmy tutaj, do San Francisco. I wtedy dopiero gówno wpadło w wentylator. Zjawił się tam łowca talentów, wiesz, taki z firmy płytowej. Przyszedł nas obejrzyć. James Griffin. Po występie postawił nam drinka. Starłam się, jak mogłam, żeby na niego nie patrzeć, ale nic z tego. Był niesamowity. Przystojny, inteligentny, pod każdym względem w porządku. Jakieś dziesięć lat od nas starszy. Robert był bardzo tym wszystkim przejęty, starał się wyrzucić na nim wielkie wrażenie, gadał cały czas o sobie. Ja próbowałam nie gapić się na Jamesa, ale już czułam, że szykują się kłopoty. Spodobaliśmy się sobie, pragnęliśmy się. Nie mam żadnego wytłumaczenia na to, co zrobiłam, Stacy. Griffin wrócił następnego wieczoru, niby po to, żeby

ustalić warunki umowy dla Roberta - miał nagrać solową płytę. Jakoś udało mu się przez dziesięć minut porozmawiać ze mną sam na sam. Poprosił, żebym poleciała z nim do Nowego Jorku, jeszcze tej samej nocy. Namawiał mnie, żebym związała, tak jak stoję. On na miejscu kupi mi wszystko, co potrzebne. Obiecał, że zrobi ze mnie gwiazdę. Mogłam wyrwać się od Roberta. Zobaczyłam przed sobą szansę na ucieczkę z tego koszmaru. W tym czasie wydawało mi się, że to jedyna możliwość.

- Bobby nie został zaproszony?

- Nie, nie zostałam - odezwał się chłopak spokojnym głosem.

Zerknęłam na niego i nie spostrzegłam na jego twarzy gniewu, chociaż tego się spodziewałam. Miał zrezygnowaną minę.

- No tak. Nigdy mu tego nie wynagrodzę. - Sapphire wzięła syna za rękę i z zainteresowaniem zauważyłam, że Bobby nie cofnął dłoni, ale też nie uściśnął ręki matki. - Po prostu musiałam się z tego wyzwolić. Musiałam uciec od Roberta. To była moja jedyna szansa na przetrwanie. - Machnęła rękami w powietrzu, jak mi się zdawało, dość bezsilnie. Potem znowu przybrała pozę dziewczyny z okładki, twardej i doświadczonej sławy rocka. - Cholera, inaczej nie potrafiłam. Robert by mnie zabił. Wciąż się dziwię, że tego nie zrobił. Nie umiem nawet wyrazić, jak ja tego sukinsyna nienawidzę. Spieprzył mi życie.

Trudno było mi jednoznacznie rozstrzygnąć, na kogo spada większa wina. Złe małżeństwo można zakończyć na wiele innych sposobów, niekoniecznie porzucając małe dziecko, nawet jeśli mąż jest obsesyjnie zazdrosny. Jak mogła zostawić Bobby'ego? Jednak była wobec siebie uczciwa - nie znajdowała usprawiedliwienia. Musiałam przyznać, że teraz już jej tak mocno nie nienawidzę, ale jeszcze chyba nie żywiłam do niej cieplejszych uczuć. Zbijała mnie z tropu ta nagła zmiana pozy - z dręczonej psychicznie młodej żony na słynną gwiazdę. Jeśli oskarżenia Roberta tak ją bolały, dlaczego przez

następne dwadzieścia lat zachowywała się przed publicznością jak wulgarny wamp? Dlaczego nosiła podkoszulek z napisem „dziwka”?

- To wszystko bardzo interesujące, ale co to ma wspólnego z Eloise? - Nie chciałam dać się uwieść jej opowieści. Dlaczego miałam koncentrować się na historii życia Sapphire, skoro mieliśmy rozmawiać o Eloise?

- To tylko tło, Stacy. - Splotła ramiona nad głową i oparła się wygodniej. - Przez następne kilka lat często dzwoniłam do Roberta, ale on po prostu odkładał słuchawkę. Więc w pewnym sensie dałam za wygraną. - Wzruszyła ramionami.

Dzwoniła do niego, chociaż się bała, że ją zabije? Coś tu się nie zgadzało. Bobby zaczął się bawić paskiem od zegarka.

- Oczywiście, śledziłam ich ruchy. Wiesz, dość szybko osiągnęłam sukces, zdobyłam trochę wpływów, więc mogłam mieć ich na oku.

Daniel Sterne też miał mnie na oku. Eloise odnalazła mnie w San Francisco. Buddy niespodziewanie do mnie zadzwonił. Ostatnio byłam zbyt zajęta rozliczaniem się z własną przeszłością i szukaniem nowego pomysłu na siebie, żeby się zastanawiać, co się przez ostatnie lata działo z moimi znajomymi.

- Posyłałam Bobby'emu prezenty i różne tam takie, ale chyba ich nie dostawał? Dostawałeś coś, kochanie?

Nadal bawiąc się zegarkiem, pokręcił głową. Na początku rozmowy wyglądał jak trzydziestolatek, teraz bardziej przypominał dwunastoletniego chłopca.

- Potem doszło do mnie, że Robert się ożenił, i pomyślałam sobie, że powinnam się trzymać z daleka. Zadzwoniłam do niej raz. Miała taki miły głos, bardzo serdeczny, więc powiedziałam sobie: Bobby ma teraz nową matkę, pewnie lepszą, niż ja kiedykolwiek mogłabym zostać. Ktoś wreszcie będzie mu piekł ciasteczka i tak dalej.

- Eloise miałyby piec ciasteczka studentowi college'u? - Roześmiałam się.

- Dlaczego Eloise? Nie o niej mówię, tylko o Susan, o jego drugiej żonie.

- O drugiej żonie? - Spojrzałam na Bobbyego. - O jakiej drugiej żonie?
- Mojej pierwszej macosze. - Chłopak na chwilę podniósł wzrok. - O Susan.
- Susan - powtórzyłam w otępieniu. - Nigdy o niej nie sły-
szałam.
- Tata o niej nie wspomina - wyjaśnił spokojnie Bobby. -
Właśnie dlatego tu przyszliśmy. Z powodu Susan.
- Chwileczkę. Czy Eloise o niej wie? - Teraz rozmawia-
łam z Bobbym. Przynajmniej raz Sapphire musiała usunąć się
w cień.
- Nie, nic nie wie. Tata jej nie powiedział. Ja też nie mo-
głem jej powiedzieć, bo gdybym to zrobił... - Urwał, sięgnął
po paczkę moich papierosów, leżących na oparciu fotela, i po-
częstował się. Czekałam, aż zacznie mówić, ale milczał. Sie-
dział i palił.
- Gdyby jej powiedział - wyjaśniła za niego Sapphire, od-
rzucając głowę w tył - musiałby też wyznać, że Robert zabił
Susan, a na tym tle Bobby ma kłopoty emocjonalne.
- Prychnęłam i ukryłam głowę w dłoniach. To jakies dzi-
waczne przedstawienie. Nic nie rozumiałam.
- No, dobrze - odezwałam się. Nie mogłam się powstrzy-
mać przed następnym szyderczym prychnięciem. - Czy któreś
z was może mi łaskawie wyjaśnić, jak Robert zabił Susan?
Jak to się dokładnie stało?
- Susan umarła na tę cholerną anoreksję - powiedziała
Sapphire. - Teraz chyba napiję się trochę wina, dobra?
- Jasne. Dlaczego nie? Upijemy się razem. To chyba dobry
pomysł, po tym jak do mojego mieszkania wdarło się dwoje
szaleńców. Wasze rewelacje są bardzo zabawne. Jestem pew-
na, że dziennikarze bardzo by się z nich ucieszyli. Susan
umarła na anoreksję, a Robert ją zamordował. - Gdybym była
sprytna, sprzedałabym tę historię do „National Enquirer”:
sławna matka spotyka się z synem po latach i obojgu im odbi-
ja. - No, mówcie. Jak mu się udało zagłodzić ją na śmierć?
Zamknął lodówkę na kłódkę?

Bobby zgasił moją ironię spojrzeniem Indianina na wojennej ścieżce. To spojrzenie pojawiło się znikąd, tak szybko, jak nagle pozy sławnej osobistości, które przybierała Sapphire. Widząc wyraz jego twarzy, usiadłam prosto i skupiłam się na jego słowach.

- Stacy, to nie jest dowcip. Nie było cię przy tym, nie wiesz, co się działo. Ja tam byłem, a teraz muszę z tego powodu leczyć się u psychoanalityka. - Spojrzał na matkę. - No, nie tylko z tego powodu. Nie, mój ojciec nie zamykał lodówki. Susan była po prostu dla niego za słaba. Ja też byłem za słaby. Dopuszczałem, żeby to się stało. Mogłem to powstrzymać. Właśnie dlatego teraz staram się coś zrobić. Eloise to nie Susan. Nikt nie zastąpi Susan. Ale ona też nie zasługuje na śmierć.

- Bobby przepadał za swoją macochą. - Jeszcze nie słyszałam, żeby Sapphire mówiła takim łagodnym głosem.

- Susan była moją matką - wymamrotał chłopak. Był bliiski łez. Pomyślałam, że to chyba Susan nauczyła go takiego grzecznego zachowania. Wszystkie najmiłsze cechy Bobby'ego są pewnie jej zasługą. Ale kim ona, u diabła, była? Patrzyłam to na matkę, to na syna.

- Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, co się tu dzieje?

- Tata ożenił się z Susan, kiedy miałem pięć lat. - Bobby odwrócił się do mnie profilem i spoglądał przez okno. - Pracował dla wytwórni płytowej w Denver, zajmował się reklamą i informacją, nadzorował wydanie płyty, która zrobiła kłapę. Kiedy nie byłem w szkole, cały czas zajmowały się mną opiekunki. Chyba traktowały mnie dobrze, ale pamiętam, że zwykle czułem się samotny. Potem pewnego dnia tata przyprowadził do domu Susan. Już u nas została. Zajęła się mną. Zajęła się tatą. Była taka krucha i miła. Zależało jej na nas.

- A w dodatku była córką szefa - przerwała mu Sapphire. - Kapujesz, Stacy? Córką szefa, która ma za sobą kłopoty z anoreksją. Jako nastolatka kilka razy lądowała w szpitalu. Miała obsesję na tle tuszy, za wszelką cenę starała się nie przytyć. Ale kiedy wychodziła za Roberta, podobno się już z tym uporała. Skończyła dwadzieścia dwa lata i odzyskała równowagę. Potem jej ojciec zachorował na raka i umarł.

Bobby miał wtedy dziesięć lat, tak?

Bobby skinął głową. Widać było, że jest zbyt udręczony, żeby coś powiedzieć.

- Tak więc ojciec Susan strzelił w kalendarz - ciągnęła. - Pewnie nie uwierzysz, ale jakiś miesiąc później jej matka też się wyniosła na tamten świat. To się czasami zdarza takim szczęśliwym parom. Jedno umiera i zaraz potem drugie też korkuje. Dziwne, ale prawdziwe. W każdym razie Susan dostała spory spadek, całkiem niezłą gotówkę. A dalej to już szybko poszło, chociaż pewnie trudno ci będzie to pojąć. Susan znów wpadła w anoreksję. No, dobra, może śmierć rodziców tak na nią wpłynęła. Może nagle straciła apetyt. Ale było w tym coś więcej. Opowiedz jej o zdjęciach, Bobby.

Bobby wstał. Przytłaczał nas teraz wzrostem. Jego twarz wyglądała jak studium nieszczęścia.

- Tata robił jej zdjęcia i rozwieszał je w całym mieszkaniu. Wiedziałem, nawet wtedy wyczuwałem, że coś z nimi jest nie tak, ale byłem za mały, żeby wszystko zrozumieć. Po prostu miałem wrażenie, że coś tu nie gra. Dopiero po roku terapii to pojąłem, a potem domyśliłem się całej prawdy. Wróciły sprawy, które ukrywałem sam przed sobą.

Spojrzałam na niego.

- O co chodzi z tymi zdjęciami, Bobby?

- Wyglądała na nich tęgo. Na wszystkich. Nie była gruba, raczej przeciętna, nie chuda, ale też nie otyła. Jednak te zdjęcia... Ojciec tak ustawiał aparat, że na zdjęciu wyglądała tak, jakby miała podwójny podbródek. Potem to zdjęcie z podwójnym podbródkiem stawiał jej na kominku. Albo na przykład fotografował Susan, kiedy się pochylała i nad paskiem od dzinsów tworzyła się jej fałda tłuszczu. Inna kobieta po prostu podarłaby takie zdjęcia, ale Susan chodząc po domu wciąż się na nie natykała i patrzyła na nie wręcz obsesyjnie. Wiedziałem to. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Ja nie potrafiłem jej w tym pomóc, ponieważ nie wiedziałem, o co chodzi.

- Ale to nie wszystko, prawda? - zachęcała go Sapphire.

- Nie. Trudno to wytłumaczyć, bo to przebiegało bardzo subtelnie, jakby nigdy nic, ale pamiętam, jak ojciec wpatrywał się w Susan podczas posiłków. Obserwował ją. Napotykała jego wzrok niosąc do ust kawałek ziemniaka i mówiła: „Chyba nie powinnam tego jeść. Ziemniaki są takie tuczące”, a ojciec odpowiadał: „Ależ nie, Susan, co znaczy te kilka kilogramów nadwagi”. Potem patrzył na nią takim pełnym rozczarowania wzrokiem.

- Cholera. Znam to spojrzenie. - Sapphire naląła sobie następny kieliszek wina.

- Więc Susan po prostu przedstawiała jeść, a im mniej jadła, tym tata był dla niej miłszy. Mawiał: „Masz taką silną wolę, skarbie” i kupował jej ubrania. W małych rozmiarach. Nie wiem, jakie rozmiary noszą kobiety, ale pamiętam, że raz kupił jej wyjątkowo małą suknię koktajlową - piękną, z czarnego aksamitu. Przyłapałem ją, jak płakała, mierząc tę suknię przed lustrem. Nie mogła się w nią zmieścić. „Chyba muszę zrzucić kilka kilogramów, Bob”, powiedziała mi. Zawsze mówiła do mnie Bob. Twierdziła, że Bobby to dobre dla małego chłopca, a ja już jestem mężczyzną. „Lepiej będzie, jak na pewien czas przestanę jeść. Przecież chcę się kiedyś ubrać w tę przepiękną sukienkę, prawda?” Chryste, nie wiem, jak długo to trwało, ale wkrótce zabrali ją do szpitala, a mój ojciec troskliwie ją namawiał, żeby więcej jadła, i stale konferował z lekarzami, ale już było za późno. Susan doszła do wniosku, że choćby nie wiem ile czasu głodowała, to i tak jest za gruba.

- Kobieta nigdy nie jest za chuda ani za bogata - wymamrotałam.

- Może też być martwa - dodała Sapphire.

- Ale dlaczego Robert chciał ją zabić? Albo pomóc jej w tym, żeby się sama zabiła, czy jakkolwiek chcecie to nazwać.

- Położył łapę na jej forsie, skarbie. Odziedziczył wszystko. Mógł sobie pozwolić na zrezygnowanie z pracy i życie we względny luksusie w Denver. Mógł też wreszcie pieprzyć się ze wszystkimi kobietami, na jakie miał ochotę, i nie martwić się, że żona zaraz wróci do domu. On w głębi duszy nie

przepada za kobietami, Stacy. Jeśli to moja wina, cóż, trudno, ale mówię ci, nie sądzę, żeby lubił kobiety, już kiedy się ze mną żenił. Wtedy tego nie zauważałam, ale teraz mi się wydaje, że on nas wszystkich nienawidzi. I to tak, że jest zdolny do morderstwa.

- Ale przecież tak naprawdę jej nie zabił. - Nie wiedziałam, dlaczego protestuję. W sercu czułam niepokojący ucisk. Jeśli Robert jest aż tak zły, co się stanie z Eloise? - I przecież mógł wyciągnąć jakieś pieniądze od ciebie, prawda? Chodzi mi o to, że mógł zażądać alimentów.

- Skarbie, gdyby chciał się dobrać do mojej forsy, tyle by go to kosztowało, że najpierw by zbankrutował. Znam najróżniejsze sztuczki finansowe.

Spojrzałam na Bobby'ego. W jego duszy musiało kryć się tyle gniewu.

- Owszem, Robert nie zadźgał Susan nożem, ale nakłonił ją, żeby sama się zabiła. To chyba na jedno wychodzi, nie? - Sapphire uśmiechnęła się pogardliwie. - Ona go kochała.

Miłość - najdoskonalsza metoda prania mózgu, pomyślałam. Zapaliłam papierosa. Bobby wciąż stał górując nad nami dwiema i patrzył na moje pianino.

- Wszystko by dla niego zrobiła - powiedział cicho. - Żeby tylko utrzymać jego miłość. Mój psychoanalityk twierdzi, że ja nic nie mogłem poradzić. Nie miałem żadnych możliwości. W dodatku moje uczucia względem ojca były bardzo ambiwalentne. To on mnie wychowywał. Nie uciekł, nie porzucił mnie.

Sapphire założyła jedną ciasno opiętą dzinsami nogę na drugą.

- Chodzi o to, że go również kochałem. Tata... Cóż, przecież go poznałaś, Stacy, wiesz, że potrafi być cudowny, jak tamtej nocy, kiedy wyrzucił but przez okno limuzyny. Zawsze robił takie szalone, śmieszne rzeczy. Moi szkolni koledzy zachwycali się, że jest taki fajny, żalowali, że nie jest ich ojcem. Znał się na muzyce, grał z nimi w różne gry i wszystko zmieniał w zabawę. - Bobby mówił zmęczonym głosem. - Kochałem Susan, ale kochałem też tatę. Wszystkie podejrzenia

zepchnąłem na dno pamięci. Nie myślałem o tych zdjęciach, za małych sukienkach ani o spojrzeniach przy stole w jadalni. Myślałem o ojcu, którego kocham.

Sapphire najwyraźniej bez przyjemności słuchała o uczuciach Bobbyego do Roberta.

- Cholera wie, co jeszcze jej robił - odezwała się. - Bobby nie widział wszystkiego, nie słyszał, co Robert mówi do niej na osobności. Słyszę to, jakbym tam była. „Susan, kochanie, szczupłe kobiety są o wiele bardziej pociągające” albo: „Co to za małe dołeczki na twoich udach? Czy to ten cellulitis, o którym tyle się teraz mówi?” Takie różne bzdury. Potrafię to sobie wyobrazić.

Z kolei ja wstałam i podeszłam do okna. Odwróciłam się do nich plecami i patrzyłam na deszcz. Żałowałam, że się tu zjawili. Wiedziałam, co za chwilę nastąpi. Tak bardzo chciałam, żeby Daniel był przy moim boku, kiedy to się stanie.

- Stacy! - Sapphire strzeliła palcami.

Odwróciłam się, ale nadal stałam przy oknie.

- Dobra, teraz się skoncentruj - powiedziała. - Bobby miał swoje powody, żeby przez te wszystkie lata do mnie nie dzwonić, ani się ze mną nie spotykać, tak? Świetnie to rozumiem. Wielka szkoda, ale stało się. W college'u zaczął się dziwnie zachowywać, więc opiekun roku wysłał go do psychiatry. Po kilku wizytach Bobby zaczął dodawać dwa do dwóch. Kiedy wyszło mu cztery, zadzwonił do mnie, spotkałiśmy się i opowiedział mi tę historię. Nie dlatego że chce odnaleźć we mnie matkę. Po prostu martwi się i nie wie, co robić. Na tym tle jest trochę zakręcony, rozumiesz? Chce być lojalny wobec ojca, ale zaczyna rozumieć, że Robert zabił Susan. Coraz mocniej zaczyna podejrzewać, że zamierza zabić również Eloise. W końcu twoja przyjaciółka jest dużo bogatsza od Susan. Domyślam się, że kiedy Robertowi zaczęły się kończyć pieniądze po drugiej żonie, wyruszył na łowy. I proszę, kogo udało mu się upolować? Jedną z najbogatszych kobiet Ameryki. Nieźle, co? Szkoda tylko, że Eloise nie choruje na anoreksję.

Chodzi mi o to, że z Susan łatwo mu poszło. Dziewczyna miała problemy. Prawda, niewielu ludzi umiera na anoreksję, więc Robert sporo ryzykował. Ale może chciał tylko, żeby cierpiała, a jej śmierć była dodatkową premią. Oboje z Bobbym drgnęliśmy.

- Eloise nie jest chora na nic, co mógłby wykorzystać - mówiła dalej. - Ale lekarz Bobby'ego się o nią niepokoi, Bobby też, więc zasugerowałam, żebyśmy cię odwiedzili i opowiedzieli ci kilka szczegółów. Może ty wiesz coś, o czym nie mamy pojęcia. Może ci dwoje są naprawdę szczęśliwi, a Eloise to silna kobieta i Robert nie zrobi jej krzywdy. A może widziałas w jej domu obluzowaną poręcz u szczytu marmurowych schodów albo radio na krawędzi wanny, włączone do kontaktu. Sama nie wiem. W każdym razie doszliśmy do wniosku, że musimy z tobą porozmawiać. Dlatego się włamaaliśmy. Wciąż jesteś wściekła?

Odwróciłam się i spoglądałam w deszcz.

- Ma cukrzycę - powiedziałam. - Eloise ma cukrzycę.



Grudzień 1990

Sapphire chodziła po salonie jak klasyczny młody ojciec w poczekalni szpitala położniczego. To, co powiedziałam, sprawiło jej satysfakcję. Wyglądała tak, jakby miała zamiar za chwilę zacząć rozdawać prezenty.

- O to chodzi! Nie rozumiesz? On ją przygwoździ. To znaczy, zrobi jej zastrzyk z insuliny tak, że przedawkuje. Potem włoży jej strzykawkę do ręki i wyjdzie na to, że sama przedawkowała, popełniła fatalny błąd. Trach, Eloise nie żyje, a on zostaje z forszą. Pieprzony Robbo. Że też tak szybko udało mu się znaleźć jakąś bogatą dziewczynę z cukrzycą! - Potrzęsnęła głową i roześmiała się sama do siebie. Bobby opadł na kanapę i objął głowę rękami.

- Słuchajcie! - powiedziałam głośno. Usiadłam obok Bobby'ego i położyłam mu dłoń na ramieniu. - Robert na pewno nie jest głupi. Jeśli rzeczywiście zabił Susan... Bobby, nie twierdzą, że źle zapamiętałeś wydarzenia z dzieciństwa. - Uścisnęłam jego ramię. - Nie wątpię w twoje słowa, tylko wydaje mi się, że nie znamy wszystkich faktów i być może wyciągamy pochopne wnioski. Nawet jeśli celowo wpędził Susan z powrotem w anoreksję, na pewno nie zabije Eloise zastrzykiem z insuliny. Wiem, co mówię. Nie słyszałaś o przypadku Clausa von Bulow, Sapphire? Wydaje ci się, że Robert chciałby zasłużyć sobie na przydomek Syna Clausa?

To byłoby zbyt podobne. Nie powinnam wam wspominać o chorobie Eloise. Zapomnijcie o tym.

Sapphire wyrzuciła w górę ramiona teatralnym gestem.

- Skarbie, co ty, do cholery, robiłaś przez ostatnie miesiące? Nie czytałaś książki *Odmiana losu*? Sunny von Bulow nie miała nawet cukrzycy. Zdawało mi się, że pracujesz w księgarni. Jak to możliwe, że jesteś taką ignorantką?

- Ale z ciebie suka! - wysyczałam. - Nie czytam każdej książki w sklepie. Gdybym to robiła, nie mogłabym być kierowniczką. My, zwykli śmiertelnicy, musimy ciężko pracować osiem godzin na dobę. Nie jesteśmy tak niebawale utalentowani jak ty.

- Chryste! - Bobby z irytacją potrząsnął głową. - Przestańcie, dobrze? To nic nie pomoże. Trudno mi zebrać myśli, ale uważam, że Stacy ma rację. Tata raczej nie wbije jej igły w ramię. Gdyby zdecydował się na taką metodę, już by to zrobił. Rozegra to inaczej. Ja jedyny w tym pokoju naprawdę go znam. Rozegra to inaczej. Właśnie to próbowałam ci powiedzieć tamtej nocy, Stacy. Wiesz, kiedy opowiadałam ci o autostopowiczce zamkniętej w skrzyni, która potem z własnej woli dawała się więzić. Właściwie myślałam o Susan. O tym, jak zdecydowała się umrzeć. Chciałam porozmawiać z tymi ludźmi, żeby zrozumieć, dlaczego niektórzy robią takie rzeczy. Zawsze po tym, jak się z kimś kocham, myślę o śmierci i morderstwie. Kiedyś okropnie wystraszyłem jedną dziewczynę z college'u. To znaczy, nic jej nie zrobiłem. Przestraszyła się tego, co powiedziałem. Wtedy właśnie wysłali mnie do specjalisty od czubków. Zaczęły wracać wspomnienia. Tamtego wieczora, kiedy się umówiliśmy, od pięciu miesięcy chodziłem na terapię i już przypominałem sobie pewne wydarzenia. Po tym, jak się kochaliśmy, zacząłem sobie przypominać o tacie i Susan, o tym, co się między nimi działo, ale nie byłem jeszcze gotowy, żeby o tym porozmawiać. Pewnie sobie pomyślałaś, że jestem stuknięty.

- Ooo, cudownie! Wspaniale! Pieprzyliście się! Pani Piczka Zasadniczka poszła do łóżka z moim synem. Powinnam od

razu się domyślić. - Uderzyła się w czoło. - Idiotka!

- Bobby, co miałeś na myśli mówiąc, że rozegra to inaczej'

- Zdjęłam rękę z jego ramienia.

- Nie jestem pewien. Zrobi to chyba podobnie jak z Susan, Nakłoni ją, żeby się zabiła. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

- Rozumiem.

- Pewnie chcecie iść do sypialni? Może ja wam przeszkadzam? - Włożyła ręce do kieszeni dzinsów i nerwowo chodziła po pokoju.

- Och, odpieprz się, Sapphire! - wrzasnęłam. Miałam już dosyć jej scen.

- Dobra, dobra. Zdaje się, że się powinnam pogodzić z upodobaniem mojego syna do starszych kobiet. - Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i opadła na fotel. - Bobby ma chyba rację. Proste morderstwo to nie w stylu Robbo. Jest na to za cwany. Poza tym skąd miałby wiedzieć, ile insuliny potrzeba i jak się ją wstrzykuje. Mimo to... - Przejechała palcem po górnej wardze. - Wydaje mi się, że cukrzyca ma tu jakieś znaczenie.

- Ale jakie?

- Tak jak powiedział Bobby. On jakoś ją sprowokuje, żeby się zabiła. W przypadku kogoś chorego na cukrzycę to pewnie nic trudnego. Przecież codziennie ma dostęp do insuliny. Wiesz, gdzie czytałam, że cukrzyca, obok raka i zawałów, jest na liście dziesięciu chorób, które najczęściej są przyczyną śmierci.

- Jak na piosenkarkę pop strasznie dużo czytasz - powiedziałam kąśliwie.

- A ty byś wolała, żebym była głupia, tak? Chętnie byś mnie widziała jako starzejącą się głupią blondynkę? Lepiej byś się poczuła, co? Jesteś taka sama jak większość tych dupków, których znam.

- Chryste! - Bobby wstał. - Dłużej już tego nie zniosę.

- Przepraszam - odezwałam się szybko. - Siadaj, Bobby. Nie odchodź.

- Tak, Bobby. Nie zwracaj na nas uwagi.

Bobby usiadł jak posłuszny syn. I kochanek.

- Pewnie się postara, żeby nabrała odrazy do siebie samej - stwierdził. - Tak wielkiej odrazy, że... - Urwał i sięgnął po swój nietknięty kieliszek wina.

- Właśnie. Będzie czuła do siebie taką odrazę, że się w końcu zabije - dopowiedziała Sapphire. - Najlepiej wtedy, jak on będzie miał żelazne alibi. Stać go na to. Mocno wierzę, że właśnie na coś takiego go stać. Musi ją tylko odpowiednio podejść. Nie obraż się, Stacy, ale Eloise nie wygląda mi na silną kobietę. To chyba takie trochę popychle, co?

Nie odpowiedziałam. Pochłonęły mnie obrazy z przeszłości. Nasze spotkanie w akademiku, dzień, kiedy Eloise mi powiedziała, że ciąży na niej kłątwa, jej zmienne nastroje, jej przekonanie, że żyje tylko dla miłości Roberta. Eloise siedząca na brzegu mojego łóżka i ze łzami w oczach opowiadająca o swoich problemach z seksem. Potok łez w salonie, tego samego dnia po południu. Eloise pijana w Las Vegas. Właściwie od czasu małżeństwa stale widywałam ją pijaną. Zapewniała mi, że daje sobie radę z alkoholem. Dlaczego jej uwierzyłam?

Patrzyłam na Sapphire, w głowie miałam gonitwę myśli.

- Czy w tych książkach o cukrzycy natknęłaś się na jakieś informacje na temat wpływu alkoholu na tę chorobę?

- Nie. - Sapphire również na mnie spojrzała. Jej skóra miała odcień jasnych klawiszy pianina. - Czy to jej problem? Alkohol?

- Bardzo dużo pije - wtrącił Bobby. - Ale ojciec też.

- Gdzie masz telefon, Stacy? Muszę do kogoś zadzwonić.

- Jeden jest w sypialni. Drugie drzwi po prawej. Tam spokojnie porozmawiasz.

- Dzięki. - Sapphire zniknęła.

Bobby i ja siedzieliśmy w milczeniu, jakby naszym przeznaczeniem było odgrywanie ról drugoplanowych, tak jak na ślubie Eloise. Chciałam go przeprosić, że nie odpowiadałam na jego telefony, ale byłam zbyt spięta. Zastanawiałam się, do kogo dzwoni Sapphire, nie mogłam rozstrzygnąć, czy cała ta scena nie jest rezultatem wybujałej wyobraźni - Bobby'ego, Sapphire albo mojej. Żadnego z nas nie łączył z Robertem układ, który można

by było nazwać czystym. Siedzieliśmy więc w milczeniu, czekaliśmy i paliliśmy papierosy.

Sapphire wróciła z kawałkiem papieru, w którym rozpoznałam kartkę z notatnika, leżącego przy moim łóżku.

- No, dobrze. - Usiadła przed nami z kartką w ręku. Wyglądała jak dziennikarka, gotowa do wywiadu. - Czy Eloise cierpi na cukrzycę pierwszego czy drugiego typu?

- Nie wiem - odparłam zażenowana. Nigdy nie rozmawiałam z nią na temat szczegółów choroby. Sapphire spoglądała na swoje notatki.

- Czy codziennie robi sobie zastrzyki?

- Tak. - Ulżyło mi, bo jednak coś wiedziałam.

- W takim razie to pierwszy typ. Ten gorszy. - Oboje z Bobbym kiwnęliśmy głowami, jakbyśmy siedzieli w szkolnej klasie. - Zadzwoiłam do mojego osobistego lekarza, a on wyjaśnił mi krótko kilka spraw. Wszystko sprowadza się do jednego. Jeśli Eloise choruje na cukrzycę pierwszego typu, to nie powinna w ogóle pić, i kropka. Typ drugi również źle znosi alkohol, ale nic nas to teraz nie obchodzi. Lekarz dużo gadał o hiperglikemii i hipoglikemii, poziomie cukru we krwi i wartości kalorycznej różnych alkoholi, ale nic z tego nie rozumiałam. Jedno jest pewne, nie powinna pić. To rujnuje jej poziom cukru. Tak więc... Zaraz, niech sprawdzą. Zaczekajcie chwilę. - Znów spojrzała do notatek. - Jedno niebezpieczeństwo polega na tym, że Eloise się upije i popieprzy jej się dawka insuliny, po prostu przedawkuje...

- Zaraz, zaraz - wtrąciłam się. - Byłam przy Eloise następnego ranka po tym, jak za dużo wypijała. Powiedziała mi, że potrafi robić sobie zastrzyki przez sen, tak jest do nich przyzwyczajona.

- W porządku, ale mój doktor mówi, że jeśli ma cukrzycę pierwszego typu, to poza tym ma inne problemy. Krótko mówiąc, nie jest okazem zdrowia. Jeśli nadal będzie nadwężała organizm dużymi dawkami alkoholu, i tak umrze. To może potrwać kilka lat, ale z pewnością nastąpi. On mówi, że to tak,

jakby ktoś, u kogo wykryto raka płuc, postanowił zacząć palić. Nie powinna w ogóle zbliżyć się do alkoholu. Robert może spokojnie czekać, aż natura sama wszystko za niego załatwi. Miałam rację, cukrzyca jest na liście dziesięciu największych zabójców. Nie powinno się jej lekceważyć.

- Dla mnie to wszystko brzmi trochę nieprawdopodobnie.

- Westchnęłam. - Ale to prawda, że Eloise bardzo dużo pije.

„Kilka drinków pozwala mi się rozluźnić, Stacy”. Jej słowa brzmiały mi w uszach. „Wtedy jestem swobodniejsza w łóżku”. Kto jej podsunął tę myśl? Przede wszystkim, kto jej powiedział, że w łóżku jest do niczego? Kto jej wmówił, że po paru drinkach jest lepszą kochanką? Robert Chappell.

- W tej teorii jest nadal jeden niejasny punkt - zaprotestowałam, chwytając się resztek nadziei. - Dlaczego Robert miałby chcieć jej śmierci? Nie może żyć sobie szczęśliwie, korzystając z jej majątku? Eloise jest wspaniałomyślna. Na pewno daje mu to, czego tylko zapragnie. Nigdy nie liczyła się z pieniędzmi.

- Robert chciałby mieć wszystko. To proste. Nie chce się nikomu spowiadać, zwłaszcza kobiecie. Nie pojmujesz, Stacy? - Sapphire ścisnęła kawałek papieru, jakby na nim zapisała odpowiedzi na wszystkie pytania świata.

Kto zostawiał w nowojorskim domu zdjęcia Sapphire? Może lokaj? A może Robert Chappell, żeby doprowadzić żonę do załamania, zburzyć jej wiarę w siebie? Może w ten sposób starał się ją sprowokować do sięgnięcia po następną szklaneczkę Krwawej Mary dla poprawienia samopoczucia?

Kto zaplanował wyprawę do Las Vegas na koncert Kenny Rogersa akurat wtedy, gdy Sapphire też znajdowała się w tym mieście? Czyżby wiedział, że przyjedzie tam tydzień przed swoimi występami? Czy miał swoich szpiegów w przemyśle muzycznym, starych przyjaciół, którzy informowali go o ruchach byłej żony?

Dlaczego Robert wydawał się taki zadowolony po tym, jak wtargnęła do ich hotelowego apartamentu? Czy tak się cieszył z pewnego efektu, jaki to zdarzenie miało wyrzucić na Eloise?

Czy powoli usuwał jej grunt spod nóg? Burzył jej poczucie wartości, podsycił zazdrość?

Daniel twierdził, że Robert nie kocha Eloise. Od początku mu nie ufał.

Robert miał na półce książkę Daniela, ale wyparł się, że ją kiedykolwiek widział. Czy używał jej jako podręcznika do prania mózgu?

Nienawidził matki. Matka Roberta poniżała jego ojca. Pewnie uważa, że wszystkie kobiety to dziwki, które oszukują mężów, traktują ich jak śmieci i wydzielają im pieniądze.

Robert przespał się ze mną.

- Podejrzewasz, że Robert zaaranżował poznanie Eloise? - zapytałam. - Myślisz, że ją sprawdził, znalazł jej nazwisko w magazynie „Forbes”, trochę powęszył i zaplanował tę stłuczkę na ulicy? Naprawdę w to wierzysz?

Sapphire skinęła głową.

Czy tamto nasze spotkanie też zaaranżował? Czy chciał kiedyś o nim opowiedzieć Eloise, żeby doprowadzić ją do psychicznego załamania? Może jej powie, że jestem lepsza nawet od Sapphire, że powinna się uczyć od swojej przyjaciółki? Od jedynej przyjaciółki. Z łatwością potrafiłam sobie wyobrazić, jak po usłyszeniu takiej wiadomości Eloise wypija kilka butelek wódki, pada i nigdy już nie wstaje.

- Powiedz mi, Sapphire, czy kiedy byliście ze sobą, Robert często opowiadał o rodzicach?

- Nie. Powiedział tylko, że ojciec nie żyje, a matka to wspańska, uczciwa, moralna kobieta, która nie chce widzieć takiej dziwki jak ja. Jednak nigdy jej nie odwiedzał. Czasami się nad tym zastanawiałam, ale doszłam do wniosku, że wstydi się takiej żony, i dlatego trzyma się od niej z daleka.

Wstałam.

- Sapphire, podobno jesteś bardzo bogata, to prawda?

- Jeszcze jak.

- Załatwisz mi samolot? Czy masz tyle pieniędzy, żeby wynająć samolot teraz, o północy? Poleciałabym do Nowego Jorku.

- Jasne, skarbie.

Już miałam jej podziękować.

- Tylko żadnego ćpania na pokładzie, dobra? To bardzo droga maszyna. Postaraj się jej nie zepsuć.



Grudzień 1990

Siedziałam zgarbiona nad piątą filiżanką kawy w jednej z tych nowojorskich restauracyjek, gdzie klienci proszą o „to, co zwykle”. Ludzie przy barze obok mnie dyskutowali, czy będzie wojna z Irakiem, a jeśli tak, to jak szybko zetrzemy Saddama z powierzchni ziemi. Robili wrażenie entuzjastów wojny, kiedy tak pochłaniali sadzone jajka ze smażonymi ziemniakami. Mieli przejęte, pełne zapachu głosy.

- To nie będzie drugi Wietnam - oznajmił mężczyzna obok.
- Wymażemy tych Irakijczyków z mapy.

Czy studenci z Columbii będą protestowali, teraz, kiedy pobór do wojska nie jest już obowiązkowy? Ciekawe. Czy na ulice powrócą Volkswageny garbusy z wymalowanymi sloganami o potędze kwiatów, a młodzież w całym kraju będzie sobie przekazywała znak „V”? A może nastroje się zmieniły? Czy Ameryka potrzebuje wojny, którą można wygrać, wojny ze złym potworem, a nie z Ho Szi Minem?

W tej chwili zajmowała mnie moja prywatna wojna z Robertem Chappellem. Podczas lotu analizowałam w pamięci każdą scenę rozgrywającą się między Robertem i Eloise, której byłam świadkiem. Robert nalewający żonie jednego drinka za drugim, Robert nakazujący jej, żeby nie wracała na studia,

tylko została w domu, Robert kontrolujący jej życie, jak animator kukiełek.

Jak mężczyzna może najboleśniej zranić kobietę? Wystarczy jej powiedzieć, że jest do niczego w łóżku, porównać z innymi kobietami. Gdyby ją kochał, nigdy by jej tak nie zranił. Jeśli zamierzał bezczynn timerwować, jak Eloise rujnuje sobie zdrowie nadużywając alkoholu, musiałam go powstrzymać. Kiedyś mi powiedziała, że nie może eksperymentować z prochami, ponieważ ma cukrzycę. Skąd jej teraz przyszło do głowy, że wolno jej tak dużo pić?

Trzęsącymi się rękami zapłacałam rachunek. Tej nocy nie spałam. Nie wymyśliłam też żadnego rozsądnego planu działania. Będę musiała improwizować. Zrobię to, czego będzie wymagała sytuacja. Powinnam się też modlić, żeby się nie okazało, że Robert i Eloise pojechali na południe Francji albo do Londynu.

Jak odprogramować człowieka, którego mózg został poddany praniu przez miłość? W latach siedemdziesiątych rodzice dzieci, które przystąpiły do sekty Moona, wynajmowali w tym celu profesjonalistów. Najsłynniejszy z nich nazywał się Ted Patrick. Porywał te dzieciaki, wydobywał spod wpływu sekty. Słyszałam, że obdarowywał je wszystkimi materialnymi dobrodziejstwami świata, który opuściły. Chłopcom podsuwał eleganckie prostytutki, dziewczyny zabierał na wielkie zakupy. Na niektórych to działało, na innych nie. Nie była to moim zdaniem zbyt subtelna technika, i z pewnością nie poskutkowałyby w przypadku Eloise. Teraz byłam już pewna, że Robert poddał ją praniu mózgu. Robert, zastępczy ojciec, kochanek, mąż i przyjaciel. Jak miałam się z nim zmierzyć? Zapropionować Eloise, żebyśmy znów zamieszkały w jednym pokoju?

Nie miała ani siostr, ani braci, ani rodziców, nikogo, na kim mogłaby się oprzeć, gdyby odeszła od męża. Z wyjątkiem mnie. A ja dotychczas nie byłam najwrażliwszą przyjaciółką. Zniknęłam z jej życia, kiedy tylko poznałam Buddyego. Nie mogła ufać, że tego nie powtórzę. Zwłaszcza gdyby wiedziała o Robertcie i o mnie. Gdyby się o tym dowiedziała, zatrzasnęłaby mi drzwi przed nosem, nie pozwoliłaby mi ze sobą

porozmawiać. Powinnam się modlić, żeby była w Nowym Jorku, a jeszcze goręcej o to, żeby Robert nic jej nie powiedział. Jeśli już to zrobił, na nic moje wysiłki. Stałabym się dla niej uosobieniem zdrady.

Włożyłam płaszcz, wzięłam torbę i poszłam na Siedemdziesiątą Czwartą. Wypaliłam trzy papierosy, chodząc tam i z powrotem, między Piątą Aleją a Madison, jak jakiś staromodny policjant. Starłam się zebrać na odwagę. Sapphire Shannon by się nie wahała, poszłaby prosto pod drzwi Eloise. Szkoda że nie nadawała się do wypełnienia tej misji. Szkoda że to nie Sapphire jest najlepszą przyjaciółką Eloise. Mają ze sobą więcej wspólnego, niż Eloise mogłaby podejrzewać w najśmielszych myślach.

Drzwi otworzył Robert.

- Hej, hej, kogo my tu mamy! Powiew z przeszłości. Przybysz z Peorii. Wejdz, Stace. - Puścił do mnie oko. - Miło znowu cię widzieć.

- Czy Eloise jest w domu?

- Nie przywitasz się ze mną? Ojej. Czy zrobiłem coś złego?

- Czy Eloise jest w domu?

- Tak, Stacy. Jest nas gorzej. Śpi. Pamiętasz mnie, rannego ptaszka? Kto rano wstaje... ten może upolować nawet najlepszą przyjaciółkę.

Zignorowałam ten przytyk.

- Ma kaca?

Uniósł brwi.

- Może tak, może nie. Zapytam ją, kiedy się obudzi, dobrze? Chyba będzie lepiej, jak wejdziesz do środka. Wpuszczasz do domu zimne powietrze.

Zdecydowałam się. Czas na konfrontację.

- Chcę z tobą porozmawiać, sam na sam - oznajmiłam.

- To zabrzmiało groźnie. - Nucąc temat przewodni ze Strefy mroku, rzucił moją torbę na ławę, wziął mnie pod ramię i poprowadził korytarzem. - Zapraszam. - Cofnął ramię, wpuścił mnie do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. - Co u ciebie,

Stace? Jak ci minęła podróż dookoła świata? - Usadowił się w fotelu, a ja stanęłam naprzeciw. Za chwilę zacznie się rodeo.

- Nie ujdzie ci to na sucho, Robercie.

- Mmhm. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mówię poważnie. Dowiedziałam się o Susan. Wiem wszystko. Nie pozwolę, żebyś się z tego wymigał. - Zauważyłam, że nadal drżą mi ręce, więc wsunęłam je do kieszeni.

- Cieszę się, że to słyszę. - Grymas uśmiechu nie zniknął z jego twarzy. Robert wyglądał tak, jakby znalazł się w swoim żywiole. Był ogromnie zadowolony.

- Robercie... - Głos mi się trząśł, ale nie potrafiłam tego opanować. - O wszystkim powiem Eloise. Ona od ciebie odejdzie. Twoja gra się skończyła. Rozumiesz mnie?

- Och, Stace! - Wyrzucił ręce w górę. - Proszę bardzo. Powiedz jej, co ci się tylko podoba. - Mówił to lekko, jakbyśmy prowadzili przyjacielską pogawędkę. - A potem ja jej opowiem o kilku sprawach. Powiem jej, że się we mnie kochasz, i to od samego początku. Opiszę, jak mnie uwiodłaś w Las Vegas. Wyjaśnię jej, że jesteś zdesperowaną, niezamężną, nieszczęśliwą i zazdrosną kobietą, która chce zrujnować udane życie przyjaciółki. Jak sądzisz, Stacy, komu uwierzy? Myślisz, że danie wiary twoim słowom leży w jej interesie? Miałyby opuścić męża, którego kocha? Możesz opowiadać o Susan, co tylko chcesz. Wszystko wyjaśnię po swoim. Jeszcze jej nie powiedziałem o swojej drugiej żonie, ale to przecież dlatego, że bardzo cierpiałem po jej śmierci, i po prostu nie chciałem z nikim o tym rozmawiać. To jest, oczywiście, prawda.

Byłam bardzo zaskoczona, że gwałtownie nie dowodzi swojej niewinności. Zdeprymowało mnie to, że tak chętnie przyjął moje oskarżenia i lekkim tonem wypowiadał tak okropne słowa. Miałam wrażenie, że czekał na moją wizytę.

- Sapphire mnie poprze. Poproszę ją, żeby opowiedziała o twojej chorobliwej zazdrości, o tym, jak ją traktowałeś.

- A ja opowiem, jak Amy mnie traktowała, jak mnie dręczyła, poniżała zadając się z innymi mężczyznami od chwili,

kiedy się pobraliśmy. Masz pojęcie, jakie to straszne być wiecznie rogiaczem? Przecież to niezbity fakt, że Amy uciekła z innym, zostawiła mnie i Bobby'ego. Nikt temu nie zaprzeczy. Jak ci się wydaje, co wtedy czułem? Ktoś, kogo kochasz najmocniej, kobieta, której pomogłeś zrobić karierę, znika z obcym mężczyzną. Zostawia cię z małym dzieckiem, bez widoków na przyszłość. Samolubna, okropna kobieta, która przy każdej okazji popisuje się przed publicznością. Jak można się czuć przy takiej żonie? Widzę, że Amy z tobą rozmawiała. To bardzo interesujące, że uwierzyłaś w jej wersję, nie wysłuchawszy mojej. Zjednoczone kobiety przeciwko całemu światu, tak? Potęga babskiej solidarności? To nie podzielała na Eloise. Według niej, teraz to my dwoje występujemy przeciw światu. Proszę bardzo, powiedz jej, Stace. To tylko jeszcze bardziej zbliży nas do siebie, jeszcze mocniej ją ode mnie uzależni. Wybrałaś sobie misję godną kamikadze. Skończy się tak, że zniszczysz waszą przyjaźń.

Usiadłam, zapaliłam papierosa.

- Namawiasz ją, żeby piła, chociaż to źle wpływa na jej zdrowie. Mogę poprosić jakiegoś lekarza, żeby jej to powiedział.

- A ja mogę poprosić jakiegoś lekarza, żeby ci powiedział, że papierosy szkodzą. Czy wtedy rzuciłabyś palenie? Przecież czytasz ostrzeżenia na każdej paczce papierosów. Więc chyba nie. - Usiadł wygodnie w obrotowym fotelu i lekko się kręcił z boku na bok. Żałowałam, że nie mam przy sobie broni. Chętnie bym zobaczyła strach na tej beczelnej twarzy.

- Robert...

- Słucham, Stace?

- Próbujesz zepchnąć Eloise w przepaść. Fizycznie i psychicznie. Wiem, że jej wmawiasz, że nie jest dobra w łóżku. Uderzasz w każde jej czułe miejsce, a ona ma ich wiele. Oboje o tym wiemy. Ale dlaczego? Dlaczego nie chcesz z nią żyć, uszczęśliwić jej? Przecież z pewnością daję ci mnóstwo pieniędzy.

Wstał wolno, stanął za oparciem mojego fotela, nachylił się

nade mną jak kiedyś, gdy mi mówił, że jestem kłębkim nerwów.

- Przypuśćmy, że to, co mówisz, jest prawdą. To bardzo mało prawdopodobna hipoteza, ale niech ci będzie. Powiedzmy, że chcę dostać wszystkie pieniądze, nie tylko część, ale wszystkie. Założmy, że mam plan, miałem go od samego początku. Potrzebuję tylko wielkiej fortuny, żeby go zrealizować.

Chciałam się uwolnić z jego uścisku, ale przyciągnął mnie z powrotem do oparcia fotela. Każdy mięsień mojego ciała trząsał się z obrzydzenia.

- Wyobraźmy sobie - ciągnął - że mam tak dużo pieniędzy, że mogę podkupić autora piosenek Amy. Raz na zawsze. Założę się, że ci nie powiedziała, że wszystkie jej piosenki napisał jeden człowiek. Każda jej piosenka, która dostała się na listę przebojów, jest jego autorstwa, oczywiście z wyjątkiem jej własnych interpretacji klasycznych przebojów. Powiedzmy, że ten człowiek przestałby dla niej pracować i musiałaby znaleźć kogoś innego. To nie takie łatwe. Pracuje z nim od prawie dwudziestu lat, tak samo jak Elton John. Ale ty przecież się nie znasz na gwiazdach popu, prawda? - Potrząsnął moją głową na boki, tak jakbym to ja sama potwierdzała jego słowa. - Amy znajduje nowego autora i nagrywa następną płytę. Świetnie. Teraz przy puśćmy, że mając tyle pieniędzy, postarałbym się, żeby do nagrania wideoklipów wynajęto nie najlepszą ekipę, taką, o którą kiedyś wszyscy zabiegali, ale teraz jej poziom nieznacznie się obniżył. Wiesz, jaki kapryśny jest przemysł płytowy? Wiesz, jak ostro trzeba walczyć o utrzymanie się w czołówce, jak szybko przemija sława? Kilka średniej klasy klipów, niezbyt udana płyta i Amy wypada z gry. Gwiazda zaczyna błędnąć. Zaczyna wątpić w siebie. Wkrótce zupełnie gaśnie. Ale... - Wyprostował się, przestał mi szeptać do ucha i wrócił na swój fotel. - Przecież ja kocham Eloise. Nigdy bym jej nie skrzywdził. Myślisz, że ją nakłaniam do picia? Przecież nie wlewam jej alkoholu do gardła siłą. Tak się składa, że ona go lubi. Tak jak ty swoje papierosy. Jest już pełnoletnia, jak mam ją powstrzymać? Owszem, zrobię, co w mojej mocy. Tak jak to było z Susan.

Jeśli słyszałaś coś innego, to źle cię poinformowano. Wysłuchałem twoich fantazji, ale nie pozwolę ci zniszczyć mojego małżeństwa. Jesteśmy z Eloise szczęśliwi. Nic, co zrobisz, nie zburzy naszego szczęścia.

- Jesteś szalony. Naprawdę szalony! - krzyknęłam. - Nie możesz zrujnować kariery Sapphire. Ten twój pokrętny plan nigdy się nie uda. To ty żyjesz w świecie jakiejś cholernej fantazji. To wszystko przez twoją matkę. Masz spaczoną, zgorzkniałą naturę, z powodu matki. Przez to, co zrobiła twojemu ojcu, znenawidziłeś wszystkie kobiety. Zemsta na kobietach, które cię kochają, nic ci nie pomoże. Potrzebujesz fachowej pomocy.

- A więc uwierzyłaś w te historie, które ci opowiadałem? To miło. Jak pani myśli, pani Freud, czy powinienem iść do psychiatry mężczyzny czy do kobiety? - Mówił cicho, z rozbawieniem. - Jeśli chcesz rzucać na mnie jakieś dziwaczne oskarżenia, proszę bardzo. Nie krępuj się. Wystąp przeciwko mnie, spróbuj przekonać Eloise, że jestem potworem, a ty świętą. Zrób to, jak najlepiej potrafisz, Stacy. Nic nie zdziałasz. Miłość pokona wszystko, skarbie. Nawet starą przyjaciółkę. Założysz się?

Zerwałam się z miejsca i wybiegłam z gabinetu. Nie mogłam dłużej znieść jego widoku i dźwięku jego głosu. Zdałam sobie sprawę, że Robert nie znosi wszystkich kobiet, nienawidzi ich i nimi pogardza. Jakąkolwiek rolę odegrała Sapphire - czy sama skrzywdziła, czy została skrzywdzona - Robert wyszedł z tego małżeństwa ogarnięty obsesyjną żądzą zniszczenia byłej żony. Biegłam po schodach przeskakując po dwa stopnie, ale na szczycie nagle się zatrzymałam i starałam się zebrać myśli, uspokoić się. Musiałam się zobaczyć z Eloise, ale co jej powiem? Robert zapewne miał rację. Mógł dowolnie przekreślić moje słowa. Trzymał w rękawie asa - naszą niewierność. Ale jak mógł jej dowieść? Nie miał fizycznego dowodu. Wystąpi ze swoim słowem przeciwko mojemu.

A może nie? Urodziłam się z trzema pieprzykami tuż pod pępkiem. Wyglądało to tak, jakby na moim podbrzuszu ktoś

kropkami wypisał literę „i”. Nigdy nie nosiłam bikini; tak się wstydziłam tych znamion, że nawet się zastanawiałam, czy nie usunąć ich chirurgicznie. W końcu jednak zrezygnowałam. Czułam język Roberta na brzuchu. Pieprzyki były lekko wypukłe. Eloise o nich wiedziała. A teraz również Robert. Z pewnością to zapamiętał.

Mogłam powiedzieć, że mnie zgwałcił.

Jasne.



Grudzień 1990

Eloise siedziała oparta o poduszki. Obok niej stała taca ze śniadaniem. Moja przyjaciółka miała na sobie jasnyniebieską jedwabną piżamę. Kiedy ją zobaczyłam, poczułam ciepło wokół serca.

- Stace! - Wskoczyła z łóżka. - O, Boże! - Mocno mnie uścisnęła. - Co ty tu robisz? Jak cudownie! Usiądź i wszystko mi opowiedz.

Przysiadłam w nogach łóżka, a ona wróciła na swoje dawne miejsce.

- Przepraszam, że wcześniej nie zadzwoniłam, ale całą noc spędziłam w samolocie. Nowy Jork to dla mnie ostatni przystanek, więc pomyślałam, że do ciebie wpadnę.

Wyglądała dobrze, całkiem dobrze, z jednym wyjątkiem. Na jej dolnej wardze znów pojawiły się dwa nabiegłe krwią pęknięcia. Zastanawiałam się, co mam teraz zrobić. Kiedy zobaczyłam ją we własnej osobie, zdałam sobie sprawę z tego, czego wcześniej nie pojęłam, ogarnięta zapalem wybawicielki. Robert miał rację. Uświadomienie Eloise, że mąż usiłuje ją zabić, graniczyło z niemożliwością. Ona mi nie uwierzy.

- Tak się za tobą stęskniłam. - Eloise wzięła z tacy szklanekę, wypełnioną czerwonym płynem. Nie był to sok z czerwonych pomarańczy, tylko Krwawa Mary. Dochodziła dopiero

dziesiąta rano, a Eloise już piła. Robert zasługiwał na śmierć.

- Ja też się za tobą stęskniłam. Jak się miewasz?
- Dobrze, doskonale - odparła, sącząc drinka. - Tylko że...
- Że co?

- Jestem zmęczona. Szybko się męczę. Ogarnia mnie letarg. Ale nie rozmawiajmy o mnie. Powiedz, co u ciebie. Tak dawno się nie widziałyśmy. Zatrzymasz się u nas podczas pobytu w Nowym Jorku, prawda?

- Oczywiście - zapewniłam. - Naturalnie.

- Ale może wolałabyś zamieszkać u Daniela? Co się między wami dzieje? Będziecie znowu razem?

- Nie widziałam się z nim. Nie wiem. Posłuchaj, Eloise. Przyszedł mi do głowy szalony pomysł. Ubierzesz się, złapiemy taksówkę i pojedziemy na dziedziniec Columbi. Posiedzimy sobie na schodach, tak jak kiedyś. Wiem, że jest chłodno, ale na pewno sprawi nam to przyjemność. Porozmawiamy jak za dawnych czasów.

Patrzyła na mnie ospale.

- Nie możemy porozmawiać tutaj?

- Możemy, ale ogarnęła mnie nostalgia. Chodź, na pewno nam się to spodoba.

- Dobrze. - Twarz jej się rozjaśniła. - Dlaczego nie? Jak dobrze znowu cię widzieć.

Ubierała się niebywale długo, a ja trzęsłam się ze zdenerwowania, nasłuchując, czy nie zbliża się Robert. Zastanawiałam się, czy spróbuje nas rozdzielić, czy jest tak pewny siebie, że zostawi mnie z Eloise samą na tak długo, jak tylko zechcę. Pozwoli mi się pograć bez niczyjej pomocy. Po całych wiekach przeszukiwania szafy Eloise ubrała się tak jak w czasach studenckich. Włożyła dzinsy, obszerny sweter, tenisówki i skarpetki.

- Hej, a co się stało z kreacjami sławnych projektantów? - Roześmiałam się słabo.

- To jest kreacja sławnego projektanta, Stace. - Eloise uśmiechnęła się. - Pojedziemy limuzyną?

- Nie, nie. Weźmy taksówkę, jak normalni ludzie.

- Jak sobie życzysz.

Zeszliśmy na dół. Cały czas wyczekiwałam, kiedy wypadnie na nas Robert, ale się nie pojawił. W korytarzu Eloise podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu i wcisnęła guzik.

- Robert, wyobraź sobie, że Stacy właśnie przyleciała do Nowego Jorku. Czy to nie wspaniale? Nie będziemy przeskadzać ci w pracy. Właśnie się wybieramy na uniwersytet, żeby trochę powspominać. Wrócimy na lunch. - Przesłała mu całusa. - Ja też cię kocham.

Musiałśmy wyglądać bardzo dziwnie - dwie skulone z zimna kobiety zbliżające się do wieku średniego, siedzące na schodach na dziedzińcu, obserwujące studentów, którzy podążają na wykłady albo z nich wracają.

- Byłam kiedyś dobra z fizyki, prawda? - zapytała Eloise.

Od kiedy tu przyjechałyśmy, milczałam. Denerwowałam się, nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę, nie wiedziałam, co powiedzieć. Ale nie spodobał mi się ton jej głosu i to, że z taką łatwością użyła czasu przeszłego. W taksówce zachowywała się niezwykle powściągliwie, jakby się ode mnie odsunęła. Chociaż zadała kilka pytań na temat moich podróży, nie słuchała odpowiedzi. Obojętnie wyglądała przez okno.

- Oczywiście, że byłaś dobra. Nie pamiętasz, że dostałaś się na studia podyplomowe? Załujesz, że na nie nie poszłaś?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Wtedy być może nie spotkałabym Roberta.

W taksówce po cichu ćwiczyłam jedno zdanie, powtarzałam je raz za razem. Eloise, Robert chce cię zabić. Przy każdym powtórzeniu miałam nadzieję, że łatwiej mi będzie je wypowiedzieć, kiedy nadejdzie pora. Jeśli nadejdzie.

- Jesteś z nim szczęśliwa?

- Szczęśliwa? - Rozpoznawałam jej puste spojrzenie. Już je kiedyś widziałam, w dniu, w którym mi oznajmiła, że rezygnuje z dalszych studiów. Czekałam. - Każdy Amerykanin ma niezbywalne prawo do poszukiwania szczęścia - stwierdziła.

- Co chcesz powiedzieć?
- Okłamałaś mnie, Stacy. - Czułam, że się cała kurczę. Odwróciłam wzrok i zapaliłam papierosa. - Powiedziałaś mi, że ktoś się kiedyś we mnie zakocha. Zapewniałaś mnie o tym. Tamtego dnia w studenckim barku. - Jej głos brzmiał bezosobowo, unosił się w powietrzu. Nie był pełen goryczy ani złości, tylko odległy.

Wydmuchiłam dym, przetknęłam ślinę i znów zaciągnęłam się papierosem.

- A Robert cię nie kocha?

- Robert kocha Sapphire. Zawsze ją kochał, i nigdy nie przestanie.

- Jesteś pewna? - Byłam zaskoczona, i pewnie usłyszała to w moim głosie.

Otworzyła bardzo szeroko oczy i spojrzała na mnie.

- Jestem tego pewna.

- W takim razie, dlaczego od niego nie odejdziesz?

- Bo go kocham.

Wtedy straciłam panowanie nad sobą.

- Eloise, co on z tobą zrobił? - Chwyciłam ją za ramiona i potrząsnęłam. - Na litość boską, obudź się. Dlaczego pijesz od samego rana? Dlaczego w ogóle tyle pijesz? Chcesz się zniszczyć? Robert nie jest tego wart. Żaden mężczyzna nie jest tego wart.

- Nie odpowiedziała. Znowu nią potrząsnęłam. - Powiem ci coś, co powinnaś wiedzieć. On już był kiedyś żonaty, to znaczy, drugi raz. Ożenił się z kobietą imieniem Susan i...

- Och, wszystko o niej wiem - wtrąciła beznamyślnie Eloise. - Jeśli przyjechałaś tu, żeby mnie ostrzec przed Robertem... - Roześmiała się lekceważąco i delikatnie zdjęła moje ręce ze swoich ramion. - Nie zdzieraj sobie gardła. Susan umarła na anoreksję i niektórzy z jej przyjaciół uważają, że Robert się do tego przyczynił. To całkiem możliwe. - Urwała, a ja milczałam, nie wiedząc, co powiedzieć. Eloise wiedziała o Susan? - Kogo to obchodzi? - Jej wzrok podążył za przechodzącą przed nami parą studentów, obejmujących się w pasie.

- Chryste, Eloise, mnie to obchodzi. Martwię się o ciebie.

Jeśli Robert rzeczywiście przyczynił się do śmierci Susan, to może też... może...

- Może spróbować przyczynić się do mojej? - Ten sam lekceważący śmiech. - Będzie chciał mnie zabić dla moich pieniędzy? Albo skłoni mnie do samobójstwa? Posłuchaj, Stace... - Zwróciła się do mnie twarzą, para z naszych oddechów mieszała się w zimowym powietrzu. - Już się tego sama domyślałam. Wiem o Susan, ponieważ wynajęłam prywatnego detektywa, żeby zbadał przeszłość Roberta. Po Las Vegas. Nie jestem głupia. No, może przez jakiś czas byłam, ale teraz już nie. Te zdjęcia Sapphire porozrzucane po całym domu, to, jak Robert stale dolewa mi alkoholu, chociaż mu mówię, że źle się po nim czuję i że lekarz już dawno odradził mi picie. Widziałam, jak zmieniło się jego zachowanie wobec mnie. Te krytyczne uwagi, niektóre drobne, inne całkiem poważne. Dlaczego już mnie tak nie kocha, jak na początku? Czy to moja wina? Nawet nie wiesz, jak bardzo cierpiałam, jaka byłam nieszczęśliwa. Szukałam odpowiedzi, która by wyjaśniła, co się z nami dzieje. Doszłam do wniosku, że muszę się więcej dowiedzieć o jego przeszłości. Nie chciał mi wyjawić, co się działo między rozstaniem z Sapphire a naszym spotkaniem. Milczał na temat swojej przeszłości, tak jak kiedyś ja. Domyślałam się, że ma coś do ukrycia. Tak jak ja, kiedy nie chciałam odpowiadać na twoje pytania i rozmawiać o matce. On też wykręcał się od odpowiedzi, jakby nie było o czym mówić. Dlatego zgadłam, że to coś ważnego, i wynajęłam detektywa. Jest wielu takich, którzy sprzedadzą swoje usługi bardzo bogatej kobiecie. Czułam się jak JR z Dallas. Człowiek, którego mi polecono, wykonał dobrą robotę, dotarł do Denver i porozmawiał z przyjaciółmi Susan. Wszystko mi przekazał. Wtedy znałam już książkę Daniela. Jak obiecał, przysłał mi egzemplarz. Przeczytałam ją jak Biblię. Daj komuś bezwarunkową miłość, a potem wycofuj ją, kawałek po kawałku. Klasyczny manewr. Wiesz, powinnaś się spotkać z Danielem. To wspomniały człowiek.

- Tu nie chodzi o Daniela. Ty jesteś najważniejsza. Wszystko mi powiedz. Mów dalej.

Wciąż mówiła tak, jakby ta historia dotyczyła kogoś innego, jakichś ludzi, których poznała na przyjęciu. Miałam ochotę znowu nią potrząsnąć, ale się powstrzymałam.

- Daniel też jest ważny, Stace. Powinniście być razem. Kilka razy wymknęłam się z domu, żeby się z nim spotkać. Sam na sam. Przez parę miesięcy bardzo interesował mnie temat prania mózgu. Wiele o tym rozmawialiśmy. To fascynujące.

- Eloise... - Staralam się mówić spokojnie. - Skoro widzisz, że mąż robi ci pranie mózgu, i wiesz o Susan, to dlaczego się od niego nie uwolnisz? Nic nie rozumiem.

Spojrzała na mnie smutno.

- Kocham go.

- Chryste Panie! Jak możesz go kochać? W ten sposób sama siebie niszczysz.

- Miłość to nie jest coś, nad czym można zapanować. Przynajmniej nie taka miłość, jaką ja czuję. W innym wypadku nie byłoby o co walczyć. Nikt nie miałby złamanego serca. Wszyscy zachowywalibyśmy się rozsądnie i racjonalnie. Ludzie bez duszy. - Jej głos wreszcie nabrał życia. - Wiem, że Robert mnie nie kocha i najprawdopodobniej pragnie mojej śmierci, ale ja go uwielbiam. Ty tego nie rozumiesz. Nie mogłabym bez niego żyć. I nie mów mi, że wokół jest mężczyzn na kopy. To nie tak samo jak wtedy, kiedy samochód przejedzie psa, a rodzice kupują dziecku nowego szczeniaka na jego miejsce. Mnie by to nie pomogło. Robert jest nie do zastąpienia. Czy mówi się rodzicom, którzy stracili dziecko, żeby znaleźli sobie nowe? Nie, ponieważ każdy wie, że utraconego dziecka nie da się zastąpić, że nie można oszukać miłości. Robert jest miłością mojego życia. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby go stracić.

- A czy możesz sobie pozwolić na dalsze życie razem z nim? - Byłam na skraju hysterii.

- Podjęłam decyzję. Oczywiście, on nie wie, że ja wiem. Inaczej, nic by z tego nie wyszło. Żeby czuł się szczęśliwy, musi wierzyć, że ma nade mną władzę. Właściwie to nawet zabawne, tak obserwować, jaki będzie jego następny krok, jakich sztuczek użyje. Przez jakiś czas jednego dnia był dla

mnie bardzo miły, a następnego krytykował wszystko, co robiłam. Mam wrażenie, że jestem królikiem doświadczalnym. Piję wystarczająco dużo, żeby go uszczęśliwić, ale daję sobie radę z alkoholem. Wiem więcej o cukrzycy niż Robert. Nie martw się, nie upiję się i nie przedawkuję insuliny. Jeśli umrę, to z własnej woli. Dokonam świadomego wyboru.

- Co to ma znaczyć „jeśli umrę”? Nie umrzesz. Obiecay mi, że nie popełnisz samobójstwa. Musisz mi to obiecać.

- Nic ci nie mogę obiecać, Stace. Wszystkie moje obietnice się wyczerpały. Jestem zmęczona. - Zagryzła wargę. - Popatrz, na to w inny sposób. Mężczyźni idą na wojnę. Za co umierają? Za wolność, demokrację, swój kraj, za ceny ropy naftowej? Większość ludzi to akceptuje. A przecież miłość to równie ważna sprawa jak demokracja, komunizm czy ropa. Moim zdaniem nawet ważniejsza. Wiesz, że ciebie też kocham. Doceniam twoją troskę, naprawdę. Będę się starała, ale...

- Posłuchaj. Przed chwilą powiedziałaś, że on cię nie kocha. Więc nie umarłabyś za miłość, prawda? - Wytłumacz jej to logicznie, pomyślałam sobie. Dotrą do niej tylko logiczne argumenty.

- Umarłabym za swoją miłość. Violetta poświęciła swoją miłość dla szczęścia Alfreda, pamiętasz? Umarła dla niego.

- To przecież tylko opera. Fikcja. Musisz odróżniać rzeczywistość od fikcji. Błagam.

- Dlaczego? - zapytała tylko.

- Postaram się, żeby cię ubezwłasnowolnili. Zamknę cię w szpitalu i każę cię pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało, coś złego.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Nie jestem wariatką, Stace. No, może każdy zakochany to trochę wariat, ale nie odebrało mi rozumu. Postanowiłam zostać z Robertem, ponieważ go kocham. Mój problem nie polega na tym, że mąż chce mnie zabić, ale na tym, że mnie nie kocha. Nie czuje do mnie żadnej namiętności - to zachowuje dla Sapphire. Gdyby był o mnie zazdrosny, chciałby mnie udusić, byłoby inaczej. Miałabym

jakaś nadzieję. Ale ja tylko mu zawadzam. Może przez jakiś czas nie zmienię tej sytuacji, żeby tylko przy nim być, patrzeć na niego, słuchać go, dotykać. A może się poświęcę i naprawdę go uszczęśliwię. Usunę się.

- Poświęcisz się? On nie jest bogiem. Dlaczego po prostu nie oddasz mu swoich pieniędzy? - zaproponowałam szybko.

- To by wszystko załatwiło. On tylko ich pragnie. Ma ten swój szaleńczy plan. Sądzi, że jeśli dostanie twój majątek, zrujnuje Sapphire. Daj mu pieniądze, jeśli chcesz go uszczęśliwić. Poświęć dla niego swój majątek, a nie siebie.

- Już mi to przyszło do głowy. Ale są prawnicy, będą chcieli wiedzieć, dlaczego to robisz. Będą zadawali pytania. Poza tym rozczarowałabym Roberta. Duża część moich pieniędzy jest zamrożona. Nie dostałby ich wszystkich naraz. A jeśli dostałby tyle, ile mu potrzeba, odszedłby. Zostałabym sama i wiedziałabym, że on gdzieś tam jest. Z kimś innym. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak taka myśl na mnie działa. Wolałabym umrzeć.

- Eloise, Robert zabił kobietę. Ty chyba tego w pełni nie rozumiałaś. Jak możesz nadal go kochać?

- Być może Robert zabił Susan, a ja być może zabiłam matkę. Mamy równy stan konta.

Wstałam i zaraz znowu usiadłam. Uderzyłam się pięścią w czoło. Zapaliłam następnego papierosa. Eloise siedziała spokojnie, patrząc na Bibliotekę Butlera.

- Nie zabiłaś swojej matki. To wcale nie to samo. Potrzebny ci psychiatra.

- Stace, wysłuchaj mnie. Przynajmniej raz. Nie myśl o swoim życiu, o tym, czego ode mnie oczekujesz, pomyśl o mnie. Chciałabyś, żebym żyła w rzeczywistym świecie. Mój świat składa się z ludzi, których bezwarunkowo kochałam i którzy pozornie odwzajemniali mi się tym samym, ale nagle znikali, zabierając ze sobą miłość. Moja matka, ojciec, a teraz Robert. To jest mój rzeczywisty świat. Żaden psychiatra nie zwróci mi tej miłości, a jedynie tego pragnę. Chciałabym odzyskać matkę, ojca i Roberta. Tych troje ludzi. Właśnie ich, i nikogo więcej.

Proponujesz, żebym się rozwiodła z Robertem. I co potem? Miałabym brać sobie co chwilę nowego męża, jak Barbara Hutton? Życ samotnie? Już tego próbowałam, i nie spodobało mi się. Nie znosiłam samotności. Nie chcę też, żeby jakiś wazniak od psychiatrii mówił mi, że muszę pokochać siebie samą. Co dobrego by to dało? Tak szczerze.

- To mogłoby ci pomóc - odparłam cicho.

- Nie pomogłoby - ucięła szybko. - Po prostu uszanuj moje uczucia, Stace. Być może zakochałam się w nieodpowiednim człowieku. W mężczyźnie, który mnie nie kocha. Ale to nie zmienia moich uczuć wobec niego. Nie namówisz mnie, żebym opuściła Roberta. Moja decyzja jest nieodwołalna, nie rozumiesz tego?

- Nie, nie rozumiem. Mówisz jak Eva Braun w berlińskim bunkrze. Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać? - Zaczęłam płakać ciężkimi, pełnymi rozpaczycy łzami.

Eloise mnie objęła. Wokół nas przechodzili studenci. Pragnęłam cofnąć się do naszych studenckich czasów, postępować mądrzej, mniej samolubnie, z większym zrozumieniem. Chciałam mieć znowu dziewiętnaście lat i wystarczającą inteligencję, żeby powiedzieć Eloise, że potrzebuje pomocy. Poważnie traktować ją i jej złe nastroje, a nie żartować, żeby ją wydobyć z depresji. Dlaczego tak szanowałam jej prywatność? Skryte myśli Eloise stały się jej piekłem. Powinnam się wtrącić. A ja tylko cały czas mówiłam o sobie. Opuściłam ją, kiedy na scenie pojawił się Buddy. Nie byłam prawdziwą przyjaciółką. To Eloise była dla mnie prawdziwą przyjaciółką.

- Stace, to nie twoja wina. Nie mogłaś dla mnie zrobić więcej, niż zrobiłaś, dając mi swoją przyjaźń. - Eloise jasnowidząca. Odsunęła się ode mnie i położyła mi rękę na policzku, jak małemu dziecku. - Teraz idź się spotkać z Danielem. Nie jest związany z nikim innym. Kocha cię. Znajdź go, nie zachowuj się więcej tak niemądrze. I nie martw się o mnie. Nie zabiję się. Pójdziemy dziś wieczorem do Regency i obejrzymy Recydywistę. Zaraz potem wyświetlają Podejrzenie. Doskonały zestaw. Spotkaj się z Danielem, potem wróć do nas i opowiedz mi o wszystkim. Jak mogłabym się zabić, skoro

wciąż jeszcze wyświetlają filmy z Cary Grantem?

Roześmiałam się przez łzy. Śmiech przyniósł chwilową ulgę.

- Dobrze. Dobrze, teraz zabieraj tyłek na Dziewięćdziesiątą Trzecią - popędzała mnie. - Widzisz, nawet nauczyłam się wyrażać nowocześnie. No, głowa do góry.

Siedziałam bezradnie na schodach, a Eloise wstała i poszła w stronę Broadwayu. Patrzyłam na jej plecy. Odwróciła się i pomachała mi z uśmiechem. Potem zatrzymała taksówkę.



Grudzień 1990

Mieszkanie Daniela okazało się takie, jak sobie wyobrażałam; nieporządne, zadymione, z książkami i kubkami nie dopitej kawy na podłodze. Miły bałagan. Daniel nie wyraził zaskoczenia, gdy usłyszał mój głos w domofonie; nie objął mnie ani nie pocałował, kiedy otworzył drzwi, tylko wskazał mi dwa fotele w rogu pokoju i zapalił Pall Malla.

Jego obecność natychmiast mnie obezwładniła. Te przenikliwe czarne oczy, zaczesane do tyłu włosy i niski głos działały na mnie paraliżująco. Wydawał się taki swobodny, dobrze się czuł we własnej skórze, był tak zadowolony, chociaż nie radosny. Usiadłam zdenerwowana, rozdarta między potrzebą pomocy Eloise a gwałtownym pragnieniem ponownego wkroczenia w życie Daniela.

Rozmawialiśmy o mojej przyjaciółce. Opowiedziałam mu o wszystkim, pominęłam tylko to zdarzenie z Robertem w Vegas. Powtórzyłam fragmenty rozmowy z Sapphire i Bobbym, porannej utarczki z Robertem i przytoczyłam całą dyskusję z Eloise na stopniach Columbii. Potem poprosiłam go o radę i pomoc.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, a brodę na rękach. - Jak ci mówiła, spotkaliśmy się kilka razy. Odbyliśmy parę interesujących rozmów. Chciałem o niej z tobą podyskutować, o jej zdrowiu

emocjonalnym, ale myślałem, że nie jesteś już nią zainteresowana. Ani mną. Jak wiesz, zawsze traktowałem Roberta podejrzliwie. Nie podobały mi się jego oczy. Od początku też dziwiło mnie, że tak szafuje alkoholem. Wszyscy sporo pijemy, ale są granice. Nie byłem pewien, do czego on zmierza, dlaczego się stara, żeby żona była ciągle pijana. Potem, kiedy wysłałem jej książkę, Eloise do mnie zadzwoniła i przysłała na spotkanie. Rozmawialiśmy. Pytała na przykład: „Jeśli ktoś chce komuś zrobić pranie mózgu, to czy atakuje wszystkie jego słabe punkty naraz, czy stopniowo, jeden po drugim?” To inteligentna kobieta. Oczywiście się domyśliłem, że chodzi o jej związek z Robertem. Bo dlaczego byłaby tym tak zainteresowana? Ale doszedłem do wniosku, że powinienem zaczekać, nie prowokować konfrontacji, po prostu dać jej informacje, których potrzebowała. Rozmawialiśmy hipotetycznie. W końcu, mniej więcej po czwartej wizycie, zapytałem wprost: „Rozmawiamy o Robercie, prawda?” Potwierdziła. Wygląda wspaniale, kiedy mówi prawdę. Ma taką uczciwą twarz. Ostrzegłem ją: „Jeśli Robert zabawia się z tobą w takie gry psychologiczne, powinnaś być bardzo ostrożna. Nie chcesz chyba zostać ofiarą”. Odpowiedziała: „Czy nie jesteśmy wszyscy ofiarami własnych uczuć?” Potem zaczęła monolog o miłości. Wyjaśniała, że miłość to dla niej coś tak ważnego, jak sprawa polityczna. Jej uczucia do Roberta mają wymiar wręcz religijny. Nie porzuci go. Płomiennie mnie o tym zapewniała. Wyrażała się zadziwiająco jasno i zwięźle. Niemal mnie zwerbowała do szeregów wyznawców miłości. To było bardzo interesujące.

- Raczej przerażające.

- Wiesz, Sonia nie opuściła Raskolnikowa, chociaż wiedziała, że zamordował dwie kobiety. Podążyła za nim na Syberię. Jeśli czytałaś kilka razy *Zbrodnię i karę*, zauważyłaś pewnie, że Raskolnikow to wyjątkowo pozbawiony serca typ. Przy nim Robert to miły człowiek.

- To jest fikcja, Danielu. Eloise mówi o operach, ty o Dostojewskim. Próbuje ocalić jej życie. Musisz mi pomóc.

- Wydaje mi się, że Eloise od dawna szukała ołtarza, na

którym mogłaby się złożyć w ofierze. Jeśli nie trafiłby się jej Robert, to byłby to ktoś inny. Ona sama chce zostać ofiarą. Ludzie ciągle się zakochują i nie czują potrzeby, żeby się przy tym zabić. Większość wyzwala się z nieudanych związków, buduje nowe życie, znajduje inną miłość. Ale są tacy, co nie chcą zrezygnować, kurczowo czepiają się dawnej miłości, rozkoszują się własnym bólem. Jestem pewien, że ich widziałas - kobiety i mężczyźni, którzy chodzą ze zgorzkniałym spojrzeniem i opuszczonymi kącikami ust. Nigdy nie przestają mówić o byłych mężach czy żonach. Nie twierdzę, że Eloise lubi cierpieć, ale otrzymała już trzy ciosy - najpierw matka, potem ojciec, teraz Robert. Nie chce zbudować sobie nowego życia, ale chyba też nie chce cierpieć. Pragnie tylko na swój sposób kochać Roberta, wierzyć w tę miłość. To odwieczne pytanie. Czy można ocalić kogoś, kto nie chce być ocalony?

- Możesz spróbować. Ja też spróbuję.

- Sam nie wiem. - Zamyślił się, patrząc w sufit. - Mielibyśmy szansę, gdyby Eloise okazała się prawdziwą ofiarą prania mózgu. Pamiętasz przypadek Patti Hearst? Przeżyła wstrząs - porwanie. Potem zakochała się w jednym z porwaczy, przejęła jego poglądy, obrabowała bank z jego bandą, była na najlepszej drodze, żeby zostać pełnoprawnym członkiem grupy terrorystycznej. Poddano ją praniu mózgu. Potem policja zastrzeliła jej czarnoskórego chłopaka-porywacza w zasadzce i ten wstrząs skutecznie zatarł pierwszy. Wyszła z podziemia, przyłączyła się do społeczeństwa, została najzwyczajszą żoną i matką. Co prawda, poślubiła swojego ochroniarza, a to też jakoś świadczy o jej charakterze. Chodzi o to, że należałoby spowodować w życiu Eloise jakiś szok. To mogłoby nią na tyle wstrząsnąć, że jeszcze raz zastanowiłaby się nad swoim stosunkiem do Roberta. Nie. - Pokręcił głową. - To nie podziała. Różnica polega na tym, że Eloise jest aktywną uczestniczką tych wydarzeń. Wiele rozmawialiśmy o praniu mózgu. Wiem, że Eloise poddała się temu z własnej woli. Zabawne, ale w zasadzie to ona ma władzę. Doskonale zdaje sobie sprawę, co się dzieje. W pewien sposób, to ona manipuluje Robertem.

- Jeśli ma zamiar się zabić, to nim nie manipuluje, tylko daje mu to, czego on chce.

- Tak, ale co będzie, jeśli Robert w końcu nie dostanie, czego chce? Jeśli nie uda mu się zrujnować kariery Sapphire? Taki ułożył sobie dziwaczny plan. Jeśli mu się nie powiedzie, w jakiej sytuacji się znajdzie? Ktoś tak zwichrowany psychicznie jak on może się posunąć do zamordowania Sapphire. I co potem? Po śmierci Sapphire nie będzie miał po co żyć, z psychicznego punktu widzenia. Eloise wygra, chociaż dosyć okrężną drogą.

- Ale nie będzie już żyła. Tak jak i Sapphire.

- Co do tego masz rację. - Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie chłodnym, taksującym spojrzeniem. - Dobrze, że wróciłaś. Już więcej nie uciekaj. Tak nie można.

W pracy przedstawiciele handlowi różnych wydawnictw ciągle starali się sprzedać mi swoje książki, przekonywali, żebym się zainteresowała ich ofertą. Moje zadanie polegało na wyborze odpowiednich tytułów, a potem na nakłonieniu klientów, żeby kupowali książki, które wybrałam. Dla niektórych przedstawicieli byłam łagodniejsza niż dla innych, kupowałam od nich kiepskie książki, bo tak świetnie się o to starali, albo po prostu dlatego, że ich bardzo lubiałam. Jeden z przedstawicieli, z wydawnictwa zajmującego się albumami o sztuce, tak mnie rozśmieszał, że zawsze zawierał ze mną korzystną umowę. Czasami z powodzeniem ryzykowałam i zamawiałam nikomu nieznaną książkę nic nieznaczących autorów, ale czasami źle na tym wychodziłam. Miałam doświadczenie w sztuce perswazji. Podejmowałam decyzje, które książki umieścić na wystawie, które położyć na najbardziej wyeksponowanym miejscu na półkach, do których zachęcać stałych klientów.

Ale jak miałam zachęcić Eloise do życia bez Roberta? Jak ją namówić, przekonać, że jest tego warta? Kiedy rozmawiałyśmy, była taka zrezygnowana. Najwyraźniej chciała zostać przy mężu mimo tego, co o nim wiedziała. Ode mnie zależało, czy zmieni zdanie.

Daniel pojechał ze mną na Siedemdziesiątą Czwartą. Potrzebowałam go; nie wiedziałam, jaki ma być mój następny krok, ale jednego byłam pewna - że już nigdy nie chcę zostać sam na sam z Robertem.

Kiedy tam dotarliśmy, drzwi otworzyła Sarah i oznajmiła, że państwo Chappell są nieobecni. Nie miała pojęcia, gdzie poszli i kiedy wrócą. Moja torba wciąż leżała na ławie przy drzwiach, więc ją zabrałam. Wolałam czekać na powrót Eloise i Roberta u Daniela, więc poprosiłam Sarah, żeby powiadomiła panią Chappell o mojej wizycie i przekazała, że czekam na jej telefon u pana Sterne'a.

- Dopilnuj, żeby ta wiadomość dotarła do samej pani Chappell - nakazałam surowo. - Nie do pana Chappella, tylko do pani Chappell.

Miała zirytowaną minę, ale skinęła głową. Wróciliśmy tak-sówką na West Side.

- Czuję się jak jojo - powiedział Daniel. - Czy powtórzymy tę podróż, jak tylko Eloise zadzwoni?

- Tak - potwierdziłam krótko.

Ale Eloise nie zadzwoniła. Odczekałam dwie godziny i sama wykręciłam jej numer. Odebrała Sarah i zawiadomiła nas, że państwo jeszcze nie wrócili.

- Przekażę, żeby pani Chappell zadzwoniła do pani - zapewniała dziewczyna. Czekałam następną godzinę, krążąc po mieszkaniu Daniela, paląc i unikając rozmowy na temat mojego życia w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy.

Zadzwoniłam jeszcze raz i otrzymałam tę samą odpowiedź.

- Nie możesz się dowiedzieć, gdzie oni wyszli? - zapytałam.

- Niby jak miałabym to zrobić? - Sarah była coraz bardziej poirytowana moimi pytaniami.

- A nie wiesz, czy zabrali limuzynę?

- Tak sądzę.

- W takim razie podaj mi numer ich telefonu w limuzynie.

Dała mi numer, ale Eloise albo nie było w samochodzie, albo wyłączyła telefon.

- Co mam teraz robić? - zapytałam Roberta błagalnie.

- Nic - odparł. - Nic innego nie możesz zrobić. Wypal pięćdziesiątego z kolei papierosa i napij się kawy. Chcesz oglądać Oprah Winfrey?

- Nie. Muszę coś zrobić. Gdzie on ją zabrał? Dlaczego jeszcze nie wrócili? To wszystko mi się nie podoba.

- Prawdę mówiąc, mnie też nie. - Daniel pogładził mnie po czubku głowy. - Ale nie możemy zawiadomić policji. Przecież w końcu pojechała gdzieś z własnym mężem. Poza tym Robert w limuzynie nie wbije jej noża w plecy. Pamiętaj, że musi się pilnować. Może jest jakieś niewinne wyjaśnienie. Chociaż założę się, że nic, co robi Robert, nie jest całkowicie niewinne.

Podniosłam z podłogi jedną z książek. Ślepa wiara Joe McGuinnessa. Prawdziwa historia o mieszkającym w New Jersey mężczyźnie z wyższej klasy średniej, filarze społeczeństwa, który organizuje zamordowanie żony. Bestseller. Z gniewem zwróciłam się do Daniela.

- Dlaczego tyłu mężczyzn morduje swoje żony? Dlaczego tyłu pragnie je zabić? Czy kobiety są też takie okropne? Dlaczego wy nas tak nienawidzicie?

- Nie złość się, wariatko, takie są fakty. Czasami mężczyzna ma dość wszystkiego. Nie może już dłużej słuchać ciągłych narzekania. Dlatego marzymy o tym, żeby zamordować żonę. A niektórzy to robią.

Zadzwoił telefon, więc rzuciłam się w jego stronę.

- Nic mnie nie obchodzi, że to może być jakaś twoja dziewczyna. Odbiorę. - Kiedy usłyszałam w słuchawce głos Sarah, ogarnęło mnie rozczarowanie.

- Właśnie dzwoniła pani Chappell. Powiedziała, żebym pani przekazała, że oboje idą na kolację do przyjaciół. Zapomniała o tym zaproszeniu. Bardzo jej przykro i prosi, żeby się pani rozgościła w domu. Powiedziałam, że zatrzymała się pani u pana Sterne'a. Kazała przesłać pozdrowienia i życzyła cudownej nocy. Żałuje, że nie pójda panie razem do kina. Obiecała rano zadzwonić.

- Dziękuję. - Odłożyłam słuchawkę. - Sarah mówi, że poszli na przyjęcie - wyjaśniłam Danielowi. - Eloise zadzwoni jutro rano. Zgadzasz się, żebym u ciebie została?

- Oczywiście. - Urwał na chwilę. - Ale coś sobie wyjaśnijmy. Nie interesuje mnie przyjaźń z tobą. Mogę zostać tylko twoim kochankiem. Wszystko albo nic. Nie będę owijał w bawełnę. To nudne.

- Dobrze. - Teraz ja urwałam. - Wszystko. Ale dzisiaj w nocy nie będę w stanie się zaangażować w żadne namiętne sceny. Myślę tylko o Eloise. Dzisiaj bądź moim przyjacielem, dobrze? Potem zajmiemy się naszymi sprawami.

Poszliśmy na dwa filmy do Regency. Daniel zastępował Eloise. Nie pamiętałam już fabuły Podejrzania. Joan Fontaine, młoda żona Cary Granta, stopniowo nabiera przekonania, że mąż chce ją zabić dla pieniędzy. Siedząc w ciemnościach, pomyślałam sobie, że to zbyt wielki zbieg okoliczności. Film przerażająco przypominał historię Roberta i Eloise. Jednak w końcu Cary okazuje się kochającym mężem, nie mordercą. Wszystkie znaki wskazujące na jego winę były tylko błędną interpretacją prawdy.

Czy Alfred Hitchcock starał się mi coś przekazać z za grobu? Zadawałam sobie to pytanie wychodząc z kina. Czyżbyśmy wszyscy, włącznie z Eloise, źle osądzili Roberta, mylnie odczytali znaki? Może on rzeczywiście ją kocha?

- A wiesz, że Hitchcock chciał, żeby Cary okazał się mordercą? - powiedział mi Daniel, kiedy szliśmy po Broadwayu. - Nakręcił taki koniec filmu, w którym Cary zabija żonę. Pewnie podobało mu się, że gładki, przystojny Cary mógłby być w głębi duszy złym człowiekiem. Potem studio filmowe narobiło rabanu i zmusiło go do zmiany zakończenia. Wiadomo, że Hollywood nie lubi smutnych finałów, a Cary Grant musiał grać sympatycznych facetów. Szkoda.

Po powrocie Daniel oglądał Arsenio Hall Show, ale ja nie umiałam się skoncentrować. Dlaczego Eloise nie zadzwoniła do mnie osobiście? Znała numer Daniela. Kiedy się dowiedziała, że się u niego zatrzymałam, mogła zadzwonić. Może się śpieszyła. A może wcale się nie wybierała na przyjęcie. Kłamała i nie chciała tego robić bezpośrednio - tak jak ja wolałam napisać list w sprawie mojej podróży dookoła świata. Jeśli tak, to gdzie się podziewa? Gdzie zniknęli razem z Robertem?

Mogli pojechać wszędzie. Musiałam zaczekać do rana, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Tej nocy skulona przytuliłam się do Daniela, oparłam głowę na jego piersi i w myślach ćwiczyłam spotkanie z Eloise. Co jej powiem i jak. Odejdę z pracy, zamieszkam z Danielem i będę się widywała z Eloise, kiedy tylko zajdzie potrzeba. Będę ją chroniła, dopilnuję, żeby nie piła, postaram się, żeby odeszła od Roberta tak szybko, jak tylko możliwe. Znajdę jej dobrego psychoanalityka, będę razem z nią chodziła na wizyty. Odciągnę ją od Roberta. W myślach przejmowałam za nią odpowiedzialność - była moją siostrą. Będę do końca walczyła, żeby dobrze ułożyła sobie życie. Już jej nie porzucę, nie wycofam się, nie ucieknę. Raz w życiu zostanę na miejscu i będę walczyła o człowieka, którego kocham.



Grudzień 1990

List przyszedł o dziesiątej trzydzieści następnego dnia. Zadzwoiłam do Eloise, ale dowiedziałam się tylko, że państwo Chappell jeszcze nie wrócili i nikogo nie poinformowali o miejscu swojego pobytu. Do drzwi zadzwonił posłaniec. Daniel zażartował, że to pewnie sprzedawca odkurzaczy, ale we mnie zamarło serce, kiedy zobaczyłam mężczyznę z zaadresowaną do mnie kopertą.

- To od Eloise - powiedziała Danielowi. Stałam na środku mieszkania i raz po raz obracałam białą kopertę w rękach.
- Chyba nie chcę tego czytać.

- Musisz, Stacy. - Daniel z ponurą miną wziął mnie za rękę, zaprowadził na fotel, zapalił mi papierosa i włożył do ust.
- Musisz to przeczytać.

- Nie chcę. - Płakałam. Drżałam tak mocno, że nie mogłam zapanować nad ruchami. Daniel usiadł na fotelu obok i czekał w milczeniu. - Wiem, co to jest.

- Nie, nie wiesz. Może się mylisz.

- Nie myślę się. Ona nie żyje. Czuję to. Od kiedy się obudziłam, mam przecucie czegoś ostatecznego. Ona to zrobiła, Danielu. Zabiła się. Wiem to. - Nie ocierałam łez. - Wszystko schrząniłam. Chryste. Pozwoliłam, żeby to się stało.

- Przeczytaj list.

Kochana Stace,

Przepraszam cię, że nie dotrzymałam obietnicy. Mówiąc melodramatycznie, kiedy przeczytasz ten list, ja już nie będę żyła. To nie twoja wina i nie chcę, żebyś się czuła za to w jakikolwiek sposób odpowiedzialna. To moja decyzja, podjęłam ją sama. Jestem niezwykle zmęczona i nie umiem sobie poradzić z dalszym życiem. Jestem w tym samym wieku, co moja matka, kiedy się zabiła. Zdaje się, że Freudyści uznaliby to za ważny fakt, i pewnie tak jest.

Wiesz, czego najbardziej nienawidzę? Tego, że nie zachowałam o niej żadnych wspomnień. Przecież trzyletnie dziecko powinno coś zapamiętać - zapach perfum, cokolwiek. Wiem, że lubiła lilie, ale to gospodyni mi o tym powiedziała. Nie pamiętam, jak matka całowała mnie na dobranoc, nic o niej nie pamiętam. Właśnie dlatego nie trzymałam na wierzchu żadnych jej zdjęć. Chciałam sobie przypomnieć, jak wyglądała, bez pomocy z zewnątrz. Pragnęłam, żeby to przyszło z serca, a nie z fotografii. Ale pamiętam tylko ból, który czuję od zara. Ból i głębokie poczucie straty.

Kiedy tata wycofał się z mojego życia, miałam o nim aż za dużo wspomnień. Pamiętałam restauracje, do których mnie zabierał, opery i to, że zawsze traktował mnie jak niezwykłą, dorosłą osobę. Dlaczego więc w pewnej chwili przestał mnie uważać za swoją przyjaciółkę? Nigdy się tego nie dowiem, mogę tylko zgadywać. Przeze mnie umarła matka. Byłam odpowiedzialna za jego ból, za jego poczucie straty. Nigdy ze mną o niej nie rozmawiał, a przecież zawsze tak jest, że jeśli ktoś unika jakiegoś tematu, to dotyczy to najważniejszej sprawy w jego życiu. Może ta francuska kochanka trochę mu pomogła, ale na pewno nie zastąpiła mojej matki.

Nie pasowałam do szkoły z internatem. Moja wina. Zamknęłam się w sobie, trzymałam się na uboczu, do nikogo się nie zbliżyłam. Nasza przyjaźń w Barnard była taką cudowną niespodzianką. Tego zupełnie się nie spodziewałam. Postanowiłam zamieszkać w akademiku, bo nie chciałam być sama w nowojorskim domu i mieć za jedyne urozmaicenie tak rzadkie wizyty taty. Nie oczekiwałam jednak, że zyskam taką przyjaciółkę

jak ty. Dostałam niespodziewaną premię od losu.

Potem, cóż, ty miałaś swoje życie, a ja coś, co też mogło uchodzić za życie. Nigdy siebie w pełni nie zrozumieję, nigdy nie pojmę, dlaczego nie poszłam na studia podyplomowe. Dokonujemy takich dziwnych wyborów, a one rządzą naszą przyszłością. Wydawało mi się, że na studiach doktoranckich profesorowie odkrywają, że tak naprawdę to nic nie wiem. Kiedy dostawałam dobre stopnie, uważałam, że po prostu dopisało mi szczęście. Brak wiary w siebie jest niszczący, a ja w ogóle w siebie nie wierzyłam. Ale przecież ty to wiesz.

W tamtych czasach chyba specjalnie starałam się tak okropnie wyglądać, bo wtedy mogłam sama siebie krytykować, zanim zrobił to kto inny. Nie wiem, czy to ma jakiś sens. Jeśli ludzie mnie odrzucali z powodu mojego wyglądu, pocieszałam się, że przynajmniej nie robią tego, bo nie podoba się im moja osobowość. Och, Stace, wiem, że piszę bzdury. Jestem wyrzutkiem. Nie ze względu na pieniądze - to byłoby zbyt proste. Nie. Ze względu na moją duszę. Ja po prostu nigdzie nie pasuję.

W Europie żyłam jak nomada. Wędrowałam z kraju do kraju i nigdzie nie znajdowałam miejsca. Nie mogłam należeć do śmietanki towarzyskiej, ale z drugiej strony nie mogłam też pracować w McDonalddie. Czasami żałuję, że wcześniej nie dowiedziałam się o twoim rozwodzie z Buddym. Może przyjechałabym do San Francisco. Pewnie dobrze byśmy się bawiły. Ale co ja mówię! Przecież wtedy nie poznałabym Roberta.

Nie użalam się nad sobą - jak już mówiłam, to ja dokonywałam wyboru. Jestem odpowiedzialna za swój ból.

Robert to wszystko zmienił. Wszedł w moje życie i dał mi wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam - wiarę w siebie, miłość, szczęście. Wszystko. Potrafił nawet tak mnie rozśmieszyć, jak kiedyś ty. Dobrze się bawiliśmy - nie żartuję. Pamiętasz tę piosenkę Freda Astaire, „Nie mogą mi tego zabrać”? Nikt nie może mi zabrać tych miesięcy z Robertem. Są prawdziwe. Nawet jeśli Robert grał, dla mnie to była rzeczywistość. To następna teoria, której być może nie zrozumiesz, ale się postaraj. Te pierwsze miesiące są warte wszystkiego. Mówię

poważnie. Byłam wtedy kompletnie, całkowicie spełniona. Ilu ludzi może tak powiedzieć o jakimś okresie swojego życia? Uważam, że mi się powiodło.

Kiedy wszystko zaczęło się walić, byłam nieszczęśliwa. I zła. Zdarzało się, że to ja chciałam go zabić. Zawsze bałam się swojego gniewu. Ale potem przeanalizowałam to racjonalnie. Robert miał obsesję na tle Sapphire, a ja na jego tle; jak znam życie, niewykluczone, że Sapphire też ma obsesję na tle kogoś, kto jej nie kocha. To łańcuszek nieodwzajemnionych, złych miłości. Tak się zdarza bardzo często. Nikt nie może zagwarantować, że człowiek, którego kochasz, odwzajemni ci się tym samym. To jest jak loteria, a ja przegrałam.

Powiesz pewnie, że powinnam go rzucić. Rzucić go i żyć dalej.

A czy wiesz, że on śpi na boku, z głową opartą na ramieniu? Wiesz, że rano zapina ostatni guzik koszuli, a potem wciąga ją przez głowę? Czy to nie szczególny sposób wkładania koszuli? Czy to nie najdziwniejszy powód żeby kogoś kochać? Kocham jego nawyki i drobne dziwactwa. Uwielbiam jego małe ręce i kawałek grafitu z ołówka, który tkwi tam od szkolnych czasów. Widać go tuż pod skórą, obok linii życia. Ma krótką linię życia. To mnie martwi.

Mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem, Stace. Ani z nim, ani bez niego nie potrafię żyć. Och, myślałam, że mogę z nim żyć, chociaż wiem, że pragnie mojej śmierci, ale jest inaczej. Dlaczego? Ponieważ on zabija coś o wiele bardziej ważnego. Zabija te pierwsze miesiące - a tylko on może mi je odebrać. Za każdym razem, kiedy na mnie warczy albo nalewa mi drinka, to jakby odcinał kawałek tamtych dni; stają się dla mnie bardziej odległe, nierealne. Chwytam się ich jak tonący brzytwy, ale ona stale mi się wyślizguje. Jestem zmęczona. Chcę umrzeć, dopóki jeszcze jest za co umierać.

Mogliśmy mieć dziecko - tak, wtedy byłoby inaczej. Ale Robert mi powiedział, że powinniśmy przeżyć trochę czasu we dwoje, zanim się zdecydujemy. Oczywiście, nigdy nie dałby mi dziecka. Nie mam na to najmniejszej szansy. Żadnej szansy.

Uważam, że powinnam się utopić. To najlepszy sposób.

Tylko trochę się boję, że zniesie mnie do morza, a potem wylowi mnie jakiś nieszczęsny rybak. To nie byłoby fair, prawda? Cóż, z pewnością coś wymyślę.

Zostało mi już tylko kilka rzeczy do powiedzenia. Wiem, że poszliście z Robertem do łóżka. I nie winię cię za to. Kiedy napisałaś mi w liście, że wyjeżdżasz w podróż dookoła świata, zadzwoniłam do B. Daltona, żeby się dowiedzieć, gdzie się najpierw zatrzymasz. Ten, kto odebrał telefon, nie miał pojęcia, o czym mówię. Powiedział, że wyszłaś na lunch, ale wkrótce wrócisz i że o ile jemu wiadomo, nigdzie się nie wybierasz. Po dwóch tygodniach zadzwoniłam jeszcze raz, żeby się upewnić. Nie dzwoniłam do ciebie do domu, bo wtedy już zaczynałam się domyślać. Tak szybko wyjechałaś z Las Vegas, unikałaś rozmów ze mną, wymyśliłaś jakąś niemądrą historię.

Dlaczego? Jaki miałaś powód, żeby mnie unikać? To, że nie chciałaś widywać Daniela, to osobna sprawa, ale dlaczego mnie? Dlaczego nie chciałaś nawet porozmawiać?

Często mi mówiłaś, że chyba mam zdolności paranormalne. Cóż, wtedy chyba rzeczywiście się nimi wykazałam. Nagle wszystko stało się jasne. Po prostu wiedziałam, że to się stało. Byłam tak nieszczęśliwa, Stacey, tak przerażona. Moja najlepsza przyjaciółka i mój mąż. Jednak w tym czasie już dopuszczałam do siebie myśl, że mąż, że Robert mnie nie kocha. Nie przypominam sobie dokładnie ciągu zdarzeń, ale chyba po przeczytaniu książki Daniela uświadomiłam sobie, że Robert mógł mieć powód żeby się z tobą przespać, i nie było to tylko dla seksu. Zaplanował, że kiedyś mi o tym powie. Żeby mnie zranić. Zabawne, ale poczułam ulgę - okazało się, że poszedł z tobą do łóżka ze względu na mnie, a nie dlatego, że jesteś kobietą jego marzeń.

Powinłam była zadzwonić, żeby ci powiedzieć, że rozumiem, ale byłam zbyt zajęta własnym życiem, a poza tym minęło dużo czasu, zanim ci wybaczyłam. Piszę to, bo naprawdę ci wybaczyłam. Miałaś rację mówiąc, że są rzeczy ważniejsze od seksu. Jesteś moją przyjaciółką, która popełniła błąd! - sama popełniłam ich tak wiele, że wiem, jak to się łatwo przytrafia.

Biedny Robert. Powiedział mi o tym w drodze tutaj. Próbował

cię odmalować jako złą przyjaciółkę, która zagięła parol na niego. Jestem coraz lepszą aktorką i chyba udało mi się zagrać oszołomioną i zranioną żonę. Robert nie będzie zaskoczony, kiedy znajdzie moje ciało. Ale chcę, żebyś pokazała mu później ten list. Chciałabym, żeby wiedział, co dla niego zrobiłam. Niech się dowie, że nie byłam głupia. Może zakocha się we mnie po mojej śmierci. Jestem taka zmęczona, że nie wiem, czy wyrażam się zrozumiale, ale wierz mi, Stacy, że moje myśli są całkiem jasne. Pamiętasz Nixona - „Chcę, żeby jedno było całkiem jasne...” Teraz mamy Busha i być może niedługo następną wojnę, ale nic się dramatycznie nie zmieniło, prawda?

Jeszcze coś. Wprowadziłam dość dziwną zmianę w testamentie. Wkrótce się dowiesz. Zrobiłam to w zeszłym tygodniu. Pomysł trochę szalony, ale jestem z niego zadowolona.

Nie lituj się nade mną, Stace. Wiesz, jak tego nie znoszę. Pora już wracać do domu. Chcę zobaczyć, gdzie zawiezie mnie ta taksówka. Pragnę znów spotkać się z matką.

23

Grudzień 1990

Kiedy tylko skończyłam czytać list od Eloise, zadzwoniłam na Siedemdziesiątą Czwartą. Odebrała Sarah. Ledwie mogła mówić.

- Sarah, gdzie jest pani Chappell? Muszę to wiedzieć.

- Ona nie żyje - wyszłochała. - Oboje nie żyją. Wydawało mi się, że się przesłyszałam.

- Pani Chappell nie żyje? - Serce we mnie zamarło. - Powiedziałaś, że pani Chappell nie żyje?

- Tak, pani Chappell i pan Chappell. Właśnie dzwoniła policja, z domu na Cape Cod. Okazuje się, że tam oboje pojechali. Co ja mam teraz robić? Jak to się stało?

- Jesteś pewna? - Przewyciężyłam szok. - Jesteś pewna, że pan Chappell też nie żyje?

- Tak, jestem pewna - wyjęczała. - Policja mi powiedziała. Podobno pan Chappell się zabił. Panią Chappell znaleźli... O, Boże... Znaleźli ją w wannie. Utopiła się. Zdaniem policjantów to jest podwójne samobójstwo. Chcieli wiedzieć, czy państwo mieli jakichś krewnych. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Co robić?

- Nie wiem. Nie wiem. Nie potrafię ci pomóc. Chryste... - Odwiesiłam słuchawkę i z listem w ręku zwróciłam się do

Daniela. - Ona nie żyje. Robert też. Byli w domu na Cape. Oboje nie żyją. Zabili się. Chryste... Przeczytaj to.

Daniel wziął list. Stał jak posąg i przewracał kartki. Kiedy skończył, odszedł w drugi koniec pokoju.

- Daniel?

- Słucham? - Usiadł przy półkach na książki, opierając się o sztuki Szekspira.

- Daniel, mów do mnie. Proszę.

- Co mam powiedzieć? Że jesteś głupia? Że przespałaś się z mężem najlepszej przyjaciółki, kiedy ja... Co ja robiłem? Grałem w pokera. Wspaniale.

- Byłam taka zagubiona i...

- Głupia. Naiwna. Nie ma sensu, żebym pogłębiał twoje poczucie winy. I tak pewnie je masz. Eloise ci przebaczyła, więc ja też chyba powinienem. Ale to nie jest łatwe. Wcale nie łatwe.

- Ona nie żyje. On nie żyje. Nic nie rozumiem. Nie wierzę w to.

- Zrobię kawę. Usiądź, zanim się przewrócisz.

Chwiejnie podeszłam do fotela, a Daniel wstał i poszedł do kuchni, nie wypuszczając listu z ręki. Kilka minut później wrócił z dwoma kubkami, wręczył mi jeden i ustawił sobie fotel naprzeciw mojemu. Kawa parzyła mnie w język. Piłam małymi łykami.

- Sądzisz, że powinniśmy tam pojechać? Na Cape? - zapytałam.

- To nie miałyby większego sensu. Moglibyśmy pójść zobaczyć ich w kostnicy, ale to chyba niezbyt dobry pomysł.

- Ona nie żyje - powtórzyłam. - Naprawdę nie żyje. Dlaczego jej nie powstrzymałam?

- W tej sprawie nie masz monopolu na poczucie winy. Ze mną też rozmawiała. Przychodziła do mnie. Ja też powinienem coś zrobić.

Umilkliśmy. Zaczęłam płakać. Daniel zapalił papierosa.

- Nie bardzo wierzę w to podwójne samobójstwo - odezwał się, kiedy skończył palić. - Dlaczego Robert miałby się zabijać? Coś tu się nie zgadza.

Ledwie go widziałam przez łzy.

- Może wszyscy się co do niego myliliśmy. Znalazł jej ciało i zabił się. Boże, a jeśli on ją kochał, a my pomogliśmy jej uwierzyć, że tak nie było? Jeśli to nasza wina? To ta twoja cholerna głupia książka!

- Naprawdę myślisz, że gdyby Robert ją kochał, przespałby się z tobą i w dodatku jej o tym powiedział? Oprzytomniej. I nie próbuj zwalić wszystkiego na moją książkę.

- Przepraszam, przykro mi - powiedziałam.

- Cóż, mnie też jest przykro. Mnie również zależało na Eloise. Jeśli poszła do nieba, jeśli ono w ogóle istnieje, to Bóg ma szczęście, że ją tam gości.

- Daniel... - dokończenie tego zdania sprawiało mi trudność - wiem, że nie powinnam iść do łóżka z Robertem. To się stało tuż po naszej kłótni. Cholera. Nie mam żadnego sensownego wytłumaczenia. Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie, to wiedz, że było okropne.

- To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. - Nadal siedział i patrzył, jak płacę. - Uważam, że powinnaś zadzwonić do Bobby'ego. Pewnie jeszcze nikt się z nim nie skontaktował. On musi się dowiedzieć. Masz numer jego telefonu? - Daniel zaczął myśleć praktycznie.

Przestałam płakać.

- Tak. Bobby jest z Sapphire. Mam numer ich hotelu. Zatrzymali się w Los Angeles, w Bel Air.

- Dobrze. Jesteś w stanie zadzwonić, czy ja mam to zrobić? - Jego głos złagodniał, ale tylko trochę.

- Ja zadzwonię.

Na Zachodnim Wybrzeżu dochodziła trzecia nad ranem. Bobby odezwał się zaspanym głosem. Kiedy oznajmiłam mu, co się stało, zabrakło mu głosu.

- Chyba będzie najlepiej, jeśli tu przyjedziesz - powiedziałam. - Trzeba zorganizować pogrzeb.

- Jezu Chryste. Tata. Tata się zabił? Nie wierzę.

- Przykro mi, Bobby. To prawda. Policja z Cape Cod zawiadomiła pokojówkę z ich nowojorskiego domu. Mnie też

trudno w to uwierzyć. Może powinieneś zabrać ze sobą Sapphire? Pomogłaby nam.

- Musiała wyjechać na jakiś koncert. Przyjadę tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Przykro mi, że musiałam ci to powiedzieć. - Odłożył słuchawkę. - Przyjedzie jak najszybciej - przekazałam Danielowi, unikając jego wzroku.

- Dobrze. Powinniśmy chyba pójść do domu Chappellów. Może więcej się dowiemy, a poza tym Eloise nie miała nikogo bliskiego oprócz nas. Właściwie Robert również. Bobby będzie potrzebował wsparcia, kiedy się tu zjawi. Pomożemy mu z pogrzebem. Dasz sobie z tym radę, Stacy?

- Sama nie wiem. - Potrząsnęłam głową. - Chyba tak.

- Weźmiemy ze sobą ten list. Policja zechce go zobaczyć. - Łzy powróciły gwałtownym strumieniem. - Słuchaj, wiem, że jest ci ciężko. Straciłaś najlepszą przyjaciółkę. Doznałaś wstrząsu. Powiem szczerze, że ta sprawa z Robertem mną poruszyła. Ale zostanę przy tobie podczas najbliższych dni. Pomogę ci, ile będę mógł. Teraz tylko tyle potrafię dla ciebie zrobić.

- Dziękuję - odparłam.

Wzruszył ramionami.

Następne trzy dni pamiętam jak przez mgłę. Wybierałam trumny z Bobbym i Danielem, decydowałam, gdzie odbędzie się pogrzeb, gdzie zostaną pochowani. Najlepszym miejscem wydał mi się Cape Cod - mały przykościelny cmentarz w Falmouth, skąd widać było morze. Formalności związane z przygotowaniem pogrzebu przeplatały się z wizytami policji. Do Nowego Jorku przyjechało dwóch detektywów. Zadawali pytanie dotyczące stanu umysłu Eloise i Roberta. Wręczyliśmy im list. Daniel postarał się wyciągnąć od nich wszystkie informacje, jakie uzyskała policja.

Robert i Eloise pojechali na Cape w piątek, tuż po tym, jak Eloise wróciła do domu po rozmowie ze mną. Odwiózł ich Edwin, ale wiedział tylko tyle, że to był pomysł pana Chappella, który chciał świętować pierwszą rocznicę ślubu w

domu na Cape Cod. Nie było w nim innej służby; Deborah miała jak zwykle zajrzeć tam w sobotę rano, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, więc to właśnie ona miała nie-
szczęście znaleźć ich ciała. Edwin zatrzymał się u rodziny, mieszkającej dwadzieścia minut drogi od domu Chappellów.

Eloise, z wielką ilością insuliny we krwi, wystarczającą do wywołania śpiączki, znaleziono w wannie. Wyglądało na to, że zrobiła sobie zastrzyk, a potem weszła do wanny, żeby się utopić. Pomyślałam, że w ten sposób chciała uchronić od wstrząsu jakiegoś biednego rybaka. Ale dlaczego przedtem wstrzyknęła sobie insulinę? Daniel zgodził się, że to dziwne, ale jeśli to Robert podał jej tę śmiertelną dawkę, nie zastrze-
liłby się. Tak przynajmniej rozumowała policja. Upozorował-
by samobójstwo żony i miałby nadzieję, że nic się nie wyda. Kiedy pokazaliśmy detektywom list Eloise, utwierdzili się w przekonaniu, że to było samobójstwo.

Robert zmarł trzy godziny po Eloise - mniej więcej o jedena-
stej wieczorem. Policja doszła do wniosku, że idąc spać znalazł żonę w wannie. Przerażony i zrozpaczony chwycił broń, ułożył się na małżeńskim łóżku i strzelił sobie w serce. Podwójne samobójstwa nie zdarzają się tak rzadko. Nie było żadnych śladów walki ani włamania do domu, więc trudno o inne wytłumaczenie. Eloise Chappell martwiła się, że mąż już jej nie kocha. Zabiła się w ataku depresji. Robert Chappell znalazł ciało żony i pełen żalu i wyrzutów sumienia odebrał sobie życie. Takie wnioski nasuwały się same.

Opowiedziałam jednemu z detektywów historię Susan, ale on się zbytnio nią nie zainteresował. Żadne konkretne fakty nie były znane, nie znaleziono bezsprzecznych dowodów winy Roberta. Właściwie ta opowieść tylko potwierdziła teo-
rię, że Robert, czując się winnym tragicznej śmierci drugiej i trzeciej żony, mógł postanowić się zastrzelić.

Daniel i ja musieliśmy się z tym zgodzić, ale żadne z nas do końca nie wierzyło, że Robert był zdolny do wyrzutów sumienia. Potem dowiedzieliśmy się czegoś, co wszystko zmieniło.

Ojciec Roberta zabił się. Nie umierał powoli, nękany chorobą, jak powiedział mi Robert, tylko się zastrzelił. Jakie to wszystko było symetryczne, jakie niesamowite. Matka Eloise się utopiła, ojciec Roberta się zastrzelił. Ich dzieci wybrały takie samo wyjście.

- Biedny Bobby - powiedział Daniel. - Co za dziedzictwo.

Po wyprawie do zakładu pogrzebowego Daniel i Bobby poszli na długi spacer po Riverside Park.

- To nie jest zły dzieciak - stwierdził Daniel, kiedy wrócił do domu na Siedemdziesiątej Czwartej. Siedziałam sama w salonie i przyglądałam się fotografiom Roberta i Eloise. Nie potrafiłam się zmusić, żeby wejść na górę i przejrzeć jej szafy, uporządkować wszystko, co po niej zostało. Wybieranie trumny dla Eloise też było okropne. Dyrektor zakładu pogrzebowego próbował nas nakłonić, żebyśmy kupili najdroższy model. Ja wybrałam tani, bez jedwabiu i falbanek. Dyrektor sugerował, że Eloise nie będzie wygodnie po śmierci. Wszystko to było dość ponure. Wyobrażałam sobie Eloise, która już na zawsze miała spocząć pod ziemią. Nie będzie mogła zagryzać wargi ani owijać kosmyka włosów wokół palca. Ta ostateczność bezsensownej śmierci wpędzała mnie w rozpacz i pozbawiała nadziei.

Dlaczego Eloise już nie ma? Jak mogłam tak bardzo ją zawiść? Była w takim stanie psychicznym, że nie powinnam pozwolić jej odejść. Dlaczego nie zatrzymałam jej przy sobie? Zwiodła mnie obietnica wspólnej wyprawy na filmy z Cary Grantem. Roześmiałam się z ulgą i patrzyłam, jak przyjaciółka znika z mojego życia. Nie potrafiłam dać sobie rady z jej bólem, więc postanowiłam uwierzyć, że jakoś Eloise wytrwa. W rezultacie spotkał mnie ból tak wielki, że wcześniej nawet go sobie nie potrafiłam wyobrazić. Życie bez Eloise wydawało się puste. Jej śmierć zostawiła wyrwę w moim sercu.

- Bobby jest bardzo inteligentny. Gdybym ja przeszedł to co on, byłbym o wiele bardziej szurnięty - ciągnął Daniel.

Nie słuchałam go. Przyglądałam się Eloise i Robertowi. Objęci uśmiechali się z fotografii. Czy on ją kochał? Może generalnie nienawidził wszystkich kobiet, ale jak można nienawidzić Eloise? Nigdy by go nie oszukała, nie chciała rządzić

jego życiem. Robert musiał zdawać sobie z tego sprawę. Może Eloise miała rację w tym, co napisała w liście. Po jej śmierci Robert być może by się w niej zakochał. Ostateczna ironia losu.

- On chyba wierzy, że śmierć ojca wyrównała rachunki. Udowodniła, że Robert miał uczucia. W każdym razie, to miły chłopak. Jutro też zabiorę go do miasta. Najlepiej dla niego, żeby wychodził z tego domu tak często, jak to tylko możliwe. Powiedziałem mu, że po pogrzebie powinien wrócić na uniwersytet i uczyć się jak wariat. Niech na jakiś czas całkowicie poświęci się studiom. I, oczywiście, nie wolno mu zaniedbywać wizyt u psychoanalityka.

Sama chętnie bym wyszła z tego domu, ale nie zaproponowałam im swojego towarzystwa. Stosunki między mną a Danielem bardzo się rozluźniły. Traktował mnie jak znajomą, i to nie bardzo bliską. Co wieczór wracał do swojego mieszkania na West Side, a ja zostawałam w tym samym pokoju gościnnym, który zajmowałam za życia Eloise.

Jej śmierć podziałała na mnie na wiele sposobów. W ciągu dnia, o najróżniejszych porach, nagle zdawałam sobie sprawę, że nucę jakąś arię z opery, którą widziałyśmy razem prawie dwadzieścia lat wcześniej. Arię niezbyt znaną, której przedtem wcale nie pamiętałam. W środku rozmowy z Bobbym, Danielem albo policją, przypominałam sobie jakieś wspólne posiłki z Eloise; pierwsze danie, drugie, deser, dokładny wygląd restauracji, naszą rozmowę. Moja pamięć działała na najwyższych obrotach. Żyłam przeszłością. Z Eloise. Pewnej nocy przyśnił mi się nawet jej sen. Śniło mi się, że jestem Eloise i tańczę z Fredem Astaire na dachu domu. Obudziłam się i nie mogłam przestać płakać.

Na pogrzeb przyszło bardzo niewielu ludzi. Edwin, Sarah, lokaj Fryderyk, Bobby, Daniel, ja i mężczyzna, który przedstawił się jako prawnik Eloise.

Zawodowi żałobnicy wnieśli do kościoła dwie trumny i postawili je obok siebie. Pastor, który nie znał ani Roberta, ani

Eloise, powiedział kilka słów o tej „tragedii” i wyrecytował sonet o śmierci. Śpiewaliśmy hymny, modliliśmy się, potem poszliśmy na cmentarz i patrzyliśmy, jak opuszczają trumny do dwóch sąsiadujących grobów. Na trumnie Eloise, zanim przysypano ją ziemią, położyłam kilka lilii. Nie płakałam.

Eloise poprosiła mnie kiedyś, w liście napisanym po śmierci ojca, żebym nie oglądała jej ciała, więc tego nie zrobiłam. Kazałam ją pochować w różowym kostiumie, który miała na sobie w dzień przed ślubem. Przez chwilę myślałam o kraciatkach, ale szybko odrzuciłam ten pomysł. Skarpetki to był osobisty dowcip mój i Eloise. Bóg mógłby się na nim nie poznać.

Stojąc nad grobami Bobby górował nad nami wszystkimi. Włosy miał trochę dłuższe, przez co wydawał się teraz bardziej podobny do matki; trochę nieokiełznany, imponujący. Sapphire odmówiła udziału w pogrzebie. Powiedziała Bobby'emu przez telefon, że jej zdaniem, obecność ekszony nie byłaby stosowna. Bobby zgodził się z nią.

Po nabożeństwie na cmentarzu, nasza mała grupka poszła do domu na Cape, na kanapki i herbatę. Bobby siedział apatycznie w wiklinowym fotelu i spoglądał na ocean. Fryderyk i Sarah czuli się trochę niezręcznie, nie wiedzieli, czy mają podawać kanapki, czy zachowywać się jak goście.

Prawnik Eloise, David Lee, gładki elegant w drucianych okularach i garniturze w paski, z dwurzędową marynarką, podszedł do mnie i Daniela, kiedy siedzieliśmy na kanapie i paliliśmy papierosy.

- Czy mogę z państwem porozmawiać na osobności? - zapytał.

Poszliśmy za nim do gabinetu, znajdującego się na tyłach jadalni. Kiedy przechodziliśmy przez jadalnię, usłyszałam dudniący głos Roberta: „Wszyscy powinni mnie kochać. Przecież jestem Lolitą”. I wywołałeś tyle nieszczęść, co Lolita, pomyślałam.

David Lee strzepnął jakiś pyłek z ramienia.

- Jak państwo wiedzą, jestem prawnikiem Eloise. Możemy

formalnie ogłosić testament, ale występują w nim pewne wątpliwe zapisy. Ściśle mówiąc, jeden wątpliwy zapis. Pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak państwa teraz o tym poinformuję, ponieważ... cóż... - Wahał się, spoglądając to na mnie, to na Daniela. - Nie jestem pewien, jakie łączą państwa stosunki. Być może postarają się państwo zakwestionować warunek, jaki postawiła pani Chappell. Jest bardzo nietypowy. Czekająby nas całe lata procesów sądowych.

- Na czym polega problem? - Daniel przecesał ręką włosy.

- Chyba powinni państwo usiąść. - David Lee wskazał nam dwa fotele. Sam nadal stał. Zdjął okulary i po chwili znowu je włożył.

Przeglądałam się portretowi ojca Eloise, wiszącemu na przeciw nas, nad biurkiem. Nigdy przedtem go nie widziałam. Jej ojciec był na nim młody, miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Uśmiechał się. Zauważyłam takie same brązowe oczy jak u Eloise.

- Testament został zmieniony na tydzień przed śmiercią pani Chappell. Moim zdaniem, była wtedy w pełni władz umysłowych, ale oczywiście samobójstwo nieco zmienia postać rzeczy. Wszystko może się bardzo skomplikować.

- Słucham dalej. - Daniel nerwowo stukał nogą. Ja wciąż patrzyłam na oczy Paula Parkera.

- Krótko mówiąc, pani Chappell zapisała jedną trzecią swojego majątku wydziałowi fizyki Uniwersytetu Columbia. Na stypendia, prace badawcze i tym podobne.

Brawo Eloise, pomyślałam.

- W porządku - zniecierpliwił się Daniel. - Na czym polega problem?

- Podaję tutaj wielkości przybliżone, bo w grę wchodzi skomplikowane rozliczenia finansowe. W każdym razie, upraszczając, trzecią część swojej fortuny zostawiła panu Robertowi Chappellowi. Oczywiście, ponieważ pan Chappell nie żyje, to jeśli nie dokonał innych ustaleń w swoim testamencie, pieniądze przejdą na jego syna.

Daniel zapalił papierosa.

- Rozumiem, że problem leży w ostatniej części majątku.
- Zgadza się.

David Lee zdenerwowany spoglądał to na Daniela, to na mnie i zacierał ręce.

- Jedna trzecia spadku przypada pani, pani Carroll. - Wróciłam do panińskiego nazwiska. - Jednakże pod warunkiem, że poślubi pani obecnego tutaj pana Sterne'a. Oczywiście, próbowałam zniechęcić panią Chappell do takiego zapisu. To niezwykley zapis. Ale pani Chappell była zdecydowana.

Daniel objął głowę rękami i zaczął się śmiać.

- Bardzo mi się to podoba!

- To jakieś szaleństwo - zaprotestowałam. - Napisała mi w liście, że zrobiła coś dziwnego ze swoim testamentem. Ale to... - Umilkłam. Daniel patrzył w sufit i nadal się śmiał.

- Doskonałe. Takie romantyczne zakończenie. Co za konsekwencja. Eloise, punkt dla ciebie!

- Może to nie jest najodpowiedniejsza chwila, ale chciałem zapytać, czy mają państwo tego rodzaju plany? To znaczy, czy zamierzają się państwo pobrać? To uprościłoby procedurę.

- Ja nie... my nie... To znaczy...

- Stacy nie może w tej chwili zebrać myśli, panie Lee. Nie wątpię, że pan to rozumie. Myślę, że potrzeba nam trochę czasu, żeby to przedyskutować. Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu wydarzeń.

- Nie, oczywiście, że nie. Oto moja wizytówka. Proszę się ze mną skontaktować w Nowym Jorku, kiedy już się państwo zastanowią. Tymczasem zbadam całą sprawę. Sprawdzę, jaka jest państwa prawna sytuacja. Kiedy pani Chappell sporządzała testament, nie zakładałem tak szybkiej śmierci. Myślałem, że jeszcze go zmieni.

- Bardzo dziękuję. - Daniel wstał i uściśnął rękę prawnika.

- Będziemy w kontakcie.

Nie ruszyłam się z miejsca. Eloise. Kupidyn z za grobu, ze złotym łukiem i strzałą. Co jej przyszło do głowy?

- Jeszcze jedna sprawa. Powiedziałem, że majątek podzielono na trzy części, ale to nie jest dokładnie tak. Uniwersytet

Columbia dostanie trochę mniej, ponieważ z przypadającej mu części pewna suma została przeznaczona dla niejakiego Johna McNeal. Pani Chappell nie znała jego adresu. Może państwo go znają?

- John McNeal? - zdziwiłam się. - Nie znam żadnego... - Urwałam. - Wydaje mi się, że pracował jako jej szofer we wczesnych latach siedemdziesiątych. Firma musi mieć gdzieś jego akta.

- Dziękuję. - Pan Lee podał mi wiotką dłoń i zniknął. Daniel znów się roześmiał.

- Podziwiam ją za to, naprawdę.

- Danielu, ona usiłuje nas przekupić, żebyśmy się pobrali. Nie widzę w tym nic śmiesznego. Nie rozumiem, o co tu chodzi.

- A ja tak. Eloise doszła do wniosku, że wie, co dla nas najlepsze, i w ten sposób wymierzyła nam lekkiego kopniaka w tyłek. Bała się, że sami nie zrobimy tego, co trzeba, że wszystko schrzaniemy. O to właśnie jej chodziło. Jeśli się z nią zgodzimy, to zrobimy to, co chce, i będziemy bogaci. Jeśli nie, cóż, jestem pewien, że udałoby ci się skutecznie zaskarżyć ten warunek. Jakie to staromodne. Henryemu Jamesowi by się to spodobało.

- Chcesz powiedzieć, że wybaczyłbyś mi ten epizod z Robertem, bo Eloise ci zapłaciła? To absurd. Coś okropnego.

- Słuchaj, niemądra. Zawsze twierdziłaś, że Eloise ma zdolności parapsychologiczne. Pewnie odgadła, że się dowiem o tobie i Robertcie, że dasz mi ten list do przeczytania albo sama mi o tym powiesz, z poczucia winy. Domyśliła się, jak zareaguję. Męska duma. Zazdrość. Takie tam. Nie chodzi tu o pieniądze, chociaż one oczywiście też się liczą. Chodzi o to, że Eloise była przekonana, że jesteśmy dla siebie stworzeni, nawet po tym wszystkim, co zaszło. Pieniądze mają mnie zmusić do zastanowienia, mają skłonić do tego nas oboje. Bardzo jej na nas zależało. Chce, żebyśmy oboje pozbyli się dumy i wątpliwości i żyli razem długo i szczęśliwie. Postanowiła, że warto spróbować. Dobrze, że to zrobiła, chociażby dlatego, że ten nieprzytomny ze zdenerwowania pan Lee to

był niezły widok. Nie przepadam za takimi gładkimi prawnikami. Daj spokój, - Położył mi rękę na ramieniu. - Pora wracać do Nowego Jorku.

Kiedy wyjechaliśmy na drogę 195, zaczął padać śnieg. Niespełna rok temu Eloise bawiła się na śniegu z Robertem. To nie był ten sam śnieg. Nigdy już nie będzie.



Grudzień 1990

Daniel zaproponował, żebyśmy następnego dnia poszli na mecz Knicksów. Zaproponował też, żebym na dwa tygodnie zatrzymała się w jego mieszkaniu. On będzie spać na kanapie. Trochę pomieszkamy razem i zobaczymy, co z tego wyniknie. Mieliśmy też w ogóle nie wspominać o testamencie Eloise.

- Potrzebujemy chwili oddechu, Stacy. Będziemy ze sobą przebywać, udając, że nie wisi nad nami ten miecz. Po dwóch tygodniach porozmawiamy. Czy to rozsądna propozycja?

- Chyba tak. - Wciąż jeszcze nie doszłam do siebie po tym podwójnym samobójstwie i wiadomości o testamencie, więc cieszyłam się, że ktoś podejmuje za mnie decyzje. Daniel zadzwonił do B. Daltona, udając mojego lekarza. Powiedział, że miałam ostry atak wyrostka robaczkowego i potrzebowałam wypoczynku po operacji. Twórcze kłamstwo.

Dużo spałam. Oglądaliśmy razem telewizję. Poszliśmy na parę koncertów. Spacerowaliśmy. Daniel zaczął częściej mnie dotykać, ale wyłącznie po przyjacielsku. Wieczorem, przed upływem dwutygodniowego terminu, który sobie wyznaczaliśmy, zadzwoniła Sapphire Shannon. Zaprosiła mnie na następny dzień na lunch w jej apartamencie w hotelu Carlyle. Ku własnemu zaskoczeniu, przyjąłam zaproszenie.

Sapphire otworzyła drzwi w jaskrawo różowych legginsach, różowej spódniczce, fioletowym swetrze i fioletowych butach do kolan.

- Co się stało z džinsami? - zapytałam.

- Czas na zmiany - odparła. - Wejdz i siadaj. Napij się wina. Ogłaszamy zawieszenie broni?

- Jasne. - Usiadłam na kanapie. Sapphire naląła mi kieliszek białego wina. - Tylko nie włamuj się więcej do mojego mieszkania.

- Umowa stoi. - Usiadła obok mnie i chwyciła mnie za ramię. - Tak mi przykro z powodu Eloise. Naprawdę. To straszne. Straszne jak cholera.

- Straszne - potwierdziłam. - Bardzo mi jej brakuje. Wciąż myślę o wspólnie spędzonych chwilach i nie mogę uwierzyć, że już nie wróca.

- Wspomnienia. Potrafią zabić, mówię ci.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Sapphire wpuściła do pokoju hotelowego kelnera, który popychał przed sobą stolik na kółkach z dwoma talerzami sałatki z tuńczyka i z bułkami.

- Mam nadzieję, że ci to odpowiada. Nie chciałam, żeby nam przerywali, więc zamówiłam wcześniej.

- W porządku.

Sapphire podpisała rachunek i kelner, najwyraźniej jej wielbiciel, niechętnie wyszedł.

Wróciła na kanapę i zwróciła na mnie swoje chmurne niebieskie oczy.

- Opowiedz mi o niej, Stacy. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Eloise. Jaka była naprawdę. Co to był za człowiek.

Opisałam ją, jak umiałam najlepiej. Czułam, że muszę zrobić to dobrze, jakbym wygłaszała mowę pogrzebową. Nie miałam siły zrobić tego na cmentarzu, ale ponaglana pytającym wzrokiem Sapphire, tutaj wystawiłam świadectwo najlepszej przyjaciółce. Na koniec opowiedziałam o ostatnim liście, nie wspominając o fragmencie na temat mnie i Roberta.

- Musiała go napisać, jak tylko dojechała na Cape Cod. Potem zadzwoniła po posłańca z jednej z tych firm, które

działają dwadzieścia cztery godziny na dobę, i surowo mu nakazała, żeby doręczył mi list dopiero o dziesiątej rano następnego dnia. Próbowałam ustalić, co chronologicznie się wydarzyło tamtego dnia. Eloise opuściła mnie około jedenastej przed południem. Pewnie w południe wyjechali z Robertem na Cape Cod - Edwin powiedział, że dotarli tam koło szóstej. Wszystko wskazuje na to, że zmarła mniej więcej o dziewiątej, więc list musiała napisać między szóstą a dziewiątą. Jest jednak coś, czego nie rozumiem. Dlaczego zrobiła sobie zastrzyk z insuliny, skoro i tak zamierzała się utopić?

- Moim zdaniem, Eloise nie chciała ryzykować - odparła Sapphire. - Bała się, że w ostatniej chwili stchórzy. Dlatego przedtem przedawkowała insulinę, żeby spokojnie wejść do wanny i o nic już się nie martwić. Wiem, że to dziwny sposób, ale pewnie chciała odejść tak samo jak matka. Biedactwo. Cholera.

- Chyba masz rację - odparłam zamyślona. Zdziwiło mnie, że Sapphire prędzej znalazła wiarygodne wytłumaczenie niż ja.

- Gdzie policja znalazła strzykawkę?

- Strzykawkę? W wannie. Ukrytą pod ciałem Eloise. Wiesz, chyba już nie chcę rozmawiać o szczegółach.

- Dobra. - Sapphire skinęła głową i spróbowała wina. -W porządku. Ale wiesz, przyszło mi do głowy, że gdyby policjanci nie znaleźli strzykawki, mogliby pomyśleć, że to Robert zrobił jej zastrzyk, a potem umieścił ciało w wannie.

- Być może. Ale przecież zostawiła do mnie list z zapowiedzią samobójstwa. I gdyby Robert ją zabił, dlaczego miałby się potem zastrzelić?

- No, tak. - Wyciągnęła nogi. - To rzeczywiście problem. Chcesz sałatki?

Usiadłyśmy naprzeciw siebie na dwóch krzesłach, ustawionych tu przez kelnera, i jadłyśmy w milczeniu. Sapphire głęboko się nad czymś zastanawiała i nie bardzo wiedziałam, po co zaprosiła mnie na ten lunch. Przecież raczej nie byłyśmy przyjaciółkami.

Nabiła na widelec kawałek pomidora, leżący na moim talerzu.

- Niezły testament, co?
- Skinęłam głową.
- Bobby mi o tym opowiedział. No to jak, hajtniesz się z tym fajnym facetem w baseballowej czapce?
 - Nie wiem.
 - Powinnaś. Trudno o fajnego faceta. Dobry zestaw, mężczyzna i pieniądze. Przecież nie robisz się młodsza.
 - Wielkie dzięki.
 - Nie, słuchaj, nie chciałam cię obrazić. Ja też nie robię się młodsza. Im jesteśmy starsze, tym mamy mniejszy wybór. Tylko tyle chciałam powiedzieć.
- Zapaliłam papierosa.
- Palenie źle robi na twarz - przypomniała mi. - Zmarszczki szybciej się pojawiają.
 - Nie przyszłam tu na wykład o urodzie. Prawdę mówiąc, nie wiem, po co mnie tu zaprosiłaś. Chyba już sobie pójdę.
 - Jeszcze nie, Stacy. Nie teraz.
- Patrzyła na mnie. Zaczęłam raz po raz mrugać powiekami. Jej twarz była jeszcze bielsza niż zwykle; skóra tak delikatna, że chyba gdybym przestała mrugać, widziałabym przez nią na wylot. Zamknęłam oczy i zobaczyłam leżącego na łóżku Roberta z przestrzelonym sercem. Kiedy je otworzyłam, Sapphi-re wciąż na mnie patrzyła. Przestałam mrugać.
- Ty coś wiesz, prawda? Coś, czego ja nie wiem. - Spoglądałam na nią czujnie. - Lepiej wszystko mi powiedz - nakazałam spokojnie. - Wszystko.
- Pochyliła się do przodu. Ja też. Dwie konspiratorki nad niedojedzoną sałatką.
- Kiedy poleciałaś moim samolotem do Nowego Jorku, zaczęłam myśleć. Przekonałam się, że jesteś dość twarda, ale nawet nie w połowie tak twarda jak ja. Nie przeszłaś przez takie gówno jak ja i nie znałaś tak dobrze Roberta. Doszłam do wniosku, że nie dasz rady go powstrzymać. Więc postanowiłam wkroczyć do akcji. Powiedziałam Bobby'emu, że mam jakieś występy, których nie można odwołać, z samego rana wynajęłam samolot do Nowego Jorku. Kazałam też jednemu z moich zaufanych ludzi, żeby miał oko na dom Eloise

na East Side. Tak się dowiedziałam, że oboje wyjechali w południe. Mój człowiek ich śledził i informował mnie na bieżąco. Kiedy dojechali do domu na Cape Cod, zadzwonił do mnie, a ja znowu wynajęłam samolot. Czekał na mnie, kiedy wylądowałam w Hyannis, i zawiózł mnie do ich domu.

Była już dziesiąta wieczorem. Ciemno. Mój człowiek powiedział mi, że są sami w domu. Dobra, pomyślałam sobie, mam szansę. Wejść tam i wszystko wygarnę. Mam dość tego gówna. Od kiedy Bobby opowiedział mi o Susan, czułam się odpowiedzialna, bo wiem, że jakoś jestem w to wszystko wmieszana. Między mną a Robertem były niezłatwione sprawy. Wszystko mu wygarnę, i to na oczach Eloise. Może jestem wariatka, ale myślałam, że to dobry pomysł.

Dzwonię do drzwi, otwiera Robert. Wyrażnie go trzasnęło, kiedy mnie zobaczył. Zapytał, co tu, do cholery, robię. Od razu zaczął wrzeszczeć. Co ja sobie wyobrażam, że tak tu przychodzę bez zapowiedzi, on zaraz wezwie policję i tak dalej.

Ja mu na to, żeby się uspokoił, bo tylko chcę pogadać z nim i z jego żoną. Weszłam do domu, usiadłam na kanapie. Grał telewizor. Nadawali jakiś mecz koszykówki. Zapytałam go, gdzie żona. A on, że poszła spać, bo nie czuje się dobrze. No jasne, mówię. Czego ty ode mnie chcesz, Robert? Wiem, że w tej historii z Susan i Eloise tak naprawdę chodzi o mnie. Wyjaśnijmy to sobie. Załatwimy to raz na zawsze, tylko my dwoje.

Poszedł do kuchni, przyniósł butelkę szampana i nalał mi kieliszek. Zgodził się na rozmowę. Pomyślałam sobie, że może coś zdziałam, może zrobiłam dobry krok.

Ale on zaczął wygłaszać to swoje kazanie. To samo gówno, którego kiedyś wysłuchiwałam dzień po dniu. Co ze mnie za dziwka, wywłoka, spieprzyłam mu życie, karierę, poniżyłam go.

Siedziałam tam i słuchałam jego gadania. Zaczęłam się bać, bo było jeszcze gorzej niż dawniej. Wściekł się tak, jakby zupełnie mu odbiło. Nie przestawał gadać, wyzywał mnie.

Powiedział, że zniszczy moje życie, że będę cierpiała i nic na to nie poradzę. Miał ten swój okrutny wyraz oczu.

Tymczasem ja sobie myślałam, że dobrze by było, gdyby Eloise mogła to zobaczyć. Może nigdy przedtem nie widziała go od tej strony. Nie był w stanie nad sobą zapanować. Ona musiała to zobaczyć.

Powiedziałam, że chce mi się sikać, i zapytałam o ubikację. Tak się zapamiętał w tej złości i wrzaskach, że nic nie podejrzewał. Powiedział mi, żebym poszła na górę. Nie przestał gadać. Szłam po schodach i cały czas go słyszałam. Chodził po salonie i bez przerwy mamrotał pod nosem. Zaczęłam szukać Eloise. Chciałam ją obudzić i zabrać na dół. Niech sobie to wszystko obejrzy, a potem może uda mi się ją stamtąd zabrać. Mój człowiek czekał przed domem. Mogłam ją wpakować do samochodu i wywieźć. Mogłam ją uratować, tak jak sama się kiedyś uratowałam.

Weszłam do pierwszego lepszego pokoju. Okazało się, że to ich sypialnia. Palilo się światło, łóżko było puste, tylko na poduszce leżała jakaś kartka. Było na niej coś dziwnego, jakby wiadomość dla lekarza. Coś o insulinie, poziomie cukru we krwi - takie tam techniczne szczegóły. Tylko że oprócz tego Eloise napisała tam, że chce popełnić samobójstwo. Na końcu wyjaśniła, że wstrzyknie sobie za dużo insuliny, żeby nie stchórzyć, a potem wejdzie do wanny, bo chce się utopić tak jak matka. Przeczytałam to bardzo szybko. Zrozumiałam, co się dzieje. Zobaczyłam jakieś drzwi, pomyślałam, że to pewnie do łazienki. Chwilę się zastanawiałam, czy tam wejść, bo miałam trochę pietra, ale przyszło mi do głowy, że być może ona jeszcze żyje i ją uratuję. Wyciągnę ją z wanny, jakoś wypompuję z niej tę insulinę, sama nie wiem. Wtedy nie byłam za bardzo spokojna.

Ale weszłam do łazienki, a ona pływała w wannie, jakby to był jakiś horror w kinie. Martwa bez dwóch zdań. Zwymiotowałam. Stałam blisko kibla, więc do niego zwymiotowałam. Od razu zaczęłam myśleć. Bardzo szybko. Jeszcze nigdy w życiu nie myślałam tak szybko.

Eloise się zabiła, napisała list samobójczy, wszystko trzyma się kupy, więc Robertowi znowu się upieczce. Na to nie mogłam pozwolić. Zaczęłam jak wariatka szukać strzykawki. Zajrzałam do szafki na leki, sprawdziłam na podłodze. Wpadłam na pomysł, że jeśli znajdę strzykawkę i postaram się, żeby Robert zostawił na niej odciski palców, to go zrobię. Pobiegałam do sypialni i schowałam do torby list Eloise, ale nigdzie nie widziałam tej pieprzonej strzykawki.

Nagle słyszę, że Robert idzie na górę. Zamarłam. Wszedł do sypialni i rozgląda się za żoną. Pokazałam na łazienkę. Tam jest, mówię. Idź, zobacz, co zrobiłeś.

I wiesz, co się potem stało? Wszedł do łazienki i zanim się spostrzegłam, wybiegł stamtąd w podskokach, ze śpiewem na ustach. *W niebie, jest już w niebie!* Pamiętasz, wszyscy to śpiewali, kiedy umarł Fred Astaire. Nagle Robert się zatrzymał. Aż tak bardzo mnie kochała, mówi. Naprawdę mnie kochała. Z miłości dla mnie się zabiła. Cudownie. Miał taką minę, jakby wygrał wojnę, albo coś w tym guście.

Ja mu na to, że wcale nie jest cudownie. Nie wiem dlaczego, ale od razu się uspokoiłam. Patrzyłam na swojego byłego, jak wyśpiewuje ze szczęścia, chociaż przed chwilą zobaczył ten straszny widok, i byłam całkiem spokojna. Nie miałam zamiaru dać mu wygrać. Teraz to już tylko sprawa między nim a mną. Jeden na jednego, jak za dawnych czasów. Ale dowcip polega na tym, że ja się zmieniałam, a on o tym nie wie. Miałam w torbie ten list samobójczy i kombinowałam, jakby tu zrobić Roberta. Nawet go sobie wyobraziłam w pierdłu, jak się z nim zabawiają inni więźniowie. Robert usiadł w fotelu na środku sypialni i patrzy na mnie. Nagle mnie zapytał, w co się dzisiaj ubiorę. Nie odpowiedziałam na to głupie pytanie. A on patrzył na mnie oczami jak szparki i nawet nie drgnął. Po chwili pyta mnie, z kim się dzisiaj umówiłam. Odpowiadam mu w końcu, że dzisiaj nigdzie nie wychodzę. Zaczyna mi przypominać tego gościa z *Psychozy*, więc trochę się wystraszyłam. Pomyślałam sobie, że nie warto go drażnić. Po chwili powiedział, że przecież on mnie nigdzie nie zabierze, bo nie może ruszyć się z domu.

Zaczęłam się wolno cofać. Nie rozumiałam, co się dzieje. I w dodatku to ciało w wannie. Chciałam stamtąd zwać.

Nagle on wrzeszczy, żebym się nie ruszała. Otwiera szufladę komody obok i wyciąga pistolet. No, jak to zobaczyłam, stanęłam jak wmurowana. A on wymachuje bronią, każe mi zostać na miejscu i mówi, żebym sobie nie wyobrażała, że ujdzie mi to na sucho, bo przecież porzuciłam męża i syna. Robercie, tłumaczę mu, to było dawno temu. Wczoraj widziałam się z Bobbym. Teraz go już nie zaniedbuję.

A on mi wygarnia, że nigdy mnie nie obchodziło, jak Bobby'emu idzie w szkole, nigdy nie zwracałam na niego uwagi, zostawiłam ich obu i omijałam z daleka jak kupę gnoju.

Wyjaśniam mu, że nie zupełnie tak było. To on tak mnie traktował, że czułam się jak kupa gnoju.

Robert tylko się roześmiał i dalej gada: myślisz, że możesz być wielką gwiazdą, co noc się zabawiać, dręczyć mnie, a ja na to pozwolę. Chcesz, żebym się zabił, wtedy na dobre byś się mnie pozbyła. Niedoczekanie. To ja cię zabiję i wreszcie będziemy z Bobbym spokojnie żyli.

Prosiłam, żeby się uspokoił i odłożył broń. Przypomniałam mu, że Eloise się zabiła. Może powinien zadzwonić na policję.

A on, jakby nie pamiętał, kto to jest Eloise. Potrząsnął tylko głową.

Robercie, odłóż broń, błagam go. Ostrożnie usiadłam na łóżku. Musiałam usiąść, tak się trzęsłam.

Wstał, podszedł do mnie i wycelował we mnie broń. Pięknie dziś wyglądasz, powiada, kocham cię. Zawsze cię kochałem. Podszedł jeszcze bliżej i zaczął mnie całować. Cały czas czułam pod żebrami lufę pistoletu. Podniósł mnie z łóżka i zaczyna ze mną tańczyć, nucąc pod nosem piosenkę Shirley Tempile.

- Tę o statku z lizakami? - zapytałam.

- Właśnie. Skąd wiesz? - Sapphire skinęła głową. - Obejmował mnie lewą ręką, w prawej trzymał pistolet, wycelowany prosto w moje serce. Tańczymy. Potem nastąpiło coś naprawdę chorego. To znaczy, ta cała scena od początku była chora, ale wtedy przyszło najgorsze. Nagle zaczęło mi się to podobać. Było takie niesamowite. Jakby jakaś maszyna czasu

przeniosła nas w przeszłość. Nagle poczułam, że tańczę z ukochanym. Ta piosenka to była pierwsza piosenka, jaką mi zaśpiewał. Przychodził do mnie do domu i specjalnie dla mnie śpiewał. To było takie piękne.

Wiem, że tego nie zrozumiesz. Robert nigdy cię nie pociągał, więc nie możesz zrozumieć. Ale ja naprawdę go kochałam. Właśnie to jest najstraszniejsze. Nawet kiedy od niego uciekłam, nie przestałam go kochać. Wszystko, co potem robiłam, te pozy, seksowne ciuchy, wszystko - to dla niego. W ten sposób chciałam się zemścić, uderzyć tam, gdzie najbardziej boli. Robert miał nade mną władzę - inaczej nie można tego określić. W pewien sposób, zawsze trzymał pistolet wymierzony w moje serce.

W każdym razie to wszystko wyglądało jak scena z Miasteczka Twin Peaks. Eloise leży w wannie, a Robert i ja tańczymy jak za dawnych czasów, z tą różnicą, że on trzyma pistolet. Ale pachniał tak samo. Przysięgam ci, Stacy. Tak jak kiedyś. Zawsze uwielbiałam ten zapach. I głos. Jeśli chciał, potrafił być uroczy, taki romantyczny. I jakiś bezradny, jak mały chłopiec. Właśnie tak wyglądał, kiedy tańczyliśmy. Nic innego się nie liczyło. Chyba byłam w szoku.

Sapphire umilkła i spuściła głowę.

- Co się potem stało? - ponagliłam ją.
- Zapytał mnie, czy go kocham. Amy, czy ty mnie kochasz? Sapphire wyszeptała następne zdanie.
- Co takiego? Podniosła na mnie wzrok.
- Powiedziałam mu, że go kocham. Wyobrażasz sobie? Potrafisz uwierzyć, że jestem taka popieprzona? - Milczałam.
- W każdym razie, jak mu tylko to powiedziałam, odstał ode mnie i przyjrzał mi się od góry do dołu. Jakby sprawdzał, czy nie kłamię. W takim razie mi to udowodnij, mówi. Położył się na łóżku. Broń umieścił tuż obok siebie.

Zapytałam go, co mam zrobić. Oczywiście wydawało mi się, że ma na myśli seks. Do tego stopnia mi odbiło. Byłam gotowa wskoczyć z nim do łóżka. Znowu miałam dziewiętnaście

lat. Wiesz, jak to jest, kiedy czujesz, że znowu masz dziewiętnaście lat?

A on mówił dalej: Amy, kochasz mnie, prawda? Bo ja cię kocham. Myślę o tym, co dla ciebie najlepsze. Ile czasu ci jeszcze zostało? Co się stanie w przyszłości? Musisz uważać, żeby nie zastąpiły cię młodsze piosenkarki, nowe gwiazdy. Powiedz mi, widzisz siebie w Las Vegas, kiedy skończysz sześćdziesiątkę? Będziesz skakała po scenie w dżinsach i wyśpiewywała swoje stare przeboje przed tłumem starców? To ci się nie spodoba, co?

Leżał na łóżku, oparty na łokciu i mówił bardzo cicho: jakie masz wyjście, Amy? Operacja twarzy? Coroczne wizyty u chirurga plastyka, żeby nie stracić wyglądu? Będziesz biegła jak olimpijczyk, tylko po to żeby się nie cofać. Będziesz się oglądała przez ramię, cały czas w strachu, przerażona, że to już koniec. A może z godnością zejdziesz ze sceny, i bez waliki popadniesz w zapomnienie? Zostaniesz jedną z tych gwiazd-samotniczek, które nigdzie nie wychodzą. Martwię się o ciebie. Przecież nie masz nikogo, kto by cię wsparł w tych trudnych chwilach. Ci twoi chłopcy na pewno ci nie pomogą. Oni cię tylko wykorzystują, prawda? Dla własnych celów. Wszyscy cię wykorzystują. Ludzie zrobią wszystko, żeby być obok sławnej piosenkarki. No i powiedzmy sobie szczerze, nie jesteś matką. Może i nawiązałaś jakiś kontakt z Bobbym, ale nigdy nie będziesz jego matką. Tutaj ci się nie powiodło. Ominęło cię jedno z najwspanialszych ludzkich przeżyć. Co ci zostało, Amy? Gdzie teraz pójdziesz? Czy masz na co czekać?

Patrzył na mnie tak czule. Wziął mnie za rękę i uścisnął. Odparłam, że nie wiem. Czułam, że zaraz się rozpłaczę. Powiedziałam mu, że na początku przyszłego roku wychodzi moja nowa płyta.

On tylko westchnął. Ale czy naprawdę masz na co czekać, pyta. Twoje życie jest puste. To wszystko maskarada. Chociaż raz bądź ze mną szczerą. Odtąd czeka cię już tylko droga w dół.

Wtedy zobaczyłam, że on płacze. Oboje płakaliśmy. Miałam wrażenie, że zwała się na mnie ściana i nie potrafię

wydobyć się spod cegieł.

Przypomniałam sobie ostatnie spotkanie z moimi ludźmi od reklamy. Próbowali mi powiedzieć, w co mam być ubrana na okładce nowej płyty, i nabijali się z tego. Zaśmiewali się do rozpuku, kiedy wymyślali następną idiotyczną, dziwaczną pozę, w której mogłabym się sfotografować. To była dla nich świetna zabawa. Moim kosztem.

Sama nie wiem dlaczego, ale sięgnęłam po pistolet Roberta. Byłam jak samochód z przebitymi czterema oponami, ale kiedy wzięłam tę broń, poczułam się lepiej. Bawiłam się nią, przekładałam z ręki do ręki. On wciąż płakał, ale jednocześnie się uśmiechał. Wyglądał tak przystojnie. Wspomniałam, jak jeździliśmy po Providence jego Mustangiem. Trzymałam nogi na tablicy rozdzielczej. Moje najszcześniejsze czasy. Przycisnęłam pistolet do twarzy, przesunęłam nim po policzku. Pomyślałam o piosence Beatlesów *Szczęście to ciepły pistolet*. Myślałam o Johnie Lennonie, o tym, jak zginął, a cały świat po nim płakał. Myślałam o Marylin Monroe i Jamesie Deanie i wszystkich innych, którzy nigdy nie musieli się zestarzeć i zejść ze sceny.

Nagle odzywa się Robert. Życie boli, co? Wyciąga rękę i kładzie palce na moich wargach.

Oparłam głowę na pistolecie. Robert wciąż się śmieje. Nagle zobaczyłam coś kątem oka. Na nocnym stoliku stało oprawione zdjęcie Eloise. Ona też się uśmiechała, trzymała bukiet lilii. Wyglądała tak słodko jak anioł. Przestałam wyobrażać sobie siebie jako przebrzmiałą gwiazdę. Widziałam tylko twarz Eloise w wannie. Wyobraziłam sobie Susan na szpitalnym łóżku, z tymi wszystkimi rurkami przyczepionymi do ciała. Wszystko naraz do mnie wróciło. W głowie miałam tylko jedną myśl: jeszcze trochę, a by ci się udało, ty sukinsynu, prawie ci uwierzyłam. Wtedy zrozumiałam, że Robert nie wypuści mnie z tego domu żywej.

Tak, Robercie, mówię do niego, życie boli. Nachyliłam się i całuję go w usta. Wycelowuję broń i naciskam spust. Strzelam mu prosto w serce.

Jego uśmiech wyparował. Pierś uniosła się kilka razy i znieruchomiła. Siedziałam i trzymając pistolet patrzyłam na ciało. Zastanawiałam się, co, u diabła, robić dalej. Cały czas się spodziewałam, że zaraz się na mnie rzuci. Potem wytarłam z broni odciski palców i włożyłam mu ją w tą jego małą rękę, zagięłam palce wokół rękojeści, żeby wyglądało, że celował sobie w serce.

Zrobiłam wszystko jak trzeba - wytarłam odciski palców z przedmiotów, których dotykałam, włącznie z kibelem. Tylko odwracałam oczy od ciała Eloise. Zeszłam na dół, wymyłam swój kieliszek po szampanie i włożyłam go do torby. Zobaczyłam, że mam tam samobójczy list Eloise. Pomyślałam, że mogłabym wrócić na górę i położyć go na łóżku, ale nie zdobyłabym się na to, żeby jeszcze raz spojrzeć na twarz Roberta. Mały włos, a by mu się udało.

Później pozbyłam się tego listu. Podarłam go na kawałki i wrzuciłam do kosza przed McDonaldem po drodze do Nowego Jorku. Domyśliłam się, że dla policji będzie to wyglądało tak, jakby Robert zabił Eloise, a potem siebie albo jakby oboje popełnili samobójstwo. Nie będą mieli powodu, żeby mnie podejrzewać, bo w ogóle nie przyjdzie im do głowy, że to było morderstwo. Jego broń, jego odciski palców. Eloise w łazience obok. Co innego można o tym pomyśleć?

Oczywiście, następnego dnia dałam temu człowiekowi, który mnie tam zawiózł, awans i zafundowałam mu wakacje w Europie. Jest mi tak wdzięczny, że nie puści pary na temat wycieczki na Cape Cod. Jeśli kiedyś wszystkiego się domyśli i przyjdzie mu do głowy, żeby mnie szantażować, opowiem policji swoją wersję. W końcu to przecież była samoobrona. Jeśli ława przysięgłych mi nie uwierzy, trudno, zacznę dawać koncerty w więzieniu. Nagram własną wersję Folsom Prison Blues Johnny Casha. Co za świetny chwyt reklamowy.

Opadła na oparcie krzesła i odegnała ręką dym od swojej twarzy. Siedziałyśmy w milczeniu.

- Sapphire, dlaczego mi to opowiedziałas? - zapytałam w końcu.

- Nie do końca wierzyłaś w to podwójne samobójstwo, prawda?
- Nie - przyznałam. - Nie wierzyłam.
- Widzisz? Musiałas poznać prawdę. Właśnie dlatego ci to opowiedziałam. Potraktuj to jako przysługę. Twoja przyjaciółka Eloise mnie ocaliła. Mam wobec niej dług, ale jej już nie ma. Więc wybrałam ciebie, bo to najlepsze, co mi przyszło do głowy. Poza tym musiałam komuś powiedzieć. Wydało mi się, że to był sen. Teraz, jak ci opowiedziałam, stał się rzeczywistością. A z rzeczywistością dam sobie radę.
- Wiesz, że będę musiała opowiedzieć to Danielowi.
- W porządku. Wyglądał na faceta, który umie trzymać język za zębami. Ale nie mów Bobby'emu. Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. To twoja przysługa wobec mnie.
- Nie powiem. Przyrzekam.
- Dobrze. - Wstała i przeciągnęła się. - Mam kilka spotkań. W przyszły wtorek występuję w Madison Square Garden. Chcesz bilety?
- Jasne. - W głowie miałam gonitwę myśli. Chciałam stąd wyjść, przemyśleć tę historię w samotności.
- Dobra. Załatwię to. Może jeszcze kiedyś się spotkamy? Co o tym myślisz?
- Może. - Podeszłam do drzwi, oparłam rękę na kłamce. - Sapphire, uważaj na siebie.
- Taki mam zamiar, skarbie. Jeszcze nie umarłam.



Grudzień 1990

Mam nadzieję, że Sapphire nie będzie musiała opowiadać tej historii policji. - Daniel kołysał się na krześle, balansując na jego dwóch tylnych nogach.

- Ja też.

- Najlepiej, żeby Bobby nigdy się o tym nie dowiedział.

- Właśnie. - Skinęłam głową.

- Ale nie jestem pewien, czy to wszystko zmienia postać rzeczy. Jeśli chodzi o mnie, nadal uważam, że to podwójne samobójstwo.

- Co masz na myśli? Ona pociągnęła za spust. Ona go zabiła.

Krzesło stanęło prosto. Daniel podrapał się w głowę.

- Robert odłożył broń, Stacy. Wiedział, że jest nabita, i pozwolił wziąć ją Sapphire. Czy to ci coś mówi?

- Owszem. Myślał, że ona się zabije. Celowo uderzał w jej słabe punkty. Oczekiwał, że się zastrzeli.

- Nie sądzę. Może widział to inaczej. Kiedy pociągnęła za spust i go zastrzeliła, połączyła się z nim na zawsze. To jeszcze inny rodzaj władzy. Dlatego na końcu się uśmiechał. Wiedział, że sama się nie zabije, ale zastrzeli jego. Może i nienawidził swojej matki, ale pewnie również ją kochał. Było w nim tyle sprzeczności. Wiedział, jak zawrócić kobietom w głowie, więc pewnie rozumiał, czego pragną. Potrafił się jakoś

wczuć w ich potrzeby. Krążył jak wahadło między szaleństwem a normalnością, może gdzieś w pół drogi identyfikował się ze swoimi tak zwanymi ofiarami. Może sam chciał być ofiarą. To możliwe.

- Pewnie możliwe. Ale ja się z tym nie zgadzam.

- Bo to nie leży w twoim interesie. - Daniel uśmiechnął się. Wstałam i zrobiłam sobie w kuchni filiżankę kawy. Zastanawiałam się, co chciał powiedzieć. Na pewno miało to coś wspólnego z tym, że przespałam się z Robertem. Tak nie znosiłam myśli o tym zdarzeniu, że nie chciałam do niego wracać ani zastanawiać się, jaki będzie miało wpływ na moją przyszłość z Danielem.

Prześladowało mnie zdanie z listu Eloise. „Nikt nie może ci zagwarantować, że człowiek, którego kochasz, odwzajemni ci się tym samym. To jest loteria”.

Kiedy wróciłam do salonu, Daniel głęboko zapadł w typowe dla niego milczenie. Wypił moją kawę i przejrzał „Harper's Bazaar”. Nasze wspólne dwa tygodnie dobiegły końca, ale nie miałam zamiaru mu o tym przypominać. Co nocy spał na kanapie, czułam, że mi się wymyka.

Nagle zerwał się z fotela, chwycił mnie za rękę, rzucił mi płaszcz i wypchnął mnie za drzwi. Zbiegliśmy po schodach na ulicę. Poszliśmy do metra i wsiedliśmy w pociąg jadący do centrum, do World Trade Center. Raz po raz go pytałam, co się dzieje, ale nie odpowiadał. Kupił dwa bilety na taras widokowy i wjechaliśmy na górę razem z hordami turystów. Dzień właśnie zamieniał się w noc, Nowy Jork pod nami rozjarzał się, a Daniel poprowadził mnie na ławkę. Siedzieliśmy w wykuszu okiennym, tuż przy szybie.

- Tutaj mamy odpowiednią perspektywę, prawda? Często przychodzę tu sam. W tym miejscu dobrze się myśli. - Widok pod nami zapierał dech w piersiach, ale również przerażał. - Pamiętasz, jak Philippe Petit przeszedł na rozciągniętej linie do drugiego wieżowca? To był chyba najbardziej zdumiewający wyczyn naszego wieku. Wyobrażasz sobie, jakie trzeba mieć do tego mocne nerwy? Tu, wysoko, trudno przewidzieć kierunek wiatru. Utrzymanie równowagi graniczy z niemożliwością.

- Pamiętam - odparłam.
- Skoro już mówimy o chodzeniu po linie, możemy też zastanowić się nad naszą przyszłością. Jaki masz plan gry, Stacey?

- Nie mam żadnego planu.

- Ja wymyśliłem kilka scenariuszy. Ale mam też jeden problem. Wiesz, co się stanie, jak tylko dostaniemy pieniądze? Moja była żona zażąda podwyższenia alimentów o jakąś astronomiczną sumę. Będę płacił za jej baseny i zamki na południu Francji. Pewnie zechce odkupić hotel Plaza od Ivany Trump.

Roześmiałam się, ale czułam, że zaraz się rozplaczę.

- Czy to są oświadczenia?

- Oczywiście, wariatko. Boże, jeśli się nie ożenię i nie dostanę tych pieniędzy, będę musiał skończyć tę książkę o bólu pleców!

Łzy napływały do moich oczu wolno, ale nieuchronnie.

- Hej, Stacey... - Objął mnie ramieniem i uściśnął. - Nie miej takiej smutnej miny. Jeśli naprawdę wierzysz, że żenię się z tobą dla pieniędzy, możesz odmówić. Mnie się wydaje, że Eloise miała rację. Kochamy się od samego początku, ale zrobiliśmy kilka błędów. Ty popełniłaś najbardziej rzucające się w oczy i będę się dobrze bawił wypominając ci je przez długie lata.

Zignorowałam znaki zakazu i zapaliłam papierosa.

- Ale jeśli za mnie nie wyjdiesz, rzucę się przez to okno i roztrzaskam się na chodniku - oznajmił. - I co ty na to? Wystarczająco romantyczne?

- Danielu, te okna są tak zaprojektowane, że nie można przez nie wyskoczyć.

- Jasne. Wiem o tym. Ale liczy się pomysł.
